

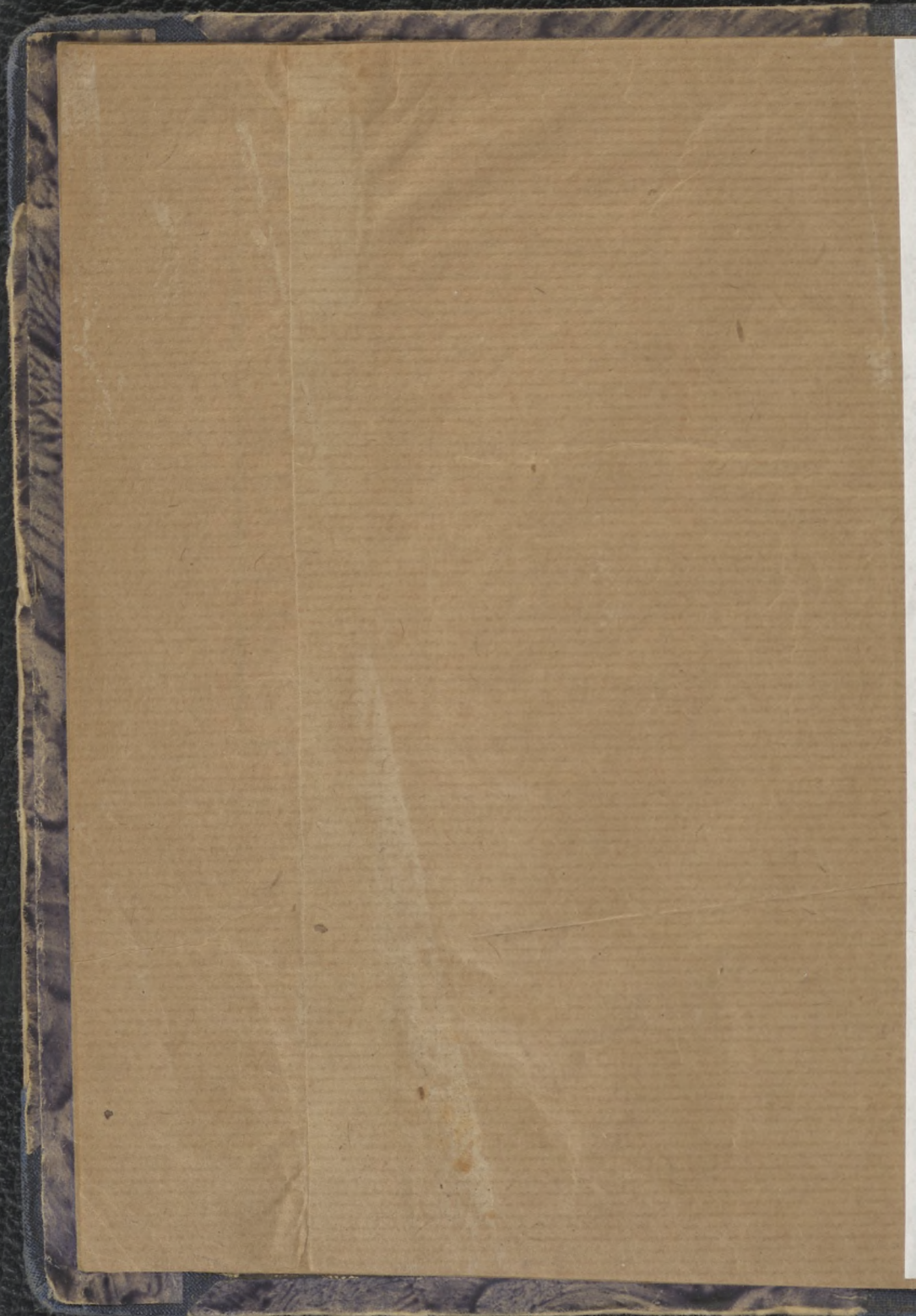
Książka mówi do Ciebie Czytelniku:

Jestem własnością Zakładu,
dlatego szanuj mnie jako cudzą
własność.

Kto mnie niszczy, krzywdzi
władzę, która mnie dla Twojej
nauki i rozrywki zakupiła,
krzywdzi też i wszystkich in=
nych czytelników. Dlatego ob=
chódź się ze mną uczciwie, nie
plam i nie niszczy mnie, bo prze=
cież nie na to mnie nabyto,
abyś mnie w krótkim czasie
zniszczył.

5. 0. 21

11 164,414



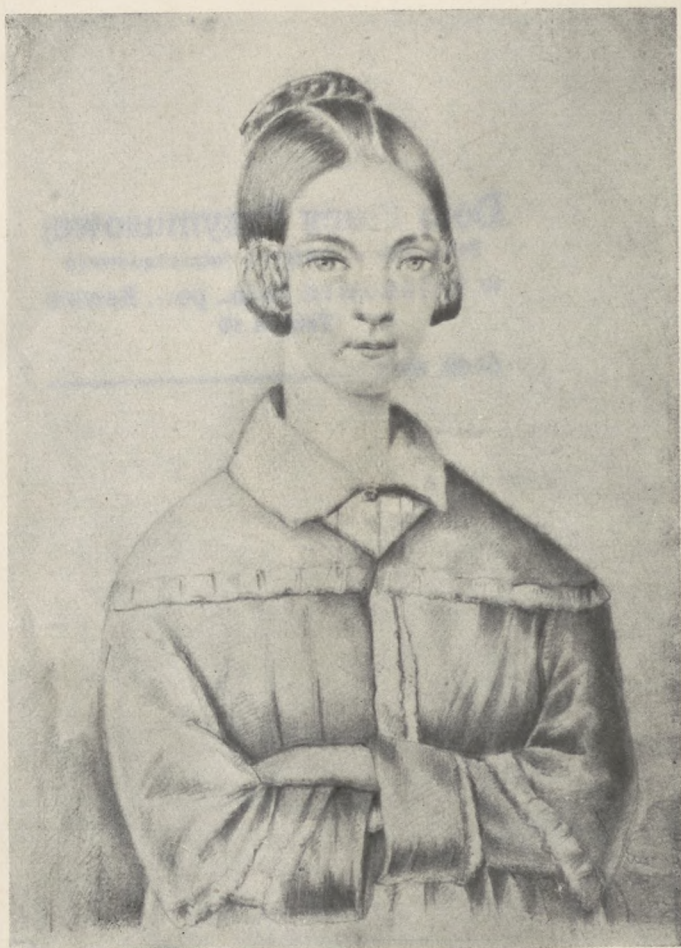
~~21047~~

Dom Pracy Przymusowej

Pozn. Wojew. Związku Samorządowego
w Bojanowie Pozn., pow. Rawicz

Telefon 19

Znak akt: 2018



NARCYZA ŹMICHOWSKA

Rysunek ołówkowy nieznanego autora.
Ze zbiorów Boy'a-Żeleńskiego.

NARCYZA ŻMICHOWSKA
(GABRYELLA)

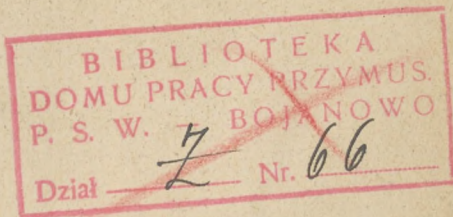
CZY TO POWIEŚĆ?

Z PRZEDMOWĄ
BOYA-ŻELEŃSKIEGO

Dom Pracy Przymusowej
Pozn. Wojew. Związku Samorządowego
w Bojanowie Pozn., pow. Rawicz
Telefon 19

Znak akt:

2018



WARSZAWA 1929
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

ODBITO 3.200 EGZEMPLARZY
NUMEROWANYCH

N^o 3079 *



II 164.414

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001011552480

Copyright by Dom Książki Polskiej Warsaw 1929
Prawa przedruków i przekładów zastrzeżone
Czcionkami Drukarni Narodowej w Krakowie

PRZEDMOWA

W czasie kiedy Dom Książki Polskiej zwrócił się do mnie o napisanie przedmowy do tej książki, zajęty byłem właśnie studjowaniem puścizny po mojej matce, zwłaszcza w części dotyczącej się Narcyzy Żmichowskiej. Jest tam, oprócz innych listów Narcyzy, z górą setka listów jej do mojej matki, przeważnie bardzo obszernych. Gdy chodzi o poznanie tej tak rychło ukanonizowanej a tak mało znanej pisarki, korespondencja ta jest dokumentem pierwszorzędного znaczenia. Listy Narcyzy miały rozmaity charakter, zależnie od węzłów, jakie ją z którą z przyjaciółek łączyły. Przyjaźń jej z matką moją — przyjaźń, o której sile i o znaczeniu jej w życiu Narcyzy przekonało mnie wczytywanie się w te foljały listów — miała odcień, który szczególnie nas tutaj interesuje: mianowicie literacki charakter tego stosunku. W czasie tej zażyłości, młoda uczenica Narcyzy, Wanda Grabowska, zaczynała — nieśmiało wprawdzie — brać się do pióra: stąd w tej wymianie listów szczególnie wiele miejsca zajmują sprawy piśmiennicze. Przez jakiś czas nawet Narcyza stara się wciągnąć Wandę do współpracownictwa, ma na nią daleko sięgające zamiary i plany, a plany te snują się właśnie dokoła tej powieści. Ale, aby to objaśnić, trzeba poświęcić parę uwag warunkom, w jakich rozwijała się twórczość Żmichowskiej, przedwcześnie w nieprzyjaznych okolicznościach życiowych zdławiona.

Narcyza Żmichowska miała lat dwadzieścia kilka,¹ kiedy z nazwiskiem jej — a raczej pseudonimem *Gabryella* — zaczęto łączyć najpiękniejsze nadzieje. Pierwszy tom p. t. *Wolne chwile Gabryelli* dał ją poznać jako poetkę, powieść zaś *Poganka* była tak śmiałym i niezwykłym wybuchem talentu, że z powieścią tą odtąd nazawsze miało się zrosnąć jej imię. Żmichowska po dziś dzień została autorką *Poganki*. Bo też od czasu *Poganki* (1846) i niedokończonej *Książki Pamiątek* (1847—1848), twórczość Żmichowskiej jakgdyby obumiera. Zarówno życie jej osobiste jak literackie odbija cały tragizm tych, którzy zostali w kraju, gdzie, w owych najcięższych dla narodu chwilach — pomiędzy rokiem 1831—1846—1863! — literatura odzywała się wstydliwie i jakby z zakłopotaniem, gdzie słowo było skneblowane i gdzie, w pewnych momentach, sam poeta żądał od siebie nie słowa ale czynu. Rzuciwszy się z całym entuzjazmem w ruchy konspiracyjne przed r. 1846 i 1848, Żmichowska dostaje się do więzienia, w którym trzymają ją w oddzielnej celi w Lublinie przez półtrzecia roku. Kiedy wreszcie — przetrwawszy wszystkie próby — wychodzi na wolność, przeznaczają jej na miejsce zamieszkania Lublin, gdzie pod ścisłym dozorem policji spędza w domu siostry lat kilka. Wszyscy dokoła, w tej epoce reakcji, boją się „skompromitowanej“: utwory jej — nieliczne zresztą, bo Narcyza, złamana więzieniem, klęską swych wszystkich nadziei, odzywa się rzadko — zalegają po kilka lat redakcje, ukazują się pocięte, pokierszowane. Nietylko cenzura rządowa, ale cenzura ciasnoty obyczajowej pęta skrzydła jej śmiałemu talentowi. Jest zresztą tak daleko od wszelkiego ruchu umysłowego, choćby tak nikłego jaki był

¹ Urodzona w r. 1819, umarła w r. 1876. Ob. art. *Żmichowska*, w książce Boy'a Żeleńskiego: *Ludzie żywi*.

w ówczesnej Warszawie! Wreszcie, w r. 1855 dostaje się do upragnionej Warszawy; oddaje się z zapałem pracy pedagogicznej; pióro jej ożywia się: powstaje, między innymi, *Biała Róża*. Mieszkanko jej na „Miodogórze“ (przy ulicy Miodowej) skupia najszlachetniejsze, najżywsze ówczesne serca; samą Narcyzę otacza kult i przywiązanie młodych. Ale przychodzi rok 1863 i znów druzgoce wszystko. Narcyza przechodzi ten cios szczególnie boleśnie; łamie się w sobie, traci wielu bliskich, chroni się do rodziny na wieś, aby nie myśleć, nie pamiętać. Mieszka kolejno u krewnych, ucząc ich dzieci w zamian za kęs chleba. Znów zdala od życia umysłowego, bez wymiany myśli, często bez książek, czuje że zamiera. Raz po raz przychodzą na nią okresy zniechęcenia; podjęte prace rwą się co chwila. Czuje się niepotrzebną, nierozumianą. I tak było w istocie. Jeszcze w roku 1877, we wspomnieniu (*Kłosa*, 11 styczeń 1877) kreślone tuż po śmierci Narcyzy, matka moja wyraża nadzieję, „że kiedyś otworzą się drzwi od tajemniczego skarbcza i nieliczne karty, na które większość spogląda jak na hieroglificzne znaki, przemówią...“

Na te ponure beznadziejne lata, które nastąpiły po roku 1863, przypada najżywszy okres jej przyjaźni z Wandą, mimo że znajomość sięga dawniej. Zbliżenie z rodziną Grabowskich nastąpiło rychło po przeniesieniu się Narcyzy do Warszawy, gdzieś w r. 1855.

Zacząło się od stosunków sąsiedzkich. Owo wslawione dzięki Żmichowskiej „Miodogórze“ należało do Grabowskich. Panien Grabowskich było cztery. Julja, później Tetmajerowa, matka Kazimierza Tetmajera, Marja, później Władysława Kwietniewska, i Wanda, później Władysława Żeleńska, moja matka. Najstarsza Zofja nie wyszła za mąż, była tłumaczką popularnych angielskich

powieści dla młodzieży, w których zaczytywały się całe pokolenia: *Małe kobiety*, *Dobre żony*, etc. Dziewczęta wcześnie straciły matkę; to było dość, aby im zjednać zainteresowanie i współczucie Narcyzy. Ze swoją pasją kształcenia, rozwijania młodych dusz, interesowała się ich wychowaniem. Najbliższe, najbardziej oddane sobie serce wyczuwała w Wandzie; jakoś, mimo różnicy wieku, stosunek ten przerodził się w dozgonną przyjaźń. Już w r. 1860 (Wanda miała wówczas lat 17) zaczyna się korespondencja, która miała trwać do końca. Epizod ten życia Narcyzy pozostał jej biografom prawie nieznanym, ponieważ matka moja, mimo że fanatyczny kult dla Żmichowskiej przechowała do śmierci, o stosunku swoim do niej, o roli swojej w jej życiu mówiła bardzo mało; szanując zaś niechęć¹ Narcyzy do ogłaszania prywatnych listów, korespondencji tej — z wyjątkiem paru listów — nie wydała drukiem nigdy. Korespondencja ta była dla mnie samego rewelacją. Przyjaźń z Wandą zajmuje w życiu Żmichowskiej zupełnie odrębne miejsce. Z dawnymi przyjaciółkami, owemi *entuzjastkami*, towarzyszkami wzlotów i prób młodości, rozdzieliło ją życie, oddalenie, troski, czasem wzrastające różnice przekonań. Przytem, w miarę jak własna młodość jej ucieka, Narcyza ciągnie

¹ Niechęć ta odnosiła się wszakże tylko do zbyt rychłego ujawniania korespondencji. W jednym z listów do mojej matki, mówiąc o puścźnie po wspólnej przyjaciółce, młodo zmarłej Zofji Kaplińskiej, Narcyza pisze:

„...wartoby przeczekać jakąś miarę czasu, aż pewna wibracja żywej osobistości, tak tej co odeszła, jak tych co pozostali, przemilknie. Kiedy mi wolno było dla samej siebie układać jakieś pośmiertne plany, wiem, że ten był najulubieńszy; ani jednego wiersza z listów moich nie byłabym oddała „publiczności“ pogrzebowej; nieraz jednak pragnęłam aby nawet myśli moje niedopowiedziane, „później“, och później, żyjących doszły... (Maj 1864).

raczej do młodości; do tego co wnosi w życie zapal i nadzieję.¹ Znajduje to wszystko w Wandzie, której jeżeli co zarzuca, to nadmiar „idealizmu“. Nazywa ją, w listach do innych osób, swoją *budziicielką*. „Witaj mi dziecko moje, siostrzyczko moja, entuzjazmie mój ostatni... podwalino zupełny powstrzymująca upadek, aniele habakukowy co mnie gwałtem choćby za czu- prynę od ziemi odrywasz i w powietrzu unosisz. Witaj mi, ty wszystka i rozmaita...“ tak pisze do Wandy w roku 1867.

Ów rok 1867 stanowi może najżywszy okres tej przyjaźni. W każdym razie najżywszy okres wymiany listów. Z tego jednego roku mam w rękę 30 listów Narcyzy do Wandy, z tych niektóre obejmujące po kilka stronic druku. I ton stopniowo się zmienia. Pierwsze listy, to listy dojrzałej kobiety do młodej sympatycznej dziewczyny. Uderzona jej inteligencją i zdolnością od- czuwania, pewna jej serca, Narcyza zaczyna pisać coraz poufniej, coraz bardziej otwierać jej swą bogatą duszę. „Zdaje mi się, że nie jestem hipokrytką, a jednak ludzie nigdy nie wiedzą co się we mnie dzieje. Jeśli się zgor- szysz, usprawiedliwię się kiedyś; opowiem jak w dzie-

¹ Przyjaźń ta odegrała i pośrednio w życiu Narcyzy bardzo wielką rolę: w miejsce wygasających dawnych jej stosunków, dała jej nowe. Nowi jej bliscy przyjaciele — Edward i Zofja Kaplińscy, Seweryn i Stanisław Markiewiczowie — to byli krewni lub powinowaci mojej matki. „Pokazuje się, pisze Narcyza, że ja wszystkich prawie moich mam przez ciebie i to pod różnemi tytułami, w różnych odcieniach, z mnóstwem różnych przyimków: przez ciebie, dla ciebie, z tobą, koło ciebie, w tobie itp. itp. Istotnie, poza tobą, wyjąwszy jednej samodzielnie występującej Juluty (Ignacowej Baranowskiej), to wszystkich wspólnych zbliżyłaś mi zawsze, a z nie wspólnych to bez ciebie miałam tak mało, jakdyby najdalej los ich usunął...“ (List do Wandy z 17-go sierpnia 1868).

ciństwie wszelki samorzutny wyskok żartami mitygowano, jak pensjonarskie życie rozwinęło dowcip szyderczy przeciw wszelkim niezwykłościom, jak później religijność młodzieńcza tajemnicy dla świętszych wrażeń instynktownie zapotrzebowała, jak następnie sumienie uzbroiło odwagą wypowiedzania najniebezpieczniejszych przekonań, a po śmierci brata żaden stosunek do wypowiedzenia samej siebie nie wdroył". (List do 20-letniej Wandy z 15 grudnia 1863 r.).

W radach, jakich udziela młodej przyjaciółce, w sposobie w jaki chciałaby nią kierować, odbija się ówczesny stan duszy i poglądów Narcyzy. Nastrój to, któryby można nazwać pozytywizmem *avant la lettre*. Patrząc na życie w kraju, widząc jego niedole, straszliwe braki, najpilniejsze potrzeby, patrząc na otchłanie ciemnoty, obojętności, nieufności wzajemnej, widząc jak na tem tle tragiczne wydają skutki najszlachetniejsze nawet wybuchy zapaleńców, nabiera niechęci do wszelkiej fałszywej idealizacji, do czczego marzenia. Entuzjazm realności, twarde trzymanie się rzeczywistości, nauka, praca, wykonywanie własnymi rękami lepszego jutra, to staje się jej wiarą. Czuje braki własnego wykształcenia; rzuca się w naukę, kształci się wytrwale sama, pochłania podręczniki fizyki, chemji, antropologii. W tym też kierunku chciałaby popchnąć młodą przyjaciółkę:

„...liryka mogła w pierwszych wiekach Grecji i Chrześcijaństwa wystarczać; ale po rewolucji francuskiej i polskiej — po takich zubożeniach i zubożeniach — trzeba koniecznie nauki. Alboż ja od kilku (blisko kilkunastu) lat naszej znajomości nie wołam ciągle: „ucz się, Wando! za to, że ja mało umiałam, za to, że pamięci nie wykształciłam, za to że już nic użytecznego nie zrobię: ucz się, Wando!“ (25 maja 1867).

„...Owszem, zdaje się, że Bóg ciężko karze wiarę (rzecz, zdolność tylko dla boskich rzeczy daną człowiekowi), gdy się

uparcie do rzeczy ludzkich przywiąże. Ludzkie rzeczy trzeba, koniecznie trzeba rozumem ludzkim ovladnąć i tak urządzić aby do boskich nie przeszkadzały; ludzkie rzeczy trzeba, koniecznie trzeba po ludzku robić; po ludzku, na podstawie chemji, fizyki, mechaniki i rachunków. Wielu poczciwych tem zblądziło, że zaczęło budować na podwalinach abstrakcyjnych sylogizmów, lub religijnych uczuć, pierwej nim ovladnęło ziemskie dotykalne materiały; za karę teraz trzeba będzie aż po piersi w ziemię się zakopać — sił muskularnych nabrać, — Sił! Mocy! Sił! Możliwości!

„Zanadtośmy się przyzwyczaili słuchać o przeciwieństwach, o sprzecznościach dobra ziemskiego z niezemskim duchowem; czas już, byśmy ich harmonję pojęli nakoniec. Czytałam różne książki, widziałam różnie pracujących ludzi; otóż nigdzie nie znalazłam takiej prawdy do w i e d z i o n e j, któraby się z najwyższą prawdą „zbawienia“ nie zgadzała, i takiej pracy rozumnej, któraby pocziwą duszę zepsuła itd. itd.: — (co wszystko razem znaczy) że przeciw nadużyciom poezji, nabożeństwa, idealności trzeba oddziaływać umiejętnością, obyczajem, zarobkiem...“ (List z r. 1864.)

W innym liście jeszcze bardziej akcentuje znaczenie pracy, zarobku i tego tak znieawidzonego idealistom *pieniądza*:

„...Bawimy się po większej części najprawdziwszemi (przypuszczam) najpiękniejszemi abstrakcjami, lecz każdej z nas faktów i szczegółów na podmurowanie swego przekonania brakuje. Czy widziałas kiedy indyjskiego fakira, jak zręcznie podrzuca w górę masę pomarańcz, które kolejno się tocząc, przed pochwyceniem tworzą nad głową jego doskonale półkole. I my tak sztucznie myśli nasze w nadpowietrznem półkolu trzymamy; żadna się arytmetyką, geometrją, fizjologją, kodeksem, zdarzeniem, nazwiskiem, ziemi nie dotknie. Co do mnie, mam tę zasługę przynajmniej, że się w tem sama spostrzegłam, i choć na poprawę już zapóźno, to jednak głębokiem uznaniem potrzeby mogę się jeszcze wam młodym przydać.“

„Dzisiaj pracą i zarobkiem dochodzi się do najwznioślejszych celów. Choćby się jak po zażyciu chininy bez opłatka wzdrygnęła, moja Wando rozmarzona, to jednak tego nie przeprzesz, że pieniądze są wolnością. Pieniędźmi, s w o j e m i pieniędźmi, z a r o b i o n e m i pieniędźmi, zmusi kiedyś kobieta napoleońskich Fran-

cuzów do zmiany całych rozdziałów w sławnym cesarskim kodeksie. Pieniędźmi ugruntuje równość małżeńską i władzę macierzyńską; pieneiędźmi i dziś przecieź, gdy chce, może sobie wykształcenie osobiste zapewnić. Pieniędźmi dopiero świat stanie dobremu otworem, a to dlatego, moja pani, że pieneiędźdze zawsze reprezentują pracę, a praca rozum, a rozum Pana Boga.“ (List z lipca 1865).

Tak oto otwierała Narcyza głowę swojej młodej przyjaciółce, mimo że nie przychodziło jej to bez oporu. Kiedyś, zniechęcona upartym idealizmem Wandy, którą gdzieś nazywa żartobliwie gderząc „rozpieszczaną dewotką ideału“, pisze:

Z nauką druga bieda: co tkniesz jakiego faktu, to cię wyrażne obrzydzenie przejmuje... wyraźnie djabeł od święconej wody tak się bronić nie może, jak ty się przed rzeczywistością bronisz, i cóż ja na to poradzę?...

W tej epoce Wanda zaczyna pisać; prawdopodobnie Narcyza ogląda próby jej pióra. Ta mistrzyni języka daje jej znamienne rady dotyczące stylu:

„Jeszcze rada ostatnia: zdaj wszystko na los szczęścia, nie myśl wcale o stylu; myśl głównie o przedmiocie, który cię zajmuje; staraj się go przedstawić jakgdyby ci wiele zależało na pozyskaniu dla niego czyjegoeś uznania i niech idzie w świat...“

Opowiada Wandzie, jak sama leczyła się z nalotów francuszczyzny. W epoce panowania poezji interesującym jest, że ta poetka szukała nauki języka w naszej starej prozie:

...upokarzało mnie to bardzo, zadałam sobie więc na jakiś czas czytanie polskich a do tego starożytnych autorów. Jednym ciągiem bez przerwy przewertowałam Reja, Kochanowskiego i Górnickiego, ten ostatni był mi najpomocniejszy.

Przestrogi, jakich udziela młodej adeptce, nie mają nic z banalności. Ta głęboko moralna autorka przestrzega ją przedewszystkiem przed moralizowaniem:

...Dla ciebie zastanawiam się nad wielu rzeczami, dla ciebie opracowywam niektóre w duszy mojej; z tobą tworzę jedynie przystępne mi zamiary.

„...Moralizowanie jest główną wadą twoją — zwyczajną wadą serc głęboko zdobytem przekonaniem nasiąkniętych — ta cnota życia łatwo się w bezprawie piśmienne zamienia. Istotnie, trzeba ci to zrozumieć i uznać, że nie masz prawa moralizacji kiedy dla dorosłych piszesz; im więcej zostawiasz sens moralny ich własnej domyślności, ich własnym wnioskom, a wnioski ich dobrej woli własnej, tem zręczniejszym, tem poczytniejszym, tem skuteczniejszym będziesz autorem.“ (List z 29 stycznia r. 1867.)

Tępi w tej dobrze — aż za dobrze — wychowanej pannie pruderję:

„Czy my się kiedy zrozumiemy w tej kwestji skromności? Raz cię pobierają skrupuły co do tłumaczenia *Herty*, dlatego że jest w niej jakiś ustęp podejrzany! Panna Fryderyka Brehmer najmoralniejsza autorka szwedzka napisała coś takiego, czego panna Wanda Grabowska na Miodogórze przetłumaczyć nie chce! Pani Ilnicka, w dodatku do niewinnego *Bluszczu*, ma ogłaszać jakąś powieść Wiktora Hugo, lecz znów tam są rzeczy, których pannie Wandzie swoim imieniem podpisać nie wypada!... Jakże ty chcesz, u licha, żebym ja to wszystko razem w jeden logiczny okres ułożyła? (List z lutego 1869).

„Powiedz mi, czemu takie ceremonje robisz z podpisaniem twojego nazwiska? Jeżeli tak jak ja, przez tchórzostwo i obawę niepowodzenia, to możesz wziąć jaki pseudonim; ale jeśli przez względy „piętrowych“ stosunków, to nie mogę i nie mogę Ciebie w tem zrozumieć. Cóż u licha! nie możesz zrozumieć tej najpospolitszej prawości, żeby być zawsze gotową za swoje dzieło, za każdą robotę swoją, czy dziurę zacerowaną w pończosze, czy drukowaną książkę, osobiście wszelką przyjąć odpowiedzialność! Względem na pannę Grabowską choćby z pod 495 nr. wcale nie rozumiem.“

„Toć przecież ja byłam młodą panną kiedy pisać zaczęłam, i nie byłam starsza może od ciebie gdy wydałam *Pogankę*; a jednak i tę zbrodnię, przed którą Andzia S. drżała, wzięłam śmiało na swój kark; bo co mogłam pomyśleć, to mogłam napisać, to mogłam wśród ludzi ponieść. Nie wyobrażaj sobie, abym znowu już wówczas tak była jak dzisiaj z pod wszelkich rodzinnych reklamacji uwolnioną. Gdy pierwsze sygaro wypaliłam, był lament w domu; a gdy na koń wsiadłam, były płacze i zgrzytania zębów, o jakich pojęcia nie masz chyba: lecz ja od konia i sygara łatwiej

odstąpiłam, niż od pracy mojej. Podarłam wprawdzie więcej arkuszy i spaliłam więcej niż ich do druku podałam, nigdy jednak żadnego nie cofnęłam pod groźą konwenansu. (22 styczeń 1869)“

„...Widocznie masz to sobie za czyn heroiczny, że pierwsza niezaproszona i niewprowadzona poszłaś, a rzecz opowiadasz zuchwałej wędrowniczce, która w 19 roku życia, sama, pod własną opieką, całą Europę wzdłuż przejechała, a w twoim wieku — chyba ci już nie powiem co robiła w twoim wieku, bo nie mogłabyś uwierzyć — tyle ci tylko powiem, że wydziwić się nie mogę jakim cudem reputacja moja gorzej na tem nie ucierpiała! Prawda że byłam brzydka, lecz i brzydsze jeszcze kobiety w awanturach się topią, choć pewnie więcej na gadanie ludzkie zważają, ja zaś nie miałam prawie zmysłu władzy moralnej na to co o mnie mówili. A gdy szło jeszcze o jakąkolwiek powinność, choćby o przynależną mi radość, nie mogłam zrozumieć, co to jest „konwenans“; bo też prawdziwy ucywilizowany konwenans zawsze tylko do ułatwienia nie do utrudnienia stosunków służyć powinien, takie jest jego źródłosłowe znaczenie...“ (14 kwietnia 1869).

I znowuż we wcześniejszym liście spotykamy kwestję *Poganki* i zgorszeń jakie obudziła; zarazem te ciekawe zwierzenia o sobie:

„Aż mi żal, że się taki dar losu na nic nie przydał. Gdyby można, tobym ustąpiła go komu, zapisała testamentem mój temperament stalowy. Bo to przecież nie mało znaczy mieć temperament, zdolny, bez reakcyjnego wzruszenia, bez „zdobywania się“ nawet na spokój — spokojnie wszystko wypowiedzieć i wszystko wysłuchać. Kiedy mi się zdarzyło pisać, a przyszła mi myśl lub forma myśli, która mogła dobitniej niż inne przedmiot mój określić, żeby w piekle i błocie tobym się po nią schyliła i pióro w niej umaczała. Zresztą miałam pewną dumę rzetelności względem samej siebie. Pamiętam, że gdy napisałam *Pogankę*, a szczególnie te wiersze w niej nieszczęśliwe, było dużo rekryminacji; Andzia moja kochana bardzo mi prosiła, żeby zmienić lub skrócić, a pułkownik mój najserdeczniejszy... Jeszcześmy nie znały się wtedy, więc może nie wiesz dokładnie, co to był i czem to był dla mnie pułkownik Paszkowski! On więc przyszedł i surowo po żołniersku wyłajał mnie, że takie rzeczy wydrukowałam; a ja na to: Pułkowniku, kiedy mogłam takie rzeczy pomyśleć, to je mogłam wy-

drukować; nigdy żadnej myśli mojej nie powstydzę się przed ludźmi i nigdy żadnego mojego słowa, któregobym szczerze nie pomyślała, ludziom nie wydrukuję. Jedno za drugie.“ — A pułkownik mi powiedział: „ot, głupias!“ i uściskał mnie, i ja jego — i tak przyjąłem jedyną krytykę, która mię dojąc mogła: krytykę od ukochanych... (2 czerwca 1867).

W zwierzeniach tych wciąż powtarza się jedna bolesna nuta: Narcyza uważa siebie jako autorkę za skończoną, pogrzebaną. Nie chce myśleć o pisaniu. Podaje różne przyczyny: przygnębienie, brak podniet umysłowych, nawet książek. W jednym liście żali się, że książki tak „wyczytała“, iż chyba na pamięć przyjdzie się ich uczyć. Raz po raz w listach prośba o książki. Wanda jest jej nadworną bibliotekarką. Pruderja obyczajowa w perjo-dycznej prasie także krępuje swobodę pisania tej świętej kobiety:

„...jaka też to szczerozłota naiwność twoja, Wando; każesz mi pisać do Bluszcza, a tuż obok tego powiadasz, że wątpisz, aby *Herta* tłómaczoną być mogła dla trochę nielegalnej sytuacji jednej z wprowadzonych kobiet. Więc ś. p. Brehmerowa nie jest dość kryształową, a ja!... (grudzień 1867).

Doświadczenia wydawnicze nie przyczyniły się do tego aby ją zachęcić:

„...ile razy miałam coś do wydrukowania, to się z tem ofiarowywać musiałam; a jak tylko przestałam pisać, zaraz całą kolekcję wezwań i próśb nader grzecznych uzbierałam do mego archiwum. *Zapytania* i *Białą Różę* Gazeta prawie z łaski za protekcją przyjęła; zawsze mi mówiono, że to dla ogółu czytelników nie zdatne...

„...wszak do zbrzydzenia mi autorstwa najwięcej przyczyniła się trójka, w której Wójcicki ze swoją *Biblioteką Warszawską* pierwszy numer trzyma. Wiem ja pomimo tego, że gdybym miała silniejszy temperament pisarski, trzy takie zawiania jeszczeby mnie o paraliż nie przypawiły. Lecz że u mnie żyłka piśmiennicza nadzwyczaj była cieniuchną i delikatną, od byle czego się zerwała. Wstręt mię ogarnął do wszelkich redakcji, do wszystkich wydawnictw, a jak potem naleciało innych rozkła-

dowych pierwiastków, tak już wszystko bezpowrotnie przepadło. Choćby mi dzisiaj możliwem się stało drukowanie bez cenzury, własnym kosztem, wszystkiego co zechcę tylko, cóżbym dla drugich dać mogła, kiedy nie mam dla najbliższych moich, a najczęściej nie mam dla siebie samej nawet...

Wszystko to było mylnem osądzeniem samej siebie. Utwór niniejszy — *Czy to powieść?* — jeden z ostatnich jaki wyszedł z pod jej pióra, świadczy, ile świetności i tężyzny posiadał wówczas talent Żmichowskiej! Można powiedzieć raczej, że był na szczycie. Ale, w istocie, wiele warunków złożyło się na to, aby ją zniechęcić i sparaliżować.

W tych okolicznościach, korespondencja z ukochaną Wandą staje się dla Narcyzy czemś więcej niż osłoda osamotnienia. Wanda, jak widać z tych listów, ma dar „budzenia jej“, budzenia w niej zwłaszcza energii twórczej. Czasem odbywa się to dość paradoksalnie: Wanda posyła jej jakiś swój utwór; jakiś szkic, Narcyza krytykuje go, wytyka wady, wskazuje jak należałoby rzecz ująć, i często sama, na tej samej kanwie, tworzy coś oryginalnego. Tak było z *Rzeczą o służących*, rozprawką, którą pierwotnie przesłała jej Wanda dla oceny. Rękopis pod tym tytułem, ale już pióra Żmichowskiej, znalazłem w papierach matki. Raz po raz, zwłaszcza w tym roku 1867, znajdujemy w korespondencji ślad tego duchowego oddziaływania. Raz np., żartując sobie z troskliwości i niepokojów Wandy, Narcyza pisze:

„Istotnie, Wando, nie wiem, jak ty możesz znieść takie rzeczy żebym ja miała katar, żeby mi zimno było! i nie zdołasz sobie wytłumaczyć i zgodzić się z takim losem — chyba nie.

„Oj! jak ja sobie pozwalam przekomarzać się i drażnić z tobą! — a jednak, gdybym mniej miała, to jakgdybym niczego nie miała wcale! Bardzo trzeźwo sędzę i uznaję, że mię kochasz dziś do zbytku; lecz i to w sobie widzę, że taką martwotę tylko twój zbytek może czasem zasilic i zgalwanizować. Nie wchodzę

jak się to dzieje, lecz dzieje się tak, moja Wando, że dla ciebie myślę, dla ciebie uczę się wielu rzeczy jeszcze, dla ciebie rozważam sobie to i owo; a póki czytam to co mi przyslesz niekiedy, póty mi się zdaje nawet, że dla ciebie bym pisała. Przychodzą mi różne koncepta do głowy, urabiam sobie twoją pracę w takie kształty, w jakich bym ją widzieć pragnęła, tryskają mi nowe światelka — ale to zawsze dla ciebie tylko: jak się pamięć zasunie, znów wszystko ginie i przepada... (21 marca 1867).

Narcyza nalega na nieśmiałą Wandę aby zacieśnić tę współpracę. Piszą wspólnie jakąś rzecz, i zamierzają ją podpisać pseudonimem *Filipiny*, którym, jak wnosić z listu, mają zmystyfikować redakcję. Narcyza pisze w tej materji:

...jeszcze ci mam parę słówek o *Filipinie* napisać. Stawiam ultimatum moje: jeżeli chcesz, żebym kiedykolwiek na cokolwiek pióro wzięła do ręki, jeśli chcesz mi wielkiej największej przykrości oszczędzić (a tu o żaden obowiązek mój nie chodzi), jeżeli chcesz zresztą być jedynym ostatnim punkcikiem, do którego mogę resztkę ufności mojej a raczej zaufania skierować, to nigdy i przed nikim nie wydasz się ze współudziałem moim w tym bluszczowym artykule. Nie narzucam ci, byś go na własne barki przyjęła, ale masz prawo milczeć, i raczej to ścierpieć, aby był tobie przypisywanym. Po sprawiedliwości, czyż nie twój? czyż nie przerobiony tylko — czyż nie twoją myślą i pracą wywołany, zasiany, doprawiany? Gdyby raz się między ludzi rozeszła nasza kolaboracja, toby jej nigdy właściwego sensu nie uznali, szczególnież też o ile mieliby szerokie pole do domysłów rozwarte; bo gdybyśmy jawnie ze współką naszą wystąpiły to co innego — ale sekret, choćby najniewinniejszy, zawsze ludzi gorszy i koniecznie na czyjąś stronę krzywdzącego wytłumaczenia szukają. Niestety jawna współka niepodobieństwem, bo jabyim nic już prócz głosu doradczego nie wniosła do niej... (13 maja 1867).

„Co do *Filipinki*, teraz: czy możesz sumiennie powiedzieć, że się na nią nie składałaś? nie możesz; nic nie mów, a kiedy Mania twoja cię prześladowa, to nie rób min takich, jak ja tu sobie w Pszczonowie wyobrażam, tylko jej powiedz uroczyście, że ta cała kwestja jest dla ciebie bardzo drażliwa i że o jej zaniechanie prosisz... Gdybym zresztą kłamstwa, a w najlepszym razie komedji od ciebie wymagała, to jeszcze mogłabym pojąć twoje trudności;

ale kiedy o pół prawdy chodzi — kto wie nawet czy nie o dwie trzecie części zresztą — bo weźmy sprawiedliwy rachunek. Jeśli, jak powiadasz, i redakcja swoje poprawki¹ przydawała, to bardzo mało do mnie należy — twój fundament, moje mury, jej dach.

W tej oryginalnej współpracy rywalizują z sobą dwie — można powiedzieć — nieśmiałości: nieśmiałość zupełnie zrozumiała u Wandy, powołanej naraz do współpracy ze znakomitą pisarką, u Żmichowskiej zniechęcenie i niewiara w siebie, wywołane nieprzyjaznymi warunkami życia. „...Gdyby to dawniej, to byłoby podobieństwo zawiązania rzeczywistej spółkowej pracy, ale dzisiaj po mojej stronie wszystko się skończyło... Jestem niby szuler zgrany do ostatniego szeląga“... pisze do Wandy 17-go sierpnia 1868).

Ale w istocie sędzę, że ta „współpraca“ Wandy, miała raczej „budzicielski“ charakter. Dla Żmichowskiej, uwięzionej na wsi, zdala od ruchu, od ludzi, książek, wiadomości — w owym czasie słabej komunikacji oddalenie takie było grobem — Wanda staje się jedynem

¹ Nie znaczy to, aby Żmichowska uznawała te uzurpowane prawa redakcji; przeciwnie, w innym liście wypowiada się bardzo stanowczo w tej mierze:

„Redakcja ma prawo nie przyjąć artykułu; nie ma prawa bez wspólnego porozumienia się, zmienić ani pół sylaby. To jest szkaradny barbarzyński despotyzm, na nieszczęście bardzo u nas rozpowszechniony. Za granicą wytoczonoby proces, i raz, drugi, opłacone koszta, przytarłyby rogów samowładcom: tutaj jest ogólna apatia tak wielka, że nikt nie umie *swego dopilnować*. Otóż trzeba ci wiedzieć, że uważam za jeden z obowiązków obywatelskich *umieć swego prawa dopilnować*. Ile razy tego nie zrobię, zawsze nawymyślam sobie, że jestem niedołęzna itp., domyśl się różnych synonimów niedołęstwa. Kiedy onego czasu Wójcicki w *Bibliotece* zmienił mi tytuł artykułu i zakończenie obciął, bardzo surowo się o to upomniałam; lecz jak widać nie dość głośno, kiedy przy drugiej sposobności coś takiego samego się zdarza. Nie Ilnickiej to sprawa; gdybym wiedziała że jej, to najpierw dla mnie samej innegoby nabrała znaczenia... (31 maja 1867).

oknem na świat; młodość jej, entuzjazm, chociaż go czasem oblewa zimną wodą — działają na Narcyzę ożywczo. Niemal w każdym liście znajdujemy dokument takiego właśnie działania:

Powiem ci teraz, że najniespodziewaniej w świecie odkryłam, iż listy twoje mogą mię do pewnego stopnia galwanizować, a to co piszesz wyraźnie jakąś ruchliwość w sparaliżowanych władzach mego umysłu wywołuje. Bezwątpienia czytałam i czytuję wiele piękniejszych rzeczy, bezwzględna wartość literacka nie ma nademną władzy — ty ją masz — o ile z innych złożoną pierwiastków, to także dajmy pokój analizie. Kiedy czytałam twoją powieść, układała mi się w myśli druga, przesliczna, którą „powinnaś“ była z niej napisać; twoje rozprawki wywoływały ze mnie więcej zapomnianych spostrzeżeń i potworzonych niegdyś kombinacji, niż najfilozoficzniejsze i najuczętsze innych autorów traktaty. Przy twojem tłumaczeniu zaczęłam na gramatykę i zwroty polszczyzny uważać... (25 maja 1867).

To też gdy Wanda wzdraga się przesyłać jej swoje próby, Narcyza nie chce przyjąć żadnych wymówek: żąda ich koniecznie. Nie zdadzą się na nic, mniejsza! Wanda wymawia się, nie czuje się na siłach; Narcyza nalega:

„...Nie możemy! Cóż począć, moja Wandeczko? Świat się obejdzie i my obejść musimy. Nie pierwsze i nie ostatnie w bok się stoczym z literackiego gościńca i w trawie przylegniemy... Bez pretensji, bez drukowanego widma na mózgu, bez żadnego dalszego zastosowania przed oczyma, daj mi to co napisałaś — jeszcze raz proszę, daj mi, Wando. Winnas przecież rozumieć, że jesteś moim „prowianckim komisarzem“. Jeżeli z twojej duszy pożywię się czem i ożywię, na nic dobrego nie zda się to nikomu; wszystko we mnie się kończy wrażeniem; kamień w wodę rzucony — ale mnie się chce kamieni — mnie się bardzo chce... (21 luty 1867).

Wanda spełnia — choć z nieśmiałością i niewiarą w swoje siły — te życzenia uwielbianej przyjaciółki, byle uczynić wszystko, co może jej wyjść na dobre. Tak boli ją, że talent Narcyzy zamilkł; ona, Wanda, wierzy nie-

złomnie w te wspaniałe dzieła, jakieby pisarka mogła stworzyć. Nie próżność, ale posłuszeństwo nią powoduje. Aż sama Żmichowska zaniepokojona jest jej poddaniem:

„...sama się mianujesz „niewolnicą“ moją. Pocięszam się jeszcze, że tego wyrażenia metaforycznie użyłaś; ależ, Wando, gdyby tak miało być na prawdę? Byłoby wielkim grzechem — moim grzechem przedewszystkiem. Tu już między nami nie o kwestję literacką, nie o serdeczność osobistą chodzi, lecz o człowieczeństwo nasze...

Ale w tych planach współpracy literackiej Narcyza myśli nietylko o drobiazgach. Planuje wspólne napisanie wielkiej powieści; i, rzecz ciekawa, powieść ta ma być rodzajem urojonej autobjografji. Plan współpracy był taki: Żmichowska pisze „kontur“, Wanda ma ten zarys wypełnić powieścią i powieść tę przesłać Narcyzie, która znowuż ma dać ostatnie dotknięcie. „Kontur“ ten znalazłem w papierach matki w rękopisie,¹ i niespodzianką było dla mnie, że jest to plan właśnie tego utworu, którego część pierwszą napisała potem Narcyza pod tytułem: *Czy to powieść?* Wanda — rzecz zrozumiała! — przerażona tym zamiarem, „gorączkuje się“; Narcyza natomiast pewna jest, że rzecz się uda.

Przedewszystkiem nie gorączkuj się, moja Wando, chociażem ci sto razy o zewnętrznych i wewnętrznych nawet przeszkodach moich do pisania wspomniała. Pierwsze znaczą poprostu brak idealnej cichości. Rzeczywistej, takiej któraby tobie i wielu innym wystarczyła, mam poddostatkiem; ale to jeszcze nie dosyć dla mnie. Kilka razy przecież tłumaczyłam ci dziwną przypadłość mego organizmu. Drugie zaś, wewnętrzne, nazywają się tylko brakiem usposobienia. Często bardzo, i w cichości najgłębszej, tak się czuję odurzona i zgłupiała, że nawetbym prostego listu o sprawunkach nie potrafiła napisać. Przyczyny tego jeszcze dotychczas rozwikłać nie umiałam: czy jest fizyczną chorobliwością? — czy następstwem moralnem zdarzeń, okoliczności? Nie wiem; prześlę ci o tem więcej szczegółowe studjum, gdy się do naszej powieści zabierzesz,

¹ Patrz *Przypisy*.

bo już rzecz całą za skończoną uważam i dzisiaj przynajmniej pewną jestem, że ją w wykonanie wprowadzimy... (15 stycznia 1867)

Wymiana listów staje się niezmiernie żywa. Całe sztafety kursują pomiędzy Pszczonowem gdzie bawi Narcyza, a Warszawą, miejscem pobytu Wandy. Narcyza zapala się coraz więcej. Współpracownictwo to ma jedną zwłaszcza korzyść: stwarza jej to, na czego brak narzeka ciągle: atmosferę. Ona, tak dawno oniemiała, zaczyna gorączkowo pisać; i wciąż wierzy, że tylko w tej współpracy z Wandą może znaleźć ratunek:

Zapowiedziano mi okazję do Warszawy i w dwóch rankach zasmarowałam kilka arkuszy, żeby ci nie dać z dobrego usposobienia ochłonąć. Czy się przyda na co tak rozsznuta kanwa? Spróbuj! I nie lękaj się nawet źle ją zahaftować; przecież nie ślubowałyśmy jej żadnemu pismu, ani żadna redakcja procesem z rąk naszych jej nie wyrwie. O ile spróbujesz i skończysz, o tyle już będzie moralnego zysku, że przełamiesz swoją negacyjną chorobliwość i zaczniesz wprawę nabywać...

„Nie wiem, skąd mi się wzięła taka gorliwość w przygotowaniu ci tej roboty. — Od niepamiętnych czasów ani tak dużo ani tak prędko nie pisałam; lękam się, czy mię w niektórych miejscach przeczytasz, bo sobie różnych skrótów pozwalałam. Kiedy spojrzę na leżące przed sobą arkusze, to się wydziwić nie mogę, że je moją własną ręką napisałam, własnymi dorzecznosciami i niedorzecznościami, ja, teraz! a wiesz, Wando, że jedynie pod twoim tytułem mogę być tak obfita. Chciałam ci zrobić surpryzę na nowy rok, i posłać zupełnie już autorsko opracowany artykuł; mózg jak muł, ani chciał z miejsca ruszyć. Widziałas kiedy powóz w piasku lub błocie zaryty?... no więc, możesz sobie wyobrazić. Prózne pokusy: już ja sama niczego nie napiszę! — A dam ci jeszcze tę zagadkę do rozplątania, że tylko dla Ciebie i koło Ciebie mogę pisać swobodnie. Może skutkiem tego, że ty mię do pisania wciągnęłaś. Niezawodnie byłabym żyła jak przed Władysławem IV i ustanowieniem poczt, gdyby nie ty... (17 stycznia 1867).

Wanda odbiera przesyłkę. Złudzona autobiograficzną tormą, nie dość znając koleje młodości Narcyzy, bierze

ów plan powieści (załączony tu na końcu tomu) za autobiografię; Narcyza prostuje jej przypuszczenie w długim liście, zawierającym ciekawe szczegóły:

Wczoraj wieczorem odebrałam całą twoją przesyłkę — książki, papiery, listy. Wando, czyż to podobną jest rzeczą, żebyś ty tak mało o mnie wiedziała! nawet owych zewnętrznych szczegółów, któreby mogły być przez byle kogo w kalendarzu Dzw. wydrukowane? Nasza wspólna, nasza bardzo wielka wina! Powinnaś była pytać, a ja powinnam się była domyślić, że nie wiesz. Kiedym doszła drugiej połowy twego późniejszego listu, zerwałam się na równe nogi i nie czytając dalej, chciałam ci zaraz odpisywać.

Jeżeli nie odpisałam, to dlatego jedynie, że było trzeba iść na górę do mego pokoiku, więc ostygłam w ferworze, ale nie zupełnie, jako widzisz. Odpisuję ci nazajutrz, o piątej godzinie z rana przy świecy. Tylkoż sobie nie wyobrażaj znowu, że mię wczorajsze zadrażnienie tak wcześnie obudziło: to jest mój zimowy zwyczaj. Korzystam z niego jedynie, aby się otrząsnąć coprędzej z tej masy posądzeń któremiś mnie zasypała, gorzej niż śniegami przeszlotygodniowemi. Jak sobie wspomnę, że od owego poniedziałku, w którym ci mój rulonik papierów oddano, aż po jutro lub dłużej, może po drugi wtorek, będziesz medytowała nad niemi jakoby nad historją mego życia, to...!

Juścić jest tam wiele mojej wewnętrznej historii; — wszystko widziałam, czułam lub wyrozumiałam sama przez siebie i przez najbliższych moich; ale zdarzenia — prócz dwóch, jeśli się nie mylę, odznaczonych jako „pożyczki“ — żadnego. Mój brat, mój Janek, zupełnie był inny; bratowej żadnej nie miałam; kuzynki ani obywatelskiego syna *item*. Tradycję ośmnastowiecznych wyobrażeń miałam raczej także z tradycji, bo ze słyszanych opowieści i kilku własnych wspomnień o stryju, którego w siódmym roku straciłam, a którego żonę właśnie Matką aż do jej śmierci nazywałam, bo mię od urodzenia zaraz na wychowanie wzięła. Tobie też wcale nie stryja lecz wuja przekazałam — męża ciotki — obcego dla dalszych powieściowych następstw... Profesor jest z tej samej kategorii co syn obywatelski — spotkałam obojdwóch w kilkunastu egzemplarzach, przechodząc ulicą. Widać że zapomniałaś na widok pisanego wszystko co mówione było. Ileż to razy powtarzałam ci, że byłam w kłopotcie ile razy mi przyszło

pisac o zdarzeniach i faktach powieściowych miłosnych; dlatego że nic a nic nie wiem jak to bywa. Istotnie, Wando, niech cię to nie upokarza, ale we mnie się „nigdy nikt“ nie kochał; nikt nie miał we mnie tyle zaufania i wiary, żeby sobie i mnie powiedzieć: „Niech będzie żoną moją — bądź żoną moją“... (27 stycznia 1867).

I znowuż kilka listów, znów wahania i zniechęcenia i naprzemian otucha:

„...autorskie plany! właśnie też o nich myśleć! zapomniałam całego rozkładu autobiografji! Gdybyś mnie była nagle o jaki szczegół zagadnęła, tobym ci to samo powiedzieć o nim mogła co o żelaznym wilku — a nawet pewnie o żelaznym wilku daleko więcej, gdyż mogłam się Gedyminem i Antonim Czajkowskim doszukać; w biografji zaś deficyt kompletny. Czy kto żył? czy ja żyłam kiedy? a jak? a z czem? a z czego? a poco? zapomniałam. Na takie drewniane zapomnienie padł twój list. Wando, z renonsem od powieści. — Sama najlepiej zmiarkować możesz, że mnie ani zdziwił, ani rozgniewał, ani zniecierpliwiał, Według obowiązku starszeństwa powinnam cię była może wyłajać, zachęcić, paternoster wyrecytować; ale według prawdziwości (uważaj, że cię p r a w d ą nie częstuję, zbyt absolutne wyrażenie), wedle prawdziwości zatem, wolałam szczerze się wypowiadać i przyznać, że mam siedemdziesiąt siedem powodów usprawiedliwiających mi twoje zwątpienie a półtora zaledwie utrzymującego w pierwiastkowym pokuszeniu. Kto inny na mojem miejscu wiele sentymentalnych robiłby ci zarzutów: „Poco mnie ludziłaś nadzieją użyteczności... czyż dla mnie nawet, z moją pomocą nic nie zrobisz, więc ja żadnego ożywczego wpływu nie wywieram na ciebie“ itp., a biedne moje kochające dziecko zmartwiłoby się i wymyślałoby sobie samej, zamiast rozsądnie i logicznie mi odpowiedzieć: „Tak, mościa dobrodziko, nie wywierasz ożywającego wpływu, nie masz zdolności pobudzającej, nie masz, ja właśnie skarzę się na ciebie, bo spodziewałam się znaleźć ją w duszy twojej i kupić ją od ciebie za drogą cenę młodej wiary mojej, ukochania mojego... rafaelowskich i jutrenkowych farb mojej wyobraźni... (21 luty 1867).

...A teraz powiem ci, Wando, że list twój z upoważnieniem i wieloma innymi kwestjami, wczoraj przed samym obiadem

wręczonym został. Po obiedzie natychmiast rozerwałam pieczętę, wysunęłam papiery i zaczęłam czytać. W niczem a w niczem nie omyliłam się co do ich skuteczności na moje usposobienie. Gdybyś przy mnie była siedziała, tobym cię bez litości zapędziła do pióra i musiałabyś tu jedno zdarzenie opisać, tam więcej okoliczności nagromadzić, tam rozdział na inny ton nastroić, a tamten w uderzonym już tonie utrzymać. Słowem, całe poobiedzie „komponowałam“ z tobą do wspólni, chociaż widziałam że to wszystko i tak pod przymusem było pisane. Gdybym się czuła w trochę więcej stylowej werwie, tobym cię poprosiła o zwrot mojego schematu, a później z twoich różnych ustępów i z tych które jeszcze w zimie na twój rachunek przygotowywałam, zobaczyłabyś, coby to się za mozaika ukleiła. Jestem wprawdzie bardzo skromna, ale na ten raz myślę, że wyrównałibyśmy przynajmniej Kraszewskiego *Zelidzie*, *Majorowi*, itp. a przeszły Maleszewskiego...

Bo to jest ciekawe, że Wanda w istocie napisała tę swoją powieść. Napisała ją pod niezbyt wdzięcznym, również podanym przez Narcyzę tytułem: *Autobiografja zastanawiającej się nad sobą kobiety*. Zaczyna się ta powieść dosłownie od pierwszego zdania planu przesłanego przez Żmichowską (patrz *Przypisy*). „Urodziłam się w r. 1816“. Tak samo, w duchu przesłanego planu, rzecz zaczyna się od nagłej śmierci ojca bohaterki, z tą różnicą, że w powieści Wandy popełnia on samobójstwo na wiadomość o śmierci Napoleona. Rękopis tej powieści — nigdy nie wydanej — znalazłem też w papierach mojej matki.

Z listów Żmichowskiej widać, że Wanda posłała jej swoją pracę, i na tem zapewne utknęło to współprawnictwo. W istocie jakaż mogła być współpraca — i to w powieści mającej w sobie tyle cech autobiografji — między nieśmiałym idealizmem młodej panny próbującej się w piórze, a dojrzałym drapieżnym talentem Żmichowskiej, który wszystkiemu, czego tknął, dawał piętno prawdy życia? Narcyza sama uświadamia sobie, że ten

pomysł był złudzeniem. Wspólne zamysły kończą się tą oto krytyką:

...nie wiele czas znaczy, bo ty i po dziesięciu latach większej energii nie nabędziesz. Cóż na to poradzisz, mimożo? Mimożo się urodziłaś, mimożo zostaniesz. Kiedy będę w chropawym humorze, to cię nazwę surowiej: zapewne domyślasz się jak, bo podobno przy innych okolicznościach już ci od tchórzów nawymyślałam. Niech cię to jednak nie martwi; jest to wielką w piśmiennictwie przeszkodą, o tem możesz sama coś wiedzieć; ale że jest wielką innych skarbów asekuracją, tego dzisiaj zmiarkować nie potrafisz, jak wśród zdrowia nie zmiarkuje się nigdy, czem jest choroba, zwłaszcza pewien specjalny gatunek choroby. Otóż, trzeba ci wiedzieć, że autorstwu także pewien gatunek choroby towarzyszy, widzenia bez wrażeń (rzeczy wrażliwych i drażliwych); ty jesteś wolna od tego. Nie zdawałam sobie sprawy dość jasno z takiego stanu, *et pour cause*; dlatego trudno mi było pojąć, czemu, z łatwością słowa i zwrotu, z obfitością wielu gotowych materiałów w wyobraźni, z podmurowaniem najszlachetniejszej zasady i abrysem najszlachetniejszego celu, w powieściach twoich była taka dziecinna sztywność i niezręczność ilekroć nie chodziło o rozmowę, lub o układ zdarzeń, nie o cieniowane studja psychologicznych portrecików, lecz o zastosowanie i poruszanie ich w życiu i w czynach. Dunker dał mi najlepszy wszystkiego komentarz. Jeśli nie śmiesz go dotknąć piórem i podpisać nazwiskiem swoim dla kilku kartek zbyt nagiej prawdy, to już jest najlepszym symptomatem całego ustroju twej duszy; względem tej prawdy nie jesteś „obojętną“ jak nią być powinna każda pisząca osoba — jesteś zadrażnioną lub wstrętną — i w życiu całem każda prawda równoległa, nie dająca się zidealizować wypukło lub wklęsło, każda prawdziwość miernoty, średnicy, bezcelności jest ci tak wstrętną że aż obcą częstokroć, nie znasz jej bo ci się żadnym mimowolnym instynktem oczy na nią nie zwróciły, a jednak ona mięśnie, kształty, kontury dzieł sztuki wypełnia. Masz krytykę na swoje powieści, i ja miałam ją także — sama przyznaj, że nie obwijałam w alegoryczną bawelnę jak Ilnicka — lecz jak ty nie mogłaś sobie zdać sprawy z tego braku życia, tak i ja nie mogłam, ty nazywałaś brakiem talentu, ja widziałam że talent jest, więc tłómaczyłam brakiem wprawy. Teraz przekonuję się, że nie

jest ujemnością żadną, tylko innością zupełną. Inną jesteś Wando; kiedyś, kiedyś, jako żona i matka, znów przemianę odbędziesz i może wtedy lepiej zrozumiesz, jakie władze ci przybędą, a lepiej ocenisz zbywające...

Ale, czytając swój plan w opracowaniu Wandy, uświadomiła sobie zapewne Żmichowska to co chciała napisać i w istocie wypełniła sama pierwszą część planu. Jestto właśnie *Czy to powieść?* Utwór ten ukazał się w „Wiek” aż w dziewięć lat potem (1876); kiedy był w istocie pisany, nie znalazłem dotąd śladów w korespondencji. Ale wpływ tej „współpracy” musiał w istocie być dobroczynny, skoro jeszcze w dwa lata potem Narcyza znów pisze do Wandy:

Trzeba ci wiedzieć, moja panienko, że jedynym perjuryczniejszym dziwactwem mego „autorstwa” jest pewna twemu wpływowi zależność; nawet by ją można jako plagiat pod sądową karę w procesie podciągnąć, ale mniej więcej jest tak, że jeżeli jeszcze o ile mogę co wyhaftować, to głównie na twojej kanwie, zawsze ty coś ze mnie wyciągniesz. (14 kwietnia 1869).

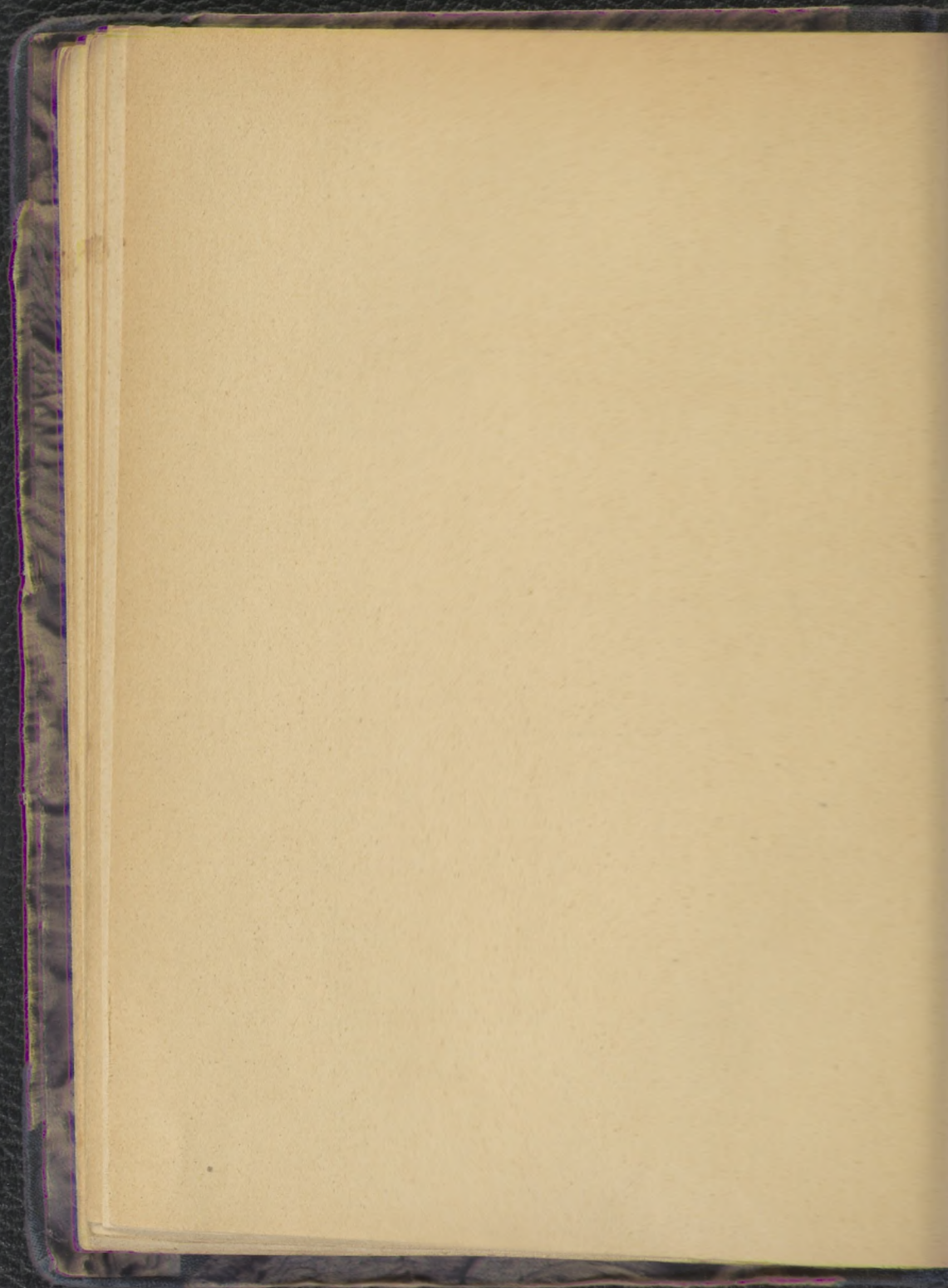
Czytelnik wybaczy mi, sądzę, że, zamiast pisać o samej powieści Narcyzy, rozwiódłem się nad temi szczegółami, które dla mnie oczywiście mają podwójną wartość: literacką i uczuciową, rodzinną. Szczegóły to zupełnie nieznanne; dla mnie samego, jak wspomniałem, zagłębianie się w te listy, których zresztą jeszcze w całości nie przewertowałem, było zupełnym odkryciem. Powrócę jeszcze do stosunku Narcyzy i Wandy; może zresztą uda mi się wydać całą tę korespondencję, najobfitszą ze wszystkich korespondencji Narcyzy i jedną z najważniejszych dla jej istotnego poznania.

Co do samej powieści, to można stwierdzić jedno, mianowicie, że wszystko co Żmichowska pisze o obumieraniu swego talentu było jedynie oddziaływaniem nie-

przyjaznej atmosfery, wyrazem przedwczesności tego niepospolitego zjawiska, jakim była Narcyza na naszej ówczesnej glebie. W tym jej, prawie że dziś nieznanym utworze widzimy pełnię narracyjnego talentu, zdolność wywoływania niesłychanie plastycznej wizji życia, genjusz syntezy, która tutaj, w kunsztownym skrócie, każe patrzeć oczyma dziecka, umie pokazać nam cały kawał Polski i jej kolejnych warstw psychicznych i obyczajowych. Ten ostatni utwór Żmichowskiej daje nam miarę, jaką artystką — w najwyższym, najbardziej europejskim znaczeniu — była ta kobieta, którą strawiła zbyt ciężka dola ówczesnego pokolenia w Polsce.

BOY.

Warszawa, w marcu 1929.



(Oprócz zamieszczonego na końcu tomu „Konturu Ogólnego“, znalazłem w papierach matki notatkę kreśloną (w r. 1867) ręką Żmichowskiej, a odnoszącą się wyraźnie do tej powieści. Notatka ta, nie drukowana nigdy, zawiera cenny materiał do mechanizmu twórczości Narcyzy, jak również do poznania jej samej).

Otóż, Wando, taki jest mój plan.

Trzeba przedstawić powieść jako *Autobjografję zastanawiającej się nad sobą kobiety*. Zrazu chciałam napisać „patrzającej w siebie — rozglądającej się w sobie kobiety“, ale mam pewną wątpliwość, czy te wyrażenia przez czytających byłyby pod tą samą miarą zrozumiane, pod jaką w mej myśli stoją. — Do „zastanawiającej się“ ogół czytelniczek, a zwłaszcza wyjątkowi czytelnicy, jeśli się znajdują, są więcej przyzwyczajeni. Muszę też zwrócić twoją uwagę, że jeśli tak skrupulatnie sumienną jestem w wyborze blisko-znaczników, w oceniu ich względnej wartości, toć zapewne i „sens tytułu“ nie mniej jest według moich zamiarów „rzetelny“. Nie myślę wprawdzie walczyć o pierwszeństwo z byłą panną Szmigielską, a zarówno z tobą mam nieprzewyciężony wstręt do zbierania w z o r k ó w, chociaż podobnego wstrętu ani obfity Kraszewski, ani bodaj że i genialna pani Sand nie czuje. Może nawet mają pewną słuszność za sobą; lecz mnie ich przykład nie skusi, bo nie odpowiada gatunkowi mego usposobienia czy talentu — nazwij jak chcesz sobie. Jednak będzie to *Auto bi o g r a f j a*; nie twoja, Wando,

nie moja; ale nasza, i kilku innych. Żadnego zwrotu psychologicznego ci nie podsunę z fantazji, ale każdy zaczerpnę w rzeczywistości, w pamięci, w dowodach niezaprzeczonych. Głęboko jestem przekonana, że to stanowi materiał jaknajzupełniej literaturze przynależny. Zewnętrzne tylko fakta, osobowa fotografia powinna być zakazaną, lub unikaną przynajmniej. Dotychczas bardzo mało korzystałam nawet z tak ściśle oznaczonej wolności. Wszystkie typy moich skończonych i nieskończonych powiastek były niby ilustracje do prawdziwej treści dzieła dorobione. Szkicowałam je na wydalenie jakiejś zasady lub teoryjki, co jest obecnie między wszystkimi naszymi autorkami upowszechnioną metodą, czyli „tendencyjnością“, jak mówią zwykle, bajką z sensem, jak ja sobie zwać pozwałam. Miewa i bajka wielkie zasługi; zwraca baczną uwagę na pewne kwestje, ale za mało uczy, a wcale niczego nie dowodzi. Za mało uczy, bo w ostatecznej esencji swojej podaje tylko pani N. lub pana X. zdanie o niektórych przedmiotach; a niczego nie dowodzi, bo sztuczne zdarzenia mogą być zupełnie dowolnie przedstawione. Bulwer śliczne pisze powieści — sama wiesz przecież jak lubię Bulwera — jednak mię cała jego „dziwna historia“ (*a strange story*) nic a nic o możliwości cudownych zjawisk, duchach, djabłach i czarodziejskich różdżkach i elixirze odmładzającym nie przekonała. W takich utworach, od deski do deski potworzonych, bardzo mało dla siebie pokarmu znajduję; — nic na przyjemność, nic na smak. Gdyż wcale się tego nie wstydę, że mi smakują, jeśli dobrze przyrządzone, ale na zastosowanie i na składowe cząstki szukanych pewników, strasznie homeopatyczną dozę mogą z najpiękniejszego zmyślenia wyciągnąć. Nie spostrzegłam, by drudzy także co lepszego wyciągnęli; — jedni tylko

zabawę, drudzy coś gorszego nawet; — dla biednych duszyczek, które w całości przyjmują drukowane romanse, które z prostotą sądzą o Arturach że cnotliwi lub zbrodniarze, a o Marjach że idealnie doskonałe lub występne, dla serc niewinnych, które się losem bohaterów zajmują i nieszczęściami ich rozrzewniają w dobrej wierze, dla umysłów leniwych, które czekają gotowiuteńkich opinii, maxym, aforyzmów dla dopełnienia pewnej próżni mózgowej, wszelkie nieprawdziwości mogą być bardzo niebezpieczne, choćby w artystyczną prawdę zdobne. Słusznie po większej części łają książkom i literaturze, za to że w głowach przewraca, że exaltuje, że zdrowy sąd o rzeczach krzywi; — jest w tem racja; — tylko nie ma racji, gdy żądają zupełnego zniesienia tej gałęzi *Romansem* zwanej. Zostanie ona i zostać musi, bo jest zdolna wytworzyć bardzo potrzebną odroślę: — przyczynek coraz bogatszy i rzeczywistszy do psychologicznych badań. Psychologiczne badania! wszak prawda że nie nowina? toć już są do utworów literackich wprowadzone; — nieraz i ty się z niemi spotkałaś i ja się z niemi spotkałam, a jednak mam tyle za siebie i za ciebie zarozumiałości, że jeszcze mam nadzieję coś nowego, coś ważniejszego, bo coś prawdziwszego dopowiedzieć. Weźmy tylko szczerą autobiografię na nasze arkusze; weźmy ją w tym stanie, w jakim jest na świecie bożym pod dzisiejszą datą, w stanie zapytania i spostrzeżenia. Nie lękaj się, rozpieszczona dewotko ideałów; nie wymagam od ciebie, byś się ich stanowczo wyparła. Owszem, niech wiszą nad tobą i leżą przy tobie zawsze, jako łokieć w sklepie kupca bławatnego, jako kamień próbierczy w pracowni złotnika, i owszem, nie dla czczej gawędki, nie dla samego honorarjum, nawet nie dla podróży tatrzańskiej pisać nam wolno, tylko dla tego,

żebyśmy przecież coś użytecznego ludziom napisały. Zbieranina samych szczegółików, jakkolwiek najwierniejszych i najkosztowniejszych, na nicby się nie zdała, bo takie szczegółiki tylko uczonym w naukach ścisłych przydatnymi być mogą, i tylko uczeni w naukach, czy ścisłych czy nieścisłych, ze szczegółikami obchodzić się umieją. Publiczność czytająca *Bluszcz*, *Kłosa* i fejetony gazety nie koniecznie z przeważnej liczby uczonych się składa; jej więc trzeba starannie wylegitymować się z dążności, z sensu moralnego i ideału; ale niech ta legitymacja na wszystkich kartkach zaświadczy się przede wszystkim poszukiwaniem prawdy (tem, czem jest w *Nas*, moja Wando, nawiasem mówiąc). Prawdy się szuka ciąglem porównywaniem, rozmierzaniem, ważeniem ideału przez rzeczywistość, a rzeczywistości przez ideał. Żeby dalej nie szukać, weź tylko małżeństwo, n. p. — Kasia,¹ nauczycielka białej panny z białego dworu, powiedziała, i z idealną prawdą powiedziała, że bez miłości za mąż wychodzić nie powinna. Tymczasem, jak wezmę to prawo, ustanowione w ideale, pod probierz rzeczywistości, okaże mi się w faktach milionowych

1^o że jest nadzwyczaj mało takich osobistości; — uważaj, bo to mówię według najliteralniej i najobszerniej statystycznego znaczenia; — nadzwyczaj mało takich osobistości, któreby miały zdolność zakochania się —

2^o Że jest bardzo wiele małżeństw bez miłości zawartych, a zgodnie żyjących, i co więcej znaczy dających społeczeństwu dzieci zdrowe, zdolne, nawet piękne.

3^o Przeciwnie, jest nie jedno małżeństwo z miłości zawarte, a nieszczęśliwe w pożyciu i w dzieciach —

4^o Jedna nie młoda panienka zrobiła uwagę, że łatwo było panience z białego dworu, z białym dworem

¹ Z utworu Żmichowskiej *Kasia i Marynka*.

i w białym dworze czekać, aż się pokocha wzajemnie kochana; lecz ta, co ją los rzucił dość samotnie w życiu, co nie jest ani piękną, ani posażną, ani wysoko utalentowaną, choćby jak mrówka pracowitą była, źle robi, gdy odrzuca człowieka, co jej dać może dom własny i własną rodzinę. Nie przez pieniężny interes, ale z obowiązku uczynić to powinna. Praca może bardzo wygodne zapewnić utrzymanie, może dać zupełną niezależność, tylko nie da tego, co jest w życiu najdroższe i najpotrzebniejsze: nie da obowiązków rodzinnych.

5^o Niech na dziś będzie dosyć tych czterech rzeczowych spostrzeżeń. Gdybyś je rozwinęła i na dalsze włókienka rozprzędła, tobyś jeszcze dowodniej o ich słuszności się przekonała; ja ci tylko^m hurtownie podaję. Więc cóż? Czy one znoszą ideał? czy zaprzeczają temu, że małżeństwo jest formą miłości i że miłość być zasadą małżeństwa powinna? Bynajmniej; tylko modyfikują przepis — wyraźnie czytaj przepis — nie prawo. Zostanie jako było, że małżeństwo z miłości jest święte, idealne, doskonałe; ale się^m uznaje, że, ponieważ organizm społeczny większością jeszcze swoją, nawet setną częścią swoją, Miłości w jej ideale nie dorósł (ani miłości, ani żadnego innego ideału), więc o to się starać przynajmniej wypada, żeby iść ku niej, przygotowywać jej możliwość następnym pokoleniom. Małżeństwo bez miłości zawarte może tego dopełnić; ale małżeństwo bez szacunku skojarzone — nigdy. Jeśli powieść z miłością jest piękniejsza, to zarazem niestety bardzo niebezpieczną bywa. Ileż to kobiet i Werterów-Gustawów skarży się na „książki zbójckie“; tymczasem nie ma żadnego spostrzeżenia, któreby tak oszukać mogło, bo żadne nie staje w przeciwieństwie z tą zasadą generalną: że, póki miłość nie dojrzeje i nieomylnością w duszy ludzkiej nie zakwitnie, póty prze-

dewszystkiem od zawiązujących rodzinę powinniśmy wzajemnego szacunku wymagać. Znajdziesz bliższe o tem szczegóły we właściwym miejscu moich planów.

(Zmiana planu) — 19 stycznia.

Okazja się parę dni zatrzymała, zwitka papierów leżąca mi na oczach trapiła moje sumienie i drażniła jakieś nowe instynkta. Wyobrażam sobie, że podobne muszą się w szulerach rozwijać: czy Jej się na co przyda? Czy jej się na nic nie przyda?

Obliczanie wszelkich danych i możliwych. Cetno, bo wszakże nikt mi lepiej własnej myśli mojej uilustrować nie potrafił jak ta Wanda kusicielka: nieraz, kiedy mi zaczęła powtarzać niby moje słowa, to się aż wydziwować nie mogłam, co za „elegantką turnurę“ mają, ile w nich głębszego znaczenia, dowcipu, etc. etc. — Dla-czegóż wątpić teraz, że na rozsnutej przezemnie kanwie niczego nie wyszyje wzorzystym swoim jedwabiem — więc cetno? Nie, nie, licho, bo kanwa zanadto prosto sformułowana, nie dość jej miejsca zostawiłam na tę analizę subtelną, która może być w jej życiu nieszczęściem, ale ku pracy literackiej skierowana jest niezawodnie wielkim talentem. Talent ma swoje prawa, przedewszystkiem prawo niezależności i wyboru własnej drogi. To cóż nakoniec: cetno czy licho?

Ależ ja cię w niczem krępować nie chcę; wierzę tylko, że chętnie przyjmujesz odemnie i że mogę ci być podniętą, ostrogą, pierwszym pchnięciem ruch wywołującym.

Zachowaj najzupełniejszy samorząd względem tego abryssu; transponuj, obcinaj, dodawaj. Jeśli chcesz więcej z siebie pisać, to skróć pierwsze części, a przedłuż ostatnią; lecz ja mam takie poczucie, że najbogatszy znajdziesz skład rzeczy do powiedzenia, gdy nas obie zmieszasz. Tylko w interesie prawdziwości dzieła, prze-

strzegam cię, żebyś mnie wzięła taką, jaką ja się sama piszę w mych listach do ciebie, gdy się na spowiedź pokuszę.

W imię Ducha Świętego zaklinam cię, Wando, nie stawiaj ideałów wcielonych, choćbyś najdelikatniejszych używała wyrażen i odcieniów, choćbyś najsprawiedliwiej historyczne, fizjologiczne i psychologiczne przedstawiała uniewinnienia lub tłumaczenia. Zawsze miej w pamięci, jak się to w prostym narzeczu nazywa, jak w oczach ludzi nie literackich i nie opisujących wygląda. Artystyczność — hulactwem, próżniactwem, marnotrawstwem, lub czem podobnem. Niepewności, obłądy romansowe — temperamentem. Szukanie ciągle — nędzotą, brakiem celu w życiu pojedynczem. Ostatnie szczególnie jest wybitną cechą obecnego naszego usposobienia. Gdybyś jakikolwiek zamiar — jakiegokolwiek usposobienie, jakiegokolwiek uczucie przeprowadziła konsekwentnie i w całość zaokrągliła, tobyś skłamała temu co my obie wiemy o autobiografji. Pół-sklonnostki, pół-pocziwostki, pół-prawdeczki snadniej sobie w życiu radzą, osiągają cośkolwiek, czynią choć trochę czegoś użytecznego, majątek na czas jakiś (nie wielu takich, którzy dla siebie na całe życie i dla dzieci, by też na dwa pokolenia, zrobiony zachowują). Wszystko jest fluktuacją, nieoznaczonością, ruiną co się w gruzy rozsypuje; a swoją drogą, nad gruzami jeszcze się niebo nie załamało; — wśród gruzów są dusze pokutujące, które pragną; są nawet, które mają astronomiczną pewność, że jutro słońce musi zaświecić. Wpadłam najniepotrzebniej w metafory — i tych unikaj — gdybyś co takiego powiedziała, to powiedz lepiej, że w przejściowej epoce żyjemy, toż nie można od niej gotowych formacji (ach! znów grzech metaforyczny) nie można typów prostych w miejscu stojących wymagać — muszą

być złożone i ruchliwe, właśnie tem zadość czynią obowiązkom dziejowym, że idą ciągle, idą aż do utrudzenia.

Obmyślam ci wszelkie możliwe wskazówki, ułatwienia, a przede wszystkim z a c h ę t y do Autobiografji.

Możeby ci najwygodniej było fragmentami, listami — wyjątkami z dawnych papierów się przedstawić?

A gdybyś też odrazu żagle rozwinęła i wprost na ocean wewnętrznej analizy się rzuciła. Zaintryguj trochę Redakcję, przedstaw się w charakterze kobiety, która nigdy nie pisała i którą nadzwyczajność tylko zdarzenia (zachowaj je w sekrecie) do pisania zmusza.

Nigdy nie pisałaś — chociaż w dzieciństwie mówiono ci, żeś zdolna — a w dalszem życiu literatką nazywano. Nie pisałaś w pierwszej młodości — bo ciasny był twój światek — n. p. i brat pytał w jakiejś tam okoliczności — dajmy na to gdy mu ornitologję kobiecą czytałaś: Dlaczego nie piszesz, moja siostrze? — A o czem będę pisała? Że pan X. ma piwne oczy, a panna Z. blond włosy? że ci kartofle zgniły, owce wypadły, a ja sobie nową ciemno-zieloną sukienkę sprawiłam? Co ja wiem, co ja znam? gdzie ja byłam poza klasą, bawialnym pokojem i ogrodem? Sam wiesz, że nawet nie byłam na górze, gdzie są wasze gościnne pokoje, ani w wuja kancelarji, gdzie ma papiery swoje urzędowe. Czy mię natchnie do pisania ploteczka panny S., albo salonowa taktyka mojej kuzynki, albo strategiczne obroty pana... i t. d...

Później — kiedy myśl sobie szersze zdobyła przestrzenie — to jej pilno było nabywać nie oddawać.

W wiejskiem zaciszu o całą godzinę spóźniał się zegar pojęć ludzkości. Już powietrzem płynęły i kurzawą wiały po świecie doktryny St. Symonistów, Słowa Lamenego, historia Thiersa i filozofja Schellinga i Hegla, kiedy mnie

pierwszy raz jasno pojęte słowo postępu uderzyło — idea udoskonalenia ogarnęła jak biedną greczynkę nad iaskinią wyziewów siedzącą.

Nie pisać wtedy, mnie się żyć chciało! Co robić? pytałam, i nastąpiła długa analiza różnych kierunków roboty ludzkiej i różne próby nieszczęśliwe, aż przyszło mi się zapytać, już nie o to co jest lepsze lub pilniejsze do zrobienia — bo wszystko jest pilne, i wszystko lepszym być może — ale w tem węzeł gordyjski: co ja zrobić mogę — a zatem pierwsze badanie — badanie zdolności umysłowych. Przychodzę do przekonania, że zdolności są wrodzone, nikt ich sobie nie weźmie i nie podaruje. Jakież ja mam zdolności? Byle się która znalazła, to jej pewnie użyję na służbę Bogu i ludziom. Tymczasem nim się ze zdolnościami porachowałam, nowa pod nogami przepaść się otwiera: spostrzegam, że są we mnie i skłonności nawet! Skłonności zupełnie od rozporządzeń niezależne, a przeważny wpływ na zdolności mające. Przez czas tak długi nie zakłopotawałam się wcale o moje moralne usposobienia; byłam siebie pewną: aż tu, w starciu z ludźmi, okazuje się, że jestem porówni ze wszystkimi śmiertelnymi mnóstwem wad i ułomności obdarzona. Najgorsze są te, których sobie nazwać nie śmiałam; a które, karczone zewnątrz, rozrosły się w inne kierunki i zrodziły potworniejsze od siebie choroby. Nie — jeszcze gorsze te, które przeżywałam fałszywie naprzykład. — Upokarzało mię młodociane zamięłowanie pochwał; nazwałam to sobie próżnością. Lubiłam gwar, stroje, zabawy; istotnie szczerze, szalenie, umiałam się bawić: nazwałam to lafi ryndy z mem i oblekłam się w stoicyzm, który doszedł aż do apatii, do lenistwa — do ospałości. Imaginacji zabrakło barw i promieni, wola w skrzydłach o ciężała; straciłam od-

wagę przedsięwzięcia, awanturniczą, koniecznie nam bushmanom nowego życia (i dzielnego życia) potrzebną. Tymczasem łatwa życzliwość, owo najistotniejsze przekupstwo, ów aksamit, którym się obwijam żeby drugich nie potraćić i nie być potraconą, grzeczność towarzyska — komplementa prawie zdawały mi się dobrocią, pobłażaniem, wyrozumiałością. Na byle pozór dobrego, biłam skrzydłami entuzjazmu jak ptaszek do słońca, lub indyczka do płotu którego przeskoczyć nie może. Jeśli mi sumienie szepnęło, że to pozór, przygotowywałam teorię usprawiedliwiającą, że to będzie dla admirowanych podniętą, zachętą; że ja wreszcie unoszę się nad dobrem, nie nad człowiekiem. Jeśli człowiek mię oszukuje, tem gorzej dla niego; niech się z Panem Bogiem rozsądza; ja nie mam prawa wyroku ani śledztwa. I rozwinęła się miłośćkowość moja, aż do niebezpieczeństwa i nieszczęść, sto razy skompromitowałam się świadectwami mojemu: albo mi na kark spadła wdzięczność najniewygodniejsza, stosunki bardzo dwuznaczne, albo innych naraziłam że moim rysopisom paszportowym dosłownie uwierzyli i do domów, do serc, do spraw życia swojego najniegodniejszych czasem powpuszczali. Ach! Wando, jak by się zdało rozwinąć ową tezę pobłażliwości, tak źle u nas zrozumianej. Nawet właśnie Ilnickiej przydałaby się najwięcej — chociaż nie przyda jednak — bo pocziwiej pani Ilnickiej zdaje się, że jest bardzo surowa! Opowiadała mi tego przykłady, fakta. No, jabym jej surowością bułkę Lutkowi posmarowała.

Wracając do rzeczy, wytłumacz taką analizą, jak to w niej życie zeszło i do pisania się przybrałaś. 1. Nie chciałaś. 2. Nie śmiałaś. 3. Nie mogłaś. Wnioskujesz ztąd, że nie było ci dane usposobienie autorskie: tu znowu druga analiza. Możesz się posiłkować jednym

listem który do Ciebie pisałam, a którego niedokończony arkusz załączam.

Ostatecznie powiesz, że jednak pisać zmusiła cię konieczność. Wprawdzie bardzo dobrze to pojmujesz, i uznajesz, że biura redakcji nie mogą być biurami dobroczynności i wsparcia; że koniecznie trzeba im do zapłaty przesłać towar istotną wartość mający; ale ciągle cię kusił szatan porównania. Ile razy przeczytałaś jaką powieść, tyle razy — choć nie masz miłości własnej i, niestety, umorzyłaś w sobie bardzo przydatną zarozumiałość — jednak zawsze musiałaś wyznać przed sobą, że potrafiłabyś tak samo. Czasem doszło aż do: — „potrafiłabym lepiej“. — Jeszcze to nie było dla twego sumienia dostateczne: może sumienia? może dumy? Zastanowić się później obiecujesz. Ale jedna z twoich kochanych dodała ci odwagi; bo odkryła, że, pomimo różnego marnotrawstwa i wszelkich niedoborów, uzbierałam jednak mój własny, mój odrębny, mój zupełnie szczególnego gatunku kapitalik: a n a l i z ę w e w n ę t r z n ą — tem mogę ludziom służyć. A na co się przyda? — Na przestrożę, żeby się jej strzegli. — A jeśli to jest droga do prawdy wiodąca? — więc żeby na nią wstąpili. Kiedy ja nie doszłam jeszcze? Ale uszłaś daleko od punktu wyjścia. — To nie dosyć: kto chce pisać, powinien uczyć, powinien stanąć przed ludźmi z prawdą już ujętą.

— Teoryjka. — Czy wiesz co to prawda? Prawda jest punktem stycznym ideału z rzeczywistością — faktu z wnioskiem — Rozumu z miłością.... — Teorja! Teorja! Powiem ci krócej — Prawda jest tem, w co ludzie nie wierzą.

Jakto?... (przyjdzie na cię osłupienie...)

A tak dwojako. Nie wierzą, bo ich natura prawdy nie dorosła, jeśli chcesz tę rzecz ze strony ludzkiej uważać,

a jeśli ze strony abstrakcyjnej, to nie wierzą bo jest prawdy naturą, aby jej nie wierzono, tylko ją znano osobiście własnym duchem i okiem. Nie troszcz się więc, choć ci ostatecznej maksymy zabraknie; przez to wielkiej krzywdy nie zrobisz, byleś do szukania zachęciła i pomogła, to już zrobisz przysługę.

Tak mówiła do mnie jedna ukochana, i tak napisz pani Ilnickiej, czy komu tam zechcesz; a dalej możesz pisać w samych zapytaniach:

1. Czem jestem? (z rodziców, z temperamentu, zdolności, skłonności, upodobań).

2. Jakie wrażenia i zdarzenia na mnie najwięcej wpłynęły?

3. Czy kochałam kiedy?...

4. Czy byłam kochaną (NB. jeśli weźmiesz profesora, lub kogo innego, nie idealizuj, zawsze przedstaw typ zwyczajniej; słabość, która nie może pociągnąć — unieść. Miłość, która nie umie opanować, a która może należy się właśnie kobiecie na dzisiejszym tle żyjącej).

Wołają na śniadanie — — —

CZY TO POWIEŚĆ?

KILKA LISTÓW ZAMIAST WSTĘPU.

Sieniuchy, 4 lipca 1862 roku.

„Czy pamiętasz N., że miałaś niegdyś koleżankę Leonę Hołosko? ¹ Nie, nie pamiętasz — a więc muszę ci o niej przypomnieć. Przez rok blisko siedziała razem z Tobą w drugiej klasie u pani Wilczyńskiej, na Ś-to-Jerskiej ulicy — nie mogę powiedzieć że siedziała na tej samej ławce, choćby to dzisiaj trochę czulej wyglądało; owszem, siedziała na ławce przeciwnej, pomiędzy *fałszywą blondynką i brudną koronką*, ale przynajmniej wprost Ciebie, oko w oko. — Ty miałaś nierównie lepsze sąsiedztwo, ze swojej siostry i z Józji R. Takie rozpołożenie stanowisk było raz nawet powodem sławnej przygody z wywróconym kałamarzem. Upamiętniłaś ją wtedy poematem heroi-komicznym — pierwszym, jeżeli się nie mylę, wierszem, jaki zpod twego wyszedł pióra;— później wzwyż wzmiankowana Leona H., trochę starsza od Ciebie (podziwiał wspaniałomyślność tak szczerze przyznawającej się dziś do tego), prześcignęła Cię w promocji do klasy trzeciej; znowu jednak połączyłyście się

¹ W dalszym ciągu pisząca list niniejszy zmieniła trochę takim kształtem rodzinne swoje nazwisko, zmieniła też i nazwiska bliższy stosunek mających z nią osób; starała się jednak zachować właściwe im zakończenia, właściwą pisownię i wszystko, co według jej zdania prawdziwy charakter nazwisk wszelkich stanowi.

P. S. Odpowiedź twoja dojdzie mię pod adresem pani Morgulec przez Olgopol w Sieniuchach, gubernja podolska“.

ODPOWIEDŹ.

Nie — wcale sobie Leony Hołosko nie przypominam — a to z tej prostej przyczyny, że w ciągu wszystkich — już mi się liczyć nie chce ilu — lat rozstania, nigdy nie zapomniałam naszej poczciwej, dowcipnej *Ony*. W młodości, co prawda, było to obecne tylko, niby inwentarzowe, lecz mało używane i rzadko przywoływane wspomnienie, na każdą chwilę gotowe do wydośtania i jak kosztowny pierścionek, nieczęsto na palec wkładany, ale z dziedzicznymi klejnotami w pięknej szkatułce bezpiecznie zamknięty. Nabywało się tymczasem nowe klejnoty i błyskotki, płaciło sercem, szczęściem, dłuższymi lub krótszemi życia kawałkami, czasem się człowiek oszukał, czasem znów podarowano mu coś bardzo drogiego, zwykle jednak, przez wszystkie dni powszednie smutku i radości, pracował, żeby sobie kupić pewien stukaratowy djament najprzeczystszej wody, aż przyszła chwila, w której trzeba było się przekonać, że djamentu nie kupi już nigdy, nigdy w życiu swoim, że nie kupi nawet żadnej nowej a trwałej pamiątki, bo mu funduszu na opędzenie pierwszych potrzeb życia brakuje. Po takiej-to chwili, każdy co ją przetrwał, zaczyna coraz częściej do dawnych zbiorów zaglądać. Rzeczy co na samym spodzie leżą, mniej używane, mniej wystawione na chemiczne działanie powietrza i słońca, okazują się daleko świeższymi od później zapakowanych, z czego wynika, że w naszym wieku lepiej się dziecinne lata pamiętają, niż dzień co wczoraj przeminął — z większą radością spotyka się szkolną koleżankę, niż przed mie-

siącem przedstawioną sobie choćby najsympatyczniejszą znajomość. Przypuszczam — jak widzisz ostrożną jestem — przypuszczam, że odmienne warunki życia ze mnie i z koleżanki mojej dwa zupełnie do siebie nieprzystające dziwolągi wyszlifowały, może więc nie być między nami wspólnej przyszłości, ale chyba już wspólna przeszłość jakaś osadziła się kamyczkiem w mozażce naszych dziejów, i musi tam zostać, póki mozażka sama w proch się nie rozkruszy.

Cóż powiesz na to, droga Ono, że z tak wielkiej odległości czasu i miejsca zbiegły się nasze duchy we wzajemnem wspomnieniu? Kto wie czy tegoż dnia właśnie, a przynajmniej wątpić nie mogę, że w tymże samym tygodniu, kiedy Ty do mnie pisałaś, mnie tu o Tobie mówić raz wypadło, i dziwna rzecz, opowiadałam najdrobniejsze szczegóły zdarzenia, o którym sama w liście swoim wzmiankujesz; wiesz co? — chciałabym wyzwąć Cię na rękę, czy je z równą pamiętasz dokładnością? Wyznaj szczerze, wszak zapomniałaś którego dnia w tygodniu stała się ta *ślawna awantura*, a ja wiem, ja nie zapomniałam: było to w piątek; najniezawodniej w piątek, bo upamiętniło mi się to, że przez cały ranek szukałam ochotniczki, któraby za ciastko z obiadu podjęła się śpiesznie wykończyć nieszczęśliwe moje przepisywanie francuskiego tłumaczenia do pani Wilczyńskiej. Niestety! ani piórem, ani ołówkiem, ani pędzlem biegle nie władałam i wszelkie przepisywania na czysto zalegały u mnie po całych tygodniach i miesiącach. Otóż ciastka dawano nam tylko w dni postne, na ostatnią potrawę; pani Wilczyńska zaś nie mogła tłumaczyć z nami w sobotę, gdyż to był dzień rekreacji, porządków, szycia, naprawek różnych, a więc w piątek wylałaś atrament i spełniłaś czyn bohaterski. Co do przeszłości rachunki

nasze są więc w porządku, na przyszłość, mogą li tylko za dobrą wolę ręczyć z pewnością. Z wyrażen ostatnich Twego listu mam jednak trochę nadziei, że te intencje moje piekła nie wybrukują; żądasz dobrej rady, Leono: jeśli do czego, to do dobrej rady talent mieć powinnam, dlatego właśnie, że sama sobie radzić nie umiem; nieraz przecież musiałaś słyszeć o znakomitych ekonomistach, którzy się nigdy majątku dorobić nie mogli, o sławnych administratorach, którzy dziedzicznie posiadany majątek stracili, o ministrach genialnych w prowadzeniu spraw wewnętrznych państwa, a najniezwyklej załatwiających swoje własne domowe sprawy. Na zasadzie tych często występujących zjawisk przypuszczam, że ja także doradczynią koronną wszystkich kobiet zakłopotanych być potrafię; weź mię na próbę, Leono, wytłumacz o co chodzi, jestem gotowa na twoje rozkazy ręką, głową i sercem, stara życzliwa koleżanka

N. Ż.

OBJAŚNIAJĄCA NOTATKA CO DO WYLANEGO KAŁAMARZA.

Istotnie w piątek oczekiwaliśmy w drugiej klasie przyjścia pani Wilczyńskiej; godzina nie była stanowczo oznaczoną, tylko wiedziałyśmy, że między trzecią a czwartą lekcja się zacznie; było zaś już po trzeciej, chwila się zbliżała, za kwadrans, za dziesięć minut mogłyśmy usłyszeć szelest popielatej wełnianej sukni i czarnego jedwabnego okrycia: caluteczka klasa siedziała już w porządku, przed pilniejszymi uczenicami leżały czysto i starannie napisane zadania, mniej pilne lub też większą masą pozaklasowych lekcyj obciążone z gorączkową niepokojnością skrzypiały po papierze najlepszymi swojemi,

przez pana Hermanowskiego (nauczyciela kaligrafji) za-temperowanemi piórami. Czyśmy z Leoną do niepilnych, czy do zapracowanych należały? — nikt sam siebie nie osądzi, zdaje się wszelako, że miałam już wtedy pi-smowstręt, pisałam brzydko, powoli i niezręcznie; palce moje zawsze były takie sztywne, takie do niczego! natu-ralnie przeto i ochoty wielkiej nie było, ale trzeba przy-znać, że na moje dziewięcioletnie barki trochę zawiele naładowało się ciężaru: stosy kajetów, książek i codzien- lekcyj muzyki, nie licząc już godziny, w której się „egzer- cytować“ musiałam. Leoni wszystko to szło daleko ła- twiej, liczone ją do panienek mających więcej zdolności muzycznej; pisała bardzo wprawnie i ładnie, słowem, jak pani Sand się wyraża o najidealniejszych heroinach swoich: „elle était très adroite de ses mains“. Czemu dnia tego wraz ze mną, na ostatnią chwilę, opóźniwszy się, pędziła z dopisaniem brakującej stronicy? nie mogę so- bie tego wytłumaczyć, lecz wiem, że nagle dwa pióra na- sze zanurzyły się w kałamarzu i gdyśmy je równocześnie nagle wyciągnąć chciały, jej ręka, by się prędzej z są- siedztwa mojej uwolnić, lekko — dziś jeszcze przy- znaję — lekko, ale niecierpliwie moję odtrąciła. Punkt potrącenia tak fatalnie był utracony, że z siłą o kała- marz się odbił i na stół go wywrócił: pociekły czarne atramentu zdroje, ba! gdybyż tylko pociekły, lecz one wytrysnęły, chlusnęły co się zowie, i nietylko mój kajet podlały, lecz splamiły jeszcze otwarte już przygotowane do pokazania dwa kajety mojej siostry i Józi R. Ja w krzyk, siostra i Józia w płacz. Jakie bo też to wzory były porządku i akuratności, ta moja siostra i Józia R.! O ile sobie przypominam, nigdy chyba żaden z moich kajetów na czysto nie wyglądał tak niepokalanie, jak ich proste bruljony, rozpacz więc jednej i drugiej łatwo mo-

zna sobie wyobrazić: bibuły! bibuły! wołają nieszczęśliwe, bibuły! wtórują obłudnie, gdyż w głębi serca cieszą się, że będą miała doskonałe usprawiedliwienie na niedokończony zadanie.

— Stało się, bibuła już nie pomoże — przemawia do nas Leona, zadziwiająco spokojnym, nawet zdaje mi się, zadziwiająco uroczystym głosem; trzy pary oczu wznoszą się zdumione i w twarzy jej toną. — Dajcie pokój! — mówi dalej — ani ważcie się ruszyć papieru, niech wszystko tak zaschnie, jak się przypadkiem rozlało.

— Piękna mi rada: niech tak zaschnie i na drugą stronę przesiąknie! — protestujemy z resztką oburzenia. — Leona zachowuje równie spokojną i poważną minę.

— Alboż to — pyta niemal surowo — alboż to nie wiecie, że atrament przypadkiem wylany ma zupełnie takie znaczenie, jak wosk lub ołów topiony w wigilję Bożego Narodzenia? byle go nie poruszyć i tak jak sam się rozpląnął, dać mu zaschnąć w spokoju, to można z niego wyraźnie całą przyszłość czytać.

Ah! my wszystkie tak byłyśmy ciekawe całej naszej przyszłości! mnie jednej półsłówko lekkiego zwiątpienia się wysunęło, lecz współniczki nieszczęścia odrazu uwierzyły, łyzy im na końcu rzes się wstrzymały i któraś tylko dopominała się o bliższe tej cudowności objaśnienie.

— Jakim sposobem czytać można? Czemu poruszać nie trzeba?

Widzę jeszcze Leonę z jej niezachwianą powagą, jak udziela żądanych szczegółów; że też jej nawet oko wesołym żartem nie zamigotało, że ani razu wargą uśmiechem nie drgnęła, zaiste dziś, więcej niż wówczas, podziwiam ten dar improwizacyjny i mimiczny, to stworzenie i wykonanie najszcześliwiej, najdowcipniej i najskuteczniej

dla uspokojenia naszego odegranej sceny. Byłoby wiele hałasu, utyskiwań; byłoby pewnie i do groźnej kłótni przyszło, lecz ona burzę zażegnała, tłumaczyła, że przypadek, to ręka niewidzialna, która bez naszego pozwolenia różne hece z nami wyprawia, a kiedy atramentu się dotknie, to go równie, jak wszyscy ludzie do pisania używa, tylko pisze nim według starożytnych Egipcjan tajemnicy, pisze obrazami; trzeba się pilnie wpatrzeć, zastanowić, a te obrazy stanowią przed okiem patrzącego najwierniejsze zwierciadło przyszłości: ze wschodu na zachód, wskazówka epok życia od urodzenia aż do śmierci — z południa na północ miara szczęścia i niedoli. Im więcej papier gdzie atramentu wypije, tem lepiej; im czarniejszy atrament, tem los jaśniejszym będzie; im dalej sięgające kleksy, tem więcej urozmaiconych wypadków kontury treść ich zapowiadają. Ona sama wprawdzie przyznała skromnie, że jeszcze nie umie bardzo biegle w tych kleksach czytać — znała jednak pustelnicę w lesie korzonkami żyjącą, która do wysokiego stopnia tę sztukę posiadała; z zagranicy przysyłano papiery przypadkowo rozlanym atramentem oblane, a później przed wyschnięciem ręką ludzką nie dotknięte; rzadsze są takie papiery, niżby kto myślał nawet, atrament nie codzień się rozlewa przypadkiem: rozlewa się przez nieostrożność, przez niezgrabność, ale wtedy zupełnie nic nie znaczy, żadnej nie ma wartości. Trzeba koniecznie osobliwego przypadku: im nieszczęśliwszy w obecnej chwili się zdaje, tem nieomylniejszą jest wróżba, tylko pierwszy i główny warunek, aby od żałowania się powstrzymać.

— O tem przynajmniej, moje drogie — ciągnęła z niepodobnem do odparcia naleganiem — o tem przynajmniej musiałyście słyszeć, że wszelkie żałowanie daleko większą stratę za sobą pociąga.

— Nie, o tem nigdy nie slyszalam — przerwała do-
broduszná Józia.

— To mnie bardzo dziwi — z lekkim zgorzseniem
odrzekła Leona. — Chaldecyzcy Magowie pierwsi upo-
wszechnili tę naukę. Jeden wojskowy, który niedawno
był w Grecji na wojnie, powiadał, że tam jeszcze bardzo
pilnie strzegą chaldejskich Magów przepisu. Gdy się co
zepsuje, złamie, rozedrze, zwłaszcza też kiedy się szkło
stłucze, nie wolno szkody żałować, tylko wszyscy pil-
nują, aby coprędzej powiedzieć: „niech się na tem złe
skończy“. I złe na tem się kończy, a jeśli kto ręce łamie,
jeśli zaczyna „ah“ „oh“ wołać, to mu się ciągle coś gor-
szego przytrafia.

— A czy wolno żałować umarłych? — zapytała po-
nownie Józia.

— Umarłych?... — zawahała się Leona, może po raz
pierwszy stawiono jej to zagadnienie, ciekawam jakby
dzisiaj je rozwiązała: na szczęście li i udoskonalenie, czy
na boleść tylko i niedołęztwo żal za umarłymi nam wy-
chodzi? to pewna, że wtedy ominęła bardzo zręcznie
stanowczą odpowiedź. Niecierpliwie wruszywszy ra-
mionami, zgromiła biedną Józję: — ja mówię o rzeczach,
które się tłuką, rozdzierają, łamią, a ta mi tutaj z umar-
łymi wyjeżdża. Pilnuj się, Józiu, żebyś nie poszła kiedy
za pana Filipa z Konopi.

— Lecz co za stycznosc mają z atramentem te
wszystkie greckie i chaldejskie koncepta? — odezwala
się moja siostra.

— Tę stycznosc, że im większą kto szkodę ponie-
sie przez jego rozlanie *przypadkowe*, a im mniej się
w pierwszej chwili przestraszy, tem szczęśliwsze znaki
czarna plama odrysuje.

Na takie upewnienie, poczułam, że mam prawo z żądaniem wystąpić.

— Ja się nic a nic nie przestraszyłam, nie tak bardzo się też i przelęknłam; spojrzysz na mój kajet. Ono, jak ci się zdaje, czy te żydy dobrze wróżą?

— Dopiero wtedy sądzić będzie można, kiedy już zupełnie wyschną.

— Nim wyschną, to może i pani Wilczyńska już przyjdzie, a kajet splamiony będzie trzeba pokazać, więc się go poruszy... — smutną uwagę zrobiła moja siostra.

— To już mniej szkodzi, trzeba tylko trochę ostrożności zachować i palcami go nie dotykać.

W tej chwili jakos spojrzenie moje ze spojrzeniem Leony się spotkało i naraz jakby mi łuski z oczu spadły, tak wyraźnie w grających wszystkimi promyczkami źrenicach mojej szanownej koleżanki wyczytałam, że sobie z nas trzech żartuje, iż ledwo głośnym śmiechem nie wybuchłam. Natychmiast porozumiałyśmy się, jak dwaj złodzieje na jarmarku. Leona jeszcze śmieiej zaczęła snuć różne koncepta przy moim akompaniamencie i nie było chwili czasu, żeby myśl zająć bliższymi następstwami smutnej naszej przygody. Niedość na tem: coraz więcej ciekawych uszu zwracało się ku rozprawiającej Leonie, to jedna, to druga z odległej nieco siedzących panienek opuszczała swe miejsce, a przychodziła zobaczyć, jak wyglądają czarne plamy naszej przeszłości. Zaczęło się już koło nas małe zbiegowisko tworzyć, gdy wtem na progu ukazała się pani Wilczyńska. Jedno mgnienie oka, a wraca do porządku wszystko, niestety, prócz trzech splamionych kajetów. Nie odbyło się wszelako bez szmeru i pewnego rozruchu.

— Co to znaczy? Czemu panny na miejscach swoich nie czekają? — pyta ochmistrzyni.

Nam się zdało, że tak surowo, tak surowo, jak gdyby całą klasę chciała za pokutę na klęczenie w dużym pokoju skazać; a był to najwyższy stopień kary miejscowej, przewyższało go tylko zatrzymanie na pensji w święta lub niedziele, gdy była nadzieja, że się te dni w domu, pośród rodziny spędzi. Głowy też się pochylały, cichość padła głęboka, żadne słówko odpowiedzi nie przerwało milczenia, aż tu, o dziwo! Leona z ławki się przeciska, na środek wychodzi i przed panią Wilczyńską staje.

— Jam winna temu wszystkiemu — mówi trochę drżącym, ale wyraźnym głosem. — Przewróciłam kałamarz i atrament się rozlał na kajeta siedzących naprzeciwko panienek.

— Jakimże to sposobem się stało?

— Kończyłam przepisywać moje tłumaczenie i z pośpiechu nieostrożnie pióro umaczałam.

— Na drugi raz niech panna pamięta, że dobra uczennica powinna mieć z dnia na dzień wszystkie lekcje w wigilję już przygotowane.

I na tem się cała ta sprawa skończyła. Może komu zdawać się będzie, że nie o wielkie rzeczy w niej chodziło, lecz my współczesne najlepiej wiedziałyśmy, jaki to zadziwiający dowód cywilnej odwagi złożyła Leona. Dobrowolnie wystąpić przed panią Wilczyńską, oskarżyć się a nie usprawiedliwiać, całą odpowiedzialność na siebie przyjąć i nikogo do niej nie pociągnąć... gdyby kto wierzyć nie chciał, że to było nadzwyczaj trudnem do spełnienia dziełem, tobym go chciała tylko na jeden tydzień na pensję do pani Wilczyńskiej oddać. Leona po tym czynie swoim ogromnie poszła w górę w naszej opinji, a jej legendy o zasuszonych kleksach tak wielkie miały powodzenie, że i z trzeciej klasy uczennice nieraz się do niej zgłaszały, by im z tych znaków tajemniczych

wróżyła. Moda wróżby trwała przez kilka miesięcy; Leona z niewyczerpaną pomysłowością prowadziła o Magach i hieroglifach egipskich, przepowiadała promocje wyższych klas, lub złe noty w dzienniku, a ja nigdy nie zdradziłam, że to wszystko było z jej strony najpocieszniejszą mistyfikacją tylko.

Muszę tu jeszcze zrobić małą uwagę. Może się komu trochę niezwykle wyda, że dziewięć i dwunastoletnie dziewczęta Egiptem, Chaldeą i Grekami posiłkowały się w swoich żartach; lecz wtedy bardzo wiele historii uczono, a druga klasa właśnie starożytne dzieje przechodziła.

LIST II-GI LEONY HOŁOSKO.

*Początek, jako zbyt osobiste szczegóły zawierający,
opuszcza się.*

„A teraz na pierwsze dobre słowo uwierzywszy w Twoją do rady gotowość, muszę Ci powiedzieć nakoniec, o co rzecz idzie. Potrzebuję koniecznie w przeciagu kilku miesięcy ze dwieście rubli zarobić. Czemu? póco? dlaczego? nie pytaj. Gdybyś jednak trapiła się przypuszczeniem, że Twoja dawna współtowarzyszka znajduje się w smutnem majątkowem położeniu, to Cię muszę uspokoić. Mam tyle, ile mi na utrzymanie moje potrzeba, tylko nie tyle, ilebym na pewien wydatek odrazu mieć chciała; dlatego też szukam doraźnego zarobku. Po głębokich namysłach przekonałam się, iż tylko piśmienna praca mogłaby mi go dostarczyć. Czy to nie zapóźno już w moim wieku brać się do pisania, kiedy się na to pierwiej zdobyć nie mogłam? W dzieciństwie, co prawda, mówiono mi, że jestem zdolną, w dalszem życiu literatką mnie nazywano. Istotnie, pisywałam bardzo wiele dla sie-



bie, ale nigdy nie pisałam dla drugih. Nie pisałam w latach pierwszej młodości, bo ciasny był mój światek. Kiedy mnie brat kusił, abym za pióro autorskie ujęła, o czemże będę pisała, mówiłam mu zawsze, czy o tem, że panna Z. ma blond włosy, a pan X. piwne oczy? że tobie kartofle zgniły, owce wypadły, a ja sobie nową ciemno-zieloną sukienkę sprawiłam? Co ja wiem? co ja wiem? gdzie ja bywałam poza klasą, poza bawialnym pokojem, poza stopniem geograficznym, pod którym szanowne sąsiedztwo nasze zamieszkuje? Czy mi wątku i natchnienia pisarskiego dostarczy ploteczka panny S., albo salonowa taktyka mojej kuzynki, albo strategiczne obroty jej konkurentów? Nie śmiałam pisać w kretowinie mojej niskiej, ciemnej i niewygodnej. Później, gdy myśl moja szersze zdobyła przestrzenie, to jej pilno było nabywać, nie zaś dawać. W wiejskiem obywatelskiego życia uśpieniu, o całą godzinę spóźnił się zegar moich pojęć, w stosunku zegaru bijącego słowami przewodniemi ludzkości. Już powietrzem płynęły i kurzawą wiały po świetle doktryny Saint Simonistów, parable Lamennais'go, historie Thiers'a, filozofje Schellinga i Hegla, kiedy mi pierwszy raz dopiero zasada dziejowego postępu rozjaśniała mnóstwo wątpliwości i powikłanych zagadnień. Jak biedną Greczynkę nad jaskinią wyziewów siedzącą, tak mnie ogarnęła, upoiła ta wielka idea nieskończenie wytwarzającej się i coraz doskonalszej doskonałości. Nie pisać, wtedy mnie się żyć chciało. Co robić? pytałam, i nastąpiła długa analiza różnych roboty ludzkiej kierunków, nastąpiły potem próby nieszczęśliwe i nieudatne, aż przyszło mi się zapytać już nie o to, jakby praca lepszą lub pilniejszą była, wszystkie są pilne i wszystkie lepszymi być mogą, węzeł gordyjski zadzierzgnął się o to: co ja zrobić jestem zdolną? Więc się zaczęło sumienne umysłowych zdolno-

ści moich badanie: przekonałam się najpierw, że zdolności są wrodzone, nikt ich sam sobie nie weźmie i nikt nikomu ich nie podaruje; przekonałam się następnie, że mi brakowało tych, których najwięcej pragnęłam.

Więc do czegoż moje przydać się mogły? Tymczasem nim się ze zdolnościami porachowałam, nowa pod nogami przepaść się otwiera; spostrzegłam, że są we mnie i *skłonności* także, skłonności zupełnie od rozporządzenia niezależne, a przeważny wpływ jednak w kierowaniu zdolnościami mające. Przez długi czas nie kłopotalam się wcale o moje moralne usposobienia; byłam siebie pewną, aż tu w stosunkach z ludźmi okazuje się, że jestem porównie ze wszystkimi śmiertelnikami mnóstwem wad i ułomności obarczona. Najgorsze są te, których sobie nazywać nie lubiłam, a które karczone zewnątrz, rozrosły się w inne kształty i zrodziły potworniejsze od siebie choroby. Nie, jeszcze są gorsze od najgorszych te, które przeważałam fałszywie. Naprzykład: upokarzało mnie młodociane zamiłowanie pochwał, przeważałam to sobie próżnością; lubiłam gwar, stroje, zabawy — istotnie szczerze, szalenie umiałam się bawić, przeważałam to sobie lafiryndyzmem i oblekałam się w stoicyzm. Bez podniety, jaką bliźniej ręki przykłaśnięcie daje, bez ożywienia, jakiego zadowolenie chwilowej fantazji udziela, bez tej niedzieli świątecznej wśród dni powszednich, ciężkich do przeżycia, stoicyzm przeszedł w apatję, apatja w lenistwo i ospałość. Zwolna wyobraźni mojej zaczęło brakować barw i promieni; wola w skrzydłach ociążała; straciłam odwagę przedsiębiorczą, awanturniczą, koniecznie nam buzmanom nowego i dzielnego życia potrzebną. Drugostronnie łatwa życzliwość, owe najistotniejsze przekupstwo, ów aksamit, którym się obwijam, żeby drugich nie potrącić i nie być potrąconą, grzeczność towarzyska, roz-

rzutność w pochwałach i uniewinniających komentarzach, wszystko to zdawało mi się dobrocią, pobłażaniem, wyrozumiałością. Na tyle pozór piękna i zasługi biłam skrzydłami entuzjazmu, jak ptaszek do słońca; jeśli mi sumienie szepnęło, że pozór jest rzeczywiście pozorem jedynie, zaraz miałam gotowe w myśli różne usprawiedliwiające mnie teorie: raz, że to będzie dla admiirowanych podniętą i zachętą, to znów, że ja przecież unoszę się nad człowiekiem; jeśli człowiek mnie oszukuje, tem gorzej dla niego, niech się z Panem Bogiem rozsądza, ja nie mam prawa ani śledztwa, ani wyroku. I rozwinęła się miłostkowość moja aż po kres niebezpieczeństwa i nieszczęść. Sto razy może skompromitowałam się świadectwami moimi, albo mi na kark spadła wdzięczność najniwygodniejsza, stosunki bardzo dwuznaczne; albo innych naraziłam, że moim rysopisom paszportowym dosłownie uwierzyli i do serc, do domów, do spraw życia swego najniegodniejszych powpuszczali. Nim się tego o sobie dowiedziałam, lata całe to przykrych, to korzystnych doświadczeń przechodzić było trzeba. Na tej pracy wewnętrznej połowa życia mi zmarniała. Kiedy mię w tej epoce do pisania namawiali ci i owi, zawsze mnie to niecierpliwiło. Kto chce pisać, powinien uczyć; a kto uczy, powinien stanąć przed ludźmi z prawdą już ujętą. Czekałam, póki jej chociaż co do samej siebie nie zdobędę. Ha! nie zdobyłam a pisać mi trzeba; pierwiej nie śmiałam, a potem nie chciałam, a teraz wątpię, czy będę mogła. Rozstrzygnij tę wątpliwość, N., zadaj mi wreszcie jako ćwiczenie to, co dla mnie za możliwe do wypracowania uznasz, a może wystarasz się zamówienia w jakiej redakcji — redakcje przecież muszą według pewnego planu potrzebować to historycznych, to opisowych, to czysto literackich, beletrystycznych, lub ściśle naukowych artyku-

łów. Z wyjątkiem ostatniego działu, na inne odważyłabym się może; Ty mnie weź pierwej na próbę; obstałuj, ja wykonam i zobaczymy, na co się to przyda. Żegnaj Cię, przyszłego listu niecierpliwie oczekuję“.

ODPOWIEDŹ.

„Nie spodziewałam się nigdy, że z Ciebie, moja Ono, taka skrupulantka się wyrobi; niesłusznie się wyraziłaś, że na pracy wewnętrznej zmarnowało Ci się życie, ono się zmarnowało na skrupulach: praca wewnętrzna z tej jaką byłaś, jaką ja znałam, dotychczas jużby Cię na świecznik jeśli nie kraju całego, to przynajmniej całej prowincji wyniosła; skrupuły zapędziły Cię w lenistwo. Sięgając po doskonałość, pominęłaś na drodze Twojej niejedno dobre i użyteczne. Pomyśl no tylko: czyby się kto wziął do pracy, gdyby same arcydzieła tworzyć był obowiązany? Nie, moja droga, inaczej się dzieje na świecie. Człowiek czasem zapotrzebuje słowo jakie innym ludziom powiedzieć; byle je tylko z głębokim przekonaniem i szczerem uczuciem powiedział, mniejsza o to, że w dodatkach znajdują się błędy i mnogie niekształtności. Mówię to we własnej obronie także. Twój list zrobił na mnie wrażenie ciężkiego wyrzutu za to, że w szranki literackie wstąpiłam bez dostatecznego przygotowania w psychologii, w naukach ścisłych i we własnych skłonnościach swoich. Ja przez to złożyłam dowód moralnej wyższości nad Tobą, bo mniej dumną się okazałam. Przykro mi było nieraz, że z jednej strony koszowało, z drugiej nieprawidłowo ten i ów przedmiot obrobiony, byle jednak główna myśl na tem nie szwankowała, bylem nadzieję mieć mogła, że braterskie dusze zrozumieją o co mi chodzi, to już nie oglądałam się na resztę. Nie myśl,

że chcę jako wzór do naśladowania stawić Ci się koniecznie, o bynajmniej!

Z nas dwóch układam jedynie ilustrację do tego aforyzmu, nad którym, proszę, zastanów się, gdy czas będzie miała potemu: jak są wady, które ludziom pomagają, tak są cnoty, które im przeszkadzają do użytecznego życia.

Bo jednak jako autorka byłabyś mogła być bardzo użyteczną, Leono. Szczęście wielkie, że Cię jakaś tajemnicza konieczność do pióra napędza wreszcie. Pytasz się, jaki rodzaj Twojej pracy najłatwiejsze w redakcjach znalazłby umieszczenie? rzecz wiadoma, że powieść. Przewiduję, że z Twojem usposobieniem nieprędkobyś się zebrała na obmyślenie planu, intrygi, celu i estetycznych arabesków, lecz na to właśnie mam dla Ciebie ową dobrą radę, którą Ci z taką pewnością przyrzekałam, że mnie mogłaś chyba o zarozumiałość posądzić. Rada jest taka:

Nie komponuj powieści, ale ulóż ją raczej z wypadków, osób i zdarzeń, na które się własnymi patrzyłaś oczyma. Weź postać, coby od urodzenia do chwili obecnej towarzyszyła Ci nieodstępnie, była Tobą, a nie Tobą, żyła wśród Twoich krewnych, znajomych i przyjaciół, a jednak nie wśród tych samych wypadków, ani wśród tych samych okoliczności; weź taką postać, a dasz nam obraz kobiety, będącej może najwierniejszem odbiciem usposobień naszych w ciągu bieżącego wieku. Przypomnisz rzeczy zapomniane, wypowiadasz się z grzechów i pomyłek, usprawiedliwisz z niesłusznych zarzutów i choć jedną niteczkę pajęczą usnujesz między dawnymi, to jest naszymi laty, a między dniem dzisiejszym, który dniem naszym nie jest, który należy do młodych, z silniejszym od nas rozpędem w świat śpieszących pokoleń.

A co? czy nie dobry pomysł? Gdyby Ci nie szło o na-

tychmiastowe wydrukowanie, tobym Ci jeszcze coś lepszego na myśl podsunęła; rzekłabym krótko i węzłowato: Leono, pisz swoje własne pamiętniki, ale przeczuwam, że swoich własnych wspomnień nie oddawałabyś w ręce ludzi obcych i obojętnych. Więc pozostajmy przy typie kobiecym między drugim a siódmym dziesiątkiem naszego stulecia. Nie marudź tylko i oddawaj copędzej to nieszczęśliwe a pocziwe jednak stworzenie w ręce nie obce i nie obojętne, w ręce któreby chciały szczerze, serdecznie, po dawnemu na szyję Twoją się zarzucić. Nie wątpię, że odpłaciłabyś takimże samym uściskiem Twojej
N.

Przez parę lat nie miałam żadnego na ten list odpisu; milczenie Leony nie zadziwiło mnie jednak, wiedziałam, że ciężkie musiała przechodzić strapienia, zapewne i powieści i korespondencji z dawną koleżanką zupełnie jej się odechciało. Później wszelako, gdy kalendarz za kalendarzem coraz starszą datę chronologiczną przynosił, z żalem nieraz pomyślałam o tym stosunku, tak niespodziewanie zawiązanym i tak zerwanym bez przyczyny.

Domyślałam się, że nagłąca potrzeba zarobkowego pisania usunęła się, lub w inny sposób zaspokojoną została; z jej usunięciem dawne przeszkody moralne wróciły, wzmocnione jeszcze całą siłą nowych cierpień i zawodów. Dopiero w przeszłym roku przywieziono mi z Podola gruby zwitek papierów pod moim adresem, z temi słowami na wierzchu umieszczonemi:

„Z Twej rady napisane, Tobie na pamiątkę przekazuję i do rozporządzenia według Twej woli zostawiam“.

Oddawca zawiadomił mnie, że Leona Hołosko już w roku 1871 umarła. Z przesłaniem dość dużej paczki

czekano na okazję. Okazje między Olgopolem a Warszawą niebardzo częste, jak widać, bywają.

Zaraz po odebraniu, przeczytałam подарowany mi rękopis; nie znalazłam w nim żadnego słowa, któreby mnie stanowczo objaśniło, czy nieboszczka swój pamiętnik, czy powieść napisała; niektóre szczegóły z pensjonarskiego życia były wprost pamiętnikowej treści, ale nie przypominam sobie, by nam kiedykolwiek o swoich rodzinnych stosunkach mówiła to, co w rękopisie zamieściła. Wiem, że miała jednego brata, ale wysokiej ciotki Joanny, ani wujaszka bez ręki, ani innych figur opisywanych przez nią nigdyśmy na pensji nie widziały. Tem trudniej się domyślać, ile rzeczywistości jest w przejściach obejmujących jej życie, po wyjściu z pensji skreślone. Dodawszy jeszcze tę zmianę umyślnie jednak bardzo nieznacznie w nazwiskach zaprowadzoną, muszę wyznać szczerze, iż nie wiem czego się trzymać, nie wiem

Czy to jest powieść?

CZEŚĆ I.
WIEK DZIECINNY.

PIERWSZE WRAŻENIA.

Onego czasu, przed 1830 r., pani Hoffmanowa ogłoszeniem dziennika Franciszki Krasieńskiej w modę wprowadziła pisanie dzienników między wszystkimi kobietami, które wtedy pisać umiały; nie mówi się tu o kaligrafji, lecz o mniejwięcej łatwym, lub przynajmniej odważnym na trudności stylu. I ja także dziennik pisałam, pisałam nawet bardzo wiele dzienników. Pierwszy zaczęłam w wielkim sekrecie przed moją ciotką, między dwoma linjami; ostatni dociągnęłam aż pod datę 1859 r. Z całego tego zbioru jedne zeszyty mi pocięły, drugie sama spaliłam, a te kilka, co mi zostały jeszcze z różnych epok mego życia w niepowiązanych między sobą kawałkach, te resztki, te świadectwa współczesne najlepiej mnie przekonały, że tak dzieje pojedynczej jednostki, jak dzieje narodów i dzieje ludzkości całej w sumach ogólnych tylko, w zakończeniach swoich rozdziałowych tłumaczą się i objaśniają. Otóż i dla mnie na pewnem zakończeniu życia już teraz stanęło; ślady jego z papierów, z pamięci i ze wspomnień mam prawo nakoniec w pewną całość złożyć i sprawiedliwszym sądem ów rachunek sumienia objąć. Czy to się zda komu na co? nie wiem. Mnie smutnej zdać się może na wypełnienie wielu chwil bezużytecznych

i pustych, skarbami dawnych radości i dawnych zmar-
twień. Mój Boże! jak ja kocham teraz te moje w prze-
szłość zapadłe zmartwienia! ile to było pocziwych, a ile
zwycięsko usuniętych! Teraz pomyślmy, od czego by za-
cząć. Najwłaściwiej godziłoby się rodzinne stosunki
przedstawić, jako wstęp do mojej autobiografji. Niektóre
powieściopisarki angielskie zaczynają historję swoich bo-
haterów od historji kilku nieraz poprzednich pokoleń;
w utworach sztuki jest to rzeczą trochę zbyteczną, ale
w rzeczywistych, lub przynajmniej o ile być może zbliżo-
nych do rzeczywistości autobiografjach, takie sprawo-
zdanie rodzinne jest bardzo użytecznem, nawet powinno
być koniecznie przez czytelników wymagane.

Coraz więcej zaczyna się upowszechniać, coraz wię-
cej popierać dowodami to przekonanie, że człowiek
w oderwanej osobistości swojej nigdy nie może być spra-
wiedliwie osądzonym, ani dokładnie zrozumianym. Kto
go rozłączy z obejmującemi go zewsząd i z zachodzącemi
we wnętrze jego okolicznościami, to jest: kto w nim pod
uwagę nie weźmie warunków czasu i przestrzeni, zdarzeń,
które poprzedzały, przygotowywały, otaczały jego uro-
dzenie, kto tego wszystkiego nie uwzględni i w rachunek
jego registrów nie wciągnie, ten zawsze w oznaczeniu
cyfr wypadkowych pobiłdzi; choćby najbiegłym był
w arytmetyce, choćby miał talent najtrafniejszych spo-
strzeżeń, jeszcze on za ledwie na jedną trzecią do prawdy
zbliżyć się potrafi. Trudno zaprzeczyć, że ta jedna trze-
cia właśnie jest wolnej woli przyroblem, jest ostateczną,
najważniejszą częścią każdej osobistości człowieczej, ale
bynajmniej całością nie jest. Prawodawstwo wiekowe
i dnia dzisiejszego wyroki głównie się jednak obracają
na owej wolnej części, i dziwić się nie można. Po
obecną chwilę nauka ledwo ogólne zarysy tych praw

łączości i zależności indywidualnej określiła: bliższych zastosowań szukać dopiero i śledzić zaczyna. Że klimat wpływa na charakter ludów, że zdrowie i skłonności rodziców wpływają na uzdolnienie ich dzieci, to są już fizjologiczne pewniki, ale jaki być może stosunek tego wpływu? w jakich kierunkach, w jakich okolicznościach słabiej lub mocniej, wyraźniej lub tajemniej działa? jakie koleje, zmiany, metamorfozy na różnych stopniach objawu swego przebywa? to stanowi ogromną masę niewiadomych iksów, na które niema innego sposobu, tylko cierpliwość i uwaga. Nie od dzisiaj próbowano człowieka człowiekowi różnemi w tym względzie teorjami wytłumaczyć. Były już religijne dogmata, mistyczne filozofje, poetyczne hipotezy do rozjaśniania tych ciemnic niezgłębionych; naukowego aksjomatu po chwilę obecną nie było. Zdaje się, że ta gałąź antropologii w równoległym postępie z meteorologją się posuwa. Już ludzie wiedzą, według jakich praw natury deszcz pada i wiatr wieje; gdzie zaś padać musi i wiać będzie, w jakiej ilości, jak silnie? — z tem sobie nawet nieboszczyk pan Mathieu de la Drôme nie mógł dać rady, choć sumiennie nad odkryciem ustawy powietrznej pracował. A jednak uczeni meteorom za wygraną nie dali. Na różnych punktach globu urządzono obserwatorja, zapewniono sobie korespondentów i sprawozdawców, aby dzień po dniu, godzina po godzinie notowali proste spostrzeżenia tylko; wszyscy mają to przekonanie, że gdy się dużo, bardzo dużo spostrzeżeń uzbiera, gdy się punktami obserwacyjnemi całą globu powierzchnię obejmie, to prędzej lub później wyoiśnie się z tego piasku drobnych faktów wielką i wspaniałą tajemnicę przyrody, rozpozna się zasadę, porządek i konstytucję jej działań. Tak też i tam, gdzie o zbadanie wrodzonych popędów, o odróżnienie nabytych

przywyknień, o chemiczny rozbiór niejako ludzkiej osobistości chodziło, niejeden pan Mathieu łamał sobie głowę nad jej zbadaniem, aż tu w końcu się pokazało, że nim się trochę zbliżone ku prawdzie orzeczenie postawi, trzeba pierwej korcami szczegółów naznosić. Każda biografja ma wśród tych szczegółów wartość jednej zapiski meteorologicznej; biografja rozszerzona w dopełniające o rodzinie wiadomości ma wartość conajmniej dwóch dzień po dniu następujących po sobie obserwacyj. Ileż to ich trzeba, żeby się choć jakie poważne przypuszczenie ułożyć z nich dało! Tymczasem rzucam ziarnko moje do młyna. Przy całym uznaniu mojem dla wspomnień rodzinnych, nie mogę jednak ani pierwszego, ani wogóle osobnego poświęcić im rozdziału. Jak to zwykle u nas bywa teraz, bardzo niewiele ocalało z tradycji domowej, a i to niewiele taki brak ciągu przedstawia, że trudnoby mi przyszło z tych kawałeczków obrazek jakiś do ładu przyprowadzić; wolę już ze ściśle egotycznego wyjść punktu, a dawniejsze czasy wspominać w miarę tego, jak się z moją własną chronologją łączyły, jak do życia i pamięci wrażenia, wpływy, dobrodziejstwa, ha! i krzywdy składały.

Urodziłam się w r. 1816 w Warszawie przy ulicy Zakroczymskiej, gdzie rodzice moi na drugim piętrze trzy ładne i schludne pokoiki zajmowali. Ojciec mój, Ewaryst Hołosko, był rodem z Podola i służył w wojsku napoleońskim, a wróciwszy razem z innymi towarzyszami broni, pomimo odradzań krewnych mojej matki, wstąpił do nowo tworzących się pułków w nowem, tak zwanem kongresowem królestwie. Matka, Tekla z Kalińskich, najmłodsza wśród dość licznych dzieci zamożnego wiejskiego dziedzica, w r. 1809 wyszła za mąż za młodego kapitana, który wówczas bił się odważnie przy boku księcia

Józefa Poniatowskiego, a tańczył ochoczo na każdej kwarterze, gdy mu się do tego sposobność zdarzyła. W pamiętnym 1812 r., biednej, okropnymi wieściami znękaney urodził się jakby na pociechę syn dawno pożądany, a łzami tęsknoty jednak na wstępie zaraz do życia ochrzczony. Czy mąż wróci? czy zobaczy kiedy tę dziecinę swoją? z tą niepewnością trzeba było przeżyć kilka miesięcy jeszcze. Mąż wrócił nakoniec znędzniały, obdarty, ale wrócił; syna uściskał, świecącym u munduru krzyżykiem pobawił, do sił trochę przyszedł i znowu za bohaterskim dowódcą swoim pociągnął. Matka sama z Józiem została, ze łzami w oczach często, nigdy ze słowem skargi lub szemrania. Przeszedł rok jeden, mały Józio z biczykiem po pokoikach już biegał, a od ojca ledwo niekiedy słówko pisane, albo ustne pozdrowienie przedarło się z trudnością. Po latach trwogi, po latach gorączkowego wyczekiwania wrócił nakoniec Europie pokój, a młodej żonie mąż jej ukochany. Pokój europejski smutno jakoś i niepewnie wyglądał; mąż wracający był smutnym także i w pojęciach swoich zachwianym. Trzeba było całej miłości, jaką matka moja tak dobrze kochać go umiała, aby staremu wojakowi, choć ten wojak był zaledwie trzydziestokilkoletnim człowiekiem, iskrę dawnej swobody, rzutkości i nadziei z serca wykrzesać. Inni dokoła łatwiej zapominali; zmieciono im całą pajęczynę ich przeszłości, oni kędyś o strzechę domową, o byle gałązkę zresztą nową nitkę zaczepiali. Ojciec pamiętał ciągle, że mu praca życia całego w niebyłość odpadła. Rozmiłowany w swoim powołaniu żołnierskim, nie chciał się rozstać z mundurem i pałaszem i dlatego to korzystał ze sposobności, która mu je zatrzymać dozwalała, chociaż w beczynnem próżniactwie, jak to mówił nieraz. Kiedy przy końcu 1816 r. na świat przyszła, nowe i pod-

budzające ożywienie do życia mu wniosłam. Józia bez kłopotu niejako zastał, gdy wstąpił do domu między jedną a drugą zawieruchą; ucieszył mu się, lecz nie miał czasu odróżnić go od wszystkich innych dzieci, które kiedykolwiek pieścił, lub które go kiedykolwiek zajmowały; nie czuł go tak wyłącznie swoim, kochał go tylko jakoby za elektryczno-przewodniem uczuciem macierzyńskiego swej żony ukochania. Inne okoliczności towarzyszyły memu urodzeniu; najpierwej współboleścią i trwogą o życie najdroższej mu istoty dokupywać się musiał pierwszego mego krzyku i pierwszych słów uspokojenia, że wszystko dobrze poszło; matka bardzo długo jeszcze łóżka opuścić nie mogła. Na straszne jakieś niezwykle jej rozdrażnienie sławny doktor Czekierski najgłębszą cichość zalecił; najpierwej tedy Józia, a potem i mnie z kołyską musiał wziąć ojciec do swego pokoju. Gdy raz już wziął, trudna sprawa; musiał w nocy wstawać, na rękę nosić, pielęgnować, dogadzać, i co pierwszej dla spokojności żony czynił jedynie, to wkrótce zaczął dla potrzeby własnego serca, aż przesadzać nawet. Gdyby też nie owa konieczność starań i poświęceń, to nigdy może tak głęboko w serce bym mu się nie wślizgnęła; aleć to rzecz wiadoma, poświęcenie najsilniej nas przywiązuje do tych, dla których się poświęcamy. Gdy się matce trochę lepiej zrobiło, zaczęto się naradzać, jakieby imię wybrać dla mnie i kiedy chrzest odprawić. Co do rodziców chrzestnych prędko się rzecz załatwiła; ojciec nie miał tu w królestwie żadnych krewnych swoich, z rodziny matki przeto wybrał na ojca chrzestnego wuja mego Kazimierza, a na matkę chrzestną ciotkę Joannę. Trudniej było o wybór imienia. Matka moja, przez wzgląd na swoją matkę, chciała mnie nazwać Ewusią; lecz ojciec im więcej przy-

wiązywał się do mnie, tem uparciej bronił najpierwszego swego pomysłu. Wkrótce bowiem po urodzeniu mojem dość obojętnie wspomniał tylko, że chciałby mnie Napoleoną nazwać: matka jakąś przeczącą uwagę zrobiła i na tej nierozstrzygniętej wątpliwości zahaczyła się sprawa. Im dłużej potem ojciec niańczył mnie i piastował, tem więcej zrastałam się w jego sercu z pamiątkowem jego bożyszczą imieniem. Trzeba wiedzieć, że jeśli młody kapitan kochał się w księciu Józefie, bezpośrednim swoim wodzu naczelnym, to wódz księcia Józefa, Napoleon, przedstawiał mu się jako dziejową świętością przyodziany kapłan losów całej ludzkości. Była to widać łatwo zapalna wyobraźnia, a nawskróś żołnierska natura. Na takich co go raz i drugi do zwycięstwa poprowadzili, nie miał mój ojciec sądu, bo przeciw takim nie uznawał prawa. Meteorom osobliwym, co się od tysiąca do tysiąca lat zjawiają zaledwie, wszystko wolno; niech im nikt tamy nie stawia, oni coś Boskiego spełnią. To nie zdobywcy przecież, owe Aleksandry i Cezary; to są wcielone wyższej cywilizacji plany i materiały. Dać im czas tylko, niech dzieła dokończą. W tem bieda, że jeszcze żaden nie dokończył; Aleksander Macedoński się rozpił, Cezarowi rzymskiemu Kassjusz z Brutusem drogę zastąpili, Napoleona Anglicy z Europą sprzymierzeni aż gdzieś na wyspę Ś-tej Heleny zapędzili. Jakie on miał kanały kopać, jakie gór łańcuchy gościńcami przebijać, jakimi ustawami oświatę wspierać, wolność zawarowywać, sprawiedliwość krzewić!... No i ci Anglicy mu przeszkodzili. To Waterloo przekłete, to Fontainebleau nieszczęśliwe, ten Bellerophon haniębny! Ojciec gorącym swoim, podolskiem sercem gorąco też, ale nie po podolsku, tylko prawdziwie po semicku Anglików i sprzymierzonych nienawidził, po tybetańsku Napoleona uwiel-

biał, z czego wynikało, że mnie się Napoleony imię w drogę życia, aż do śmierci, na nierozłączną własność dostało. Książd wprawdzie przy chrzcie świętym chciał lekką opozycję postawić:

— Ależ panie dobrodzieju — szepnął ojcu do ucha — takiego imienia dawać teraz niewolno prawie, a jeszcze też dziewczynie, bo gdyby chłopak...

— A ja chcę żeby moja dziewczyna to imię nosiła — głośno i stanowczo zawyrokował mój ojciec. Książd nie sprzeczał się więcej i mnie Napoleoną już ciotka Joanna z kościoła wyniosła. To są szczegóły, których się dowiedziałam od innych, skoro tylko ich mowę zrozumieć i zapamiętać mogłam; były i takie, które już sama sobie uzbierałam. Nieraz w dalszym życiu mojem, gdy się chciałam lepiej zrozumieć, gdy chciałam wiedzieć, skąd co wzięło się we mnie, skąd przyszło lub czemu nie przyszło wcale, cofałam się myślą w jaknajdalszą przeszłość moją, szukałam chwil, słówek, wrażeń, które mogły złe lub dobre rozwinąć we mnie skłonności, wpłynąć na moje upodobania, podłożyć pierwsze tło mego charakteru. Otóż przy tej pracy wewnętrznej pokazało się, że miałam bogatszy może od wielu innych zapas materiału. Czasem ani ja sama temu nie dowierzałam, ani drudzy wierzyć nie chcieli, że takie odległe rzeczy przypominałam sobie; niewiele mi to jednak do osiągnięcia głównego celu dopomogło, żadnych moralnych nie zdobyłam sobie pewników, co najwięcej to jakieś wskazówki tylko, mogące rozwój umysłu ludzkiego objaśnić. I tak na przykład do trzeciego roku przynajmniej pamięć przedstawia mi jedynie zbiór obrazków nieuporządkowanych, w żadne logiczne karby ująć się niedających. Po trzecim roku obrazki dopełniają się wrażeniem, w piątym, w szóstym roku, wrażenie dopełnia się już uczuciem, kiedy niekiedy, ale

rzadko, wpływem; zaczyna się w nas niejako to, co ma dłużej lub na zawsze zostać, lub znajdujemy gotowem to, co już było i co zawsze z nami będzie.

Z rozmaitych, że się tak wyrażę, fotograficznych momentów, widzę się raz na przykład w jakimś pokoju z zielonem obiciem, kiedyś znów rozróżniam blask djamentu na palcu mojej ciotki, innym razem jeszcze przyglądam się, jak w cebrze z wodą pełno złotych i srebrnych podskakuje rybek. Mógłby kto sądzić z tego, że miałam pociąg do wszystkiego co jasne i błyskotne, a jednak więcej może, niż djament i łuski rybie, zaznaczyła się w mej wyobraźni mała błękitna trumienka o drzwi jakiejś oparta, według wszelkiego prawdopodobieństwa skromny szyld ubogiego stolarza. W sypialnym pokoju matki lepiej też pamiętam krzyż hebanowy przy jej łóżku, niż mnóstwo świecących na jej tualecie sprzączek.

Gdy pojedyncze obrazki zaczęły trochę dłuższego trwania nabierać, pamiętam się na kolanach zapewne matki mojej siedzącą; w obu rękach trzymam główkę słonecznymi promieniami włosów okrytą i cieszę się, że jej loki to krótsze to dłuższe za pociągnięciem być mogą. Nie wątpię, że tem cackiem kosztownem była dobrowolnie u nóżek moich złożona główka starszego mego braciszka. Później, gdy był już dorosłym bratem, przy jakiejś okoliczności spytałam się go, czyby mi pozwolił tak jak w dzieciństwie dla zabawki za włosy go targać. Brat już nie mógł przypomnieć sobie o tym dowodzie niezwyklej uprzejmości, zdawało mu się nawet, że ja także nic podobnego pamiętać nie mogę.

— Kiedy ja loki nosiłem, toś ty chyba drugiego roku nie skończyła jeszcze; przecież wiem, że mi ojciec krótko włosy bardzo wczesnie ostrzygł, z wielkim żalem mojej matki. Wszakże po jej śmierci nawet w kasetce z koszto-

wnościami znaleziono cały zwój z tego żniwa, w grubym papierze z napisem: pierwsze włosy obcięte mojemu Józiowi roku 1818 — 19 marca.

Miał brat słuszność, pamiętać nie mogłam, a jednak co widziałam, to wiem, że widziałam. Na mózgu dość wyraźny ślad się odbił, by przez całe życie niemal ten jasny kolor włosów, paluszkami memi zwijanych i rozwijanych, służył mi potem za normę porównawczą względem wszystkich blondynek i blondynów, jacy się kiedykolwiek przed oczyma memi przesunęli. Zaprzeczył mi też Józio, gdy mu coś nadmieniłam o matce naszej w białe muśliny ubranej.

— A! to już ci się wyraźnie przywidziało — mówił z uśmiechem; — matka po śmierci trzech naszych wujów, którzy jeszcze przed twojem urodzeniem zginęli, nigdy już jasnej sukni włożyć nie chciała. Prawda, i od niej samej i od innych w rodzinie słyszałam, jak dziwnym zbiegiem okoliczności w sam dzień Zielonych Świątek, kiedy lekko, biała ubrana do kościoła na mszę się wybierała, z trzech stron trzy wieści żałobne ją doszły. Z Francji nadeszło świadectwo, że brat jej najstarszy Jan w Hiszpanji poległ. O młodszym Tomaszu donoszono jej, że w czasie oblężenia Gdańska na gorączkę umarł. Trzeci Antoni z głębi Litwy ostatnie pożegnanie i kawałek czerwonej wstążeczki od krzyża swego na pamiątkę ukochanej siostrze przysyłał. Wszystko to najdalszemi drogami, w różnej czasie kolei, a nawet w różnych latach wyprawione, zbiegło się razem do rąk biednej kobiety, jakby umyślnie na to, by jej boleść spotęgować. Matka nasza tak serdecznie swoich braci kochała! Z czterech pięknych, dorodnych i tkliwie do niej przywiązanych, został jej jeden tylko, młody kaleka bez ręki, którą kędyś aż na mozańskich polach zostawił. Kaleka —

lecz mnie się zawsze zdawało, że na świecie całym nie widziałam piękniejszego wujaszka, jak ten mój ostatni, najlepszy wujaszek Kazimierz. O tem potem wszelako; dość że matka nigdy już od tych Zielonych Świątek białej sukni nie włożyła, nigdy się na żadnej tańczącej zabawie nie ukazała. Mimo to wszelako, widzę ją przesuwającą się zcicha na tle zielonego pokoju, widzę wyciągającą do mnie obie ręce z pod przezroczystych falbanek śnieżystego stroju, czuję jak chętnie się w nie przechylam z objęć piastunki, jak się bawię, gdy później to mi na twarz zarzuca, to mi z twarzy uchylą te pajęczce osłony, a śmiech matki dźwięczny i czysty mojemu śmiechowi wtóruje. Kto wie, może to były jej ranne podwłośniki tylko, może na chwilową zabawkę pochwycona jedynie firanka — mnie się zdawało wtedy i dziś jeszcze zdaje, że patrzyłam na jakąś inną, powietrzem odzianą, nie codzienną mamę moją.

Dziwna rzecz — z tradycji mam tę pewność, że ojciec najwięcej mną się zajmował; jak tylko z mustry lub parady wrócił, najpierw o mnie się pytał, brał mnie na kolana i po całych godzinach dokazywał ze mną. Józio nieraz mi potem mówił, że przy ojcu nigdy nie płakałam, nawet i wtenczas, gdy mi się chorą być zdarzyło; w najcięższych przejściach ząbkowania, po odsadzeniu od piersi, byle mnie tylko ojciec do siebie przytulił, zaraz mu głowę na ramieniu kładłam i leżałam tak cicha, spokojna, póki nie zasnęłam wreszcie. Ułański mundur ojca powinien być też dziecku głębiej w pamięci się wrazić; taki świetny kaszkiet, takie srebrne szlify i guziki na białych rabatach — no, ja z tego wszystkiego żadnej osobnej nie mam fotografii, najpewniej dlatego, że wszystko było mi ciągle obecne i zwyczajne. Dopiero znacznie później przyszła chwila, w której ta postać

ukochana tak wyraźnie i trwale na zmysłach nawet się odbiła, że dziś jeszcze gdy kreślę te słowa, przy lekkim natężeniu woli mogę jej rysy uprzytomnić sobie.

Tymczasem snują się w moich wspomnieniach poczciwe twarze piastunki mojej Marcyny i starego lokaja, a raczej ordynansa ojcowskiego, którego wszyscy Piotrusiem nazywali, choć już miał siwe włosy i twarz zmarszczkami pokrytą. Marcyna chodziła w ogromnym czepku, jedwabną chustką grubo przewiązanym; suty garnirunek tego czepca służył mi do pierwszych prób własnych estetycznych pomysłów. To go wznosiłam do góry, to na oczy spuszczałam, to w jedną lub w drugą przyniatałam stronę, a Marcyna ze wszystkiego mocno była zadowolona, wołała na mnie moje złotko, moje sto tysięcy, i każdemu co miał czas jej słuchać, cuda o moim rozumie prawiła. Na szyi zwykle miała kilka sznurów bardzo pięknych koralii, przy tem pełno różnokolorowych paciorków i duże żółte bursztyny. W moich oczach miało to wszystko wartość klejnotów szacha perskiego i musiałam kiedyś o jej bogactwie coś powiedzieć, bo mnie wkrótce nauczyła niby jakiejś litanji, którą później przed wszystkimi domowymi, a nieraz i przed gośćmi tak często powtarzałam.

— A jaka to mama, Napolciu?

— Mama jest śliczna.

— A papa? (to francuskie wyrażenie po wojnach napoleońskich zostało nam się jeszcze, mniejwięcej, do 1830 roku).

— Papa jest tęgi ułan.

— A Józio?

— Józio jest królewicz.

— A Napolcia?

— Napolcia jest sto tysięcy.

— A Piotruś?

— Piotruś biedny, biedny, biedny!

— A Marcyna?

— O! Marcyna jest bogata, bogata, bogata!

Były te wszystkie concepta moje własne niby; Marcyna przynajmniej zaklinała się na wszystkie świętości, że ja sama na nie się zdobyłam, ona zaś w kolejny tylko porządek wciągnęła. Szczególniej podziwienie jej wzbudzała ta logika, że nazwałam ją bogatą dlatego, bo miała bursztyny, korale i paciorki, a Piotrusia nazwałam biednym dlatego, bo ich nie miał ani jednego sznureczka. Wogóle dziś jeszcze pamiętam, jakie znaczenie przywiązywałam do tych określonych wyrazów, któremi oddzielałam moich ukochanych. Śliczna mama była to zawsze mama, raz w białych muślinach widziana, lub też mama przed lustrem zrana swoje długie blond włosy czesząca. Papa, tęgi ułan, był zawsze w swoim ściśle opiętym mundurze i wysokim kaszkiecie na głowie. Józio był królewiczem tylko wtedy, kiedy skończywszy się musztrować, sam nawzajem Piotrusia musztrował: „na lewe ramię broń“. Piotruś albowiem spełniał kolejno obowiązki zwierzchnika i podwładnego, a za Józiem w ogień byłby skoczył, stokroć go wołał odemnie. Raz też w mej obecności zaczął przed Marcyną utyskiwać na niesprawiedliwość naszego ojca.

— Chłopiec piękny jak malowanie, zręczny jak wieiórka, dziśby go już można do pułku zapisać, i pewnie z bębniem dałby sobie radę, a pan szef (z lat dawniejszych ten tytuł przechował się w nomenklaturze Piotrusia) pan szef surowiej chłopca trzyma, niż niezdarnego rekruta. No, córka miłe dziecko, ale pod względem urody nie umywała się nawet do naszego Józia; nie chłopiec zresztą — dziewczyna — a pan szef za nią przepada.

Z tej skargi Piotrusia bardzo jasno to zrozumiałam, że Józio piękniejszy jest odemnie; ale przepadanie ojca według dosłownego brzmienia pojęłam, strach mnie wielki ogarnął, lecz się z nim utaiłam przed wszystkimi; dopiero gdy ojciec wrócił z miasta, na progu zaraz oba kolana objęłam mu nagłym uściskiem, tak, że o mało się nie przewrócił, i zaczęłam wołać z całej siły:

— Papo! ja nie chcę, żeby papa za mną przepadał!

— No, a to czemu? — pytał zdziwiony i rozśmieszony zarazem, na ręce mnie biorąc.

— Bo jak papa za mną przepadnie, to ja go nie dowidzę nawet i nigdy potem nie znajdę.

— O! znajdziesz, tylko mnie dobrze poszukasz.

— Toć niania dobrze szukała swego fartucha, a nie znalazła go, bo przepadł. Jak co przepadnie, to już znaleźć tego nie można.

— Masz słuszność, moje dziecko, — bez uśmiechu tym razem odpowiedział mój ojciec, i wzięwszy mnie na kolana, trochę weselej dodał: — Postaram się, dziewczyno, żeby dla ciebie i za tobą nie przepadać wcale. — Nacisk jego głosu dziwne jednak na mnie zrobił wrażenie; pierwszy raz wtedy zapłakałam, choć mnie pieczołtliwie do swej męskiej piersi przytulał. Matka, obecna temu drobnemu zajściu, przypominała je sobie w ciężkich chwilach i wspominając nieraz, mnie także o tem zapomnieć nie dała.

Czemuż ja piszę o takich drobnostkach, które żadnej biograficznej ani estetycznej formy nie mają? — Piszę dlatego, że niemało nad nimi głowy sobie nałamałam pierwaj, nim pod jakiegokolwiek prawidło udało mi się je podciągnąć. Tylu różnolitych wyrazów mogłam się łatwo i prędko ze słuchu nauczyć, skąd jednak znalazła się treść mniejwięcej odpowiednia dla nich w moim

umyśle? Nikt przecież nie tłumaczył mi, nie objaśniał żadną definicją ani tego, co to jest królewicz, ani tego co to jest sto tysięcy, co biedny — a co bogaty.

Gdyby szło jeszcze o nazwy pospolitych rzeczy, na przykład stół, zegar, łóżko — mogłam się z tem przez częste powtarzanie oswoić, mogłam tego przez wprawę nauczyć; ale o królewiczu nie mówiono przecie tak często, jak o bułce i mleku; królewicza zresztą nigdy w życiu nie widziałam, nikt mi nie wytłumaczył, co to za stworzenie i jak wygląda, a przecież Józio komenderujący, Józio w czapeczce z lampasem na głowie daleko podobniejszym mi się zdawał do królewicza, niż Józio w granatowym swoim spencerku, choćby odświętnym i stalowymi guzikami przyozdobionym. Niedość na tem — wiem z pewnością, że mnie nikt jeszcze wtedy do trzech rachować nie uczył, kiedy mnie przecież Marcyna „moje sto tysięcy“ nazwała, miałam poczucie, że jestem rzeczywiście jakąś bardzo a bardzo drogą kosztownością. Nie potrzebowałam też długich ćwiczeń porównawczych odbywać, żeby wiedzieć, co to jest bieda, a co bogactwem... Wszakże ja się nie okłamuję, i dziś jeszcze pamiętam, jak tej błękitnej trumienki nikt mi przy prostem nazwaniu żadną definicją nie określił, jak długo potem nikt przy mnie nazwania nie wspomniał, a kiedy jednak wobec śmierci po drugi raz usłyszałam to słowo, już ono nie było mi obcem i odgadłam, z jakim wyobrażeniem połączyć je było trzeba. Skąd ta łatwość, skąd ta trafność wszystkim prawie dzieciom właściwa — niech fizjologdy i psychologowie objaśniają, ja tymczasem głęboko jestem przekonana, że to jest dziedzicznej rasowości skutkiem. Dziecko rodzi się już z instynktem do macierzystej mowy swojej; częste powtarzanie daleko ma mniejszy udział w tej nauce, niż szybkie przeczucie niejako poraz pierw-

szy słyszanych nazwisk i wyrażeń. Nie wiem cobym dała za to, gdybym porównać mogła te spostrzeżenia moje nad samą sobą ze spostrzeżeniami kobiet — no, mężczyzn, a wreszcie byle to był ktoś urodzony z polskich rodziców, a zaczął mówić najpierwej niemieckim, albo francuskim językiem. Znałam wprawdzie niejedno podobne indywiduum, ale od żadnego nie mogłam się współśledczemi wiadomościami zbożać, bo żadne nie miało na nie potrzebnych zapasów; pamiętali się jedynie od chwili, w której już książkowej nauki dorosli. Otóż ja cztery lata miałam, kiedy się pomyliłam w zastosowaniu wyrażenia, lecz sam wyraz rozumiałam dokładnie. Przepadać! czułam w tych sylabach jakąś stratę wiekiustą; nie wiedziałam naturalnie, że i przez miłość zatracić się można; lękałam się, żeby istotnie kędyś zdaleka za mną ojciec nie przepadł, a tymczasem przepadać nie było za czem. Byłam bardzo nieładnem, żeby już nie powiedzieć: bardzo brzydkiem dzieckiem. Obok matki mojej wysmukłej, białej jak, mleko, różowej jak listek centofolji z oczami od habru ciemniejszymi, z warkoczem od pszenicy złocistszym — obok braciszka tak pięknie, choć tak męsko do matki podobnego, że go znajomi nasi według ówczesnej mody, greczyźnie hołdującej, Achillesem na Scyros zwali — obok ojca, ślicznego bruneta, któremu niejedna Hiszpanka mogła była pozazdrościć jego ognistych, a długimi rzęsami przyćmionych oczu, jego bladej, żadnym rumieńcem nie okraszonej, a gładkiej jak stary marmur cery — obok tych trzech przepysznych typów nadwiślańskiej i naddniestrzańskiej piękności, ja tłusta, w stosunku do mego wieku olbrzymka, musiałam szkaradnie wyglądać. Habrowe oczy matki, w pomieszaniu z czarnymi płomieniami ojcowskiego wzroku, uposażyły mnie parą szaro-siwych tęczówek, dość głęboko pod czo-

łem osadzonych. Żółtawe marmury z mlekiem i centofolją zmieszane odbiły się na twarzy mojej jesiennym rzeczbym mogła kolorytem, bo na oliwkowej prawie twarzy przyozdobiły się dwoma purpurowemi rumieńcami. Nos mój wcale rysunkowego nie zapowiadał kształtu; czoło miałam szerokie, ale dość nisko zarośnięte bujnemi i kręcącemi się włosami, w różne odcienia kasztanu i orzecha, bursztynu i tombaku przeświecającego pod światło. Usta jedynie miałam drobne, pełne i czystym karminem odznaczone — a na tych ustach roily mi się piosenki, bajeczki, różne koncepta i wesołe uśmiechy. Że matce to wystarczało, wcale się nie dziwię — ale że ojciec taką niezgrabną, taką niepoczesną dziewczynę kochał, to im więcej ojców na świecie widziałam, tem trudniejsze dla mnie było i jest do zrozumienia. Dzięki jego miłości, pierwszą jutrzenkę życia bez chmury żadnej spędziłam. Zaiste, jak inne dzieci, musiałam nieraz płakać, krzyzczeć, grymasić, ale to nigdy żadnego po sobie nie zostawiło śladu w moich wspomnieniach; całość tych lat najpierwszych złożyła się aż do obecnej chwili w poczucie radości, żartów, śmiechów i zabawy. Im więcej rozwijały się z dziecinnego chaosu władze moje umysłowe, tem wydatniej na pierwszym planie odkreślała się postać mego ojca; przyszedł dzień wreszcie, który ją na zawsze w duszy, w wyobraźni, w oczach moich rzeczby można utrwalił. Już wtedy piąty rok miałam.

Nieraz później powtarzano to przy mnie, że od roku już może ojciec mój bywał w tym czasie raz po raz smutny, rozdrażniony, i choć żona ze zwykłą sobie wesołą łagodnością przedstawiała mu, że tak bardzo spotykanemi przykrościami trapić się nie powinien, że poza domem godzinę każdą jako wymiar czasu bezświadomie spędzonego uważać trzeba, a w domu, wśród znajomych

i serc życzliwych, prawdziwe życie swoje jako obudzony już człowiek liczyć sobie — niewiele to pomagało.

— Ja muszę wziąć dymisję — coraz częściej powtarzać zaczynał.

Otóż trzeba wiedzieć, że dymisja nie zdawała się wcale roztropnym krokiem z jego strony. Ojciec żadnego nie posiadał majątku; rodzice matki, niezadowoleni z jej zamążpójścia i srodze dotknięci różnemi owej epoki przejściami, młodszej córce nierównie skromniejszy posąg niżli starszej dali; pensja majora bardzo więc była potrzebna do utrzymania całej gromadki domowej. Stałe fundusze, bardzo już ograniczone, łatwo się wyczerpnąć mogły, nim jaka dzierżawa dość korzystna lub jaki urząd odpowiedni w służbie cywilnej się znalazł. Nic dziwnego, że ciotka Joanna, gdy pierwszy raz o takich zamiarach swego szwagra usłyszała, bardzo pogardliwie ramionami wzruszyła i swoim suchym, stanowczym głosem zawołała:

— A! to pomysł prawdziwie godny takiej przewróconej głowy.

Nawiasem dodać tu muszę, że ciotka Joanna do głów przewróconych zaliczała wszystkich, co pisali wiersze, czytali książki dla zabawy, z uwielbieniem mówili o Napoleonie, i to jest jej własne wyrażenie — kłopotali się o to, co im chleba powszedniego nie dawało. Z siostrą nie zgadzały się w niczem, ale przynajmniej kochały się serdecznie, lecz w stosunku z mężem siostry brak zgodności dopełniał się jeszcze wyraźną, obustronną niechęcią.

Jak przez mgłę przypominam sobie, że kiedyś zrana, gdy ojca w domu nie było, ciotka przyszła do naszej matki ze swoją ukochaną Cesią, siostrzenicą mężowską, która się przy niej od pierwszego roku swego życia chowała. Strasznie już wtedy nie lubiłam tych odwiedzin.

Cesia była starsza odemnie, bodaj nawet czy nie starsza i od Józia, jakkolwiek w dalszych latach wątpliwość ta moja nigdy z pewnością rozstrzygniętą nie została; w owych chwilach przynajmniej była znacznie wyższą od niego; nosiła słomkowe, za każdym razem gdy ją widziałam z innego koloru wstążkami kapelusze, nosiła różowe i niebieskie z haftami, lub falbankami wygarniowane sukienki, w różne wszywki i tiuliki przyozdobione majteczki, ażurowe pończochy i — przedmiot mej pożądlivosti — jedwabne, zastosowane do koloru sukni trzewiki z bandażami. A jak trzymała się prosto, jak z góry patrzyła się na mnie, to aż ja, śmiała do wszystkich wichrowatych i zawiesistych wąsów, które u ojca bywały, od tej imponującej księżniczki ostrożnie, zawsze zdaleka się trzymałam. Brat mój w większych był u niej łaskach, z nim jakoś chętniej przestawać lubiła, więc też i w czasie owej rannej wizyty, biedna ciotka Joanna, zasiadając z matką na kanapie, zaleciła dzieciom, by się do drugiego pokoju bawić przeszły. Cesia natychmiast Józia za rękę wzięła i razem się wyprowadzili, a ja zostałam w swoim kąciku, gdyż nie przypuszczałam nawet, by się to rozporządzenie i do mnie odnosiło. Przez czas jakiś nie uważałam wcale tego, co obie panie do siebie mówiły; nagle matka moja głośnym płaczem wybuchła.

— Jaka ty jesteś dla niego niesprawiedliwa, Joasiu! — łkając, zawołała.

— A jaka ty jesteś słaba dla niego, moja Tekluniu! Przez wzgląd na dzieci powinnaś mu przedstawić, by głupstw nie robił, starszym się nie narażał i swego nosa pilnował. Zobaczysz, że to się źle skończy.

Matka rękoma twarz zasłoniła i widziałam, jak łzy jej przez palce się sączyły. W każdej innej chwili była-

bym natychmiast do niej pobiegła, na szyję się rzuciła i pocałunkami te gorzkie łzy obtarła, ale obecność ciotki onieśmiała mnie i drętwiącym jak uderzenie torpili wpływem na miejscu więziła. Zwolna jednak nabrałam odwagi, pocichu wysunęłam się z ukrycia, lecz gdy spostrzegłam, że i mnie już spostrzeżono, pędem przez pokój przebiegłszy, obok matki stanęłam. Tu już czułam się bezpieczną; po fałdach jej sukni wygramoliłam się na sofę i dosięgnąwszy ucha matki, szepnęłam:

— Nie płacz, mamó, tata zaraz przyjdzie i nie pozwoli, żeby ci ciocia dokuczała.

Zdawało mi się, że bardzo cicho mówię, a jednak ciotka słowa moje dosłyszała. Gdy matka przygarnęła mnie do siebie pieszczotliwym uściskiem:

— A to pięknie — rzekła — całujesz ją za to chyba, że była nieposłuszną i nie wyszła, chociażśmy kazały, aby dzieci do innego przeniosły się pokoju.

— Ciocia przecież kazała mi się pójść bawić, a że oni ze mną nigdy się bawić nie chcą, więc ja tutaj zostałam.

— O, jabym Cesi tak rezonować nie pozwoliła — surowo odezwała się na moje usprawiedliwienie.

Dziś jeszcze nie wiem czy to szczerze, czy tylko dla nauki słuchaczek swoich mówiła, wiem tylko, że i wtedy i później, na bardzo wiele rzeczy Cesi pozwalała, mogła jednak mieć przekonanie, że jest dla niej ostrą i wymagającą, o ile tego potrzeba zachodzi, tylko niezawsze potrzebę tę widziała, nawet choć Cesia ze złości nogami tupać zaczęła, lub też w dalszem życiu nad świeżo kupionym kapeluszem lub nad odebraną ze sklepu suknią wcale niesłusznie kaprysiła.

Matka moja, nie wdając się w żadne rozpatrzenie tej sprawy, wzięła mnie za rękę i do drugiego odprowadziła

pokoju, nie wiem tedy na czem rozmowa obu sióstr sta-
nęła.

Przy pożegnaniu ciotka tylko Józia po twarzy po-
głaskała i może dla wzbudzenia we mnie szczerego żalu
dała mu karmelek, ale Józio zaraz się nim ze mną po-
dzielił; to już było skutkiem machinalnego prawie na-
wyknienia, do którego nas matka wdroyła. Jedno mogło
coś dostać, a drugie nie dostać, cukierek czy zabawkę,
lecz w każdym razie podzielić się cukierkiem, wspólnie
używać zabawki musiało.

W jak długi czas potem, nie wiem — w kilka dni,
czy w kilka tygodni, nadszedł dzień, który miał wiekui-
ście nad losem całej naszej gromadki zaciężyć. Dziś jesz-
cze wdzięczną sobie jestem, że niektóre szczegóły wier-
nie aż po chwilę obecną zachowałam w pamięci. Ojciec
dnia tego wybierał się na jakąś paradę, a był tak wesoły,
żartobliwy, śmiejący się swobodnie, że wedle późniejszych
słów matki naszej, miał swój świąteczny humor powita-
nia. Gonił się ze mną po pokoju, Józiovi swego kaszkieta
przymierzał, brał nas oboje pod pachy, w górę unosił
i dowodził, że jestem najważniejsza z całego domu osoba;
matka przytakiwała, ja zaprzeczałam, on zaś udawał
wtedy, że mnie dźwignąć nie może, a Józia daleko łat-
wiej niby porywał z ziemi i na ramieniu sobie sadzał.

Wszystko to rozgrało nas jak młode kocięta; bie-
galiśmy i wyskakiwali koło ojca, kiedy się ubierał, kla-
skaliśmy w ręce i krzyczeli z radości, w miarę jak świe-
tna tualeta coraz dalej postępowała, dopiero gdy już
w pełnym stanął przed nami mundurze, ja nagle onie-
miałam i zstąpiło na mnie jakieś niby objawienie dotych-
czas niezrozumiałej piękności; pierwszy raz głębiej uczu-
łam, co to znaczy nie móc oczu oderwać od przedmiotu,
który nam się podoba. Ojciec musiał zauważyć to nieme

uwielbienie swojej dziewczyny, gdyż uśmiechnął się bardzo łagodnie, choć z udaną niecierpliwością zapytał.

— I cóż tak patrzysz na mnie wytrzeszczonemi oczyma, zupełnie jak ów zajacek pod miedzą, co to myśliwi o nim nie wiedzą?

— Ah! papo — zawołam — papa taki dziś...

— Śliczny, hę? — podpowiedział złośliwie.

— Nie, to mama jest śliczna.

— A ja szkaradny?

— Co papa wygaduje! Papa jest bardzo piękny — i przypominając sobie jedno z wyrażeń mojej Marcyny — dodałam: — Papa wygląda jak święty z obrazka.

Rozśmiał się takim młodocianym, studenckim prawie śmiechem, że później, ile razy dźwięk jego w śmiechu Józia odnalazłam, tyle razy dziwna trwoga na serce mi padała.

— Pójdź tu, grzesznico — odezwał się wreszcie nastrojonym już do powagi głosem; — przejrzyj się w lustrze i porównaj, kto z nas bliższy Pana Boga w niebie.

Kończąc te słowa, schylił się, na stoliku mnie postawił i twarz swą tuż obok mojej trzymając, kazał mi w wiszące naprzeciwko lustro spoglądać. Z najlepszą wiarą dopełniłam tego polecenia, ale po sumiennem zbadaniu przedmiotu bardzo stanowczym głosem zadecydowałam, że papa jest daleko odemnie piękniejszy. I w czasie tych chwil, przez żart wywołanej, a dla mnie bardzo starannej rozważki, wraziłam sobie w pamięć najdrobniejsze odcienia kolorytu i wyrazu, najnieznaczniesze zagięcia tych szlachetnych rysów. Istotnie, były to rysy godne pendzla i dłuta; został mi po nich cień tylko wyraźny, a żałobny, jak dnia owego wspomnienie. Leży w tej chwili jeszcze przedemną, w złotej obwódce, na tle różowem czarna sylwetka, którą ojciec aż z Francji niegdyś matce naszej

przysłał; w swoim rodzaju jest to arcydzieło maleńkie; wielce mi ono pomogło do zachowania najdroższego skarbu w skarbnicy drogich pamiątek. Mam i matki sylwetkę, lecz nie tak już dobrze i artystycznie wyciętą. Ojciec na swojej jest zupełnie podobny; matka była piękniejszą. Jakiż to czysty, regularny ten profil ojca! Jak ta linja nosa delikatnie, ledwo dowidzialnem wzniesieniem środkowem, ciągnie się aż po spadek ku blisko odcinającym się ustom, jak kształtnie brodę w doskonały owal zaokrągła! Czoło jest może zbyt gładkie, kości brwiowe niedość się na niem odznaczają, ale zato odgadnąć można całą jego pogodę i nieustraszoną odwagę, pod masami gęstych włosów, które z trudnością, jak widać, trzymają się narzuconego im układu.

Ach! cieniem tylko sylwetka była, cieniem cienia są dziś słowa moje!

Gdy ogłosiłam mój wyrok, ojciec zaczął mi się sprzeciwiać, że za nieszczerłość do kąta pójdę, i niósł mnie jakoby gwałtem, a ja mu się opierałam jakoby naprawdę, i szamotaliśmy się i całowali w tych udanych zapasach, aż przy mundurze guzik jeden się oberwał. Wówczas tak ciasne, opięte mundury noszono; liczyło się to prawie do wojskowego regulaminu; sam Apollo Belwederski byłby musiał przemocą pantaloney wdziwać i powstrzymać oddech przy zapinaniu ułańskiego fraczka z wyłogami. Nic więc dziwnego, że i ojciec stosował się do tej mody — nie lubił jej wszelako. Spotykający go przypadek natychmiast twarz mu zasępił; coś po żołniersku między ustami zaklął i matki na pomoc zawołał.

— Wołałbym do krawca wstąpić, ale już czasu nie będzie, i tak się zabałamuciłem. Przyszyjaj prędko, a mocno — mówił już rozdrażnionym i przycinanym głosem do matki.

Matka przyszła jak mogła najprędzej, jak mogła najmocniej; on ją za to w końce paluszków ucałował, nam dzieciom ręką od ust skinął i szybko wybiegł z pokoju. Jak zwykle w dniu parady, czekaliśmy ojca na obiad. O drugiej godzinie matka sama pomagała Marcynie stół jaknajprędzej nakrywać i raz po raz zachodziła do kuchni, żeby wszystko smaczniej przyprawić i na czas do wydania przygotować; istotnie wszystko na czas przygotowane już było, ale ojciec nie wracał.

— Już w pół do trzeciej, już trzecia — liczyła niecierpliwie oczekująca matka, a jak to sama nieraz później opowiadała, żadne złe przecucie o serce jej nie uderzyło; myślała sobie nawet, że mąż dał się kolegom wciągnąć na jaką sutą, winem oblaną przekąskę, i dlatego nie wraca. Jak każdej żonie zapomnianej, a nad przypalającą się pieczenią czuwającej, zbierało się na zły humor, więcej niż na niespokojność. Nam dzieciom jeść się chciało, więc podobno grymasiliśmy ogromnie; Józio mi się sprzeciwiał, ja piszczałam, odgrażając, że się przed ojcem poskarżę, matka nas łajała, godziła, aż na koniec zupełną na stół Marcynie podać kazała, a Piotrusia wyprawiła, żeby się dowiedział, gdzie pan poszedł, kiedy wróci i czy z kolacją czekać go będzie trzeba. Piotruś znał tak dobrze wszystkie ojca zwyczaje i stosunki, że mógł nawet nieprzewidziane jego projekta odgadnąć; zdawało się, że i tym razem prędką a nieomylną wiadomość przyniesie. Rzeczywiście też nie wstaliśmy jeszcze od obiadu, kiedy drzwi się uchylily i Piotruś się w nich ukazał, lecz za progiem stojący z ręką na klamce, jak gdyby lękał się, lub nie śmiał wejść do pokoju.

— No, wejdz-że — z przyciskiem zawołała matka, — powiedz, czego się dowiedziałeś?

Piotruś usłuchał rozkazu, wszedł we framugę drzwi,

stanął, wyprostował się, jak gdyby miał generała swego salutować, i poruszył ustami, mówiąc coś niby, chociaż żadnego słowa wyraźnie dosłyszeć nie było można. Matka wtedy uważniej na twarz starego żołnierza spojrziała: twarz była blada trupią bladością, wszystkie jej zmarszczki drżały gwałtownie, głos się z trudnością przez zacięte usta przedzierał. Matkę naszą w jednej chwili lodowe zimno trwogi ogarnęło, krew w jej żyłach stygnąć zaczęła, obiema też rękoma stołu się uchwyciła i z wielką trudnością się podnosząc:

— Mów — zawołała tylko, z taką siłą i z taką boleścią, że my z Józkiem przytuliliśmy się jedno do drugiego, a serca biły nam prędko, głośno, jak pisklętom, które w gniazdku swawolny chłopak nielitościwą dłonią przykryje.

Tymczasem Piotruś kilka kroków naprzód postąpił, całą odwagę pewnie ku pomocy przywołał i zdobył się wreszcie na dalsze bezładne, a niemniej przeto okropne słowa:

— Niech pani majorowa się nie lęka, niech pani majorowa będzie spokojna, trzeba o dzieciach pamiętać...

— Mów, mów — powtarzała matka, gwałtownie o posadzkę nogą uderzając.

— Pan szef — wyjąkał Piotruś i zatrzymał się znowu — pan szef — dodał po chwili niby jakiegoś namysłu — pan szef spadł z konia...

— I zabił się! — krzyknęła matka.

— Ah, tak! zabił się, zabił się — powtórzył Piotruś z głębokim już rykiem, nie płaczem, i cała postać jego drżała, jakby wewnętrznym bólem wstrząśnięta. — I pomyśleć, że to przez jeden guzik nieszczęśliwy! Boże, mój Boże, czegożeśmy doczekali!...

Matka nie drgnęła nawet, słuchając tak przerażają-

cej wieści; ciągle o stół wsparta, szeroko rozwartemi oczyma w Piotrusia wpatrzona, zdawało się, że z natężeniem umysłowo pracuje, by się domyśleć znaczenia jakichś z obcej mowy wziętych wyrazów — aż i domyśliła się wreszcie. Nagle ręce jej opuściły swą podporę, z piersi wydarł się jakiś głos dziki, przeraźliwy, ciało wtył się przegięło i martwą masą, jak strącony posąg kamienny, z łoskotem na ziemię padła. My z Józkiem rzuciliśmy się ku niej, za ręce i suknię ciągnąc, zaczęliśmy wołać:

— Mamo! mamó! — a nie pamiętam, czy to było ze strachu, czy ze współczucia widzianej boleści, bo też i następne chwile i dni następne zwichrzyły mi się w jakiś niewyraźny choć czarny i duszny tuman najsprzeczniejszych z sobą żywiołów. Ledwie w kilka lat potem dowiedziałam się lub domyśliłam, co to wszystko znaczyło, wówczas nie mogłam jednej nadzwyczajności od drugiej rozgraniczyć i rozróżnić: zemdleńnię matki, przybycie wuja mecenasa, męża ciotki Joanny, ona sama nocująca u nas bez Cesi, a taka dla mnie dobra i łagodna, jaką nigdy pierwej nie bywała, jacyś generałowie, pułkownicy i inni wojskowi przychodzący i wychodzący jedni za drugimi, a każdy z twarzą poważną, smutną, ze słowem uroczystej pieśszoty dla Józka lub dla mnie, i jakieś zabawki z różnych stron znoszone, nowe czarne sukienki, obszyte białą tasiemką, skądże ja miałam wiedzieć, co to wszystko znaczy, a to znaczyło, że już pół-sierotą byłam. Najwięcej jeszcze i najużyteczniejszych w bieżącej chwili rzeczy od mojej kochanej Marcyny się dowiedziałam.

Przedewszystkiem tedy uradzono, by zamieszkałego w Warszawie szwagra uwiadomić. Wuj coprędzej wysłał sztafetę po żonę swoją, aby do siostry śpieszyła. Chciał

on sam pierwiej nieszczęśliwą do spadłego na nią ciosu przygotować, zła dola sprawiła, że się spóźnił o kilka minut. Biedny Piotruś na zwiady wysłany, kiedy się już niewątpliwie o śmierci swego szefa przekonał, zupełnie głowę stracił. Miał on, jak mówił potem, najlepsze i najrozsądniejsze zamiary; cały plan sobie ułożył, jak to panią majorową zwolna przygotowywać będzie, jak coś stopniowo o spadnięciu z konia, o złamaniu ręki lub nogi, o większem nakoniec niebezpieczeństwie jej powie, lecz gdy oko w oko stanął przed nią, w głowie mu szumieć, w uszach bębnić zaczęło tak, że nie mógł na spokojne słowo się zdobyć, a chociaż potem według programu coś rozpoczął, to gdy mu matka przerwała takim odrazu całą prawdę obejmującym wyrażeniem: „zabił się“ — jemu niespodziewanie wielką żalością serce się ścisnęło i z ust wyrwały potwierdzająco też same słowa. Ah! jakże ciężko odpokutował pocziwą swoją, mimo wolną nieostrożność! Matka, wskutek nagłego przerażenia, a może też i wskutek silnie rozbitej o krzesło i posadzkę głowy, tegoż wieczoru zaraz dostała zapalenia mózgu, najpierwej też wuj go przy zemdlonej matce najszej wylał; wieczorem ciotka Joanna z pół godziny mu dowodziła, że jest choroby, a może będzie i śmierci majorowej przyczyną.

W czasie przeglądu, gdy ojciec w pełnym galopie przed dowodzącym konia osadzał, nieszczęśliwy ów guzik, ręką matki przyszyty, urwał się i niedopiętą dziurkę w mundurze zostawił. Przed frontem pułku gromy i pioruny na głowę winowajcy spadły. Nim godzina minęła, w bocznej alei Saskiego ogrodu, leżał trup młodego majora z roztrzaskaną czaszką.

Wiadomość lotem błyskawicy pułk cały natychmiast

obiegła, żaden z kolegów nie miał odwagi iść z nią do wdowy i sierot losu swego nieświadomych.

— Wstydz się stary — gderali na niego odwiedzający panowie — ktoby się po tobie spodziewał, że nie potrafisz języka za zębami trzymać.

Piotruś najmocniej w to uwierzył, że popełnił wielką, niepodobną nawet do odpokutowania zbrodnię; wyrzucał sobie, iż nietylko matkę zamordował, ale i ojca na zgubę naraził. Gdyby lepiej był mundur-obejrzał i wszystkie guziki własną ręką wypróbował, pan szef uniknąłby wszelkiej nieprzyjemności, bo przecież w czem innym największy nieprzyjaciel nie miałby o co przyczepić się do pana szefa. Pan szef tak doskonale znał służbę, tak szybko i dokładnie wykonywał wszystkie obroty, jakby je ołówkiem po papierze, a nie kopytami po piasku zakreślał. Im dłużej nad tem zgnębiony Piotruś rozmyślał, tem czarniejsze plamy występowały na jego sumienie, tem zjadliwszą rozpaczą wzbierało mu serce. Pogrążony w tych bolesnych dumaniach, z twarzą w obu rękach ukrytą, siedział nazajutrz przy kominie w kuchni i zastanawiał się nad tem, czyby nie lepiej, a nawet czyby nie godziewiej było, gdyby poszedł za przykładem ukochanego swego pana i dowódcy.

— Już tu nic nie mam do roboty — mówił sam w sobie. — Pani majorowa umrze, dzieciom powiedzą, że to z mojej winy, nikt mi nie da dobrego słowa, trzeba się coprędzej za panem szefem wybierać. Choćby dziś, tylko że dziś już późno, ogród Saski zamknięty, a jabym chciał koniecznie, jak pies, położyć się na tej samej ziemi, gdzie on zginął. Niech tylko jutro z rana bramy uchylą, łatwo będzie rzecz całą załatwić. Przechodniów niewiele — pustka bezpieczniejsza.

Wtem poczuł, że jakieś drobne ramię na jego ramieniu zawisło.

— Piotrusiu — odezwał się głosik jakiś smutny, lecz pieszczotliwie serdeczny; — Piotrusiu, wszakże ty z nami zostaniesz? Cobym ja tu robił bez ciebie teraz, kiedy papy już niema!

I Piotruś ręk od twarzy nie odjął, ale nieraz później powiadał, że tak mu się w duszy zrobiło, jak gdyby nagle z piekła do nieba go kto przeniósł.

— Pan Józef, sam nie wiedząc o tem, życie mi uratował — dodawał zwykle z wiele znaczącą powagą. Lecz w pierwszej chwili wcale znać tak szczęśliwej przemiany nie było, rozszlochał się jak dziecko i dopiero gdy widział, że łez swoich nie zatai, porwał Józia w objęcia, do piersi go przycisnął, i we dwóch razem na pościechu sobie płakać zaczęli.

Może Piotruś nie wytłumaczył sobie, ale z pewnością uczuł to wszystkimi władzami duszy swojej, że słowa chłopczyny miały wartość odpowiednią swej nominalnej wartości, że chłopczyna go potrzebował, że ów niezręczny, obwiniony, potępiony, temu dziecku jednak może być jeszcze na długo radą, pomocą i ułatwieniem w pierwszych trudnościach młodocianego życia.

Ja tymczasem, jak pokutująca dusza, snułam się po wszystkich kątach jadalnego pokoju. Pierwszy wieczór zaraz wysadził mnie ze zwykłej kolei. Nawet Robinson Kruzoe nie mógł się czuć tak obcym i samotnym, gdy się pierwszy raz na swej wyspie bezludnej ocknął, jak zapomnianą, opuszczoną, niewiedzącą co z sobą czynić ja się poczułam, wśród tego zamętu, z którego sprawy zdać jeszcze sobie nie mogłam. Wiedziałam niby, że mnie coś okropnego otacza, lecz nikt nie powiedział, co to być może. Zrazu, gdy się matka ocuciła, coprędzej wprowa-

dzono nas oboje do jednego pokoju. Wuj miękkim, przyciszonym głosem nad uchem matki schylony, mówił:

— Tekluniu, masz dzieci przy sobie, oto przyszły; powiedz im choć jedno słówko serdeczniejsze.

Matka błędny wzrok na nas zatrzymała. Mogłoby się zdawać, że nas nie widzi, albo nie poznaje. Wuj niespokojnie śledził wyraz jej twarzy. Po długim milczeniu wreszcie chora, wskazując na nas palcem, szepnęła zcicha:

— Sieroty. — I naraz zmieniły się rysy jej twarzy i w drugie, ciężkie zemdlenie zapadła.

Od tej chwili przystęp do jej łóżka był nam zupełnie wzbroniony. Ciotka Joanna, po odejściu doktorów, kazała oba łóżeczka nasze aż do trzeciego przenieść pokoji.

— Zmówcie pacierz, moje dzieci i proście Boga, żeby wam matkę przynajmniej zachował — rzekła prawie nie swoim, tak łagodnym głosem. — Wszak umiecie sami się rozbierać? — pytała dalej tonem, trochę więcej już do zwyczajnego zbliżonym. — Ośmioletni chłopiec i taka panna, to już przecie umieć powinni. Marcyna teraz przy matce potrzebna, musicie się bez niej obejść.

Józio zaręczył, że się obejdzie.

— Mnie zawsze kazał papa, żebym się sam rozbierał i rzeczy porządnie składał, ale Napolcia... — i głos wątpliwie zawiesił.

— Napolcia — powtórzyła ciotka — przecież potrafi zapewne zdjąć sobie trzewiczki i pończoszki. Zresztą na chwilkę może przyśle tutaj Marcynę, żeby jej ztyłu sukienkę odwiązała.

Ciotka na dobranoc lekko ustami głów naszych dotknęła i do matki pośpieszyła.

Ciotka tedy wyszła. Józio się rozebrał, a ja stałam ciągle przy łóżeczku, oczekując przyobiecane go ukazania

się mojej nianiusi. Słuchałam, jak z pod kołdry braciszka stłumione łkanie się dobywało, potem ucichło, a potem zmieniło się w oddech równy, głośny i spokojny. Niebawem też świeca dopaliła się w lichtarzu i zgasła; ciemność wprawdzie nigdy mnie nie straszyla, lubiłam nawet wycieczki do ciemnej sieni i ciemnej za kuchnią komórki, bo wtenczas ojciec chwalił mnie i całował za to, żem zuch dziewczyna. Teraz dopiero, w dłuższym obcowaniu, wypowiedziała mi się ciemność ze wszystkich swoich ujemności: z niebezpieczeństwa i ze smutku; jeśli się ruszę, to mogę głowę rozbić sobie, mogę krzesła powywracać i hałasu narobić, a jeśli tak ciągle stać będzie trzeba, to i nóżki zabolą i zimno być zacznie. Gdyby papa wrócił, wszystkoby było inaczej, teraz już nikt o mnie nie dba. I rzeczywistość tego wyrażenia „nikt o mnie nie dba“ coraz cięższym kamieniem uciskać mnie zaczęła. Był to żal czysto egoistyczny z mej strony, ale niemniej był żalem, co mnie w tej czarnej i posępnej nocy w czarną i posępną stronę życia ludzkiego wtajemniczył; na długo potem, bódaj czy nie na dotychczas jeszcze, zostawił mi po sobie wstręt do zmiarzchu i ciemna. Zdawało mi się, że już całą noc tak stoję, kiedy się wreszcie drzwi uchyliły i Marcyna pocichu, na palcach do łóżeczka mego się zbliżyła. Nie wiem, z kąd tę pewność wywnioskowała, ale najmocniej była przekonana, że już spać muszę oddawna.

— Jezus Marja! a toż co! — zawołała, widząc mnie do poręczy łóżka przyciśniętą i nieruchomie przy niem stojącą — moje złotko nie śpi jeszcze, nie było komu dziecka rozebrać, położyć, kołderką otulić, o moje ty biedne maleństwo!

W cichości zniosłam ciemność, samotność, zapomnienie i wszystkie moje krzywdy mniemane, ale tego głosu szczerego politowania znieść nie mogłam. Jak gdybym

cały ten czas siły na to zbierała — nagle, pod dotknięciem rąk mojej ukochanej nianiusi wrzasnęłam tak okropnie, że całe mieszkanie napelniło się szmerem nadbiegających w moją stronę kroków. Ukazał się wuj mecenas bez tużurka i chustki na szyi, a ze świecą w rękę, ukazał się wylękniony Piotruś i ostatnia ze wszystkich ukazała się ciotka Joanna, bezsennie widać przy matce czuwająca, bo ani jeden włos się jej nie rozrzucił pod koronkowym czepeczkiem, ani jedna fałdka przy kołnierzyku nie zagięła.

Na widok ciotki zrobiłam wielkie wysilenie, ażeby się od krzyku powstrzymać, ale nie mogłam już tego dokazać, głos wydierał mi się z piersi mimowolnie, on już panował nademną, nie ja nad nim, wyrazy nawet, w które się załamywał, nie od mego wyboru zależały. Wołałam:

— Papo, papo, niech papa tu przyjdzie! tu ciemno mi i zimno! ja chcę iść do mamy!

Marcyna kładła mi w ucho najpieszczotliwsze swojego pomysłu przezwiska, całą siłą przyciskała moją główkę do swoich bujnie rozwiniętych piersi, nic to wszystko nie pomagało.

— Marcyno — rzekła ciotka — wynoś ją, wynoś coprędzej; pani się przeleękła, tu o życie chodzi. Trzeba kogo poprosić, żeby ją gdzie na tę jedną noc przyjęto. Może znasz jaką kobietę, jakich państwa w kamienicy...

Marcyna nie dosłyszała reszty, bo już zemną do sieni uciekła. Sień jeszcze zabliską była matki, więc zbiegła po schodach aż na ulicę. Gdy mnie chłodniejsze powietrze owiało, przycichłam odrazu; przez kilka chwil jeszcze łkałam, łkałam silnie, trzęsłam się jak w febrze i mówić nie mogłam. Wkrótce jednak ta niemożność nawet minęła i przerywanym głosem zapytałam Marcyny:

— Gdzie, gdzie papa?

— Ot tam, mój robaczku — i wskazała mi na niebo, ślicznie w noc tę pogodną gwiazdami zasiane. Mnie się zdawało, że jedną z nich wskazuje, więc przypatruję się najpromienniejszej i najpiękniejszej ze wszystkich.

— Czy pewnie na tej gwiazdce? — znowu zagadnęłam.

— Tak, tak, zapewne na tej — śpiesznie potwierdziła Marcyna, żeby prędej skończyć to badanie.

Sama później przyznała, że w ciężkim była kłopotcie; cała jej wiara religijna i wszystkie ludowe przesady wstrętnem jej samobójstwo czyniły, a przecież nie mogła w potępienie swego dobrego pana uwierzyć; co więcej, moralnym swoim instynktem odgadła to, że córka łatwiej zbawioną będzie, jeśli o zbawieniu umarłego ojca głębokie przekonanie w sercu swem przechowa. Gdy mi gwiazdkę wskazała, osądziła, że ta najbezpieczniej rozstrzygnie między fałszem a prawdą. Lecz ja dalszych prócz tego potrzebowałam objaśnień.

— A jakim sposobem papa się tam dostał? a kiedy powróci? — nalegającym tonem prosiłam, żeby mi powiedziała. — To musi być strasznie daleko!

— O! daleko, daleko. Nikt z żyjących tam się nie wzniesie, tylko umarli znają drogę, a który trafił, to już nie wraca, bo mu tam lepiej.

I dowiedziałam się wielu zaziemskich tajemnic, że szczęśliwe dusze z innych światów patrzą na nas, znają wszystkie myśli nasze i proszą Boga, ażebyśmy, my ich ukochani, godnymi byli kiedyś złączyć się z niemi na zawsze. Każde słowo Marcyny tak było dla mnie przystępne i zrozumiałe, jak gdybym je nie po raz pierwszy słyszała.

— A czemu mama tak się przelęknęła, kiedy Piotrus

powiedział, że papa się zabił? Wszak mama wie o tem, że pójdzie do papy?

— O! moaż ty kruszyno najdroższa! Mama się przestraszyła, bo teje chwili byłaby rada za naszym panem pobiegnąć, a was tu samych zostawić się boi. Niktby was już tak nie ukochał, niktby wam tak nie dogadzał, nigdzieby wam tak dobrze nie było — ani u ciotki, ani u babki nawet.

Przeraziłam się wzmianką o tej możliwości.

— Marcyno, mama nie odejdzie jeszcze? — proszącym głosem pytałam.

— Bóg to raczy wiedzieć, moje dziecko. Jeżeli będziecie niegrzeczni, jeżeli Józio będzie hałasował i zaprzężone krzesła około stołu obwoził, jeśli ty krzykniesz choć raz tylko, tak jak przed chwilą krzyczałaś, to mama sobie pomyśli, że jej nie kochacie, nie potrzebujecie, i bez wielkiego żalu rozstanie się z wami.

— Kiedy ja mamę kocham, ja mamy potrzebuję; moja złota, moja jedyna Marcynko! puść mnie na chwilę do jej pokoju, żebym jej to powiedziała, nim mnie spać położysz.

— Do pokoju pani mecenasowa nigdyby Napolci nie wpuściła; ale wiesz, co zrobisz, mój ty aniołeczku najcudowniejszy? oto jak się na dobrą noc przeżegnasz, tak półgłosem powiesz mamie wszystko, co masz do powiedzenia. Nie bój się, mama usłyszy.

— Nie usłyszy z trzeciego pokoju, to zadaleko.

— Tacy chorzy jak mama to duszą słyszą z bardzo daleka.

Przez cały czas tej rozmowy Marcyna chodziła zemną tam i napowrót przed drzwiami kamienicy, huśtała mnie, całowała, póki zupełnie łkać i drzeć nie przestałam; teraz, widząc mnie uspokojoną, po cichuteczku na górę

mnie wniosła. Uprosiłam sobie, że jeśli nie do pokoju mamy, to przynajmniej pode drzwi jej pójdziemy. Na szczęście moje, drzwi były uchylone, lampka w głębi się paliła i przy jej świetle dojrzałam leżącą na poduszkach głowy, z otwartymi szeroko i w jeden punkt utkwionemi oczyma.

— Mamo — szepnęłam z cicha — niechaj mama od nas nie odchodzi; my z Józiem bardzo grzeczni będziemy, bardzo posłuszni, zachowamy się tak cicho, jakby nas w domu nie było, tylko, mamo, nie zostawiaj nas tutaj, już lepiej weź nas razem z sobą do papy.

Oczy matki z wolna się przymknęły, a mnie Marcyna w łóżeczko położyła i gdy mnie całowała, czułam, że twarz jej od łez wilgotną była.

Nazajutrz ciotka Joanna bardzo się zdziwiła, żeśmy oboje z bratem w domu nocowali i cały ranek w stołowym pokoju przesiadeli, a najmniejszego nie zrobili hałasu. Pochwaliła nas za to, nie chciała jednak zupełnie tak poważnemu usposobieniu naszemu zaufać; według pierwszego pomysłu swego, kazała nas przeprowadzić do sąsiadki z pierwszego piętra, która się nawet pierwsza z chęcią jakiejś pomocy do ciotki zgłosiła. Spędzaliśmy tam po kilka godzin codziennie, zawsze na noc do swoich łóżeczek wracając. Podobno ciotka chciała nas do siebie na wieś wyprawić, zwykle bowiem, chociaż mąż w Warszawie stale przebywał, ona zamieszkiwała niewielki, ale bardzo ładny w pobliżu stolicy folwarczek. Dom był drewniany, lecz wewnątrz wykwiłtnie urządzone, ogród pełen kwiatów, cienistych szpalerów i pysznych drzew owocowych; za ogrodem krzaki leszczyny, brzożowe gaiki snuły się aż po skraj większego lasu.

Ślicznie tam było, ale dzięki Bogu nie wywieziono nas z Józiem do tych wspaniałości, których wtedy ani

Józio, ani ja ocenićbyśmy nie umieli; wuj mecenas zwrócił uwagę ciotki, że matka w jakiejś chwili lepszej przytomności, lub podnieconej gorączki, mogłaby nas koniecznie zażądać; dla niej więc zostawiono nas na podórzedziu. Tymczasem wysłano listy z wieścią żalobną do babki i do wuja Kazimierza. Jak prędko, nie wiem, ale pamiętam chwilę, w której ten ostatni przyjechał; kiedy wszedł do pokoju, gdzie z Józkiem kończyliśmy wieszczkę, bladym był, jego włosy ciemno-kasztanowatego koloru tem ciemniejszymi przy świecy się zdały, a że był także i dosyć wysoki, tak mi jakoś ojca uprzytomnił, że aż:

— Papa wrócił! — krzyknęłam. Bo choć mi ciągle mówiono, że papa wrócić nie może, ja wierzyłam, ale nie czułam tego. Istotne zjawienie się ojca w owych dniach pierwszej żaloby nie byłoby mnie wcale zadziwiło. Dzieci nie mają pojęcia śmierci, jabym dodała nawet, że wstrętne do niej instynktu nie mają; o ile widziałam, jeśli ból nie jest zbyt ciężki, dziecię nadzwyczaj spokojnie, bez trwogi i żalu umiera, a choćby najszczerzej było do kogo przywiązane, to więcej za odjeżdżającym w powozie, niż za wynoszonym w trumnie tęskni i płacze. Śmierć nie czyni na dziecku tego wrażenia, jakie starsi z nią łączą. Dziecko nigdy nie jest przekonane, że traci kogoś *na zawsze*, że nie zobaczy go *nigdy*. Rzadkie są chyba wyjątki.

My z Józkiem nie należeliśmy do wyjątków.

Wuj zmieszał się i przeraził moim wykrzyknikiem, a ja, gdy się o pomyłce przekonałam, równie wesoło zarzuciłam wujaszce obie ręce na szyję, jak gdybym zawiedziona nie była, i Józio w ręce klaskać zaczął, lecz klaskać pocichu, bo pamiętał, że mama chora.

— Biedne, biedne dzieci! — powtarzał wujaszek,

obejmując nas jedynem swoim ramieniem. — Czyż tak prędko jużście ojca zapomnieli?

— Ja ojca nigdy nie zapomnę — z oburzeniem zaprotestował Józio.

Przykro mi się zrobiło, że na takie posądzenie zasłużyć mogłam; nie śmiałam się usprawiedliwiać, tłumaczyć; z wielkiem upokorzeniem słuchałam później, kiedy ciotka Joanna opowiadała to zdarzenie, jako dowód mojej nad lata dziecinnej obojętności. Dziś jeszcze ręczyć mogę, że był to niesłuszny zarzut. Nie wuja Kazimierza wzięłam za ojca, tylko tę postać wysoką w płaszczu, z wojskowym ruchem stojącą przed nami. Trzeba przyznać, że wcześniej z fałszywym sądem ludzkim się spotkałam. Wuj Kazimierz od chwili swego przybycia zaraz się z ciotką Joanną podzielił godzinami czuwania nad chorą. Babka też, jak mówił, koniecznie do swej najmłodszej wybrać się chciała, ale od śmierci męża tak podupadła na siłach, że ledwo do kościoła parafjalnego kiedyniekiedy pojechać mogła; dała więc sobie zbyt przykrą drogę wyperswadować, ale domagała się koniecznie, żeby Teklunia na wyzdrowienie z dziećmi i z całym dworem swoim na wieś do niej przyjechała.

Lecz wyzdrowienie pod wielką jeszcze było wątpliwością. Dziwiło mnie to, że ów wujaszek, który tak zawsze bawił się z nami i dokazywał, teraz ledwo spojrzął na nas, ledwo czasem zrana lub wieczór pocałował, smutnie wzdychając. Trzeba przyznać, że dla dwojga takich pieszczonek, ukochanych dzieci, dla dwojga takich zawias kardynalnych, na których cały zakręt domowy się obracał, spaść nagle w bezznaczną zupełną, nikogo prawie nie obchodzić, a każdemu często zawadzać, było to okropnie trudną do spożytkowania nauką. Nic dziwnego zatem, że zwolna te wycieczki na pierwsze piętro, do któ-

rych z początku namawiać nas było trzeba, zaczęły nam się coraz więcej podobać. Pani Glinicka pozwałała nam wszędzie biegać, wszystko ruszać, wszystkiego się napięrać. Nieraz głośne śmiechy nasze rozlegały się po jej pokojach.

— Mój Boże! — mawiała wtedy zacna ta pani — jak to dzieci prędko zapominają, ani pomyślą o nieboszczyku ojcu, ani zatęsknią do matki.

Tymczasem my z Józkiem wcaleśmy nie zapominali, ojciec był ciągle myślom naszym przytomny, a do matki serca nam się rwały, tylko uczucia te nie mieszały się z uczuciem cierpienia.

Kto wie, czy boleść nadgrobowa, czy smutek za umarłymi istotnie w naturze ludzkiej sam z siebie powstaje? Byłoby to wielką niesprawiedliwością, lub wielką niekonsekwencją. Śmierć — jedyna niezawodność w losie człowieka, śmierć-konieczność, śmierć-przeznaczenie, śmierć jakiegoś jutro nieuchylone każdego zrodzonego na ziemi człowieka, czemużby nieszczęściem lub strachem dla drugich być miała!? Żałoba niezawodnie sztucznym jest wyrobem, albo przygotowawczym ćwiczeniem do tego, co się istotnie umarłym należy.

Umarłym należy się pamięć, zachowanie stosunku przez utrwalenie we własnym życiu ich zasad, gdy były poczciwe, przez dosnucie ich zamiarów, gdy były szlachetne, zachowanie tak wierne, jak wiernie dziejowość je zachowuje przez smutne skutki złych wpływów, które na nas wywarły, przez ciężką pokutę za ich grzechy i błędy. O! pielęgnujmy w sobie to dziecinne usposobienie przy każdym wiekuistym rozstaniu. Nie płaczmy, ale pamiętajmy, iż nasze życie umarłych przedłuża.

Pani Glinicka była to majątna wdowa, drobna, szczupła, żywa i czynna, pracowita, jak się to rzadko pono

między młodemi a majątnymi wdowami spotyka. Choć wówczas nie oceniałam tego, to dzisiaj wydziwić się nie mogę, że przy całej drobiazgowości swojej w utrzymaniu domowego porządku, pozwalała nam tak swobodnie się uwijać, między starannie pościeranymi meblami mahoniowymi i mnóstwem rozstawionych po stolikach i serwantkach fraszek. Zasluga jej rośnie w moich oczach, gdy sobie przypomnę, że wcale nie była przyzwyczajona do takich swawolnych, jak my z Józkiem dzieci. Miała wprawdzie syna jedynaka, ale ten nigdy chyba po dywanach się nie przewracał i po krzesłach na okna nie wchodził. Kiedyśmy się z nim zaznajomili, był to już student z liceum warszawskiego, czwartoklasista, ze dwanaście lub trzynaście lat mający. Sztwywny, krępy, z twarzą okrągłą, z niebieskimi, na wierzchu osadzonemi oczami, zgóry spoglądał on na nas i zdawało się, że miałby sobie za ubliżenie, gdyby się kiedy aż do bawienia z nami poniżył.

Jednego dnia przecież, nie wiedzieć z jakiego powodu, wracając z klasy, Józkiowi obrazek jakiś, a mnie pomarańczę przyniósł. Pomarańcza w owe czasy nie był to wcale tak pospolity, jak dziś upominek — może tam kiedy dostałam od kogo kawałek na skosztowanie, ale mieć całą pomarańczę w rękę, być jej właścicielką niezaprzeczną, to się równało hesperydowej rozkoszy. Nie posiadałam się z radości, oglądałam skarb mój na wszystkie strony, podziwiałam ogrom, kształt i kolor i w pierwszej chwili uniesienia do tego stopnia darem się zajęłam, że dawcę z uwagi straciłam. Po chwili dopiero chciałam wdzięczność moją okazać, ale już student, jakeśmy go z Józkiem nazywali, do swojego gabinecziku się schronił. Gabinecik ów był jedyny nieprzystępny dla nas zakątek mieszkania. Ile razy które z nas tam się skierowało, zaraz pani Gli-

nicka mówiła, że nie trzeba tam chodzić, że tam nic ciekawego niema, tylko książki i kajety, lub Oleś nad książkami i kajetami schylony. Tego dnia jednak, pierwiej nim jakikolwiek zakaz mógł mnie powstrzymać, jednym pędem puściłam się i wbiegłam do tej ciekawej z kajetami i książkami kryjówki. Posiadacz jej klęczał właśnie przy drewnianym stołku i starannie linją arkuusz grubego papieru obcinał. Po swojemu rzuciłam mu się na szyję i dusić go prawie w uściskach i pocałunkach zaczęłam. Linja się osunęła, papier się krzywo odkroił, a pan student z wielką biedą ledwo się z objawów mojej serdeczności wyswobodził.

— No dosyć, już dosyć — wołał z wyraźną przykrością — niech mnie Napolcia puści! Starszym, kiedy się ucza, nigdy przeszkadzać nie trzeba.

I z tą radą moralną wyprowadził mnie z pokoju, a potem słyszałam jak drzwi od wnętrza zamknął. Nigdy w życiu nie czułam się tak upokorzoną; dotychczas pewną byłam, że jeśli kogo popieszczę, to mu tem wielką łaskę lub przyjemność sprawię; teraz odtrącono mnie, połajano niemal; dowiadywałam się po raz pierwszy tej smutnej rzeczy, że chęć życzliwa, że garnące się do ukończenia serce chłodno odepchniętem być może.

Zasepioną w kąciku, bodaj czy nie płaczącą nawet spostrzegła wkrótce śpiesznie przez salon idąca pani Glinicka.

— Co ci to, moje dziecko? co, moje kochanie? czy upadłaś? czy cię co boli? Ah! jaką śliczną masz pomarańczę!

Wyraźnie chciała uwagę moją na ten piękny przedmiot skierować. Tymczasem widok jego do reszty mnie rozrzewnił i nie żartem łzami oblałam złote jabłko moje. Po długich pytaniach i bezowocnem usiłowaniu, by na nie

odpowiedzieć, zdobyłam się wreszcie na jakie takie sprawozdanie.

— Wyprowadził mnie z gabinetu i drzwi na klucz zamknął.

— Kto, Oleś? — pani Glinicka naturalnie syna swego Olesiem, nie studentem nazywała.

— Tak jest, pan student — odrzekłam.

— A widzisz, moje dziecko, ja ci zawsze mówiłam, żeby mu nie przeszkadzać; on się uczy, on się bardzo lubi uczyć. I pocóżes tam chodziła?

— Bo mi dał tę pomarańczę.

— Tembardziej nie trzeba było przykrości mu robić.

— Chciałam mu podziękować, uściskałam go, a on mnie za drzwi wypchnął.

— No, to inna rzecz, to już wina Olesia, że się na twojej dobrej intencji nie poznał. Dzisiaj dajmy mu pokój, niech się uczy, zobaczysz, jutro wylaję go, będzie musiał cię przeprosić.

Zapewne pani Glinicka nie wylażała Olesia, niemniej przeto Oleś mnie przeprosił i w rękę pocałował. Twarz jego, dość pochmurna zwykle, łaskawie nawet uśmiechnąć się raczyła. Ja wszelako miałam już tyle rozumu, aby wiedzieć, że ze mnie żartuje.

Przyszedł dzień wreszcie, w którym matka, zdrowsza i silniejsza, widzieć nas zapragnęła. Podobno, że jej było trzeba dość długiego przygotowania na tę chwilę. Z początku kazała tak drzwi uchylać, żeby ją głosy nasze dochodziły, potem zdaleka patrzyła, jak się jedno lub drugie w otwartej dla jej oka przestrzeni mignęło, a jednak pomimo tego stopniowania wrażeń, gdy nas wuj Kazimierz do niej wprowadził, tak spazmatycznie płakać zaczęła, że dopiero musiał jej brat pogrozić, iż nas wyprowadzi, aby uspokoiła się trochę.

Ręce jej drżały, gdy nas tuliła do piersi, drżały jej usta, gdy powtarzała to samo słowo, które niegdyś w gorączce nam rzuciła:

— Sieroty, sieroty!

Na szczęście przyszło mi jakieś dobre natchnienie, żeby się spytać mamy, czy słyszała, co ja do niej z drugiego pokoju mówiłam pierwszego wieczora zaraz, jak... jak ciocia Joasia przyjechała.

Nie, mamę ani jedno słówko nie doszło. Więc co prędzej szczerą spowiedź rozpoczęłam, jak ja byłam niegrzeczną, jak strasznie się rozkrzyczałam, że aż Marcynka na ulicę ze mną uciekać musiała, jak mi mówiła, że ojciec na pięknej gwiazdeczce teraz mieszka, jak nakoniec przyszedłm pode drzwi prosić, żeby się mama tak bardzo do niego nie śpieszyła.

Matki boleść w rozrzewnienie przeszła.

— Zostanę, zostanę z wami — powtarzała, całując kolejno schylone ku niej główki nasze.

— Pamiętaj, Tekluniu, żebyś dotrzymała tej obietnicy — wzruszonym i poważnym głosem wuj Kazimierz odezwał się na to. Nie chciał jednakże w tak smutnym kierunku dalszej rozmowy prowadzić. Zaczął nas wypytywać o wszystko, cośmy u pani Glinickiej robili i widzieli, więc zaraz Józio pośpieszył z najświetniejszym opisem różnych bogactw i arcydzieł.

— Jakie tam w złotych ramach obrazy z żołnierzami i generałami w mundurach najrozmaitszych; jaki na biurku koń żelazny czy miedziany, tego z pewnością powiedzieć nie umiał; jaki nożyk w perłową macicę oprawny; co za zwierciadło ogromne! — Przerwałam mu mojemu wykrzyknikami:

— Co za fortepian! co za śliczne lalki porcelanowe! Istotnie takich kosztownych ozdób nie było w na-

szych skromnych pokoikach. W najpiękniejszym środkowym salonie popielate obicie, stół, kanapa i krzesła jesionowe, czarnym włosieniem pokryte, białe u okien firanki, bujnie rosnące kwiaty w zielono polewanych doniczkach — oto wszystko mniejwięcej, co sobie przypomnieć mogę. W sypialni matki pokoju było trochę więcej sprzączków dla wyobraźni dziecinnej ponętnych, ale nie szły w porównanie z tem, cośmy na dole oglądali.

— Cóż jednak z tego wszystkiego najwięcej się wam podobało? — zapytał wuj Kazimierz.

— Mnie koń — zawołał Józio.

— A mnie pomarańcza — rzekłam zkolei.

Trzeba było historję tej pomarańczy opowiedzieć. Wujaszek zaczął mi dowodzić, że Oleś powinien mi się być jeszcze lepiej podobać.

— Mnie się pani Glinicka podobała, ale ten student, to strasznie brzydki.

— No, patrz, jak ta niewdzięcznica wczynie sobie wyrabia pojęcia o tem, co piękne lub brzydkie — zwracając się do matki, z lekkim uśmiechem oskarżył mnie wujaszek.

— Ja nie jestem niewdzięcznica — zaprzeczyłam co prędzej; — choć brzydki, pocałowałam go przecież; ale on taki niegrzeczny, nigdy bawić się z nami nie chciał, zawsze nad książkami siedzi tylko.

— A to właśnie grzecznym być musi — wtrąciła matka, słabym swoim i drżącym jeszcze głosem. — Wszystkie grzeczne dzieci lubią zawsze nad książkami siedzieć; daj Boże, abyście i wy z Józkiem lubili kiedyś także.

— Istotnie — odezwał się wujaszek — słyszałem, że ten chłopiec ma wielkie zdolności, wielką chęć do pracy, i że doskonale się uczy.

— Pani Glinicka — zaszczębiotał wtedy Józio — mówiła, że jest pierwszym w swojej klasie i że nawet, kiedy wszystkich lekcyj już się nauczy, wszystkie zadania odrobi, to jeszcze wyciągnie jaką książkę z biblioteki i całą nocby czytał, gdyby mu świecy nie zgasili.

— A tybyś wolał spać, chłopcze? — zapytał wujaszek.

— O! niech śpi lepiej — wyrwałam się choć niepytana. — Mama nie będzie potrzebowała wstawać do niego, żeby mu świecę gasić, i będzie zdrowsza, nie zaziębi się.

Po wybladłej twarzy matki przesunął się niby ślad zapomnianego uśmiechu.

— Lepiej, moje dziecko, niech mama wstaje, niech się i zaziębia nawet — rzekła, wychudłą ręką gładząc moje włosy; — mamie to nie zaszkodzi, niech tylko Józio dobrze się uczy kiedyś i tak jak Oleś, da mi prawo powiedzieć, że jest pierwszym w swojej klasie.

Słowa te dziwne na mnie zrobiły wrażenie; więc to musi być coś bardzo wielkiego dobrze się uczyć; a jednakże nietrudnem mi się zdawało: jeśli taki gruby i tłusty Oleś potrafi, cóż to dopiero będzie, gdy mój Józio do książki się zabierze. Czyż on nie umiał wybornie wszystkiego, co mu tylko pokazali? Piotruś odchwalić go się nie mógł, jak prędko całej mustry się wyuczył; papa raz tylko pokazał mu, jak to koniem powodować i na siodle trzymać się należy, a Józio zaraz sam trawnik dziedzińcowy wuja mecenasa dokoła objechał, aż go papa pocałował za to, i słyszałam, jak później chwalił przed mamą, że taki pojętny. A jakie to on długie wiersze umiał deklamować!

„Na głębiach oceanu, co dwa światy dzieli,
Gdy wracająca nawa żaglami się bieli“...

Ja tych słów nie rozumiałam nawet, on z pamięci mówił jak pacierz. Z czytaniem wprowadzie nie szło mu tak prędko, może dlatego, że mniej dbał o to; ale teraz, kiedy wie, że mama tego sobie życzy, to pewnie więcej książek od Olesia przeczyta. Wszakże jest daleko piękniejszy i ludzie za nim na ulicy się oglądają.

Takie było wówczas moje wyobrażenie o naukowych zdolnościach.

Tymczasem matka nasza zwolna bardzo, ale jednak przychodziła do zdrowia; nieszczęście nasze wiele współczucia wzbudziło. Kiedy już pan Czekiński pozwolił matce raz na dzień odwiedziny znajomych przyjmować, zjawił się najpierwej jakiś pan wysoki, okazałej postawy, w ciemnozielonym mundurze, ze złotymi szlifami na ramionach, ale bez nogi. Zdaje mi się, że dziś jeszcze widzę przed sobą tę twarz pogodną, przy białych jak mleko włosach, kobiecą prawie świeżą białością i rumieńcem młodości, a po męsku prawdziwie uderzającą, bystrem ciemnych oczu spojrzeniem, dwoma łukami brwi czarnych jak węgiel i jak węgiel czarnym z obu stron do pół twarzy odkreślających się zarostem. Kiedy wszedł, najpierwej Józia w czoło pocałował, a potem mnie wziął pod pachy i kazał, żebym ja go pocałowała. Z wujem Kazimierzem witał się nadzwyczaj serdecznie.

— No kolego — z uśmiechem rzekł, wskazując na próżny rękaw wujaszka — dwóch nas tu ludzi, a ledwie trochę więcej niż półtora człowieka. Moznaby z tego zagadkę do Momusa przesłać.

— Jeszcze to pół biedy — odpowiedział wujaszek — kiedy tylko jednej nogi i jednej ręki nam brakuje, a dwa stare pocziwe serca zostały.

— I zostaną usque ad finem. Ale powiedz mi, jak

się pani majorowa miewa? Przychodzę do niej z ważną propozycją, lękam się, aby jej nie rozdrażniła.

— Kiedy ją pułkownik przynosi, to pewien jestem, że nie rozdrażni.

— Gdyby to pułkownik sam od siebie przynosił, toby nie rozdrażniło może; ale kiedy samego pułkownika poufną drogą z trzecich ust doszło jedynie, to sprawa trochę zawikłana. — I kilka słów zniżonym głosem do ucha prawie rzucił wujaszкови. Wujaszek okropnie się zmieształ. Chwilę jeszcze rozmawiali tak z sobą pocichu, aż nakoniec obadwa weszli do matki pokoju. W wiele, w wiele lat później dowiedziałam się, że to o los Józia chodziło; ofiarowano mu miejsce w korpusie kadetów, z obietnicą promocji do szkoły aplikacyjnej.

Matka aż się zatrzęsała z oburzenia.

— Nie, nie chcę! — krzyknęła z istnie gorączkową siłą. — Nie chcę, żeby mój syn w wojsku służył. Pod błogosławieństwem zakażę mu tego. Jeśli mi funduszu na szkołę zabraknie, to do rzemiosła go oddam, do handlu, byleby go moje oczy w mundurze nie widziały.

Pułkownik nie dziwił się temu wstrętowi, a jednak żał mu było, że straci sposobność do bezpośredniej opieki nad synem dawnego towarzysza broni.

— Zachowaj mu pan tylko opiekę przyjaźni i dobrej rady — mówiła matka, serdecznie dłoń jego w obu swoich drobnych rękach ściskając; — taka opieka da mu więcej, niż świetną karierę: da mu wsparcie na drodze honoru i cnoty.

Pułkownik wyszedł od matki głęboko wzruszony. Gdy spotkał Józia w stołowym pokoju, wziął go za oba ramiona, silnie nim wstrząsnął, w oczy mu długiem, badawczem popatrzył spojrzeniem i rzekł nie wesołym już, nie żartobliwym, ale pełnym powagi i znaczenia głosem:

— Pamiętaj, chłopcze, że gdybyś na pocziwego nie wyrósł człowieka, tobyś ze mną miał do czynienia. Będę ja czuwał nad tobą.

Józio trochę się przestraszył, trochę zdziwił, lecz mimowolnie prawie rękę grożącego mu z poszanowaniem ucałował.

W kilka dni potem, gdyśmy się z Józkiem przy matce leżącej na sofie bawili, weszła do pokoju lekkim, prawie rzechy można bez szmeru płynącym krokiem jakaś pani dobrego wzrostu, dobrej tuszy, w popielatej sukni, czarnym szalem przyodziana, z czarną zapuszczoną u kapełusza woalką; gdy ją podniosła, matka nasza obie ręce wyciągnęła do niej, a nowoprzybyła, ujawszy je z łagodną pieśczołą, stała w milczeniu i patrzyła na zwróconą ku sobie twarzyczkę tak młodą, piękną a tak głęboko już smutkiem napiętnowaną i przez chorobę zniszczoną. Dwa strumienie łez płynęły po jej surowem obliczu, bo to jednak surowe było oblicze; rysy jego, na inną kobietę przeniesione, byłyby mogły nawet odpychającami się zdawać, wszystkie były niekształtne, zaszerokie; zaszerokim był ich obwód, zaszerokim przedział między piwno-ciemnymi oczami, zaszerokim nos gruby, krótki, a przy mocno wyciętych nozdrzach niemal zadarty, zaszerokie usta, niedość pełne, zaszeroka broda zaczynająca się łączyć z szyją, której już dosyć wydatnie objawiające się wole zagrażało. Otóż mimo tych niedokładności rysunkowych, całość twarzy nie czyniła wrażenia brzydoty; można ją było nazwać surową, ale gdy ją uśmiech rozjaśnił, gdy ją tkliwość rozpromieniła, każdy uznać musiał jej wdzięk czysto duchowy; ja wiem przynajmniej, że ją zawsze dobrą i rozumną, a kilka razy w życiu nawet prawdziwie piękną widziałam. Miałam bo też dość czasu zapoznać się z tą twarzą, we wszyst-

kich zmianach jej wyrazu, od udanego gniewu, do pokrytego milczeniem oburzenia, od uzalenia nad cudzą biedą, do żalu nad cudzym błędem; patrzyłam na rozradowaną i na smutną, na trwożliwą i mężną, na zachęcającą mnie do życia i na umarłą.

Nieme powitanie matki naszej z wysoką panią, długim uściskiem i wzajemnym wysiłkiem do powstrzymania głośniejszego płaczu się zakończyło, odwiedzająca pierwsza na kilka słów się zdobyła:

— Moja Tekluniu — rzekła — jaki to Bóg dobry, że ci dał te dwoje dzieci!

Matka szepnęła coś tak cicho, że jej słowa uszów naszych nie doszły. Pani owa chyba także dosłyszeć ich nie musiała, czy nie chciała, bo zamiast odpowiedzieć cokolwiek, ku nam się zwróciła i skinęła, żebyśmy do niej przyszli. Zapewne nie pierwszy raz widzieliśmy ją wtedy. Józio bardzo śmiało i zręcznie się uklonił i w rękę pocałował, lecz ja nie przypominałam sobie tej poważnej osoby, więc też w półdrogi na uboczu stanęłam.

— A jaki grzeczny chłopczyk, ile też lat mieć może? — po matce przesuważąc spojrzenie, pytała.

— Dziewiąty rok zaczął niedawno.

— I uczy się już — uczy?

— Zaczął już, ale bardzo mało na swój wiek umie.

Ten sąd matki oburzył mnie, jak największa niesprawiedliwość.

— Mamo — odezwałam się z mego kącika — Józio przecież bardzo dużo umie; umie się mustrować, konno jeździć, po wysokich drabinach chodzić i także długie wiersze deklamować! Piotruś powiada, że niezadługo to lepiej od niego potrafi swoje bućki wyszczotkować i sukienki wyczyścić.

— Jakto! już tyle, tyle rzeczy umie? — podziwiająco

niby wykrzyknęła ta, która obcą mi się zdawała jeszcze ale wcale niestraszną już. — Ach! moja Tekluniu, pokażuje się, że on już wiele pożytecznych posiada wiadomości; dobrze to, że konno jeździ, mężczyzną jest przecież, mnie jednak najlepiej się to podoba, że już buciki tak wprawnie szcztokuje i sukienki sam sobie czyści.

— Piotruś powiada, że wojskowy powinien umieć wszystko sam koło siebie zrobić — odezwał się Józio sentencjonalnie.

— Nietylko wojskowy, mój Józiu — z żywością podchwyciła matka — każdy powinien to umieć i tobie się też przyda, choć nigdy wojskowym nie będziesz.

— Nigdy? — ze zdziwieniem powtórzył Józio.

— Niewarto mówić o zbyt dalekiej przyszłości — pośpiesznie gość uprzedził odpowiedź naszej matki — dzisiaj. Józio niech tylko nad tem się zastanawia, jaką to on ma dobrą siostrzyczkę; gdyby nie ona tobyśmy wszystkich jego umiejętności nie obliczyły ściśle; pójdźże tu, moja maleńka. — I gdy przyszłam — jakże ci na imię? — zapytała, głaszcząc mnie po twarzy.

Było to jedno z pytań ułożonego dla mnie przez Marcynę katechizmu. Nasłuchiwała się powieści o kradzionych i zabłąkanych dzieciach, więc i mnie co prędzej nauczyła:

— Jak ci na imię?

— Napoleona Hołosko, córka Tekli z Kalińskich i majora pułku drugiego ułanów, Ewarysta Hołosko.

— Gdzie mieszkasz?

— Na ulicy Zakroczymskiej pod Nr... na drugim piętrze.

— A jakich twoi rodzice mają znajomych?

Tu następował szereg kilkunastu nazwisk, systematycznie rozdzielonych na państwa, panów i panie.

— Znam ciocię moją Joannę i wuja mego mece-

nasa, Pawła Dobrzyńskiego; znam państwa pułkownikostwa Sowińskich, znam państwa Dyzmańskich, znam państwa Marszałkowskich, znam pana: Plichtę Kazimierza, pana Kopycińskiego Franciszka, d-ra Czekierskiego; znam panie: Glinicką, Nowodworską, pannę Wrzesińską i panią Wilczyńską.

Marcyna słusznie wnioskowała, że te stosunki mogą mnie, w razie przypadku, dla obojętnych, lub nawet dla mających złe zamiary, pewną aureolą otoczyć. Wkrótce takiej nabyłam wprawy w odpowiedziach, że nie czekając pytań, jedno po drugim trzepałam, i teraz więc byłam pewna, że ta pani, ciekawa postępów Józia w nauce, z kolei dowiedzieć się też chciała, czy ja korzystam z udzielanych mi lekcyj. Bez zająknięcia przeto szybko młynkować zaczęłam:

— Nazywam się Napoleona Hołosko, jestem córką... mieszkam... znam państwa... panów... panie... aż stanęłam na pani Wilczyńskiej i odetchnęłam swobodnie.

Słuchająca przygarnęła mnie ku sobie, ucałowała i wzięwszy na kolana, coś po francusku do matki rzekła, a potem ze mną bliższą zaczęła rozmowę. Najpierwej musiałam objaśnić, kto mnie tego nauczył i w jakim celu. Spadła na Marcynę i na mnie wielka pochwała.

— Więc ty znasz panią Wilczyńską, moje dziecko?

— Nie znam — krótko i węzłowato odcięłam.

— Ej! czy tylko naprawdę nie znasz? czy nigdy jej nie widziałas?

— Marcyna mówi, że widziałam, ale ja nie pamiętam.

— Więc czemu ją liczysz między swoich znajomych?

— Bo Marcyna mówi, że to bardzo dobra pani, że wielu biednym i bogatym ludziom jest znaną, więc jej nazwanie zawsze mi na dobre wyjść może.

— Skądże Marcyna wie o tem?

— Przecież od mamy słyszała. Mama cały rok była u pani Wilczyńskiej i bardzo ją kocha.

— A ty czybyś ją kochała, gdyby była na przykład do mnie podobną?

Zaczęłam się uważniej przyglądać uśmiechniętej, która się ku mnie pochylała.

— A może to pani jesteś panią Wilczyńską? — zawołałam uradowana moją domyślnością.

— No, zgadłaś; idzie tylko o to, czy taka pani Wilczyńska ci się podoba?

— Teraz to mi się już podoba — odrzekłam po krótkim namyśle.

— Więc pierwiej ci się nie podobałam?

— Nie.

— Ach! Napolciu — zgorszonym głosem upominała mnie matka.

— Dajże jej pokój! — przerwała zacna ochmi-strzyni; — można zgromić dziecko, kiedy samowolnie wmiesza się do rozmowy starszych i swoje sądy o nich objawia, lecz gdy je pytają, powinno zawsze szczerze, to co ma na myśli powiedzieć. Nie bój się, zbyt prędko przyjdą lata, w których się nauczy zdania swoje w bawelnę obwijać. Teraz — ciągnęła dalej, ku mnie się zwracając — mam nadzieję, że Napolcia powie mi otwarcie, dlaczego jej się nie podobałam z początku, a teraz już podobam?

— Pani mi się nie podobała dlatego, że nie jesteś taką śliczną jak mama; a podobasz mi się, bo mnie pieścisz i dlatego, bo się dowiedziałam, że jesteś tą dobrą panią Wilczyńską, o której mama nam różne rzeczy opowiada.

Za moją szczerość dostał mi się jeszcze jeden uścisk, po którym nowe nastąpiło zapytanie:

— A czy chciałabyś Napolciu, być u mnie, tak jak niegdyś była twoja mama, tylko trochę dłużej?

— O! nie! — wykrzyknęłam conajśpieszniej. — Ja nie mogę mamy opuścić. — I zaczęłam się nieznacznie z kolan pani Wilczyńskiej zesuwać. — Mamo, wszak prawda, że nie mogę? Wujaszek mi powiedział, że ja z Józiem tośmy twoje pociechy jedyne.

— Ja też cię nie chcę dziś już z sobą zabierać — przedstawiała pani Wilczyńska — zatrzymując mnie trochę przymusowym sposobem. — Wujaszek ma słuszność; jesteś wraz z braciszkiem największą dla mamy pociechą, ale później, jak podrośniesz, to mama równą pociechę mieć będzie, kiedy zobaczy, że się uczysz i po francusku, i po niemiecku, i grać i rysować.

Wychyliłam się naprzód, by z oczu mamy pomiar-kować, czy istotnie mama życzyła sobie tego wszystkiego, ale mama w tej chwili właśnie do ust przyciskała rękę dawnej swej przewodniczki, a nawiasem wspomnieć warto, że była to ręka biała, pulchna i drobna, jakgdyby do najarystokratyczniejszego próżniactwa utoczona. Ta pracowita i dobroczynna ręka!

— O droga pani! — mówiła matka nasza z drżącymi w głosie łzami. — Moja biedna sierotka nie ma dość świetnej przyszłości przed sobą, aby z tak wspaniałej obietnicy korzystała, a ja też prawa nie mam żadnego...

— Tylko spokojnie, spokojnie, moja Tekluniu — uprzedzając dalsze słowa, odezwała się pani Wilczyńska. — Trzeba nam się rozsądnie nad tem zastanowić. — I puszczając już mnie na ziemię — niech dzieci idą się bawić, a my tutaj radzić o nich będziemy — dorzuciła, z takim jakoś stanowczym i poważnym tonem, żeśmy bez

zwykłej opozycji i zwykłego marudzenia natychmiast z pokoju się wynieśli. Może w godzinę potem mama napowrót nas przywołała, a gdyśmy weszli: — Ucałujcie ręce i kolana tej opiekunki waszej — rzekła do nas — ty Józiu za siostrzyczkę, ty Napolciu za siebie samą. Niech tylko Bóg da zdrowie i życie, a w najpóźniejsze lata jeszcze będziecie mieli za co imię pani Wilczyńskiej wspominać.

Ucałowaliśmy ręce i kolana wskazanej nam przez matkę dobrodziejki, i nowy egzamin się rozpoczął i braciszek powiedział te długie wiersze, które mój podziw wzbudzały, a ja znów czułam się upokorzona, że mi tylko krakowiaki śpiewać kazano. Z własnej też woli, ni pytana, ni proszona, wystąpiłam z wierszem Książnina:

„Śpij, moje złotko, śpiewała matka, kołysząc swe dziecię“.

Pani Wilczyńskiej bardzo się to podobało, znowu coś do mamy po francusku długo mówiła, aż nakoniec późnym wieczorem rozstała się z nami.

W tym czasie także pamiętam odwiedzin pana Józefa Paszkowskiego, kapitana od artylerji i profesora w szkole aplikacyjnej. Nie wiem jakim sposobem, ale najpewniej przez ciotkę Joannę doszło to naszej matki, że kapitan Paszkowski, gdy pierwszy raz o śmierci naszego ojca się dowiedział, z oburzeniem miał zawołać: „Szaleńcy! szaleńcy! zapomnieli o Bogu, więc o powinnościach prawego obywatela zapominają“.

Matka też wchodzącego nadzwyczaj chłodno powitała. Gdy już kilka zwyczajowych frazesów zamieniono, kapitan wstał z krzesła, jak gdyby się chciał pożegnać, ale wstrzymał się i zaczął wielkimi krokami po pokoju chodzić. Widać było jakąś niespokojność w jego ruchach,

jakaś myśl głęboko pracującą pod zmarszczonem czołem. Nagle stanął przed matką i zaczął mówić tym żołnierskim, trochę szorstkim tonem, który zwykle przybierał, gdy chciał utaić wewnętrzne wzruszenie:

— Pani majorowo! widzę, że masz żal do mnie; musiał ci ktoś powtórzyć to, co w ów dzień nieszczęsny z serca mi się wydarło, na pierwszą wiadomość o waszej stracie. No! trudno, i moja to była strata; kochałem go! Człowiek był z niego do gruntu serca poczciwy, szlachetny, z głową i charakterem. Głupstwo zrobił, głupstwo, nie mogę przecież wbrew przekonaniu mówić, ale go kocham zawsze i was wszystkich przez niego. Czy pani także na myśl nie przychodziło, że mógł inaczej tę sprawę zakończyć? mógł się do dymisji podać, na innej drodze służąc krajowi, pracować dla rodziny?

— Nie, nie — przerwała matka — żadnego zarzutu nie stawiam jego pamięci; ja tylko jedna wiem, co on przecierpiał, ile zniósł w milczeniu, nic dziwnego, że musiała nadejść chwila rozpacz i uniesienia.

— Chwila ta zawsze grzeszna i nieszczęśliwa; gdybyś w niej była przy mężu swoim, pani majorowo, czyliżbyś ręki jego nie powstrzymała?...

Głos na tem pytaniu zawisł, a gdy matka nic nie mówiła:

— Powstrzymałabyś — ciągnął dalej — jak od grzechu i od nieszczęścia, powstrzymałabyś z instynktu kobiecego i z chrześcijańskiego przekonania. Otóż ja także byłbym chciał jego ocalić, a teraz ocalić chcę jeszcze wielu jemu podobnych. Jeśli się żadne słowo surowej nagany nie podniesie, to kto wie, ilu młodych zapaleńców przykład Ewarysta pociągnie!... Co chwila każdy z nas spotyka na swojej drodze przykrości i zadrażnienia, oburzającą niesprawiedliwość częstokroć, a jednak sumienie

o wytrwałość się upomina; tylko wytrwałością ciężkie kamienie z drogi naszej usuniemy i lepszego doczekamy się jutra. Wiem ja o tem, że im rańniejsze, tem drażliwsze bywają serca, lecz niechajże każdy z nich ucieczką się ratuje i w przedwczesnym grobie schronienia szuka, któż będzie na owo jutro pracował? Zostaną sami chyba niedołężni i znikczemnieni. Ja też co powiedziałem, tego nie cofnę, pani majorowo; nie usprawiedliwiać się, lecz wytłumaczyć przyszedłem; gdybyś mnie nie zrozumiała, gdybyś nie wierzyła, że sąd mój w tak bolesnych okolicznościach jest osobistą z mej strony ofiarą... bo co mówię przeciw Ewarystowi, to jakbym przeciw bratu rodzonemu mówił... Pani wiesz najlepiej, jak bliski był między nami stosunek; wszakże o żalu moim nie wątpisz! — I grube jego szczerolitewskie rysy, czerstwe i rumiane, lekką bladością się powlokły, a w poczciwych, lazurowo-błękitnych oczach tak coś lśnić się zaczęło, że gdyby nie był kapitanem od artylerji, toby można było przysiąc, że tam łza jakaś napływa.

Matka widziała tę zmianę twarzy, czuła prawdę w tym śmiałym a niekiedy w stłumieniu zapadającym głosie; wyciągnęła rękę na pojednanie i rzekła tylko:

— Nie wątpię.

Kapitan rękę po koleżeńsku uścisnął, nawet jej nie pocałował, choć była znakomitą ze swej piękności ręką, w kółkach bliższych i dalszych znajomą, ale gdzież jemu o tem myśleć wtenczas było! W oczach mu zaschło, rumieniec wrócił na lica, do objawu zupełnej radości brakło tylko uśmiechu na ustach, była natomiast nieskończona, niewyczerpana, prawdziwie i rodzinnie kochająca dobroć w spojrzeniu. Przysunął sobie krzesło, rozparł się wygodnie, bo czuł już pewny grunt pod sobą, i bez ogródki zapytał:

— Cóż pani majorowa z chłopcem robić zamyśla?

— Czy chcesz mnie namawiać, kapitanie, żebym go do wojska oddała?

— O! bynajmniej, już wiem że tego sobie stanowczo pani nie życzysz; trzeba jednak plan jakiś ułożyć. Który rok ma chłopiec?

— Zaczął dziewiąty.

— To wielki czas mu do szkół. Czy już zasadziliście go porządnie do przygotowania?

— Od bardzo niedawnego czasu. Mąż mój miał nadzieję, że kiedyś na ułana go wychowa, żeby w jednym i tym samym pułku obadwaj służyli; zdawało mu się, że Józio bardzo wątły jest i nerwowy, książkową naukę z tego powodu na później odłożył, a tylko fizyczne jego siły rozwijał. Biedne dziecko moje niewiele też umie. Pamięć ma dobrą, lecz uwagę bardzo słabą jeszcze.

— Do której jednak klasy mniejwięcej mógłby zdać egzamin?

— O egzaminie to chyba nawet mowy być nie może; czyta jeszcze niebardzo płynnie i we dwóch linjach pisać dopiero zaczyna.

— To zamało, zamało; zaradzimy temu jednak. Przynajmniej jestże on zdrów teraz?

— O! zdrów, i zmężniał i urósł, tylko mu zawsze dziwne jakieś nerwowe rozdrażnienie zostało. Nie lubi ciemności; ojciec wszelkich starań dokładał, aby go z tego wyleczyć; posyłał go wieczorem po różne rzeczy do pokojów, gdzie światła nie było, żartował z niego, wbijał go w ambicję i trzeba przyznać, że Józio wstydził się swojej słabości, posłusznie wypełniał wszystkie ojca rozkazy, tylko im trudniejszą była próba, tem on z bledszą twarzą po jej odbyciu wracał i zawsze w nocy miał sny niespokojne.

Kapitan się zamyślił.

— Chorobliwe usposobienie — rzekł wreszcie — trzeba czasowi zostawić; przymus niekiedy bywa szkodliwy. Jak z latami sił nabierze, dziecinna lekliwość sama przez się ustąpi. Teraz głównie o nauce myśleć trzeba; w domu nie pójdzie to ani łatwo, ani z karnością i ładem, trzeba go w inne przenieść otoczenie; nowy tryb życia, nowe twarze więcej mu zaimponują.

— Ależ to niepodobna — zawołała matka. — Najpierw nie mam na to funduszu, potem nigdybym dziecka mego w obce ręce nie oddała, a potem jeszcze...

— Pani majorowo! bez funduszu się obejdzie, i bez obcych ludzi także. Kiedy przyszedłem dla porozumienia się w tym względzie, to widać, że już miałem plan gotowy; nieświatny wprawdzie, ale zawsze lepszy od tego, któryby się pod okiem — daruj mi pani — pod okiem znękaney i trochę słabej matki wykonywał. Oto poprostu, daj nam go pani na lat parę.

— Jakto, wam, do szkoły aplikacyjnej? — matka zrozumieć tego nie mogła. Kapitan głośno się rozśmiał.

— Otóż to, kiedy myśl jaka wyobraźnię kobiecą uderzy. Pani raz się już kadetami i szkołą aplikacyjną przestraszyłaś i ciągle cię ta zmora dręczy. A cóżby robił taki malec ośmioletni w naszej szkole aplikacyjnej? Ja mówię o sobie i o żonie mojej. Sam będę go uczył matematyki, historii, geografji, gramatyki języka polskiego, a może się coś i z klasztornej łaciny przypomni. Żona będzie mu dawała lekcje francuskiego języka i rysunków, a gdyby go zanadto pieściła, to ją wnet do porządku przywołam.

— Nie mogę... — zaczęła matka. Pan kapitan skończyć jej nie pozwolił.

— Pani majorowa — mówił dalej, jak gdyby żadnej

przerwy nie było — będziesz go miewała tutaj na wszystkie święta i niedziele, a nam dwojgu osamotnionym, nam co dzieci nie mamy, podarujesz na lat parę złudzenie rodzicielstwa. Wyobrazimy sobie, że chowamy własnego syna, który nam się odrazu w bucikach, majtkach i spencerku urodził. Więc zgoda, co, zgoda?

Matka głową przecząco poruszyła. — Jeszcze raz muszę powtórzyć, niepodobna! Jak w okropnym 1812 r. to dziecko zastępowało mi swego ojca, tak i w obecnej chwili zastępować go musi. Nazwij to, kapitanie słabością, brakiem poświęcenia z mej strony; ja czuję, że bez niego żyćbym teraz nie mogła. A trzeba jeszcze powiedzieć kapitanowi, że niezadługo na wieś do mojej matki jadę; niech tylko trochę wzmocnię się, od doktora Czekińskiego pozwolenie uzyskam, natychmiast brat przybędzie tu po nas wszystkich i zabierze z sobą na czas nieograniczony. Pomyślże, kapitanie czemu to było dla mnie, gdybym odrazu ze szczęściem, z tem cichem naszym gniazdkiem domowem i z synem rozstać się musiała.

Kapitan zaczął znowu szerokimi krokami pokój rozmierzać. Taki układ rzeczy wcale mu się nie podobał.

— Mniejwięcej jak długo pani zabawiać tam myśli? — spytał, ciągle się przechadzając.

— Nie wiem — smutnie odrzekła matka. — Ja teraz o niczem nie wiem. Jeszcze się nad przyszłością nie zastanowiłam, jeszcze nie obrachowałam się ani ze środkami utrzymania, ani z podwójnym ciężarem obowiązków, które spadły na moje ramiona! Jestem taka odurzona, taka bezsilna, nieradna... Ale to przejdzie, kapitanie; będę się z Józiem hartowała — i wymuszony uśmiech, jakby do płaczu, ściągnął wychudłe jej rysy.

Szorstki kapitan zupełnie był podobny w tej chwili do człowieka, który tylko co ma się rozbeczeć; poprawił

sobie obcisłego kołnierzyka, pociągnął się za gęstą czu-
prynę i przeczekawszy chwilę, żeby mu głos na męż-
niejszy ton się nastroił:

— Pojmuję to, pani majorowo — rzekł niby spokoj-
nie. — Józia trzeba wziąć z sobą; ja bo nie wiedziałem,
że na wieś wyjeżdżasz. Tylko nie baw tam zbyt długo,
jeśli na zawsze osiedlić się nie zamierzasz. Pamiętaj, że
dla syna twego pierwsza porządnie przeprowadzona na-
uka o całym ciągu dalszych nauk stanowić będzie. Gdyby
wam na czas pobytu u matki udało się wyszukać jakiego
dobrego nauczyciela, to go weźcie, choćby kosztem przy-
cięższej nawet ofiary, lecz jeśli nie wyznacie, to powrót
przyśpieszcie; nie bójcie się, już ja mój plan przerobię,
Józio mamy nie odstąpi, a ja będę obojga pilnował i do
obojga na lekcję przychodził.

— Alboż to kapitan ma tyle wolnego czasu do zby-
cia? — przedstawiała matka.

— Ej! co tu gadać, kiedy się jutro nie zacznie ro-
bić. Ani przypuszczałem nawet, że pani majorowa chce
na dłużej kędyś daleko wyjechać; nie byłbym zaczynał
tego interesu; ja najlepiej tak lubię, żeby między słowem
a czynem nie było i dwudziestu czterech godzin roz-
pędu, a tu na dłużej niż na dwadzieścia cztery dni się
zanosi.

— O! ja myślę, że na daleko dłużej — westchnęła
matka.

— Na dłużej czy na krócej, zamawiam sobie, bym
ja pierwszy wiedział o państwa powrocie. Pani Tekło,
czy mogę liczyć na ten dowód waszej przyjaźni? Wszakże
nie masz do mnie żalu?

Gdy mu tym razem matka rękę podała, kapitan nie
zapomniał już ucałować jej najserdeczniej.

Łatwo się domyśleć, że tej rozmowy nie słyszałam,

jak to mówią, na własne uszy, ale słyszałam, gdy ją mama wujaszce opowiadała, słyszałam później, później jeszcze, gdy mnie ją opowiadał ten sam właśnie kochany mój i zawsze dla mnie najlepszy pan Józef, wówczas już pułkownikiem tytułowany.

WYJAZD NA WIES.

Stało się nakoniec! Matka była zdrowszą, wujaszek po nas przyjechał i opuściliśmy Warszawę. Dla Józia i dla mnie dni poprzedzające nasz wyjazd zeszły bardzo wesoło; bawiły nas ogromne kufry i tłomoki, w które mogliśmy się jedno przed drugim chować; pakowanie wszystkich rzeczy, zwijanie i rozwijanie jedwabnych sukien lub chustek różnokolorowych przed naszymi oczyma zastępowało nam w oknach sklepowych widywane świętności; ale matka coraz była smutniejsza. Żegnała miejsca kilkuletniem szczęściem uświęcone; pierwszym krokiem zstępowała na drogę bardzo niepewnej przyszłości. Czy zostanie przy matce swojej, czy wróci kiedyś do Warszawy, to było zagadką jeszcze. Wiedziała tylko, że musi nową nitkę nawiązać, ale jasno nie zdawała sobie sprawy gdzie, z jakiej przędzy i jakim sposobem. Ta niepewność losu możeby ją do reszty zgnębiła, gdyby żal nie przygłuszał nawet niespokojności. Tymczasem trochę rzeczy się sprzedało, trochę złożyło u bliższych znajomych, pozostałymi naładowano wóz drabiniasty w cztery konie zaprzężony.

Wóz pod opieką Piotrusia naprzód ruszył, a nas wujaszek do krytego powozu wsadził, sam z Marcyną na przodzie usiadł, kilkanaście rąk wyciągnęło się do nas z życzliwym uściskiem, ale z całej gromadki żegnających przypominam sobie tylko stojącą na przdzie panią Gli-

nicką i tłustego Olesia, który w ostatniej chwili nie tylko Józia, ale mnie raczył bez przymusu tym razem ucałować.

Dziś jeszcze wytłumaczyć sobie tego nie umiem, czemu ta pierwsza podróż tak mało na mnie zrobiła wrażenia. Może być, że w danej chwili wrażenie było dość silne, ale coraz nowymi przedmiotami podsycane, utrwalić się nie mogło. Lasy, pola, wsie i ogrody zlały się w jednolitą masę, na której zarysował się obrazek jakiegoś dziwnego złudzenia tylko.

Było to pod wieczór, jechaliśmy lasem, konie były zmęczone; wujaszek z mamą ciągle o tem mówili, żeby to się na nocleg nie zapóźnić, i my też z Józkiem niecierpliwie wychylaliśmy główki, w nadziei, że nam się prędzej dom pożądaný ukaże. Długie siedzenie na jednym miejscu już nam się sprzykrzyło.

— A czy to daleko jeszcze? — pytaliśmy raz po raz.

— O! już niedaleko! — krzyknęłam nagle z radością. — Tam, tam, przy końcu lasu biały dom już widać!

Wujaszek się obejrzał i mama także spojrzała, ale domu nie dowidzieli. Wycięcie lasu w dalekiej perspektywie kończyło się tylko zapadającą w tym punkcie oponą powietrznego widnokręgu. Istotnie koloryt matowy szarej godziny nadał mu lekkie podobieństwo do ściany marmurowej i dlatego, choć mi wszyscy przeczyli, ja się upierałam koniecznie, że tam na nocleg staniemy. Wujaszek żartował, że zadaleko, mama z westchnieniem mówiła, że dla mnie zaprędko, bo tam niebo widać tylko, moje dziecko.

— To białe, to niebo? — pytałam zdziwiona.

— Ano niebo — powtórzyła Marcyna; — takuteńkie właśnie, jak nad naszemi głowami.

Dzieciom tak często niestworzone rzeczy wygadują, że ja także nie byłam pewna, czy mnie zwodzą, czy mi

prawdę mówią, i póki tylko nie wyjechaliśmy z lasu, póty mnie gwałtowna ciekawość trapiła, czy my do białego domu, czy wprost do nieba zajedziemy; bo jeśli to niebo, naprawdę niebo, to go ominąć niepodobna, bo w poprzek drogi stoi. Co ja tam zobaczę, myślałam sobie, jakie gwiazdy; może gwiazdę, na której ojciec żyje; może z nim razem wszyscy zostaniemy. Tam pięknie być musi, niż w kościele Ś-go Jana, żywe aniołki na złotych skrzydłach latają dokoła; kwiaty, kłęby dymu wonnego ze srebrnych kadzielnic, Matki Boskie w złocistych sukienkach, wszystko to snuło mi się tęczowym wątkiem po głowie — wtem wyjechaliśmy z lasu — ani domu, ani nieba. Dom się rozwiął, niebo się usunęło daleko; szeroką białą ścianą obejmuje nas w półkole, tylko ciągle cofa się przed nami; choćby konie cwałem pędziły, nie dościgniemy go nigdy. Jaki mnie żal ogarnął, to dziś jeszcze nie porównałabym go z najcięższymi żałami moimi, po wielu innych szczęścia i nadziei horyzontach, które tak samo przedemną z ułudnej bliskości w dal niedostępną uciekały. Może to była chwila przecucia i wróżby... no proszę, gdybym się nie znała, tobym gotowa była o mistycyzm się posądzić. Wtedy jednak obok żalu taki wstyd mnie ogarnął za moją pomyłkę, że nawet ani słowem żartowania mojego objawić nie chciałam. Niestety, objawiło się ono w gorszy daleko sposób; zaczęłam kaprysić, krzywić się, z Józiem kłócić, z Marcyną szarpać, i ani mama, ani wujaszek nie mogli pojąć, co za lichy wstąpiło we mnie. Iluż to starszych dziwaczy tak, że cierpkością ludzi odpycha, zaczepną nieufnością zniechęca, dlatego jedynie, że w głębi duszy tęsknią za jakimś białym niebem, do którego na wczesny nocleg zajechać nie mogli. Józio daleko więcej odemnie w tej sławnej podróży wiadomości i wspomnień nabierał. Dosko-

nale pamiętał wszystkie miasteczka, przez któreśmy przejeżdżali, ale najkosztowniejszym klejnotem w jego wyobraźni pozostał mu pierwszy ranek na wiejskich błoniach zaczęty. Wujaszek, gdyśmy się na siano wszyscy do snu układali, jak gdyby przypominając coś sobie, zawołał na nas:

— Dzieci, dzieci, westchnijcież do Pana Boga, żeby jutro była pogoda, to wam coś takiego pokażę, czegoście jeszcze nigdy w życiu nie widziały i czego może większa połowa mieszkańców Warszawy nigdy także nie widziała.

Józio zaczął się dopytywać; wujaszek nie chciał mu powiedzieć, co to być miało. Ze zwykłym humorem swoim drażnił tylko siostrzeńca, różne mu podając określenia: że to jest okrągłe, że nikt bez tego obejśćby się nie mógł, że małe jak naleśnik, a większe od ziemi.

Ja podobno nic do tej rozmowy nie należałam, bo rozmarzona świeżem powietrzem, natychmiast usnęłam, jak mi tylko mama według zwyczaju krzyżykiem czoło przeżegnała; ale Józio ogromnie się zaciekawiał, różne domysły i pomysły w senne marzenia mu się przeciągnęły.

Następnego dnia ledwie świtać zaczęło, już nas pobudzono, ubrano, ciepłym mlekiem pokrzepiono, bo rozkład drogi koniecznego pośpiechu wymagał. Mieliśmy przed sobą ze dwanaście mil do zrobienia, a matka nie chciała, zbyt późno przyjeżdżając na miejsce, wystawiać babuni na zbyt długie oczekiwanie, lub co gorsza, narazić na przebudzenie. Wujaszek siadł tym razem na koźle, wziął Józia na kolana, mnie też piękne jakieś widowisko zapowiedział, ale nim co do czego przyszło, musiałam pewno niedospane godziny na kolanach piastunki odsypiać, bo nie przypominam sobie, abym później z tej obietnicy korzystała.

Józio tymczasem wybornie sobie przypomina, jaka niespokojność go trapiła, czy szary zmierzch jest pogodą, czy niepogodą. Gdy go wujaszek pocieszył, że się na pogodę zanosi, niecierpliwił się znowu, iż nic przed sobą zbyt osobliwego nie widział.

— Zdaje ci się, chłopcze, że takie piękne rzeczy odrazu jak kule z pistoletu wypadają; nie, mój drogi, trzeba sobie oczy półmierzchem najpierwej przygotować, a potem silnie patrzeć ku tej stronie.

I wskazał ręką ku której Józio pilnie patrzył, ale nic jeszcze nie widział.

— Czy umiesz pieśń poranną: „Kiedy ranne wstają zorze?”

— O! umiem już od bardzo dawnego czasu — pochwalili się Józio.

— To powiedz mi, jak te słowa rozumiesz?

Józio zmieszał się trochę; nigdy go to nie troszczyło, coby one znaczyć miały. Zorze trochę mu się z oraniem pomieszały; niepewnym głosem odpowiedział:

— To chłopci, co na robotę wychodzą.

Wujaszek rozśmiał się serdecznie.

— No, niezupełnie zgadłeś; wstają chłopci na ziemi, a zorze wstają na niebie. Ot widzisz, już pokazywać się zaczyna.

Istotnie pierwsze blaski różane majaczyć nad ziemią zaczynały; zwolna coraz wyżej, coraz szerzej, coraz purpurowiej i złociściej rozlewały się po obłokach.

— Teraz, Józiu, przekonasz się, że to ziemia śpiewa, kiedy jej ranne zorze czas tej muzyki oznajmia. Nadstaw tylko dobrze ucha.

— Ale kiedy koła turkoczą.

— Alboż to prócz kół turkotania nic więcej nie słyszysz?

— Nic więcej — odpowiedział zdumiony Józio — chyba jakieś ptaszki, co tu gdzieś blisko świegoczą.

W tej chwili ukazał się łuk wschodzącego słońca i mnóstwo zmieszanych głosów z nad zagonów, z nad łąk pobliskich i z nad stawu, koło którego się przejeżdżało, jednocześnie w powietrze się wzbiło.

— Jakże, czy jeszcze nie słyszysz?

— Ależ wujaszku, to ptaki śpiewają.

— Pamiętaj, chłopcze, że głos ptasząt, szum liści na drzewach, świstanie wichru, cichy szmer płynącej wody, huk grzmotów i piorunów, każde słowo co z ust ludzkich wylatuje, wszystko to razem w jedną ziemską pieśń się składa; a teraz, żeby z tej pieśni więcej tonów na chwałę, niż na obrazę Pana Boga brzmiało, zanućmy sobie razem pieśń Karpińskiego.

Wujaszek pierwszą nutę podał, Józio z furmanem przyłączyli się do niego, matka nasza z Marcyną zawtórowały z głębi powozu i — nieraz to brat wspominał, że ta wspólnie zaimprovizowana modlitwa na całe życie późniejsze głębokie zostawiła wu wrażenia. Zmieniał on w dalszych latach pojęcia i przekonania, systemata filozoficzne, wierzył i nie wierzył, ale w każdym przejściu swoim szanował zawsze religję i modlitwę. Pierwsze silniejsze wrażenie jego pod tym względem zbiegło się z wewnętrzną prawdą uczucia i ze szczerą prostotą myśli; wielu jeszcze było wtenczas szyderców, zostało nawet trochę rozproszonych nieprzyjaciół wiary i kościoła, kto wie, czy oni właśnie w dzieciństwie swoim nie spotkali się z jakim objawem obłudy, podstępów lub nikkczemności, w imię najświętszego chrystjanizmu popełnianych! Przypuśćmy, że od tego cała różnica między moim Józkiem a Wolterem zawisła. Nie zdaje mi się, by ta hipoteza zaszkodzić komu miała, wróćmy jednak do głównego wątku.

Przed wschodem słońca wybraliśmy się z noclegu, zachodnie jego promienie oświeciły nam już wśród szerokiej płaszczyzny rzuconą niby oazę drzew zielonych, szarych chałupek i bielejących gdzieniegdzie murów. Był to Mieliniek, rodzinna wioska, od trzech czy czterech pokoleń w rękę Kalińskich zostająca. Ponieważ od ostatniego popasu wszyscy na swoje miejsca w powozie wrócili, matka więc mnie i Józiowi, z dawno na jej twarzy niewidzialnem ożywieniem, różne szczegóły krajobrazu tłumaczyła.

— To najbliższe zagrodzenie, nad którym z komina dym tak prosto wije się do góry, to najbogatszego z całej wsi gospodarza mieszkanie; widzicie, ma sad dookoła, a jakie w nim jabłka i gruszki! Pamiętasz, Kaziu, jak nas stary Gruda częstował nimi? Czy lepsze były — nie wiem, ale wiem, że lepiej mi smakowały niż te, które u nas we dworze nam dawano.

— Starego Grudy już nie zastaniesz, Tekluniu.

— Iluż ja to nie zastanę z tych, których żegnałam tutaj! — Milczenie zapadło na chwilę, matka jednak pierwsza je przerwała; koniecznie jej było trzeba otrząsnąć się z rzewliwego usposobienia, aby swojej matce na powitanie jeżeli nie wesołą, to przynajmniej spokojną twarz przedstawić. Znowu tedy wskazywać nam zaczęła gdzie dworskie zabudowania stoją, gdzie ciemnieje ogród rozległy, w której stronie za ogrodem łąki i rzeczka prześliczna.

Nakoniec wjechaliśmy w obszerny dziedziniec i stanęli przed gankiem modrzewiowego dworu. Na ganku stała wysoka, okazałej postawy, a surowych i ostrych rysów kobieta, grubą laską podparta. Matka nasza do kolan jej przypadła i pomimo całego przygotowania, głośnym płaczem wybuchła. Babka pewno płakała także, ale nie wiem, nie pamiętam; wiem i pamiętam jedynie,

że w pierwszej chwili, gdy nas mama za ręce wzięła i po jej błogosławieństwo przywiodła, babka, przypatrując nam się uważnie, Józia najpierw bardzo serdecznie w głowę pocałowała, a mnie potem lekko twarz ręką pogładziła.

— Jaka podobna do Joasi — rzekła przytem dość obojętnie.

Brzmienie głosu, imię ciotki Joasi, wszystko to jedno z drugim onieśmieliło mnie bardzo; wtył za mamę się cofnęłam i jak mnie potem raz jeszcze babka przywołać do siebie chciała, nie wychyliłam się już z mojego ukrycia. W tych drobiazgach rysował się już charakter przyszłego z babką stosunku. Józio został ulubieńcem, Leonka (bo mnie Napolcią zwać nie chciała) nigdy nie mogła sobie łask jej zaskarbić.

Cały ten pierwszy wieczór, a raczej pierwsza połowa wieczoru, pod dachem dziadów i pradziadów, wcale nie miłe zrobiła na mnie wrażenie. Jakiś dziwny strach mnie uciskał; ze strachem przechodziłam sień ogromną, w której na hakach wisiały pozabijane przez wujaszka i przez strzelców jego zwykle zające, kuropatwy, bekasy, cietrzewie; jak w tej porze, kilka lisów tylko i dzik jeden ogromny. Ze strachem zajęłam miejsce moje przy kolacji, bo właśnie tuż naprzeciwko z czarnych ram i z tła czarnego ogromny mężczyzna w czerwonym kontuszu zdawał się ciągle patrzeć na mnie, i ruszać czarnymi wąsami i grozić mi dwóch wielkich oczów spojrzeniem; ze strachem szczególniej słuchałam babki mojej, ile razy się do mnie odezwała, a zapytana przez nią, na nic odpowiedzi znaleźć nie mogłam. Zostało mi to nieszczęśliwe usposobienie aż do tej chwili pono.

Brak współczucia w otaczających, krytyka niechętnych, potrącanie obojętnych nawet zupełnie, przytępia-

jąco działa na moje władze umysłowe; dziś jeszcze, gdy na mnie spocznie wzrok zimno badawczy lub szyderski, zaraz tracę wszelką naturalność, przestaję być sobą, sztywnieję jak przekrochmalony kołnierzyk. Upokarza mnie to, że ulegam takim wpływom. Jeżeli — prawie sobie morały — jeżeli słuszność po stronie surowych, to powinnam się poprawić; jeżeli niesłuszność, to powinnam nie zważać zupełnie, a ja, biedna, nie mogę! Żebym była dobrą, żebym była dowcipną, żebym była heroiczną nawet — nie oklasków i pochwał mi trzeba, ale koniecznie, koniecznie muszę mieć wkoło siebie kochające i życzliwe serca, przyjaciół lub współwyznawców. Gdyby to we mnie byli od pierwszego symptomatu zrozumieli czuwający nademną, gdyby matka, gdyby mój Kazimierz... ale czyż mogę mieć żal do nich za tę nieuwagę, żal do kogośkolwiek za dotkliwsze pomyłki? Nie — nawet na ciotkę Joannę obrażoną nie jestem, choć tę właściwość mego charakteru próżnością często, a raz nawet kokieteryją nazywała; toćże mnie samej trudno było do jasnego przyjść z własnem sumieniem rachunku. Nie mogłam sobie wytłumaczyć, jakim dziwnym sposobem łączyła się we mnie taka dziwna zależność i taka królewska niepodległość względem ludzkiej opinji? Lada kumoszka złośliwa, lada fircyk salonowy mogli mi zatruć chwilę obecną, utrudnić rozmowę, odjąć wszelką ufność do siebie samej. A jednak lubiłam walczyć z towarzyskimi przesadami, wyzywając czasem drażnić ogólnie przyjęte, wobec zaś mego sądu nieusprawiedliwione zwyczaje; nigdy się nie cofnęłam przed złym pozorem, przed grozą ludzkiej obmowy, ilekroć tylko o spełnienie czego dobrego, o wyświadczenie bliźnim choćby najmniejszej przysługi chodziło. Kto wie, czy powodem lekliwej drażliwości, równie jak powodem zbytecznego zuchwalstwa, nie były pierwsze dzie-

cięcego losu odmiany. Budziłam się do życia wśród samych kochających i każdym słowem mojem uszczęśliwionych istot; potem coraz częściej zaczęłam spotykać się z bezzasadną przyganą, lub wcale niezasłużonem odepchnięciem; kochający wyobrażali mi prawdziwe moje, wszelkim warunkom społecznym odpowiadające życie. Ojciec, matka, brat, domownicy, toć to przecież słowem Bożem i ustawą ludzką określony światek, toć konieczność losu, a gdybym nie szanowała jej świętości, toby mię jeszcze władze świeckie i duchowne zmusić do tego mogły; niechętni byli jakąś przypadkowością, która bezprawnie spadała w zakres mojej osobistości — nie rozumiałam ich, wyobrażali mi przykrość, której można było uniknąć, złe, z którego miałam prawo się otrząsnąć... dziecko zaiste nie dowodziło sobie tego wyrazami, lecz czuło sercem, instynktem. Teraz powinnabym mieć więcej rozumu i wiedzieć, że przypadkowość taka jest nieuniknionym, bardzo prawidłowym i matematycznym życia wynikiem, że i względem niej są nieuniknione obowiązki, jednakże... no, mniejsza o to!

Dwór mieliniecki (jak w okolicy mówiono, chociaż należało go właściwie mielinkowskim zwać dworem, lecz gramatyka zwyczaju nie przemoże; zawsześmy z Józkiem mówili o mielinieckich polach, lasach, a więc niech będzie nim), był doskonałym zabytkiem dawnego stylu budownictwa, który, jak się zdaje, najlepiej odpowiadał potrzebom i upodobaniom naszych kilkowioskowych, a choćby nawet mających pewne znaczenie w powiecie obywateli.

W dzieciństwie mojem wiele takich widziałam; później znikły jakoś z powierzchni ziemi, może dziś nawet mieliniecki, tak jak one, żadnego śladu po sobie nie zostawił.

Na pierwsze spojrzenie widać tylko było dość ciężką masą czworoboczną, z sześcioma oknami od frontu, po trzy z każdej strony ganku, z drewnianymi ławami, szeroko i daleko naprzód wysuniętego. Z tego ganku wchodziło się do bardzo obszernej i wysokiej sieni: na prawo otwierał się naprzód duży pokój jadalny z dwoma oknami od dziedzińca, za jadalnym równa jemu wielkością sypialnia babki z jednym na dziedziniec, a drugim szczytowym, na zabudowania gospodarskie zwróconem. Za sypialnią mniejszy trochę i z oknem na ogród wychodzącym pokój; w tym pokoiku sypiała matka nasza ze swemi siostrami, gdy jeszcze małą dziewczynką była.

Po lewej stronie sieni ten sam rozkład, też same rozmiary pokoi, z odmiennem tylko przeznaczeniem; pierwszy służył za salę do tańca, kiedy się dosyć młodzieży zebralo; w drugim, tak zwanym bawialnym, przyjmowano znakomitszych i rzadziej bywających gości. Bliżsi znajomi, sąsiedzi tacy, którzy to czasem po parę razy w tygodniu bywali, sami już prosto szli do jadalnego, lub do babki pokoju. Trzeci, przykomórkiem zwany, tem się jedynie różnił, że miał drzwi szklane na ogród wychodzące i w nim starsi wujowie ze swoim *dyrektorem* mieszkali — młodszym albowiem ślano na sofkach lub na ziemi, gdzie się miejsce zdarzyło. Dwa te skrzydła jak od dziedzińca sień rozłączała, tak od strony ogrodu łączył i uzupełniał szereg różnych izb gospodarskich i służebnych, zaczawszy od największej spiżarni, idąc przez spory kredens, a kończąc na garderobie dla dziewcząt służących. Między tem wszystkim znalazło się jeszcze miejsce na czarną, jak pospolicie mówiono, kuchenkę — właściwie jednak w tej kuchence nigdy niczego nie gotowano, był tylko skład wyborowego na ogień kominkowy drzewa, wielki otwór od pieca, który sypialnię babuni

ogrzewał, gdy go stróż w zimie dwułokciowemi szczapami napełniał, i były prócz tego wąskie schodki na strych wiodące.

Z oddaleniem się synów, z pójściem zamąż córek, ze śmiercią dziadka nakoniec, w użytkowaniu różnych części mieszkania lekkie zmiany zaszły, jakkolwiek w języku mieszkańców dawne tytuły się utrzymały. Mówiono zawsze o sali, o bawialnym pokoju, o przykomórku, ale całą tę stronę domu przed naszym przyjazdem wuj Kazimierz zajął na swój wyłączny użytek. Dopiero, gdy matka z nami przyjechać miała, przeniósł się do oficyny, a dla siostry z największą starannością i jak mógł najodrodniej lewą połowę domu urządził. Przykomórek zajęła Marcyna z kufkami i szafami do rzeczy, w bawialni ustawiono łóżeczka nasze w nogach przy łóżku matki; między oknami jej toaletę, przy ścianach jej kanapki — wszystko, o ile się dało tylko, w takim samym jak na Zakroczymskiej ulicy porządku. Gdyby jeszcze zielone było obicie, toby się mogło zdawać, żeśmy kawałek Warszawy z sobą przenieśli.

W sali stało biurko z piśmiennemi przyborami, to jest zwyczajny stolik suknem zielonem pokryty; firanki białe i zielone doniczki z kwiatami przypominały dawną naszą siedzibę — czarno jednak lakierowane meble, angielskim perkalikiem poobijane, były już miejscowym zabytkiem. Wzorzysty perkalik na tle piaskowem w jaskrawych kolorach przedstawiał chińskie pagody i chińskich mandarynów, ku wielkiej mojej, a nawet i starszego Józia radości. Równem źródłem naszej uciechy był parawan, drzwi wchodowe zastaniający; płócienne jego skrzydła wyklejono lśniącym, niebieskim papierem, u góry i u dołu dano szlak także papierowy, ale złocisty, całą zaś powierzchnię błękitną urozmaicono mnóstwem po-

wycinanych starannie obrazków: były tam ptaszki i konie, krówki i drzewa, ze starych żurnalów strojne panie i w bardzo wysokich kołnierzykach panowie, były też i ze sztychów angielskich historyczne lub z życia domowego sceny, było tyle wszystkiego, że nam dzieciom aż po ostatnią chwilę naszego pobytu zawsze coś nowego dopatrzeć się zdarzyło. Na ścianach wisiały także jedne w złotych, drugie w ciemnych ramach olejno malowane portrety. Czyje? o tem się strasznie tradycja poplątała i prawie zupełnie umilkła. Więcej było męskich, kobiecych dwa tylko; z tych jeden główne miejsce nad kanapą zajmował. Byli tacy, którzy mówili, że to portret jakiejś prababki; inni utrzymywali, że jakiejś księżnej, wielce dla rodziny Kalińskich przychyłnej. Zachwyciałam się tą postacią w naturalnej prawie wielkości przedstawioną: miała na sobie atlasową niebieską suknię, srebrem haftowaną; stanik bardzo długi, mocno wykrojony, obcisłej niż dzisiejsza gutaperka do kształtów ciała przylegający; krótkie rękawy, poza łokieć koronkami obszyte; na szyi perły z przepyszną spinką djamentową; na głowie niską fryzurę, z całym bogactwem wijących się pierścieni wtył przerzuconą i tylko jednym, czarnym jak heban lokiem na ramię spadającą. Nad fryzurą z za ucha wychylała się pyszna róża czerwona, a drugą, taką samą, z wymuszonym trochę zalotnym ruchem prawa ręka przy sercu trzymała. Twarz była pociągła, nadzwyczaj biała, ale prawie bez rumieńców, czoło gładkie podkreślały brwi wąskie, niby dwa czarne sznureczki; oczy długie, powłóczyste, lekko się ku skroniom wznosiły uśmiechem, który na pełnych, karminowych ustach zawisnął i nigdy ich nie opuszczał — co mnie czasem w okropną niecierpliwość, pomimo całego zachwycenia, wprawiało. Nos był duży, ale kształtny; gdyby o linję dalej sięgał, byłby

może spuścistym, lecz się ostrożnie tuż na granicy tej fatalności zatrzymał. Zyskała na tem broda z małym dołkiem pośrodku, dość znacznie naprzód wystająca, bo jej nie groziło na później zabliskie z nosem sąsiedztwo, a wdzięk właściwy pewnej zaczepnej śmiałości pozostał. Druga malowana kobieta, przy mniemanej księżnie pani, bardzo skromnie wyglądała. Gdyśmy się jej po raz pierwszy z bratem przypatrywali, uderzyło nas tylko wielkie jej do ptaka podobieństwo, choć do żadnego w szczególności: nie do sowy, nie do indyczki, nie do turkawki lub wrony, tylko ogólnie i typowo do całej ptasiej gromady. Z ubioru trudno było dośledzić, w jakiej żyć mogła epoce; niebieska dama przypominała epokę Sasów, lecz ta drobna twarzyczka z rozumnym spojrzeniem, a śmieszniemi niemal rysami, w dużym białym kornecie, w dużej kryzie i czarnej, na piersiach skrzyżowanej chustce wełnianej, mogła tak dobrze za Jana Kochanowskiego, jak za Stanisława Augusta gospodarować z kluczykami, których wprawdzie brak jej było u pasa, ale które widocznie na chwilę przed wejściem malarza wraz z fartuchem odwiązane zostały. Wizerunki mężczyzn nie zwróciły naszej uwagi. O ile dziś z zatartych wspomnień sądzić o tem mogą, były to twarze ludzi dobrze najedzonych, miny poważne z nastrojenia więcej, niż z własnej godności. Jedna tylko najmłodsza twarz, z czysto słowiańskimi rysami, należała podobno do jakiegoś konfederata z partji Zaremby; niewiele jednak o nim w rodzinnych wspomnieniach zostało.

Babka mówiła, że to był jej wuj rodzony Skoryzma, ale go osobiście nie znała i dzieciom też żadnych o nim szczegółów nie udzieliła. Wogóle niełatwo od niej było dowiedzieć się czego o rodzinnych z jej młodości lub dzieciństwa stosunkach — a szkoda! Warto było cośkolwiek

usłyszeć o tym jedynym antenacie, który przynajmniej jakieś historyczne zdarzenie reprezentował w ustronnym Mielinku. Gdybym się mu była uważniej przyjrzała chociaż! lecz i to nie; ledwie jak przez mgłę przypominam sobie jego czarną granatową z pętlicami, niebieskie oczy i bardzo jasne włosy.

Kiedy po kolacji wuj naszą matkę do przeznaczonego dla niej pokoju wprowadził:

— Niech ci tu dobrze będzie, Tekluniu — rzekł swoim najpięszczośliwszym głosem — abyś z nami długo, bardzo długo, choćby przez całe życie została — i mówiąc to, uściskał siostrę, jakby teraz dopiero witał ją po długiej nieobecności, a my też z Józkiem oboje przyłączyliśmy się co prędzej do tych objawów serdeczności, to mamę, to wujaszka po rękach całując; aż ten ostatni każde z nas pokolei wziął na rękę i do serca przytulił tak silnie, tak zręcznie, jak gdyby mu pusty rękaw przy drugim boku przyczepiał się o guziki spiętego na piersiach surduta. Widać, że wszyscy swobodniejszymi się poczuli, gdy ich się szeroka od stołowego pokoju odgraniczyła.

Wujaszek z mamą zasiedli do poufnej gawędki. Józio biegał po wszystkich trzech pokojach i wesołymi okrzykami zwiastował mi coraz nowe odkrycia znanych i nieznanych przedmiotów.

— A to nasz stolik warszawski! A to lampa wisząca! a tu karafka do wody, kryształowa, rznięta; zupełnie taką samą u cioci Joasi pamiętam. Ach, jaki bukiet przesłiczny z białym wazonem! Napolciu, pójdź zobaczyć!

Napolcia nie ruszyła się z miejsca, bo już stanęła jak wryta przed panią w niebieskiej sukni i głęboko nad tem rozmyślała, czy będzie w takiej chodziła, gdy urośnie.

— Józku, ty lepiej pójdź do mnie — wołałam w od-

powiedzi — zobacz-no tylko, co to za śliczna pani nad kanapą wisi.

Józio z łatwością kwiatów odstąpił, żeby się pięknej pani przypatrzeć. Niedługo wzrok na niej zatrzymał, a jednak trafniej odemnie tę postać wysmukłą osądził.

— No, dość ładna — zdecydował śmiesznie stanowczym tonem; — podoba mi się, bo ma czarne włosy, ale na blondynę byłaby może brzydką.

Na blondynę w ustach Józia znaczyło porównanie z mamą naszą i miał słuszość; rzeczywiście twarz z portretu byłaby niezawodnie bardzo wiele, jeśli nie wszystko, na zamianie włosów straciła; przeciwnie zaś, twarz naszej matki, i w swojej koronie złocistej i w najczarniejszych warkoczach, zachowałaby ten sam wdzięk niezmienny.

Mama była też dla nas najwyższym ideałem piękności. Nieraz Józio drażnił się ze mną, że inna zupełnie twarz błękitnej pani mogła mi się tak bardzo podobać; przyszło do tego nawet, że mi ją nazwał szkaradną, ale był to żart tylko, za który ja mu w kilkanaście lat później dobrze odplaciłam.

Tymczasem oglądając różne rzeczy, takeśmy się z bratem rozbawili, że gdy Marcyna po raz trzeci przyszła nas wołać do spania, z największem oburzeniem przyjęliśmy jej wniosek.

— Dajcie im pokój, Marcyno — ujął się za nami wujaszek; — niech przynamniej pierwszego wieczora co chcą i póki chcą dokazują.

— Niech dokazują — powtórzyła Marcyna z przekąsem — a jutro nie dam sobie rady z ich obudzeniem; a pani starsza zaraz gniewać się będzie, jak na śniadanie o dziewiątej ubrane już i po zmówieniu pacierza nie przyjdą.

— Oho! — zaśmiał się wujaszek — Marcyna dawny rygor pamięta, ale teraz inaczej u nas będzie. Pani Hołosko wraz ze swemi dziećmi wstanie kiedy zechce, ubierze się kiedy chce, wypije kawę, lub co jej się spodoba, a jeżeli raczy przyjąć obiad na drugiej stronie, to będzie tylko wielkiej jej łaski dowodem; gdyby sobie życzyła, zarazby tutaj nakryto i przyniesiono wszystko według jej własnej dyspozycji. Cóż mówisz na to, Tekluniu? — czy taki układ rzeczy wydaje ci się dosyć wygodnym?

— Dla mnie — odrzekła zagadniona z wdzięcznym uśmiechem — jest rzeczywiście najwygodniejszym, jaki być może na świecie. Widać, że mi go mój Kazio obmyślił; lękam się jednak, czy mamie nie będzie przykro...

— Ej! ty mammo, nie bójże się już swojej mamy — żartobliwie przerwał wujaszek. — Od pierwszego razu, gdy sama zażądała twego przybycia, wytłumaczyłem jej, że teraz przecież nie możesz wrócić do swego panieńskiego pokoiku, a jeżeli masz zdrowie odzyskać i przyjść do jakiegokolwiek uspokojenia, to ci przedewszystkiem zupełnej niezależności trzeba: musisz mieć swoje własne mieszkanie, musisz kłaść się spać i jadać według trybu, jaki ci lekarze nakazali, zwłaszcza też musisz z dziećmi i dla dzieci mieć nieograniczoną swobodę działania. Matka na wszystko przystała. Teraz od ciebie zależy, abyś mój plan bez żadnych ustępstw przeprowadziła; mam nadzieję, że wkrótce na pomoc ci przybędzie nasza poczciwa Różia.

— Ach! jaka ja niegodziwa — krzyknęła mama; — toć ja dotychczas jeszcze o tę kochaną dubeltową Różę nie spytałam! Czułam, że mi kogoś brakuje; lecz na nie szczęście brakuje mi zbyt wielu osób i wyłącznie o niej nie pomyślałam. Gdzież to ona się obraca?

— Szwagier wdowiec wezwał ją listownie, żeby mu pomogła chore dzieci pielęgnować; ona też pośpieszyła, choć z wielkim żalem w sercu. Wiedziała, że masz przyjechać. Jeszcze na wsiadaniu po kilka razy mi przypominała, abym w jej imieniu tę najdroższą panią Teklunię powitał, abym o bukiecie na stolik nie zapomniał i koniecznie na pierwszy obiad twoją ulubioną kaszkę puszkową z bitemi jajami zadysponował.

W ostatnim ustępie tej rozmowy wielce moją ciekawość podrażniła nazwa dubeltowej Róży.

— A któż to jest ta dubeltowa Róża? — spytałam.

— To jest pani, co ma zamiast policzków takie dwie róże kwitnące, jak ty, moja Napolciu.

— Nie mąć-że jej w głowie — przerwała matka — dziewczyna gotowa uwierzyć, a to wujaszek żartuje — ciągnęła dalej, ku mnie się zwracając. — Nietrzeba nigdy tej pani dubeltową Różą nazywać, tylko ciocią. Pamiętaj, Napolciu i ty, Józiu, pamiętaj także. Jest to krewna waszego dziadka; bardzo dobra osoba, która nadzwyczaj dzieci lubi i pełno ślicznych historyj opowiadać umie; wasza mama, nieraz siedząc u niej na kolanach, nie mogła się ich dosyć nasłuchać. Zobaczycie, jak prędko wszyscy troje w najlepszej z sobą przyjaźni będziecie.

— A czemu nie możnaby jej nazywać ciocią dubeltową Różą? — zagadnął Józio.

— Bo się tak nie nazywa. Twój wujaszek, kiedy jeszcze małemi byli chłopcami i nie mieli rozumu, wymyślili dla niej to przezwisko, ja zaś powtórzyłam je dzisiaj przez wspomnienie lat dziecinnych. Przekonacie się kiedyś, jak to miło choćby nawet błędy i grzechy z lat dziecinnych wspominać! Lecz ciocia Róża nie lubiła dawniej, gdy na nią „dubeltowa Róża“ wołano. Nie chcę, żeby jej moje dzieci najmniejszą przykrość zrobiły.

— O, nie zrobią — odparł wujaszek. — Dziś dla ciotki dubeltowa Róża jest także miłym wspomnieniem przeszłości. Ileż to razy z płaczem i ze śmiechem opowiada, jak Tomasz za swoją własną złotówkę wyprawił do niej z Warszawy list podpisany: „Wielmożnej Imci Pannie Róży Dubeltowej w Mielinku“, albo też jak my z Janem i z Antonim, wysoko między gałęziami drzew ukryci, wołaliśmy tak na nią, niby trzy kukawki, odzywające się w różnych stronach ogrodu. Sama teraz nie pojmuje, dlaczego ją to przed laty gniewało, bo przecież — oskarżyłaś nas, więc muszę się przed twemi dziećmi usprawiedliwić — przecież z początku nie mieliśmy żadnej złej intencji. Jaś pierwszy zauważył trochę dziwny zbieg jej nazwiska z imieniem: Róża Różańska; Tomek, w koncepta obfity, natychmiast dodał, że takie dwie róże można w jedną dubeltową spojć, a biedny Antek uznał, że to jest nawet bardzo grzeczne porównanie i pierwszy z niem w komplementcie do ciotki wystąpił. Jakiśmy spostrzegli, że ciotka najniesłuszniej tak niewinnem wyrażeniem obraziła się, zaczęliśmy dopiero coraz częściej go używać, zwłaszcza też gdyśmy trochę posprzeciwiać się jej chcieli.

— Zaczęliśmy dopiero wtedy być prawdziwie niegrzeczni i nieznośni chłopakami — odezwała się z udaną surowością matka; — to bardzo brzydko, kiedy się kto komu sprzeciwia.

— Masz słuszność, pani siostrze, już nigdy nie będę — odpowiedział z wielką pokorą wujaszek, całując panią siostrę w rękę.

Ja wszystko to za dobrą monetę wzięłam i zdumiewałam się nad wysoką władzą i godnością takiej mamy, która nawet wujaszka łąać może i którą tenże wujaszek tak uniżenie przeprasza.

Nakoniec głos Marcyny przestał być głosem wołającego na puszczy; mnie pierwszą sen zmorzył i wkrótce za moim przykładem wszyscy się na spoczynek rozeszli.

BABUNIA I CIOCIA RÓZIA.

Nazajutrz, według programu wuja Kazimierza, piiliśmy w swoich pokojach śniadanie, dość późno tym razem, bo gdy nas wreszcie mama do babuni zaprowadziła na drugą stronę, już było blisko południe. Przy świetle dziennem sięn wprawdzie nie wydała mi się tak okropną, ale gdy weszłam do stołowego pokoju i rzuciłam okiem na portret, który mnie w wigilję tak prześladował, wcale przyjemniejszego nie doznałam uczucia, coś mi jakoby strachem w sercu zadygotało.

— Mamo, kto to? — szepnęłam, nieśmiało paluszkami wskazując.

— To wasz pradziadek — odrzekła matka, bynajmniej się wrażeń moich nie domyślając.

— Czy on żyje jeszcze?

— Nie, moje dziecko; bardzo, bardzo dawno już umarł.

— Oh! mamo, jak to dobrze.

Mama ze zdziwieniem na mnie spojrzała, lecz nie było czasu do dalszych objaśnień, gdyż stałyśmy już na progu i za lekkim popchnięciem drzwi same niemal do pokoju babki się otworzyły. Siedziała ona, jak zwykle, w dużym czerwonej skórą obitym fotelu, miała na sobie biały haftowany szlafroczek i biały tiulowy czepeczek czarną wstążką podwiązany, trzymała się bardzo prosto, a wzrok zapewne wiernie służyć jej musiał, bo według zwyczaju zajęta była siatkową, jak pajęczyna cienką, w nader skomplikowane desenie wiązaną robotą. Przed nią, na

wielkim okrągłym stole mahoniowym, oprócz wytwornej z przyrządami do ulubionej pracy szkatuleczki, leżała jeszcze gruba, w wytarty aksamit i srebro oprawna książka do pacierza i agatowy różaniec.

— Spodziewam się, żeście już mieli czas dobrze po drodze odpocząć — rzekła dość chłodno, gdyśmy ją wszyscy pokolei w rękę całowali. Mama zrozumiała zawartą w tych słowach przymówkę, nie dając wszelako znać tego po sobie.

— A mateczce kochanej jakże się spało dzisiejszej nocy? — zapytała troskliwie.

— Starzy nie śpią — odpowiedziała babka ponuro; — krótkie życie przed nimi, więc dnie im się w późną noc przedłużają; natura sama nie chce chwil ostatnich marnować.

— Czyż ktokolwiek z najmłodszych ma pewne jutro przed sobą? — I babka spostrzegła, że blade usta naszej matki lekko zadrżały, gdy wymawiała te słowa; prawdopodobnie żal jej się zrobiło biednej młodej po młodym w żałobie, zmieniając więc przedmiot rozmowy, do Józia się zwróciła.

— No, chłopcze, jakże ci się Mielinek podobał? — zapytała go z trochę rozpogodzoną twarzą.

— Jeszcze nic nie widziałem; Piotruś mi obiecał, że jak od babuni wrócimy, to mnie wszędzie oprowadzi; pójdziemy do stajni, do obory, do owieczek w pole, nad rzekę, a wuj Kazimierz może nawet konno ze mną się przejedzie.

— Zapewne też chciałbyś coprędzej od tej babuni już wrócić?

— O nie! bo dopiero przyszedłem, to byłoby niegrzecznie — bez namysłu odpowiedział rezolutny mój braciszek.

— Więc tylko przez grzeczność u mnie się zatrzymujesz? — podchwyciła babunia.

— Jużić że przez grzeczność — przywodził wnuczek — mama nas bardzo upominała, żebyśmy w Miełlinku grzeczni byli, babunię z całego serca kochali, robili wszystko, co tylko nam każe, a jeżeli przyjdziemy do jej pokoju, to żebyśmy odpowiadali roztropnie, gdy nas o co zapyta, lub siedzieli cicho i spokojnie póty, póki nam sama odejść nie pozwoli.

— Przyznaj się szczerze, czy masz ochotę, żebym ci już pozwoliła?

— Ej nie, babuniu, mnie i tu dobrze. — Szczery akcent tego oświadczenia wywołał niby cień uśmiechu na wążkie, między brodą a nosem mocno zapadłe usta babuni.

— Ach, bardzo się z tego cieszę — zawołała już prawie wesoło; — chciałam też właśnie porozmawiać z tobą, wpytać się o różne rzeczy, dowiedzieć co najlepiej lubisz dajmy na to?...

— Najlepiej lubię z Piotrusiem mustrować się i konno jeździć.

— A czy lubisz pić kawę na śniadanie?

— O! bardzo lubię, babuniu.

— A lubisz chodzić w bucikach z ostrogami?

— O bardzo, bardzo lubię; miałem jedną taką parę, tylko, że mi zaraz ostrogi się popsuly.

— A czy lubisz się też uczyć? — zagadnęła zniemacka. Józio wcale się tem nie zmieszał i bez ogródki do prawdy się przyznał.

— Teraz niebardzo, lecz mama powiedziała, że jak podrosnę i będę miał więcej rozumu, to zacznę lubić coraz bardziej, coraz bardziej, aż kiedyś wreszcie wyjdę na porządnego i światłego człowieka.

— Może ty już podrosłeś od czasu, jak mama to mówiła?

— Ej nie, to było tak niedawno! — i chłopczyna zaczerwienił się, lży mu w oczach stanęły, bo przypomniał sobie, że słyszał te słowa z ust matki nie do siebie, ale do ojca niegdyś wyrzeczone, jako słowa prośby i wstawiania się za łajnym surowo leniuszkiem, który się do pana korepetytora w pewnym dniu pełnym pokus lekcyj nie nauczył. Czyż rozrzewnienie teraz go ogarnęło? Nie, matka trafniej odgadła, że pomieszanie i zawstydzenie jedynie.

Jak to zwykle bywa, domownicy i znajomi unikali starannie wszelkiej wzmianki o nieboszczyku, żeby wznowieniem żalu biednych sierot i smutnej wdowy nie drażnić.

Często bardzo, gdy Piotruś z Marcyną w kuchni, lub przyjaciele w bawialnym pokoju zaczęli między sobą mówić o nim najżyczliwiej, niech tylko matka, czy które z dzieci weszło, wtedy przypadkiem, natychmiast, choćby w pół sylaby, przerywali sobie, udając, że są zupełnie innej treści gawędką zajęci. Matce zawsze bywało to bardzo przykrem, a nam dzieciom wpajało zwolna dziwne przekonanie, jakoby się nie godziło zmarłego ojca głośno przy kimkolwiek wspominać. Bez wspomnienia jednak — tłumaczyła się matka wujowi Kazimierzowi, gdy z nim w swoim *salonie*, wieczorem, znowu na dłuższą rozmowę zasiadła — bez wspomnienia dzieci łatwo zapomnieć mogły, ona zaś tyle szczegółów pragnęła im na wieczne dziedzictwo przekazać, pragnęła opowiedzieć, w jakich okolicznościach i jak młodo wstąpił do wojska, na jakim polu bitwy krzyż legji honorowej, a na jakim wyższy stopień oficerski otrzymał. Przecież i o rodzinie ojca trzeba nam wiedzieć tyle przynajmniej, ile on jej kiedykolwiek powiedział; nadewszystko zaś trzeba, że-

byśmy samegoż ojca dokładniej, nie po dziecinnemu, ale po ludzku znały i ceniły. Nikt lepiej, nikt głębiej w serca nasze nie wrazi czci przynależnej jego cnotom i zasługom, jego męstwu i szlachetności, jego dobroci tkliwej, jak dobroć kobieca, jego przywiązaniu do rodziny silniejszemu od najdotkliwszych przykrości, od najsluszniejszych wstęptów. Ostatecznie przyjdzie może chwila, w której się i przed opowiedzeniem śmierci jego nie cofnie. Lecz pierwszej koniecznie trzeba stargać to przymusowe, naśladownictwem wywołane milczenie — milczenie o nieżyjącym ojcu między matką a dziećmi. Toż-to rzecz bezbożna! Teraz, gdy się sposobność najwłaściwsza zdarzyła, nie mogła jej opuścić, przecież musiała się odezwać, i rzeczywiście nie tracąc czasu, odezwała się poważnym, ale bardzo spokojnym głosem:

— Pamiętasz zapewne, Józiu, że ręczyłam tak za ciebie przed ojcem? Musisz tem bardziej polubić naukę i pilnie się do niej przykładać, bym się wobec jego duszy nie powstydziła kiedyś za moją przepowiednię.

Józio w pierwszej chwili ze zdziwieniem spojrzął na matkę, lecz zaraz potem rzucił się ku niej i z namiętną wdzięcznością ręce jej całować zaczął. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale czuł, że tak mu się lżej zrobiło na sercu, jak gdyby mu kamiennego wieka uchylono. Odtąd matka nasza coraz częściej z nami o ojcu rozmawiała i uczyła nas niejako historii jego życia. Był to dla niej i dla nas przedmiot najmilszy, a zawsze nowy, choć stokrotnie powtarzany. Ileż to razy o szarej godzinie, na małych stołeczkach zasiadaliśmy przy nogach matki, a zawsze z tą samą prośbą na ustach:

— Mamo kochana, niech nam mama o papie co opowie! — Później do tego przyszło, żeśmy już nawet pewne dyspozycje wydawali: — Niech nam dziś mama

opowie, jak to po śniegu swój patrol tuż koło placówek nieprzyjacielskich przeprowadził — albo też niech mama opowie, jak był rannym pod Pułtuskim. Jak ocalił życie temu biednemu Niemczykowi, co to krzyczał: matko! matko! A jak to jechał na furze tego poczciwego Żyda, co go z pod Berezyny aż do Wilna zawiózł!

Matka najposłuszniej zadość czyniła wszystkim tego rodzaju wymaganiom naszym i dowiedzieliśmy się, nie z ogólnych pochwał, ale z przytaczanych zdarzeń, że istotnie mieliśmy ojca dzielnego żołnierza, wybornego kolegę, człowieka prawdziwie poczciwego umysłu, kochającego rodzinę, dzieci kraj swój i wszystko swoje, wolnego zarówno od przesądów, jak od lekceważenia przeszłości, niedość może wykształconego, naukowego, bo kiedyż on miał czas się kształcić! ale w naturze swojej, w popędach, w skłonnościach tak udoskonalonego, jak gdyby już był najwyższej jakiejś wymarzonej cywilizacji okazem. Jedynym przesądem, jedyną wadą, ah! i najcięższym grzechem jego życia, było fanatyczne poczucie wojskowego honoru. Lecz nie mnie sądzić.

Wracajmy do babki pokoju.

Kiedy Józio w dobrej wierze uroczyste składał przyrzeczenie, że wszystkich sił dołoży, aby naukę lepiej nawet od konnej jazdy polubić, kiedy obie panie, matka i babka, nim jedynie zajęte, napominały go i radziły mu kolejno, ja tymczasem na boku, sama sobie zostawiona, zaczęłam się dokoła rozglądać i różnym rzeczom przypatrywać. Pokój był duży, kwadratowy, a właśnie o tej porze pełen światła i ciepła. Tak dobrze go pamiętam, jak gdybym go dziś zrana opuściła. Przedstawiał on dziwną mieszaninę prostoty i wykwintu, świeżości i staroświeczczyzny; ściany były poprostu wapnem wybielone, piec nawet ten sam, co to się w nim z kuchenki paliło, nie-

polewany wcale; w oknach gładkie, muślinowe firanki, wąską frendzlą oszyte załedwie, ale sprzęty wszystkie mahoniowe, ciężkie, odwieczne i długą odwieczność w trwałości swojej zapowiadające. Systematyczne ich ustawienie opisując, mogę powiedzieć, że po lewej stronie od tych drzwi, któremiśmy weszli, stało biurko, a raczej, jak babunia mówiła, kantorek wtlaczanemi bronzami ozdobny, z klapą od wierzchu spuszczaną, pełen we środku szufladek i skrytek. Oj! ten kantorek! moja wielka uciecha i moje wielkie zmartwienie! nieco dalej o nim będzie. Za kantorkiem, w pewnej odległości, stolik z półeczką, na półeczce figurki z saskiej porcelany, jeszcze piękniejsze niż u pani Glinickiej. Przy ścianie poprzecznej, pod oknem na dziedziniec wychodzącem, mała, ciemną wełnianą materją kryta kanapka, przeciwległe do stolika i biurka ogromne łóżko mahoniowe, równoległe do drzwi wchodowych, znowu pod oknem szczytowem, druga lecz wyższa i dłuższa kanapa, przed nią ów stół okrągły, z boku przy niej w pewnej odległości ów czerwony fotel babuni, o których się już wspomniało. W rozstępach między meblami dwanaście krzeseł do kanap zastosowanych. Wprost dziedzińcowego okna drzwi, które do panieńskiego niegdyś pokoiku, dziś podręcznej spiżarni babuninej prowadziły. Prawa strona ode drzwi zajęta małym kominkiem i olbrzymim piecem; oto wszystko co pierwwej wyliczyć należało, ale wcale nie to, co pierwwej wzrok mój pociągnęło ku sobie! Wzrok mój, według zwyczaju, magnetyczną siłą pociągnęły ku sobie dwa obrazy nad łóżkiem, z boku wiszące. Wuj Kazimierz nieraz żartował, że gdyby jakie malowanie na klucz przede mną schowano, to jeszcze węchem poczułabym, że jest kędyś obrazek w pokoju. Ja też u babuni zaczęłam się przypatrywać tym, które wisiały przedemną. Były

to dwa portrety, w złożonych ramach, pastelami róbione; jeden z nich przedstawiał młodziutkiego bardzo panicza, w jedwabnym zielonym, ciemniejszymi paskami prążkowanym fraku, w białej długiej kamizelce, w koronkowych u rąk mankietach. Jasne włosy jego upudrowane, z tyłu zebrane w harcap, czarną kokardą przewiązany, z przodu odwróconym lokiem okalały czoło i skronie, czoło trochę wydęte, wypukłe, skronie trochę zbyt daleko zarośnięte, jak u dziecka.

Bo też i twarz cała dziecinną była; nosek delikatnie zarysowany, a zgrubiał przy końcu, jak gdyby sobie właściwego kształtu nie wyrobił jeszcze. Oczy bladzielone, raczej figlarne niż wesołe, usteczka jak wisienki najlżejszym wąsikiem nie zaćmione, broda bez śladu zarostu, z małym dołkiem w pośrodku: cera świeża i biała, twarz wogóle pełna, okrągława, wszystko to bez harcapa mogło przypominać różnych kościelnych aniołków twarzy; z harcapem jednak musiało znawcom literatury francuskiej Cherubina przypominać, tylko, niestety, Cherubina, który się jeszcze ani dowcipu, ani rycerskości od Beaumarchais'go nie nauczył.

Tuż obok, na drugim wizerunku przedstawiona pani wydawała się starszą od swego towarzysza, mocny kolor czarny jej włosów z pod pudru nawet można było wyraźnie rozróżnić. Miała na głowie ogromnie wysoką fryzurę w pióra i wstążki u samego wierzchu strojną, a środkiem przepiętą taśmą złocistą na palec szeroką, szmaragdami i brylantami wysadzaną. Z za uszu, odpowiednimi kolczykami przyozdobionych, dwa grube puki na odkryte ramiona spadały. Suknia ledwo nie zachwiała mego upodobania w owej niebieskiej ze srebrem: ta była złotem lamowana, ale cóż, kiedy czerwona! Nie przepadałam wtedy za czerwonym kolorem, choć miałam

jakieś mętne wyobrażenie, jakoby tylko księżne i królowe w czerwonych jedwabnych sukniach chodziły, nic też dziwnego, że gdy w takiej czerwonej ujrzałam postać sztywnie się trzymającą, głowę dumnie na karku przegiętą, oblicze zimne, surowe, z czołem dosyć wysokiem, ale zwężonem, z oczami nie jak niebo, lecz jak stal błękitnymi, z nosem orlim, należącym do tej kategorii nosów, które pani de Grignan i księżna d'Abrantes we Francji, a książę generał ziem podolskich i córka jego Marja Wirtemberska w Polsce upamiętnili (z takim nosem zdarzają się twarze bardzo piękne i piękną też była, jakkolwiek niepociągającą ta, która wzrok mój na sobie zatrzymała), nic dziwnego tedy, powiadam, że ją za panującą wzięłam osobę, i gdy babunia dowodziła jeszcze Józiovi o potrzebie dobrej nauki, ja nagle wyrwałam się z zapytaniem:

— Moja mamó, co to za królowa? Czy Barbara, czy Bona?

Wtenczas, w epoce Felińskiego i Truskolaskiej, dzieci oswajały się z imionami Barbary i Bony, jak z najwyczajniejszymi rzeczownikami w mowie potocznej.

Babka przerwała zbawienne upomnienia i ciekawie obejrzała się, co to mogło być zapytania mego powodem. Wątpliwość wszelka ustąpić musiała przed ruchem mojej ręki, wyraźnie pastel nad łóżkiem wskazującym.

— Jakto, Napolciu, jakto, czyż nie poznajesz babuni?

Oniemiałam. W tej osobie takiej młodej, takiej śnieżnie białej, takiej różano na licach krasnej, takiej szczupłej w pasie, że palcami objąćby ją można, jakże ja rozpoznać miałam moją babunię dobrze otyłą, na twarzy pożółkłą i zmarszczkami urysowaną, z brodą tak bliską nosa, z brwiami i włosami tak białymi jak mleko, z tiu-

lowym takim skromnym czepeczkiem na głowie! Przez minutę może stałam w milczeniu, to na obraz, to na babunię spoglądając, aż nakoniec triumfalny okrzyk wzniosłam:

— Prawda! prawda! to jest babunia! tak samo na mnie patrzy i ma zupełnie taki duży nos.

Babunia na głos się rozśmiała, skinęła na mnie, żebym do niej przyszła.

— A ten pan obok mnie czy ci się podoba?

— Dosyć ładny, ale Józio piękniejszy od niego.

Istotnie, było jakieś podobieństwo między jednym a drugim, czułam jednak, że na korzyść mego braciszka.

— A czy zgadniesz kto to taki?

— Może który z tych wujaszków, co ich nie znałam.

— Omyliłaś się, moja panno. — Babunia od pierwszego wieczoru i później przez całe życie swoje często mnie panną nazywała. — To jest twój dziadek; przypatrz mu się dobrze i pamiętaj codziennie za jego duszę się modlić.

— O! ja zawsze przy pacierzu powtarzam, żeby mu Pan Bóg dał wieczny odpoczynek; mama mnie tego dawno już nauczyła.

— To dobrze, a teraz na pociechę Józia pozwolę, żebyście już poszli się bawić.

Nie daliśmy sobie tego dwa razy powtarzać i zostawiliśmy babkę z matką naszą samnasam i czekaliśmy na Piotrusia, żeby spełnił daną Józiovi obietnicę; ale Piotruś nie przyszedł, tylko obiad wkrótce podano, a przy obiedzie matka była smutniejszą niż zwykle, nic prawie nie jadła, razporaz cisnące się do oczu łzy ocierała nieznanie. Na mnie pradziadek coraz groźniej spozierał i czoło marszczył.

Dzień ten, choć się na tem nie spostrzegłam odrazu,

ważny jednak przełom miał w życiu mojem stanowić. Rozdzieliliśmy się z Józiem; dotychczas w trzech warszawskich pokoikach od rana do wieczora ciągle byliśmy razem. Ojciec wprawdzie brał go z sobą na miasto, do koszar, do ujeżdżalni, po tych krótkich wycieczkach jednak braciszek wracał i, chcąc czy nie chcąc, musiał bawić się z siostrzyczką, w braku innego towarzystwa. Obecną bywałam zawsze na jego wojskowych ćwiczeniach z Piotrusiem, pomagał mi lalkę moją ubierać, obiad dla niej gotować i to nas w pewnej równości trzymało. Na wsi rzeczy zupełnie inną przybrały postać.

Zaledwie wstaliśmy od stołu i mama przeszła z nami na drugą stronę, zaraz w otwartem oknie ukazała się głowa Piotrusia. Józio czemprowadziej wybiegł do niego, a ja, ma się rozumieć, za Józiem.

— Paniczu, śpieszmy się, śpieszmy, takie śliczne źrebiątko wyprowadzono! — wołał Piotruś z rozjaśnioną twarzą.

Józio zaczął w ręce klaskać, ja tak samo: — Żrebiątko, źrebiątko! — powtarzałam, pędząc w stronę gospodarskich zabudowań.

— Napolciu, Napolciu, niech się Napolcia wróci! — pogonił za mną głos Piotrusia.

Stałam, nie domyślając się bynajmniej, co by to znaczyć miało. Piotruś mnie objaśnił, że panienki do stajni nie chodzą, że tam dużo gnoju i błota, a ja mam cienkie trzewiczki i białe pończoszki, że ze stajni pójdą z Józiem bardzo daleko, a mnieby nóżki bolały i t. p. Żaden z tych argumentów nie trafił do mego przekonania; po błocie mógł Piotruś mnie przenieść, jeśli się zmęcę w dalszych wycieczkach, mógł wziąć na ręce, lub odpocząć wraz ze mną trochę. Podawane przezemnie sposoby tem silniej utwierdzały ich w przeciwnym mojemu zamiarze. Za-

równy stary, jak dziecko, chcieli sobie bez kłopotu, bez żadnego ograniczenia, użyć wiejskich przyjemności. Im bardziej mi odmawiali, tem bardziej się napierałam, aż wkońcu głośnym płaczem wybuchłam.

Mama wybiegła na ganek, babunia z lufcika się wychyliła i pierwsza zapytała, co te krzyki znaczą.

— A to Napolcia koniecznie chce iść z nami do stajni — oskarżał mnie Józio; — przecież panienki do stajni chodzić nie powinny.

— Zwłaszcza, jeżeli tak krzyczą i płaczą — zdecydowała babunia, która od najmłodszych lat swoich nieraz przecież do stajni zabiegała i bardzo konie lubiła. Przeciw jej wyrokowi mama nie śmiała wystąpić, wzięła mnie tylko za rękę i rzekła, nie patrząc wcale na Józia:

— Pójdź ze mną do ogrodu, Napolciu, pokażę ci moje ulubione ławeczki i klomby. Zobaczymy, czy są jeszcze te grusze i jabłonie, o których ci nieraz mówiłam.

Józio zawahał się trochę na to wdanie się matki, ale fatum przemogło i za Piotrusiem do swoich chłopczyńskich przyjemności pociągnął.

Wieczorem matka bez łajania, łagodnym, sobie tylko właściwym sposobem rozrzewniła go bardzo nad wyrządzoną mi krzywdą.

— Coby to ojciec powiedział na to? wszakże on starszy i poważniejszy, a całemi godzinami z Napolcią się bawił. W ostatnich chwilach, kiedy pracą nie był zajęty i mógł własnej rozrywce czas jakiś poświęcić, Napolcia mu nigdy nie przeszkadzała. A Józio chciał się jej pozbyć dlatego jedynie, że mała i słabsza, nie zdążyłaby może za nim na przechadzce; a toć właśnie dlatego, że mniejsza i słabsza, on, starszy braciszek, powinien się opiekować tą jedyną siostrzyczką swoją. W dalszem życiu może potracą najbliższych swoich, którzy dziś mi-

łością i staraniem ich otaczają, któż wtedy serdecznie i prawdziwie ich ukocha, jeżeli oni siebie wzajemnie kochać nie będą? Brat każdy i każda siostra zawsze się kochać powinni, cóż dopiero brat i siostra sieroty!...

Józio rozplakał się, przeproszał i mnie i mamę; na-
zajutrz sam prosił, żebym mu w wycieczkach z Piotru-
siem towarzyszyła, ale to faktu spełnionego nie cofnęło;
Józio dowiedział się, że ma prawa i przywileje dlatego,
że się mężczyzną urodził; Napolcia dowiedziała się, że
są dla niej ograniczenia i zakazy dlatego, że się urodziła
kobietą. Przy najlepszych chęciach braciszek mój nie
byłby mógł we wspólnej ze mną utrzymać się sferze.
Mnóstwo okoliczności, mnóstwo drobnych wypadków
wrywało go na zewnątrz i w dal unosiło. Z początku
niejedna chwila osamotnienia straszliwą nudą mi zacię-
żyła. Kiedy mama listy pisała, a Marcyna praniem była
zajęta, nie wiedziałam co z sobą zrobić, aż i mnie wreszcie
dostało się coś takiego, co mi zupełnie zrównoważyło
wszelkie spotykające mnie ubytki i niedobory. Mniejwię-
cej po dwóch tygodniach naszego pobytu, ciotka Różia
przyjechała. Była to krzepka, żwawa i czynna kobietka,
miernego wzrostu, chuda, bardzo lekko swoje pięć krzy-
żyków na barkach dźwigająca. Należała ona do rzędu
tych nieszczęśliwych, a jednak godnych zazdrości istot,
które to los na samotną wędrówkę pomiędzy ludźmi
wyprawia, żadnym obowiązkiem do żadnego stanowiska
nie przywiązuje, a jak na przekorę, kochającym sercem
i łatwością poświęcenia się obdarza; służyć, dogadzać,
współradować się i współboleć, stanowi główną potrzebę
ich natury. Takie istoty, gdziekolwiek prąd zdarzeń je
osadza, muszą sobie znaleźć kogoś do umiłowania na-
dewszystko, a że znajdują, o wzajemność, czasem nawet
o wartość nie pytając, więc szczęśliwsze są może, niż

mnóstwo innych trudniejszych lub skąpszych w szafunku swego uczucia, niż mnóstwo kochanych nawet. Ciotka Różia, bardzo daleka i uboga krewna naszej babki, po śmierci swoich rodziców w jej domu została niby na rezydentkę przyjętą; było to raczej ciężką pracą bezpłatną, niż rezydencją; funkcje trzech przynajmniej oficjalistek: gospodyni naczelnej, szafarki i panny służącej, spadły na jej odpowiedzialność.

Ciotka Różia musiała wiedzieć o krowach i o trzodzie chlewnej, o drobiu i o warzywie, musiała wiedzieć o czeladzi folwarcznej i o pokojówkach, o spiżarni i o piwnicach, o państwu i o gościach; cioci Rózi wszędzie też pełno było. Robiła masło, chleb piekła, rurkowała babce czepki i szlafroczyki falbankami obszyte, prasowała dziadkowi gorsy od koszul i letnie kamizelki; wszystko co było trudniejsze, smaczniejsze, więcej wyszukane, wszystko to przez jej ręce zawsze przejść musiało. Niecierpliwiła się czasem na lenistwo służących, na swawolę paniczów, na niedbałość pana wuja, a kaprysy pani ciotki, lecz nigdy się nie skarżyła na zbytek roboty. Wogóle z wszystkimi żyła na dość przyjaznej stopie, przywiązała się do starszych i do młodszych, bardzo lubiła Benię, zgadzała się z Joasią, ale prawdziwą niedzielą tak zapełnionego życia była mała Teklunia. Na tej złotej główce umieściła wszystkie kapitały swego poczciwego serca. Dziecku była piastunką i boną najtroskliwszą; dziewczynce opiekunką i tarczą obronną przeciw wszelkim połajaniom, pokutom i zbyt długim lekcjom; młodej panience, gdy się w pięknym oficerze od ułanów zakochała, była najżywiej się jej losem przejmującą powiernicą i najodważniejszym wśród przeszkód sprzymierzeńcem. Teraz dzieci Tekluni, bez najmniejszego dla swej matki uszczerbku, cały ten skarb pieczołowitej miłości odziedziczyły. Nie mogą powie-

dzieć, żeby na mnie większa część przypadła; owszem, ciocia Różia jedyną może była osobą z całego kółka krewnych, znajomych i domowników, jedyną, która żadnej nie czyniła między mną a Józiem różnicy. Piotruś był Józia stronnikiem; u Marcyny ja przed wszystkimi na pierwszym stałam miejscu; pani Glinicka, o ile sobie przypominam, dla mnie także łaskawą bywała; babunia daleko więcej wołała Józia odemnie; wuj Kazimierz nawet do niego również miał pewną słabostkę, a ciotka Joanna to już bardzo wyraźnie nawet życzliwsze mu względy okazywała, lecz ciotka Różia dla nas obojga równie była pieśczośliwą, staranną, równie się nami zachwycała, równo między nas uściski i łakotki dzieliła i mam to przekonanie, że ani o jagódkę więcej na jeden niż na drugi talerz nie wyspała dla nas przy podwieczorku poziomek. Z natury rzeczy wynikło wszelako, że ja lepiej od Józia wyzyskałam ten stosunek. O ile braciszek odstał odemnie, o tyle do ciotki Rózi przylgnęłam; biegałam za nią po wszystkich kątach, jak piesek, według wyrażenia trochę zazdrośnej Marcyny. Ciotka też chętnie brała mnie z sobą, zwłaszcza jeżeli było coś ważniejszego do załatwienia w wydziałach gospodarczych jej zarządowi powierzonych, a każda taka wycieczka niemałe przynosiła mi zyski. W kurnikach darowała mi ciotka białą kokoszkę, a powiedziała, że trzecia zrzędu krówka do mnie należeć będzie; w chlewkach otrzymałam parę tłuściutkich i niezabrudzonych jeszcze prosiątek na własność; przy robieniu masła wypijałam zawsze szklaneczkę doskonałej maślanki i dostawałam dla siebie i dla Józia po osełeczce masła żółciutkiego jak złoto, pachnącego jak świeże powietrze na łące; gdy zaś przy pieczeniu chleba obecną byłam, pozwalano mi własną ręką uklepać dwie równe kukielki, z których jedną potem ofiarowywałam bracisz-

kowi, jako mego osobistego wyrobu upominek. W szafarni przy wydawaniu zapoznałam się doskonale z szafeczkami, w których były rodzynki i migdały, pierniki i konfitury; lecz obok tego doskonale też rozpoznawałam jęczmienną kaszę od gryczanej, pszenną mąkę od żytniej i tak nauka łączyła się z przyjemnością, a dziecinne łakomstwo pomagało do kształcenia na znakomitą gospodynię. Istotnie przyszła chwila, w której stanęłam na czele domu z tym jedynie zapasem wiedzy, jaki mi się po kursach odbywanych z ciotką Rózią w pamięci został; no, bo i nieźle mi poszło jednak. Wielu rzeczy trzeba się było nauczyć, ale od samego początku zaraz okazałam się daleko praktyczniejszą, niż się tego najbliżsi moi spodziewali — za co „wieczny odpoczynek racz dać Pani“ tej prostomyślniej, dziewczynki miłującej duszyczkę ciotki Rózi. Była to przecież wielce nieroztropna i przeciw zasadom niektórych pedagogów dzisiejszych ciężko grzesząca kobieta; cóż państwo na to powiecie? tak się ze mną wszędzie prowadziła, że gdy później dłuższe wieczory nastąpiły, nieraz i mnie i Marcynę wzięła ze sobą do czeladnej izby, a tam, przy kądzieli zasiadłszy, nietylko z przyjemnością sama słuchała, lecz mnie dziecku słuchać nie bronila różnych kłamliwych bajek, różnych historyj o duchach, gusłach i zabobonach. Niechże jej za to... niechże jej za to „światłość wiekuista świeci!“ Ileż-bo to chwil promiennych zawdzięczam jej niewykształconej, instynktowo przez świat idącej dobroci! Może w dalszych następstwach znalazła się niejedna czarna chwila także, lecz promienne chwile nigdy wzroku nie olśniły, czarne — serca nie zatrwały.

Takbym chciała sumiennie i wyczerpująco, już nie dla innych, ale dla samej siebie rozwiązać tę kwestję bajek i cudowności w stosunku do wychowania dziecka-czł-

wieka! Naczytałam się o tem i ludzie poważni często mi powtarzali, że wszelkie zmyślenia dziecinnemu umysłowi na pokarm podane, już tem samem są szkodliwe, że użytecznemi być nie mogą; użyteczną może być tylko prawda; zmyślenie próżno zabiera jej miejsce, gorzej niż próżno: chorobliwie, morderczo, tak samo jak w pewnej danej i zamkniętej właściwemi sobie granicami przestrzeni kwas węglowy zająć może miejsce zdrowego powietrza, jak wrogi kolonista miejsce krajowców, Niemiec miejsce Słowianina.

Uznaję słuszność tych zasad. Jeśli zmyślenie jest kłamstwem, to niema rady, trzeba się go wyrzec. Ale czyż zmyślenie, fikcja, fantazyjność koniecznie kłamstwem być musi? czyliż to nie jest raczej odmienna forma jakiejś prawdy dziejowej, albo psychologicznej, albo przeczuwanej dopiero? Owe baśnie, których słuchałam, toż to po większej części okruchy pierwszych pojęć dziecinniej jeszcze ludzkości; każda w chwili powstania swego była może epopeją, teologją, filozofją, ustawą moralną; każda przydała się ludziom, na posunięcie ich o krok, a choćby o pół kroku, o pół linji ku dzisiejszemu ich stanowisku. Nim się człowiek urodzi, według fizjologicznych spostrzeżeń, ciało jego w stopniowym rozwoju swoim kształtuje się na podobieństwo niższych gromad zwierzęcego królestwa; podobieństwo to nie bywa zaiste dokładnem, a tem mniej do tożsamości prawa sobie rościć nie może, wyraźnie jednak przypomina robaczkę, rybę, ptaka, czworonożne twory, aż wkońcu, po odbytej kolei, ludzka postać uzupełnia się i dziedzic zamierzchłej przedwieczności wpośród współbraci miejsce swoje zajmuje. Któż mi zaręczy, że umysł człowieka w okresie dziecinnego wieku nie odbywa równoległych przeobrażeń? czy od pierwszej bezmyślności zacząwszy, nie kształtuje się także na podo-

bieństwo różnych w niepamięć zapadłych warstw cywilizacji, póki ostatecznie nie zbudzą się w nim zdolności odpowiednie potrzebom i wymaganiom teraźniejszego stanu społeczeństwa. Otóż niezaprzeczoną jest rzeczą, że między dzikością a oświatą, między popędami instynktu a pierwszą rozumową pracą, zawsze wyobraźnia pośredniczyła; jej pomyłki, jej złudzenia zaspokajały jednych, zmuszały do badania innych. Więc i dziecko ma taką chwilę, w której pomyłek i złudzeń wyobraźni potrzebuje. Nie są one dla niego zupełnie tem samym, czem w dziejach niegdyś były, nie starczą mu za prawdę, ani mu bodźcem do poszukiwań i odkryć nie będą, ale z bogacą jego życie tą władzą, przez którą Goethe duszę swego Fausta zbawił, nie pozwoli mu zadowolić się posiadaniem, zdobytem i wiedzianem do tego stopnia, by ku lepszemu nie tęsknił, ku dalszemu nie dążył, ku wyższemu nie sięgał, by nieznanego pozyskać i zrozumieć nie pragnął...

Wszystko to być może, a jednak zastanów się, panno Napoleono, jaką rolę w twojem własnem życiu baśnie odegrały? Rozbudziły twoją fantazję, rozwarły przed tobą świat jakiś inny, niebywały, pełen blasków, barw, djamentów, ptaków cudnie śpiewających, dziewic w słonecznych szalach, rycerzy w zbrojach złocistych, pełen także potworów, duchów ciężkie za sobą wlokących łańcuchy, jędz bezzębnych, czarnoksiężników złośliwych, djabłów kusych, rogatych. Na cóż ci się to wszystko zdało? ha! na nic — gdybym była miała choć cię poetycznego talentu, zdałoby mi się może na koloryt, arabski, na tła i ozdoby, lecz mnie biednej tyle jedynie korzyści ztąd zostało, ile zostało po muzyce, która mnie niegdyś przed laty zachwycała, po pieśni dźwięcznej, ze łzami w oczach słuchanej, a której nuty dzisiaj przypo-

mnieć sobie nie mogę, ile zostało po arcydziełach malarstwa i rzeźby, co to przed niemi czoło w pokorze ku ziemi się chyliło, a których więcej nigdy, nigdy nie zobaczę!

Tymczasem surowym rygorystom pedagogicznym najuroczyściej zaręczyć mogę, że słuchanie bajek, nawet o strachach, zbójcach, czarach i t. d., wcale mi nerwów nie osłabiło, ani też nie zrobiło mnie zabobonną, przesadną i łatwowierną. Nawet pięcioletnia główka moja rozumiała już, że to wszystko nie było rzeczywistością, choć przedstawiało mi się jako pewna możliwość powyżej rzeczywistości unosząca się w powietrzu. Nie wierzyłam, lecz przypuszczałam; nie pragnęłam koniecznie, lecz bardzo silnie czułam owo zbiorowe wszelkich niepodobieństw słowo — „a gdyby“... Nieszczęsne to „gdyby“ stało się powodem gorzkich łez, ciężkiego zmartwienia i pierwszej w życiu mojem pokuty; powinno było odstręczyć mnie na zawsze od wszelkich fantazjowań na własną rękę, a na cudze powieści, nie ten jednak skutek wywarło; kamieniem obrażenia stał się dla mnie kantorek babuni, przedmiot podziwu i nigdy nienasyconej ciekawości mojej.

Raz się zdarzyło, że babunia otworzyła go przy nas, ma się rozumieć głównie dla zabawy Józia, i zaczęła wydobywać z szufladek różne drobiazgi i kosztowności, na które patrzyliśmy się ze zdumieniem, ale bardzo grzecznie, jak babunia kazała, niczego rękami nie dotykając. Były tam pierścionki i łańcuszki, bonbonierki i spinki różnej wartości, był zegarek mniejszy od złotówki, choć dwa razy od dzisiejszych grubszy, była tabakierka poloneza Kościuszki grająca, którą Józio nacieszyć się nie mógł, był igielniczek z perłowej macicy, złotemi gwiazdkami nabijany, a kształt parasolika mający, któremu ja

znów głośny poklask złożyłam, było tyle pysznych rzeczy, że nam się zdawało, jakoby i w Warszawie nic kosztowniejszego znajdować się nie mogło. Kiedy byliśmy najpewniejsi, żeśmy już wszystko zobaczyli, babunia ze śmiechem zapowiedziała nam, że to połowa dopiero, bo wśród szufladek i półeczek są jeszcze rozmaite skrytki, w których daleko droższe przechowują się kosztowności, i mówiąc to, wyciągnęła jedną deseczkę i między dwoma szufladkami ukazał się wązki otwór, z którego babunia wyciągnęła leżące na wacie drobne białe perełki, pięknym chryzoberylem w złoto oprawnym spięte; było ich z kilkanaście sznureczków, ale krótkich.

— Widzisz, Józiu, to są prawdziwe perły, przypatrz im się dobrze — rzekła, zwieszając je pod światło, aby tem lepiej mleczne tęczowe ich połyski uwydatnić. — Jak urośniesz i będziesz miał się żenić, to ci je podaruję dla twojej narzeczonej.

— Eh! jabym wołał Napolci podarować — odparł Józio.

— Bo nie masz jeszcze rozumu.

— Mnie się też zdaje, że byłyby dla niej zaciousne.

— Bo tych perełek na szyi się nie nosi, tylko na rękę, to jest branzoletka, o, widzisz — i babunia uchyliwszy rękawa, przymierzyła owe branzoletki na swoim bardzo jeszcze białem i okrągłym poniżej łokcia ramieniu.

— Ah! jak babuni w tem pięknie! — wykrzyknął zachwycony Józio.

— Czy mi bardzo do twarzy? — z uśmiechem zapytała.

— Do twarzy nie, ale do ręki prześlicznie — odpowiedział bez żadnego zakłopotania.

— Kiedys taki szczery, to muszę ci powiedzieć, skąd się w naszą rodzinę te perełki dostały. Dawno bardzo

już temu, jedna z sióstr twojej prababki sama raz w domu została, bo wszyscy do kościoła na nieszpory poszli, ona zaś mocno była cierpiącą na głowę i korzystała z ogólnej cichości, żeby się przespać trochę. Jeszcze na dobre nie zasnęła, kiedy jakiś szmer dał się słyszeć tuż przy jej łóżku. Otwiera oczy, patrzy, aż tu stoi przed nią małeńki na dwa cale człowieczek, w koronki, aksamity i złote hafty przystrojony, a kapelusz z piórami grzecznie w rękę trzymający. Skłoniwszy się jej nadzwyczaj dwornie i zręcznie, zaczął ją prosić, aby przez swój pokój przejechać pozwoliła jego siostrze, bo deszcz zepsuł drogę pod murem ściennym do kościoła wiodącym, a siostra dziś właśnie o tej godzinie ma brać ślub z księciem ogrodowej altany i lęka się zbytecznej wilgoci, najpierwej dla ojca swego, w podeszłym wieku staruszka, a potem dla całego weselnego orszaku, który mógł łatwo zabłocić się i świetne stroje poniszczyć. Siostra prababki z wielką uprzejmością przystała na żądanie malutkiego, a przecież, jako później mówiła, bardzo przystojnego młodzieńca. Miał on podobno takie niebieskie oczy i takie czarne w górę zakręcone wąsiki, że gdyby tylko męskiej miary dorósł, toby się w nim można było na zabój pokochać. Chciała nawet przez ciekawość w dłuższą z nim wdać się rozmowę. Ale nim się uniosła z poduszek, już go przy niej nie było. Zaledwie od jego zniknięcia kilka minut upłynęło, wysunęła się z pod pieca duża jak małe pudełeczko kareta, w sześć białych myszy zaprzągnięta, z wygalowanym furmanem na koźle, a z dwoma hajdukami z tyłu; w środku przez spuszczone szyby można było widzieć pannę młodą w srebrzystej sukni, w koronkowym woalu i mirtowym wianeczku na złocistych, do kolan rozpuszczonych włosach; obok niej siedział ojciec siwy jak gołąbek, z długą brodą, niby w gronostajowy płaszcz w jakieś

gronostajowe futerko otulony. Za pierwszą karetą ciągnęła druga, a w niej narzeczony księżę z ogromnym białych kwiateczków bukietem przy błękitnym atłasowym kontuszu. Księżę miał bardzo lichy wygląd obok brata swej przyszłej żony; żółty był jak cytryna, chudy jak szpileczka i bodaj czy nie łysy, ale trudno było się o tem przekonać, gdyż dźwigał na głowie księżęcą, w krzyż złotymi nitkami przepasaną czapkę. Toczyły się w dalszym szeregu różne jeszcze kolebki i powozy z druchnami i z družbami, z gośćmi i z muzyką, a na końcu gromadka, najpewniej sług i domowników, uroczysty orszak zamykała. W miarę jak się zbliżali do łóżka, każdy z weselników leżącej pani głęboki ukłon złożył, nie wyłączając księcia, który przez okno karety swojej ze trzy razy ręką machnął tak, że na serdecznym paluszku jego można było rozeznac djamencik połyskujący w złotym, najpewniej zaręczynowym pierścionku. Po chwili ekwipaże i piechotą idący wszyscy razem pod łóżkiem zniknęli. Cioteczna prababka nasza ciekawie, ale bez zdziwienia patrzyła na tę procesję godową, gdyż od zjawienia się wykwiutnego kawalera poznała już, że ma do czynienia z małoludkami, a wszyscy przecież wiedzieli wtenczas, że małoludki to są łagodne, spokojne, wcale nieszkodliwe istoty; owszem, gdzie sobie mieszkanie obrały, tam się wiodło zazwyczaj wielkoludkom, to jest zwyczajnym synom człowieczym, póki im który z nich krzywdy nie wyrządził; jeśli wyrządził, natychmiast opuszczały podziemia domowe, a za nimi wnet wynosiła się także dobra dola gospodarska: kury przestawały się nieść, wszystkie indyczęta wypadały przy dostawaniu koralu, mleko od krów ciągle się warzyło, czasem nawet grad zboże powybił; przeciwnie, za każde dobrodzieństwo, za każdą uczynność, małoludki starały się koniecznie

wdzięczność swoją okazać: od szczurów i myszy dzielnie piwnice i wszelkie składy broniły, przydeptywały kretowiny na trawnikach, od pożaru zaduszeniem zapuszczonej iskry bardzo często ustrzegły, lub z choroby podrzuconemi ziołami wyleczyły, a zdarzało się, że i podarki maleńkie składały. Nic więc dziwnego, że cioteczna prababka nader spokojnie rozwiązania swej przygody czekała. Pół godziny nie upłynęło jeszcze, gdy już z pod łóżka ukazała się wracająca karetą białemi myszami zaprzężona; tym razem państwo młodzi w niej siedzieli i znów tak jak poprzednio zatrzymali się z pokłonami przed właścicielką sypialnej komnaty, która to właścicielka zauważała nawet, że pannie młodej policzki od płaczu nabrzękły, a pan młody uśmiechał się, jak najszczęśliwszy człowiek pod słońcem, lub raczej pod ziemią. Za książecą parą cała kawalkata, kłaniając się i uśmiechając, przeciągnęła uroczyście, poważnie, aż kędyś pod piecem znikła. Jednocześnie pochmurne światło dzienne w mrok wieczorny ściemniać się zaczęło i prababka usnęła dość mocno. Wracający z niesporów mąż ledwie mógł jej się dobudzić; opowiedziała mu zaraz całe z małoludkami zdarzenie, lecz on śmiał się tylko i dowodził, że to wszystko przyśniło jej się zapewne. Prababka ciągle utrzymywała, że była doskonale już roztrzeźwiona, gdy wesele przejeżdżało przez pokój; on ciągle z niej żartował; zniecierpliwiła się i wkońcu do tego przyszło, iż się bardzo posprzecjali; prababka w płacz uderzyła, nie chciała w żaden sposób dać się uspokoić, ręce łamała, a głównie nad tem, że mąż nie wierzy jej słowom, aż tu nazajutrz z rana uchyla poduszkę i coś widzi?... oto tę samą z prawdziwych perełek bransoletkę, tym samym chryzoberylem spiętą. Dopiero wtedy i mąż uwierzyć musiał. Był to jednak uparty i spreczny człowiek.

W kilka lat później nanowo zaczął żonie dokuczać i kłął się na wszystkie świętości, że on sam przygotował tę bransoletkę na wiązarek dla jejmości, lecz widząc jejmość zbyt głęboko żartami jego strapioną, na pocieszenie jej o innym zaczął myśleć prezencie, a bransoletkę cichaczem jako ofiarę małoludków podsunął, by ją triumfem zadowolić i w dobry humor wprowadzić. Rzecz oczywista, że tak późne odwołanie wszyscy mu za kłamstwo poczytali i bransoletka przez trzy, jedno po drugim następujące pokolenia, z rąk do rąk przechodziła, wraz z wiernie zachowaniem dla potomności świadectwem ciotecznej naszej prababki. W drugim zaraz pokoleniu spadła dziedzictwem na linię poboczną i odtąd panowie Kalińscy mieli ją i narzeczonym swoim w upominku przedślubnym składali, ale Kalińskich już zabrakło.

— A wuj Kazimierz?

— Wuj Kazimierz według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy się nie ożeni. Ciotka Joanna nie ma dzieci. Syn Tekluni jedynym może być spadkobiercą.

Można łatwo się domyśleć, że Józio mnóstwem zapytań raz po raz przerywał legendę babuni; ja nawet, choć nieskoro odzywałam się w jej obecności, nie mogłam jednak powstrzymać mimowolnych wykrzykników:

— Czy być może? Czy to prawda?

Nareszcie, gdy babunia mówić przestała, Józio bardzo poważnie się odezwał:

— Moja babuniu, niech mi babunia powie, kto istotnie miał słuszość?

Babunia wzruszyła ramionami, ale w oczach jej coś wesołego zamigotało.

— Alboż ja byłam przy tem? alboż ja kiedy w życiu małoludków widziałam? ani małoludków, ani prababki waszej, ani jej męża; każdy jak chce, tak sądzi

sprawę między nimi. Jedni jej, drudzy stronę jej męża trzymają, a ty, Józiu, komubys wierzył?

Józio zastanowił się chwilę, lecz wnet potem bardzo stanowczym rzekł głosem:

— Jaby m wierzył prapradziadkowi, bo przecież małoludków niema na świecie.

— Ale mogły być dawniej — z tymże samym wyrazem w spojrzeniu, niby od niechcienia, zauważyła babunia, i musiała być w bardzo dobrym humorze, bo nawet ku mnie przez ramię spojrzawszy, zapytała:

— No, jakże pannie się zdaje? kto na wiarę zasługiwał?

— Jestem pewna, że cioteczna prababka.

— I dlaczegóż to jesteś tak pewna?

— Bo prababka widziała.

— Nie zawsze można być pewną tego nawet, co się widzi; możesz kiedy i księżyc w wodzie zobaczyć, a jednak rękoma go nie schwycisz.

Na tych słowach babuni kwestja małoludków bez rozstrzygnięcia zawisnęła tedy; z później słyszanych o babce szczegółów mam prawo dziś wnioskować, że sama prawdopodobnie dość jasnego o tem nie miała pojęcia. Niedarmo przeżyła koniec ósmnastego i początek bieżącego wieku. Zaprzeczenie wszystkiemu i ślepa wiara we wszystko potraçały się w jej umyśle, który łatwo sobie przyswajał zewnętrzne, powietrzem rzeczy można płynące prądy, a nigdy sobie właściwego punktu oparcia nie szukał i na uznaną prawdę nie zapracował. Józio nie troszcząc się jednak o żadne filozoficzne wątpliwości, dopominał się tylko, żeby mu więcej skrytek pokazano.

— Na ten raz dosyć tego będzie — rzekła babunia; — w innych skrytkach są rzeczy, którychbyś dzisiaj jeszcze nie umiał ocenić; jak będziesz starszy, i tak one

w twoje ręce przejdą, a tymczasem podaruję ci tę pieczętkę, żebym się przekonała, jak też umiesz rodzinne pamiątki szanować. — Mówiąc to, wyjęła z małej szufladki małą złotą pieczętkę z krwawnikiem, taką, jakie panowie za czasów dyrektorjatu przy zegarkach nosili. Józio, uszczęśliwiony, zaczął babunię po rękach całować, a ja także, radość jego dzielając, z uniesieniem do całowania kolan babuni się rzuciłam. Babunia ostro spojrzała na mnie.

— Cóż to znaczy? czy Leonka także się czegoś napiera? to bardzo nieładnie! — zgromiła dosyć surowym głosem.

W jednej chwili jakby mnie kto zimną wodą oblał. Głębokie poczucie wyrządzonej niesprawiedliwości nawskróś mnie przeniknęło. Inna, lepsza odemnie dziewczynka, próbowałaby może uniewinnić się i wytłumaczyć, lecz mnie to na myśl nie przyszło nawet. Podejrzliwość babuni rozbudziła drzemiącą na dnie mego serca godność własną czy pychę, niełatwo osądzić. Na całe dalsze życie już mi to zostało, że przeciw fałszywym zarzutom milczeniem tylko walczyłam; sama siebie oskarżałam często, przyznawałam się do winy z wielką pokorą nieraz, ale nigdy nie umiałam się bronić i usprawiedliwiać. Przy tem pierwszym nagabaniu „niemego djabła“, jak go w wiele lat później brat mój nazywał, nie zachowałam się jednak z tą spokojnością, jaka mię już w następnych zdarzeniach nie odstępowała. Oko w oko spojrzałam z oburzeniem na babkę, twarz cała drgać mi zaczęła, ale nie chciałam rozplakać się wobec tej, co mnie skrzywdziła, i w największym pędzie uciekłam z pokoju. Józio wkrótce za mną podążył, i całą we łzach jeszcze przy boku matki zastał.

— Na! masz, Napolciu, ja nie chcę tej pieczętki, weź

ją sobie, a nie płacz — powtarzał wśród uścisków i pieśszcot, któremi chciał wynagrodzić mi połajanie babuni. Widziałam jednak, że moje rozżalenie bierze w tem samem co i babunia znaczeniu, więc też lkałam coraz głośniej i dopiero gdy matka zaczęła się rozpytywać, słówko za słówkiem wszystko mi z duszy wyciągnęła i najłatwiej uspokoiła, bo zaufała temu, że dziękowałam za Józia, lecz o nic nie prosiłam dla siebie. Pieczętunki Józia długo dotknąć się nawet nie chciałam.

— Mój wujaszku, co to za linje pokrzyżowane? — pytał Józio dnia tego wieczorem, pokazując wyryte na krwawniku znaki.

— Mają to być trzy włócznie — odpowiedział wuj Kazimierz. — Dziadunio twój kazał je tu umieścić na pamiątkę drutów, na których ciotka Różia skarpetki mu robiła.

Wspomniana osoba, z pończochą o kilka kroków przy oknie siedząca, cisnęła kłębkami na wujaszka.

— Nie plótlbyś asan takich niedorzeczności. Dziadunio pewnie byłby wołał o ciotce Róży zapomnieć, niż sobie dewizki na jej pamiątkę sprawiać. Pójdź do mnie, Józiu, ja ci prawdę powiem. Te trzy włócznie, widzisz, one są na tarczy, a powyżej z korony wydobywa się kozioł rogaty, to wszystko razem jest herbem, nazywa się Koźlerogi, wszyscy Kalińscy używają tego herbu.

— Co to herb? — z wielką ciekawością rzucił Józio powtórne pytanie.

— To jest wielkie głupstwo, mój chłopcze — odezwał się wuj Kazimierz, wychowanek francuskiej rewolucji.

— To jest godło szlachectwa; szlachcic tylko herbu używać może — zaprzeczającym tonem odparła ten określnik ciotka Różia. Trzeba wiedzieć, że oboje z Józiem

słyszeliśmy nieraz, jak wujaszek na przejeżdżających dziedzińcem wołał:

— Hej, szlachcicu! a gdzież to? — jak o sąsiadach, z którymi miał graniczne zatargi, mówił: — Trzeba tych szlachciców rozumu nauczyć — jak sama ciotka Różia nieraz z przekąsem mówiła:

— Jakiś szlachcic przyjechał i zaraz mu trzeba wódkę z zakąską podawać, niby to nie ma pilniejszej roboty. — Różne tym podobne zwroty językowe nie podniosły jakoś w naszej wyobraźni godności tego tytułu. Józio nie mógł zmiarkować, czy wuj, czy ciotka Różia z niego żartuje; ponieważ jednak ta ostatnia uroczyście niejako przemawiała, więc do niej naprzód się zwrócił:

— Przecież my nie jesteśmy szlachcicami?

Ciotka aż podskoczyła na krześle:

— Jakto nie szlachcicami? z dziada pradziada wszyscy Kalińscy... i — ugryzła się w język — nie Kaliński to przecież, ale Hołosko słuchał jej objaśnień i patrzył na nią szeroko rozwartymi oczami, a była pewna wątpliwość, ba! ogromna wątpliwość nawet, czy Hołoskowie ze szlachty, czy z Ormian pochodzili. Matka spostrzegła jej zakłopotanie i z uśmiechem na pomoc przybyła:

— Kalińscy byli szlachtą, ale ty, Józiu, po ojcu swoim wcale szlachcicem nie jesteś.

Chłopiec z wielkiej radości kilka razy na pięcie się wykręcił.

— Ach, jaki ja szczęśliwy! — zawołał, klaszcząc w ręce — ja tak nie lubię szlachciców!

— Ja także! ja także ich nie lubię! — dopomagałam całym głosem.

— Ale szlachcianki to są wcale przyjemne! — zaczął

mi się wuj Kazimierz sprzeciwiać. — Napolcia jest niezawodnie szlachcianką.

— Nie jestem! nie jestem! — powtarzałam, tupiąc nogą z wielkiego zapalu.

— Ależ, moje dzieci — łagodnie przedstawiała nam matka — przecież i szlachcic jest taki człowiek, jak inni; co wam do tego, czy ze szlachty, czy nie ze szlachty pochodzicie, pamiętajcie tylko, że Pan Bóg ludźmi was stworzył i szanujcie każdego człowieka.

— Dobrze, mamó — z gotowem posłuszeństwem oświadczył się Józio — chciałbym tylko wiedzieć, czy to prawda, że szlachcice jedynie używają takich pieczętek?

— Istotnie, oni tylko mają do nich prawo; znaczy to, że któryś z ich przodków służył niegdyś w obronie kraju i za dowód odwagi, za czyn jaki szlachetny, pewnem godłem obdarzony został. Przecież choć z historji polskiej to mógłbyś przypomnieć sobie, jak Bolesław Krzywousty złotą ręką i herbem Sulimą Żelislawa wynagrodził.

Józio przypomniał sobie i bardzo się zawstydził, że mu to pierwszej do myśli nie przyszło. Herby wszystkiemi blaskami chwały, męstwa i zasługi upromieniły się w jego wyobraźni. Z lekkim wyrzutem rzekł też do wuja Kazimierza:

— Wszak wuj żartował? Herb nie jest największem głupstwem?

— O! jeśli mamy z sobą poważnie rozmawiać, panie majorowiczu Hołosko, to powiem panu, że pierwszy herb komuś nadany, to był, dajmy na to, tem samem, czem jest dzisiaj krzyż legji honorowej, który wasz ojciec pod Tczewem otrzymał; był nagrodą, był poleceniem dla wszystkich, aby dzielnego męża i zacnego obywatela przynależnym otaczali szacunkiem. Gdybyś ty

jednak, Józiu, tym krzyżykiem twego ojca chciał błyszczyć przed ludźmi, gdybyś się nim chwalił, pokazywał go każdemu i wymagał większych względów za to, że go na pamiątkę odziedziczyłeś, byłoby to wcale niepięknie z twojej strony. Gdyby twój syn tak uczynił, byłoby jeszcze niepiękniej, a gdyby który z praprapra i prawnuków twoich, sam przyznaj, do czego byłoby to podobne i czy wtedy największem głupstwembyś tego nie nazwał.

— Ja też pewnie moją pieczętką przed nikim chwalić się nie będę, ale ją schowam, bo mi ją babunia na pamiątkę dała. Czasem to jednak pomyślę, że ktoś z rodziny mamy i wujaszka sławnym czynem kiedyś się odznaczył.

— Chyba to już bardzo dawno być musiało, — rozśmiał się wuj Kazimierz — nie za pamięci ludzkiej, po dziadku naszym miarkując. Wszak prawda, ciociu Róziu?

— Ej, co tam grzechy zmarłych wypominać! — oburknęła się ciocia Różia — czy to pan starosta był gorszym od innych?

PODANIA RODZINNE.

Istotnie, ciocia Różia najlepiej wiedziała o tem, co się za dawnych czasów działo; była to niewyczerpana studnia tradycyji rodzinnych, ale z kolorytem, jaki w nich ubodzy krewni bogatym krewnym nadali. Wolno przypuszczać, że osobiste urazy, zazdrostki, niechęci, w różnych miejscach na przyciemnienie barw niektórych wpłynęły; niema jednak wyboru, trzeba wziąć je takimi, jakimi są, bo innych brakuje. Pamięć rozdrażnionych zwykle w takich razach wierniejszą bywa od pamięci tych, co byli rozdrażnienia powodem. Kiedy dzieci Kalińskich

zaledwie o własnym stosunku do rodziców wyraźniejsze zachowały wspomnienie, dzieci Rózańskich jedne po drugich wzrastały przy ciągłych sądach i rozprawach nad tem, co zrobił ojciec pana starosty, co on sam, co syn jego. Dzieciom Kalińskich rodzice nie zwierzali się ze swojej przeszłości, nie tłumaczyli postępów swoich za-domowych, nie objaśniali swych zamiarów i pobudek; dzieci Rózańskich od małości nasłuchać się mogły, czemu jakiś Kaliński do tej lub owej partji należał, czemu z tym lub owym żył w przyjaźni, czemu i z kim się ożenił, aż wkońcu po latach wielu tak się rzeczy złożyły, że wuj Kazimierz nietylko o dziadku i pradziadku, ale nawet o rodzonym ojcu swoim, o rodzonej matce najważniejszych szczegółów z ust cioci Rózi się dowiedział. Po większej części szczegóły te nie były jedyne, więc niepodobna mu było zestawieniem innych faktów, sprawdzić je i do właściwej proporcji sprowadzić. Trzeba też przyznać, że ciotka Rózia, chociaż w nieprzychylnych sferach gromadziła swoich podań materiały, sama wszelako otaczała je względnością. Miała przecież Kalińskie w swoim rodzie. Według jej zdania, ta pani w kornecie i w czarnej sukni z ptasią fizjognomją, rodzona ciotka pana starosty, za Rózańskiego poszła i pierwsza obie rodziny w koligację sprzęgła, a przecież potem inne prócz tego między Kalińskimi a Rózańskimi kojarzyły się małżeństwa; biedna żona pana starosty z Rózańskiej się rodziła. Poczciwa ciotka Rózia wielką do tego przywiązywała wagę. Wolno jej było gorzką prawdę znać i naganiać, lecz niechby kto z obcych odważył się z zarzutem wystąpić, wnetby mu prędką a wcale niemiłą odprawę dała, zwłaszcza też od chwili, w której przyjęła gościnność w Mielniku, czuła się solidarnie z jego dziejami związaną — była to jedyna zacnej kobiety pró-

żnostka. Teraz, gdy ją wuj Kazimierz, syn domu, zaczepił, nie mogła jednak pewnej niecierpliwości powstrzymać:

— Co tam pytać o odznaczenie; każdy z nas grzesznym jest człowiekiem i dobrze na tem wyjdzie, jeśli spraw jego po śmierci roztrząsać nie będą.

— To też powinniście wyszukać dla Józia jakiego antenata, coby mu stał się wzorem cnoty, męstwa i nauki.

— Albo to jemu ojca i czterech wujów nie dosyć? Chcę mówić trzech wujów, bo ten czwarty, co został, to straszny nicpotem — z uśmiechem poprawiła się niby.

Wuj Kazimierz dalej się jej sprzeciwiał.

— Ciotko dobrodziejko! zapominacie, że tu idzie nie o nas zwykłych śmiertelników, lecz o nieśmiertelnego protoplastę, który to pierwszy w rodzie Kalińskich na szlachecki klejnot Koźlerogi zasłużył sobie.

— Mnie nic do tego kto zasłużył; nie ja klejnotu używam, nie ja będę się wywiadywała, za co przyszedł.

— Czy tylko nie za przyjaźń okazaną tej pani z dwoma czerwonemi różami?

— Wstydz się, panie Kazimierzu, wypominać takie rzeczy.

I od słowa do słowa, od żartu do żartu, zebrało się na długą dysputę, w której po raz pierwszy różne szczegóły o dziadkach i pradziadkach, nawet o prapradziadku jednym słyszałam; ma się rozumieć nie o tym przekorze, co w świadectwo żony swojej i w małoludków wierzyć nie chciał. Często bardzo później wyciągałam ciotkę Rózię na gawędki tego rodzaju.

— Więc przedewszystkiem, co to za jedna była ta pani w błękitnej sukni?

Ciotka Różia nie mogła mi o niej nic stanowczego powiedzieć. Między Różańskimi utrzymywano złośliwie,

że była drugą żoną pana Kalińskiego, młodą i piękną, gdy on już dobrze piąty krzyżyk przekroczył. Wpływem swoim przerzuciła go z partji francuskiej na stronę elektora; elektor, wdzięczny za tę przysługę, męża starostwem obdarzył, a ją samą na dwór drezdeński zaprosił. Nawet oręż Karola XII, nawet zrzeczenie się tronu przez Augusta, nie zachwiały wierności państwa Kalińskich; on się wieszał przy Denhoffie, marszałku konfederacji sandomierskiej, ona za granicą lepszych czasów czekała. Gdy lepsze czasy nadeszły, pokazało się jednak, że mężowi szczęśliwiej się wiodło, niż żonie; mąż wrócił z pełnym trzosem, z pełnemi sreber, futer i innych kosztowności wozami; żona wróciła z nudą w sercu, ze zmarszczkami na twarzy i gorzkim w życiu zawodem. Dumna, gniewliwa, wszystkim wkoło siebie dokuczała, aż ją po śmierci ojca młody pasierb za niespełna rozumu podał i w klasztorze zamknął. Według innej wersji, piękna pani z portretu była wprawdzie gorliwą zwolenniczką elektora, ale nie była żoną Kalińskiego; zawróciła mu tylko starą, pokiereszowaną na wiedeńskiej wyprawie głowę, bo go potrzebowała do tajemniczych z Przebędowskim konszachtów.

Za opuszczenie stronnictwa Kondego dostał od niej tę różę, którą właśnie na portrecie przy sercu trzymała; portret sam sobie kupił, a resztę nagrody egzekucjami ściągnął, gdy pod laską Denhoffa tak zwani konfederaci szeroko kraj płądrowali. Synem tego, jak wuj Kazimierz o nim się wyrażał, „romansowego łupieżcy“, był mój groźny prześladowca, z którym sam na sam w stołowym pokoju zostać nie lubiłam. Dziś już nie przypominam sobie tak wyraźnie rysów jego twarzy; wiem tylko, że było coś bezmyślnie dzikiego w tych oczach, które na mnie, gdziekolwiek stanęłam, patrzyły; w tym karku

grubym a krótkim, dużą podługowatą głowę podtrzymującym; w tej ręce postronkowemi żyłami nabiegłej, a na karabeli z takim ruchem, jakgdyby na kańczugu, wspartej. Miałam już ze dwadzieścia kilka lat może, ciotka Różia nie żyła, o portretach z Mielinka dawno już myśleć przestałam, gdy raz, obchodząc z bratem gospodarstwo, spostrzeżliśmy jak byk rozwścieczony wyrwał się z rąk pastucha i zaczął w naszą stronę pędzić. Szczęście, że mocne sztachety bezpieczeństwa nam zapewniały. To bydlę w chwili odzyskanej swobody, z rozdętymi nozdrzami, z rozognionym wzrokiem, po człowieczemu strasznie było; nagle łeb jego potężny tak mi pradiadka uprzytomnił, że mimowolnie zawołałam:

— Ach! patrz, Józiu, czyż to ci nie przypomina obrazu ze stołowego pokoju?

Józio w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co chodzi; dopiero potem, kiedy mu się wytłumaczyłam z doznanego wrażenia, sam przyznał, że mogło istnieć niejaki podobieństwo między zwierzęciem, a groźnym bohaterem różnych ciotki Rózi opowiadań. W obojgu widać było też samą siłę muskularną i też samą gwałtowność wprost zawsze przed siebie pędzącą, bo żadnym względem moralnym, ani żadnem prawem sumienia nieokielznaną.

Według tradycyji ciotki Rózi, pradiadek miał być nadzwyczaj popędliwy, a co się rzadko z tem łączy, nadzwyczaj zawzięty także; łatwo w gniew wpadał, nigdy popełnionego w uniesieniu występku nie żałował, do skrzywdzonych przez siebie większą prawie, niż do otwartych nieprzyjaciół urazę w sercu chował. Dla chłopów był okrutny; w dzieciństwie swoim ciotka Różia znała starych gospodarzy, którzy o jego srogości niesłychane rzeczy opowiadali. Bezkarność rozwinęła w nim

wszystkie popędy tyranów; z przyjemnością bywał zawsze przy wymierzaniu kar najdziwaczniejszych obecnym. Jeśli dzieciaki wiejskie pod płotem ogrodowym spotykał, to je bez rozpatrzenia sprawy, czy mu trochę ukradły, czy nie ukradły owocu, zaraz w mrowisko na czas pewien sadzał. Kto nie mógł ciągle wzrastającym ciężarom pańszczyzny wydołać, tego do pluga z wołem lub koniem zaprzęgano — a jak się z kobietami obchodził... to już ciotka Różia mówić nawet nie chciała, dodając zwykle:

— Bo też to ludzie czasem jak kogo dopadną, to wszystko co nieraz przed stu laty złego się stało, jemu na kark pakują.

Zdaje się jednak, że nie przed stu laty wielka się krzywda działa mieszczanom chodeckim, których żydzi w istną arendę od pana starosty wzięli; skargi o nadużycia aż na sejm wysyłano, lecz jak wiemy, sejmy wówczas ciągle zrywane były. W odwecie dostał mu się jedynie przydomek *żydowskiego starosty*. Jakkolwiek w owych czasach opinia niezbyt surowo gorsze jeszcze półpanków wybryki sądziła, pradziadek jednak nie miał w sąsiedztwie miru, ani w powiecie wziętości. Niejeden sam na sobie doświadczył a wszyscy dobrze o tem wiedzieli, że dla swojej korzyści, dla zysku, a czasem nawet dla prostej fantazji tylko przed niczem się nie cofnął. Do czterdziestu lat hulał i dokazywał w kawalerskim stanie. Około tego czasu zachciało mu się żenić, lub raczej zachciało mu się killkoma pięknymi wioskami granice swych dóbr rozszerzyć. Wiosek tych dziedziczką jedyną była młodziutka, trzynastoletnia sierotka Dzimińska, pokrewna Różańskich właśnie. Najbliższy opiekun daleko mieszkał na nieszczęście. Przy Dosi umieścił tylko jakąś powinowatą swoją, która ją niby uczyć, niby do-

glądać jej miała. Różańscy podobno upominali się, żeby dziewczynę do klasztoru odwiózł; bogate dziedziczki niebezpiecznym bywały wtedy do przechowania towarem. Opiekun słusność im przyznawał, lecz od roku do roku wyjazd pupilki swej zwłóczył, ciągle się tem tłumacząc, że dość będzie czasu za kratę ją wsadzić, gdy już z lat dziecinnych wyjdzie, bo przecież dziecka takiego nie porwą. Kto wie, czy w tem mniemaniu stara dozorczyńni go nie podtrzymywała, gdy ostatecznie starosta i dozorczynię i dziecko porwał. Śliczna to była jak kwiatek dziewczynka! delikatna a świeża, ciemnorzęsa a blondyna. Przez nią to zapewno ów złocisto popielaty kolor włosa rodzinie Kalińskich się dostał. Tymczasem biedna porwana Sulimka, na pierwszym wstępie zaraz w progi swego przyszłego małżonka, do ciemnej jakiejś izdebki pod strychem wraz z dozorczynią zamkniętą została. Przez parę tygodni przynajmniej starosta chciał je ukrywać, pókiby pierwsza gorliwość szukających nie ostygła. Ukrycie jednak wcale do smaku nie przypadło dziewczeczce. Z początku niespodziana przejażdżka dość ją bawiła. Wprawdzie ten pan, co się w karecie przy niej rozsiadł i firanki pospuszczał, bardzo był brzydki, ale grzecznie do niej przemawiał, obiecywał, że jej da cukierków i mnóstwo pięknych rzeczy.

— Czy da lalkę także?

— O! śliczną lalkę, niejedną może nawet.

I śmiał się grubym głosem, i dozorczyńni śmiała się także, aż tu zaledwie przed jakimiś drzwiczkami brudnemi stanęli, coprędzej je po schodach i do niskiej z przymkniętą okiennicą ciupki wprowadził i wychodząc wkrótce po cukierki, jak mówił, drzwi na klucz za sobą zamknął. Dosia przestraszyła się okropnie; najpierw z całej siły pięściami we drzwi uderzać, a potem na

całe gardło krzyzcć zaczęła. Stara towarzyszka napró-
żno głowę jej przytulała sobie do piersi, napróżno tłu-
stemi rękoma usta jej zatykała; głos musiał chyba po
całym domu się rozchodzić, bo niedługo wrócił starosta
nie z cukierkami wcale, tylko z groźnym marsem na
czole. Tupnął nogą, różgą pogroził; dziewczeczka z wiel-
kiego strachu oniemiała, później wprawdzie przyszły cu-
kierki i ciastka, wniesiono kawę i owoce, ale już nic jej
nie smakowało. Długo w noc nad tem przemyśliwała je-
dynie, jakim sposobem z więzienia wyostaćby się mo-
gła. Rzecz była trudna, sama to widziała, a jednak nie
traciła nadziei! Zdawało jej się, że nazajutrz, kiedy bez
krzyków i hałasów bardzo pięknie, bardzo serdecznie
tego pana poprosi, by jej do domu wrócić pozwolił, to
on pozwoli niezawodnie.

— A jeśli nie pozwoli?

— To napiszę ze skargą do opiekuna.

— A jeśli pisać nie dadzą?

— To ucieknę.

— Jak? gdzie? którędy?

Nie miała o tem żadnego pojęcia, ale miała w duszy
silne postanowienie. Nazajutrz starosta nie ukazał się
wcale. Wyjechał w odwiedziny do znajomych, żeby zmy-
lić pozory i żeby przypadkiem znajomi do niego w tak
źle dobraną porę nie zjechali. Krzyki i płacze nie były
zaiste żadną osobliwością na dworze mielinieckim za jego
rządów, lecz jeśli pogłoska o zniknięciu panny Dzimiń-
skiej się rozeszła, mogły zwrócić na siebie uwagę. W za-
stępstwie starosty, wierny sługa i godny takiego pana
zausznik, nawiedzał uwięzione. Słusznie przysłowie mówi,
że potrzeba jest matką wynalazków. Dosia wynalazła
jakiś sposób, by służący, odchodząc wieczorem, klucz dwa
razy obrócił, a jednak drzwi nie zamknął. W tej klitce,

oddawna zaniedbanej, dość było, jak zauważyła, trochę całego zamku podważyć, by się sprężyna wierzchem nie środkiem przesunęła. Udało jej się przy wykonaniu tego planu dozorczyńnię szukaniem jakiegoś medaliku pod łóżkiem zatrudnić, a służącego poleceniami i różnemi prośbami ogłuszyć. Pierwsza część ucieczki powiodła się tedy. W nocy, to jest raczej późnym wieczorem, gdy jej strażniczka usnęła, zeszła ze schodów szczęśliwie, lecz w ogrodzie do wyjścia na pole trafić nie mogła. Co się gdzie zwróciła, to za ogrodzeniem widziała dziedziniec, albo stajnie i obory, przy których pełno ludzi się uwijało. Na domiar złego, psy podwórzowe z łańcucha spuszczone, gwałtownie ujadać zaczęły. Dziewczynka w tył zawróciła i biegła zestrachana prosto przed siebie, lecz gdy szczekanie coraz bliższem jej się zdawało, wdrapała się, jak mogła najwyżej, na najwyższe koło siebie drzewo. Pocieszała się, że byleby dzień zaświtał, to się lepiej rozpatrzy i na dobrą wyjdzie drogę. Niestety! pierwej jeszcze nim świtać zaczęło, dozorczyńnię się obudziła i zniknięcie swojej wychowanki spostrzegła. Coprędzej zawołała służącego; we dwoje pocichu wyszli na ogród i szczekaniem psów kierowani, niezadługo pośród gałęzi małego zbiega odkryli. Zdarzenie to przyspieszyło jedynie wykonanie planów starosty; uwiadomiony o niem przez swego powiernika, zaraz wrócił do domu i przedewszystkiem biednej Dosi okropną scenę wyprawiał.

— Chce się acannie wędrować, to dobrze, wywozę ja cię do lasu i samą tam zostawię; możesz iść gdzie cię oczy poniosą, tylko pamiętaj, że w lesie wilki gromadami chodzą: jeśli cię zjedzą, tem lepiej; nie chcę już nic mieć do czynienia z taką nieposłuszną dziewczyną. — Kończąc te słowa, porwał ją na ręce i udawał, że chce koniecznie jaknajśpieszniej wynieść ją z pokoju.

— Tak, tak, niech ją wilki zjedzą! — przywtarzała stara duegna.

Dosia broniała się, wrzeszczała i gryzła swego ciemiężcę po palcach, a gdy to nie pomogło, w pokorę uderzyła i prosić go zaczęła, żeby jej przebaczył, żeby do domu odesłał, aż dozorczyńni wzruszona tem niby, wstała się za nią, i groźny pan wypuścił ją nakoniec ze swego żelaznego ujęcia.

— Na ten raz daruję ci, moja panno, ale pamiętaj, żebyś od tej chwili posłuszną była jak trusia; co ci każe zrobić, lub co ci każe zrobić ta pani, to zrób; co ja lub ona każemy ci mówić, to mów; kiedy każemy milczeć, to milcz. Jedno nieposłuszeństwo, a tejsze godziny do lasu wilkom na wieczerzę pójdziesz. Tylko sobie nie wyobrażaj, że wtedy wolno cię puszczać. Jak mnie tu widzisz, dziewczyno, tak cię przywiążę do drzewa i nie odwrócę się nawet, choćbyś mnie świętymi słowami błagała.

Najlepszym dowodem dziecinnego usposobienia Dosi jest to właśnie, że podobnym groźbom uwierzyła. Istotnie, od tej chwili spokorniała jak trusia. Starosta, nie spuszcżając się jednak na tę zmianę w jej postępowaniu, tegoż wieczoru zabrał obiedwie swe niewolnice do Warszawy, tam sypnął pieniędzmi, wyrobił sobie indult, a że porwana sierotka robiła już wszystko, co jej robić kazano, powtarzała wyrazy, które jej kazano powtórzyć, i milczała, gdy kazano jej milczeć, więc ślub się odbył spokojnie, z wszelkimi formalnościami, i czterdziestoletni pan młody jawnie z trzynastoletnią oblubienicą do dóbr swoich wrócił. Nie obeszło się bez procesu, ale ten ciągnął się lat kilka i na ugodzie zakończył. Starosta znaczną sumą opłacił się panu opiekunowi, a żona wraz z wioskami swemi przy nim pozostała. Nie była to już owa piękna, swobodna dziewczeczka, która z taką energją

o wydostanie się na wolność walczyła; portret jej, w czasie ostatnich układów majątków robiony, przedstawiał jakąś dziwnie przywidłą, z zestrachanym wyrazem twarzy kobietę; ubrana jest dość bogato, w zieloną jedwabną z długim kabatem suknię, w djamenty na szyi, przy uszach i u czoła, wśród krótkich loczków z przodu, a spadających do pół twarzy na bokach. Cała ta świetność jednak nie ożywia spojrzenia blado-błękitnych oczu; nos też przeciągnął się nad miarę, usta w bezmowność jakąś zacięły, piękne tylko zaokrąglenie owalu świadczyłoby mogło, że w innych warunkach życia oblicze to, na wpół cierpkie, a na wpół zmartwiałe, byłoby się zapewne korzystniej rozwinęło; ale warunki życia bardzo ciężkie były — bojaźń i nienawiść.

Mąż nie zmienił się dla niej po ślubie; obchodził się z nią zawsze, jak z niekarnem dzieckiem, któreby pewnie uciekło od niego, gdyby się wilków nie lękało. Nigdy też żadnej władzy jej nie powierzył, nigdy pięniędzy do rąk nie dał; sługi wiedziały, że mogą nie zważać na jej rozkazy; rzadko zjawiający się goście wiedzieli, że jej dla nich uprzejmą ani gościnną być nie wolno; widząc ją zahukaną, milczącą, każdemu skinieniu pana swego posłuszną, wszystkim się zdawało, że się pogodziła ze swym losem i ma z natury cierpliwe, jeśli nawet nie zupełnie obojętne usposobienie. Jeśli mąż krzyknął, popchnął, surowiej spojrzał niż zazwyczaj, w pierwszej chwili drżała jak listek osiny, lecz wkrótce to przemijało i znów kamienna wracała jej spokojność. Instynkt macierzyński nie miał czasu w niej się rozwinąć, w czternastym roku pierwsze dziecko na świat wydała; gdy je straciła po kilku tygodniach, nie było znać żalu na niej, owszem, mógłby kto myśleć, że się ucieszyła prawie:

— No, będę mogła spać znowu spokojnie.

I tak było po urodzeniu i po śmierci każdej z czterech przed skończeniem pierwszego roku gasnących córeczek. Dopiero gdy piąty syn przeżył szczęśliwie krótką miarę życia swych poprzedniczek, zaczęła się nim coraz więcej zajmować. Stało się to dla niej źródłem nowych zmartwień i prześladowań. Ojciec ucieszył się wprawdzie pierwszemu potomkowi płci męskiej, dziedzicowi nazwiska i dość rozległych włości, nie mógł dla niego wszelako przetworzyć swego charakteru. Gdy trzyletnie dziecko zniecierpliwilo go czasem zagłośnym śmiechem lub płaczem, dobywał z piersi tegoż samego głosu, przed którym drżeli fornale w stajni i parobcy na polu. Matka raz tylko spróbowała ująć się za swoim Jasiem, lecz mąż, zdziwiony tak niezwykłym postępkim, do niej samej słowa nawet nie wyrzekł, tylko chłopczynę smagnął przez plecy trzymaną w rękę laską. Od tej chwili nigdy już drugi raz na podobną śmiałość się nie zdobyła, lecz sam na sam z Jasiem zostawszy, szepnęła mu do ucha:

— Cicho, Jasiu, zawsze cicho bądź przy ojcu. Ojciec zły, ojciec zabije cię kiedy.

I takie słowa raz po raz na serce dzieciaka rzucała, bo też raz po raz sposobne do tego trafiały się okoliczności. Starosta zmiarkował, czem najwięcej żonie dokuczyć może; choć się w dawną owinęła apatję, nie oszukało go to bynajmniej. Jak wiedział o jej wstręcie ku sobie, tak wiedział o jej boleści za każdą wyrządzoną jedynekowi przykrością. Trzymał go też ostro, z nadmiarem upowszechnionej w owym wieku surowości pedagogicznej. Jasiowi nie wolno było bawić się z innymi dziećmi; Jaś chodził w grubych, łatanych sukienkach, nie dostawał przy stole smaczniejszych potraw, a musiał jeść konieczne te, których najgorzej nie lubił. W szóstym roku zaczęła się jego nauka, z nauką częstsze i nielitościwsze

plagi; nie przechodził on przy dyrektorze swoim z infimy na gramatykę, z gramatyki na retorykę, przechodził raczej z różgi na dyscyplinę, z dyscypliny na baty. Gdyby go do szkół oddano, byłby odetchnął może, ale ojciec trzymał dla niego księdza jezuitę pół Niemca z Torunia i jakiegoś Francuza, tak jak sam gwałtownego. Jedyną pociechą zgnębianego chłopca bywało ukradkowe pocałowanie matki i te słowa, które niemal w przysłowie jej poszły:

— Cicho, cicho przed ojcem; ojciec zły, ojciec cię zabije.

W miarę jak chłopiec wzrastał, zaczęła dodawać:

— Czekajmy!

Na co? nie powiedziała mu nigdy. Może rośla sobie, że w synu zupełnie dorosłym a silnym znajdzie obrońcę i mściciela — aż tu jednego dnia starosta gniewem uniesiony, gdy przez sień biegnął za woźnym, który mu pozew od mieszczan doręczył, wskutek cugu jak się zdaje, nagle paraliżem tknięty, w samym progu gankowym upadł bez przytomności. Służba rzuciła się do ratunku i podniósłszy, zadźwigała go do sypialnego pokoju, gdzie właśnie żona szyła bieliznę dla męża.

— Co to jest jegomości? — spytała, jak zwykle swoim przycichłym głosem.

Ten sam kredencierz, co ją przed laty na klucz zamykał, w największym pomieszeniu:

— Nie wiemy — odrzekł — może to apopleksja, może to paraliż; nie wiemy, trzeba doktora sprowadzić.

— A tak, trzeba doktora sprowadzić — powtórzyła i wstając z wolna, ostrożnie na palcach ku choremu podszła.

Chory miał twarz okropnie wykrzywioną, oczy szeroko rozwarte i groźniej przed siebie niż kiedykolwiek

patrzące. Postąpiła czas jakiś, bacznie mu się przyglądając, aż nagle twarz rękami zasłoniwszy:

— Ja się boję! — krzyknęła i copędzej wybiegła z sypialni, a nie oparła się aż na drugiej stronie w przykomórku, gdzie Jaś ze swymi dyrektorami się uczył. Na ten raz ksiądz właśnie lekcję z nim odbywał. Hałas nie doszedł jeszcze do tego oddalonego zakątka; ona pierwsza przysła zwiastować, co się stało.

— Mąż zachorował, niech ksiądz dyrektor będzie tak dobry i pójdzie zobaczyć, coby tam zrobić trzeba.

Ksiądz dyrektor zerwał się natychmiast, wołając:

— Jezus, Marja, Józef! Cóż to takiego być może? Idźmy, idźmy, służę pani dobrodziejce. — Ale ona iść nie chciała.

— Ja się boję, ja się nie znam na tem — rzekła na usprawiedliwienie, i ksiądz ją samą z Jasiem zostawić musiał. Skoro tylko wyszedł, przyciągnęła syna do siebie z twarzą dziwnie rozplamienioną, bystro patrząc mu w oczy:

— Jasiu — wymówiła półgłosem jeszcze, ale z wielkim naciskiem — doczekamy się.

Tymczasem sprowadzono jakiegoś Żyda eskulapa, który staroście krew puścił, bańki i synapizma poprzystawiał, ale żadnej ulgi nie przyniósł.

Pod wieczór kredencierz zjawił się w przykomórku, gdzie matka ciągle z synem siedziała.

— Jaśnie pan chce się koniecznie widzieć z jaśnie panią, nie może już mówić wyraźnie, ale raz po raz coś zabelkoce, oczyma na krzesło jaśnie pani wskazując.

— Ja się boję, nie pójdę — odpowiedziała tak stanowczo, jak jej się to zapewne od trzynastego roku życia nie zdarzyło.

W innych okolicznościach zausznik pański nie wa-

hałby się może odpornej żony gwałtem, choćby na rękę do wzywającego męża zanieść, ale teraz słońce faworów gasło, nie przewidywał, co dalej się stanie, więc się w milczeniu oddalił.

Przez parę dni następnych, różne jeszcze z tem samem orędzim przychodziły poselstwa; każdemu z nich Dosia też samą dawała odpawę:

— Ja się boję, nie pójdę.

Gdy chciano syna do ojca prowadzić, jeszcze silniej się temu sprzeciwiała:

— Nie puszczę go, on tam niepotrzebny.

Aż nakoniec ksiądz dyrektor z surowem napomnieniem do niej przyszedł:

— Wolno pani starościnie robić, co się jej podoba, sama będzie przed Panem Bogiem odpowiedzialną, ale nie wolno jej sumienia dziecka swego tak strasznym grzechem obciążać, by się do umierającego ojca z ostatniem pożegnaniem nie zbliżył. Jest przecież w tych latach, że mu za ekskuzę nie stanie ani na tym świecie przed ludźmi, ani na tamtym przed sądem ostatecznym, zbyteczna troskliwość matki, a choćby jej rozkaz wyraźny.

Kończąc te słowa, wziął chłopca za rękę i udał się z nim do pokoju chorego.

Tam już wszystkie przygotowania do ostatnich religijnych obrzędów poczyniono: dwie zapalone gromnice i oleje święte stały na stole, białym obrusem przykrytym, proboszcz miejscowy, w komży i stule czytał głośno łacińskie za konających modlitwy; we drzwiach komnaty na rozcież otwartych klęczała gromadka wiejskich ludzi i domowników, odgłosem dzwonka zwołanych. Jasio chciał także przy nich uklęknąć, lecz ksiądz dyrektor mocnem szarpnięciem pociągnął go i tuż przy łóżku na kolana rzucił. Jedyne wrażenie, jakie siedemnastoletni chłopak

po tak uroczystych chwilach zachował, było wrażeniem niewymownego strachu i wstrętu.

— Nigdy pierwej — mówił on — tak straszonym ojciec mi się nie wydał; wąsy mu się najeżyły jak miotły, nos zgarbaciał i przesunął się w jedną, a dolna sina warga w drugą stronę; włosy czarne jeszcze, ale posklejane, poczochrane, wiły się około twarzy niby robactwo jakie, mowę utracił już zupełnie, oczy tylko zwolna się poruszały i gdy na mnie padło ich spojrzenie, tak okropnie białkami łysnęły, jak gdyby chciał z głowy swojej na moją głowę je rzucić. Co prędzej zakryłem twarz rękoma i nie oderwałem ich aż do chwili, póki się obrządek ostatniego namaszczenia nie skończył. Wówczas dopiero zbliżył się ksiądz dyrektor i bezwładnie leżącą rękę ojca ująwszy, na mojej głowie położył. Jużciż wiem, że najlepsze były jego intencje; miało to niby błogosławieństwo oznaczać, lecz skoro mych włosów te zimne, długie palce dotknęły, zdawało mi się, że według zwyczaju za włosy mnie targnęły i pochwycawszy mocno, ciągnęły ku sobie w trumnę, w ziemię, w śmierć. Krzyknąłem tylko przeraźliwie i zemdlałem.

Czasem, w chwilach dobrego humoru, pan Jan streszczał swoje opowiadanie, i własnym synom, gdy ich surowsza od niego żona ukarała, powtarzał zwykle:

— Dziękujcie Bogu, że wam nie gorzej; ja miałam takiego ojca, który już oleje święte przyjął, już konał a jeszcze mnie za łeb wytargał.

Gdy się to działo w sypialni umierającego starosty, żona jego, postępkami księdza upokorzona, głębiej zaczęła nad swoim położeniem rozmyślać; знаła to do siebie, że była trwożliwą i nieradną; dojrzała w nienawiści tylko, co do innych spraw życia, nigdy z lat dziewczęcych nie wyszła. Jeśli ksiądz dyrektor grozić jej będzie, jeśli ten

niegodziwy kredencierz zamknie ją znowu i sam ster rządów obejmie, cóż ona pocznie wtedy? Mogą wszystko rozdrapać, rozdzielić między siebie, mogą Jasia wywieść gdzie daleko, lub Bóg wie co z nim zrobić, a sama nie potrafi się temu oprzeć, więc musi kogoś na pomoc zawezwać.

Opiekun źle jej pilnował w dzieciństwie, dał się potem przekupić mężowi, do opiekuna zgłaszać się nie warto. Z całej rodziny został jej tylko jeden krewny po matce, który jej więcej okazał raz współczucia, którego za to starosta nie lubił, który oddawna już nie pokazał się w ich domu, ale był poczciwym choć niemajątym i bez wpływów człowiekiem: był to właśnie ojciec ciotki Rózi. Korzystając z chwili zupełnej samotności, napisała kilka słów do niego, z wyrażeniem swoich obaw, przypuszczeń, niepokojów i z prośbą, żeby przybył do Mielinka, skoro tylko o śmierci starosty się dowie. W tej chwili nie wzywała go jeszcze; trudno jej było uwierzyć w tak śpieszne i niespodziane wyzwolenie; lękała się, by mąż cudem jakim do sił i zdrowia nie wrócił. Z napisaną kartką dużo też miała kłopotu, w czyje ręce ją powierzyć, przez kogo posłać. We dworze wszyscy byli na ostatniem namaszczeniu starosty obecni; ogrodem ku stajniom pobiegła i spotkała nareszcie wyrostka jakiegoś, który tam koło nich się kręcił.

— Pójdź-no tu — zawołała, rękę przez sztachety wyciągając — okulbacz sobie konia i ruszaj co prędzej z tym papierem do pana z Karczówki, do pana Różańskiego, rozumiesz? Tylko pamiętaj, żeby nikt się nie dowiedział z czem i gdzie jeździłeś, pamiętaj, tak pan kazał!

Czy ze zwyczaju tylko dorzuciła te słowa, czy umyślnie skłamała, żeby stajennego chłopca posłuszniejszym sobie uczynić, bądź co bądź kłamstwo było niepotrzebne;

wszyscy wiedzieli, że pan dogorywa, a pani do władzy przychodzi, chłopak też uwinął się coprędzej, tak, że w jej oczach jeszcze na koń skoczył i gościńcem za stołami pocwałował.

Ledwie pani Dorota wróciła na swoje miejsce po tej wycieczce, dało się słyszeć stąpanie kilku osób w przyległych pokojach i zemdlonego syna jej przyniesiono.

— Czy go zabił? — zapytała, blada jak ściana wchodzących — czy ojciec zabił Jasia? — powtórzyła gwałtownie, gdy jej zrazu nikt nie odpowiadał.

Ksiądz dyrektor wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Skądże to pani dobrodziejce takie dziwne myśli do głowy przychodzą? jeszcze Bóg skarże i rozum pomiesza. Jaś wziął do serca śmierć ojca, jak widać. Gdy go ręka ojca z błogosławieństwem dotknęła, wzruszył się bardzo i zemdłał, a pani dobrodziejka zaraz takie do niczego niepodobne przypuszczenia tworzy. Będą one nieraz panią trapiły, a jak sobie pomyślisz, żeś ostatniemu życzeniu męża umierającego zadość nie uczyniła, jeno okrutnem posądzeniem ścigałaś go w tej chwili, kiedy on już przed sprawiedliwością Bożą stawał, to ci pewnie sumienie spokojnie zasnąć nie da.

Może ksiądz dyrektor byłby się okazał prawdziwym prorokiem, gdyby ta biedna, zgnębiona istota miała jakiegokolwiek sumienie; lecz jej nie dano ani moralnie, ani fizycznie rozwinąć się według praw innym ludziom przyznanych, to też kiedy Jasia ocucono i wszyscy wyszli z pokoju, ona ujęła tylko obie ręce swego syna i silnie je we własnych dłoniach ściskając, z uśmiechem głośno zawołała:

— Doczekaliśmy się, doczekaliśmy się, Jasiu! — i nagle ton zniżając, zastraszona prawie własnem zuchwałstwem, po dawnemu do ucha mu szepnęła: — Cicho, ci-

cho bądź jeszcze. Póki ojciec w domu, póty źli ludzie w domu; oni cię ukradną, uwiozą, zabiją.

Siedzieli tak we dwoje, wspólnie ciesząc się i lękając, aż dzień pogrzebu nadszedł. Ksiądz dyrektor, surowiej niż kiedykolwiek przemawiając, zmusił ją do tego, że wraz z synem poszła na cmentarz za pogrzebem i była obecną na nabożeństwie. Tego wszelako nie wymógł, by wdowią żałobę przywdziała.

Między gośćmi na stypę sproszonymi znajdował się i pan Różański. Zaraz mu się to nie podobało, że ktoś z bliższych krewnych nieboszczyka do zarządu całym obchodem i przyjęciem wezwanym nie został. Gdy wracająca z kościoła starościna przed domem z powozu wysiadła, zbliżył się do niej i rękę podając, rzekł nieco przytłumionym głosem:

— Jaśnie wielmożna starościno, wdzięczny za dowód ufności, służby moje pokornie z całego serca ofiaruję.

— To niechże waszmość pójdzie ze mną — odpowiedziała mu, nie zachowując już żadnej ostrożności — chciałabym z waszmością, o wielu rzeczach się naradzić; — a widząc, że kilkunastu sąsiadów bliżej stanęło i z ciekawością jej się przypatrywało, żeby im odrazu cały stan rzeczy objaśnić — sama jestem — dodała — a chociaż mój syn pod wąsem chłopak już prawie, nie pomoże mi on w ciężkich kłopotach moich; my oboje jako dzieci maleńkie nie wiemy, co nam z prawa uczynić należy, ani co przeciw prawu źli ludzie czynić nam mogą. Krewnym i znajomym matki mojej byleś, panie Różański, powiedz mi teraz, jak mam sobie postąpić, żebyś był moim i mego Jasia opiekunem. Wy wszyscy, miłośni panowie, przebaczycie mi zapewne, że was tu na gospodarstwie przy obiedzie zostawię, a sama przez ten czas do cichszego zakąta się oddalę, aby się o własnej i o je-

dynego dziecka przyszłości z życzliwym krewnym rozmówić — i wobec wszystkich podawszy rękę Różańskiemu, zaprowadziła go na drugą stronę do bawialnego pokoju, gdy resztę gości zachmurzony ksiądz dyrektor na przygotowaną biesiadę pogrzebową do jadalnej wielkiej izby zapraszał.

Po godzinie może wrócił Różański i ma się rozumieć wszystkich jeszcze przy stole zgromadzonych zastał. Pani Dorota opowiedziała swoją przeszłość i terazniejsze przedstawiła położenie; słowa jej proste, często bezładne i dziecinne, najlepiej mu dowiodły, jak rzeczywiście opuszczoną i niezdolną była do zabezpieczenia się od byle chciwej na jej majątek ręki. Zaraz to zrozumiał, że trzeba ją niejako pod straż obywatelskiej zacności oddać. Nie tracąc ani chwili czasu, wystąpił do zgromadzonych z uroczystą przemową; sam głęboko wzruszony losem wdowy i sieroty, wzruszył i słuchaczy swoich.

Ciotka Różia z wielką dumą wspominała zawsze o tem krasomówczem swego ojca powiedzeniu i miała słusność, nie dlatego, jak się chlubiła, że ojciec łaciną sadydził i cytował z Pisma Świętego równie jak z filozofów starożytnych nie skąpił, lecz dlatego, że prawdziwie dobry i obywatelski spełnił uczynek.

Postanowiono zaraz przy świadkach, między którymi był przecież sam podkomorzy nawet, zlustrować całą po nieboszczyku pozostałość i spis wraz z kluczami do rąk wdowy złożyć; na przypilnowanie zaś tak rzeczy, jako też zarządu gospodarskiego, póki się prawnie opieki nie ustanowi, zostawić tego, któremu sama najpierwej i najzupełniej zaufała. Gdyby uchwalone zaraz tego samego dnia przynajmniej w wykonanie weszło, byłoby się jeszcze lepiej stało, ale zaraz odłożono do jutra i gdy się grono poważniejszych osób w powiecie zebrało koło po-

łudnia, już wtedy ani kredencera, ani Francuza nie było. Ksiądz dyrektor żadnych objaśnień udzielić nie mógł, zajęty był tylko uczniem swoim i sprawami swego powołania; gdzie pieniądze i klejnoty, gdzie klucze od tego wszystkiego — nie wiedział; pytano starościny, lecz i ta domysłami jedynie rozpoczęte poszukiwania kierować się podjęła.

Starosta jej własne rodzinne klejnoty u siebie pod kluczem chował i tylko w ważniejszych okolicznościach do stroju, jak naprzykład gdy malowano jej portret, używał. Widziała, że je wynosił z sypialnego pokoju, ale gdzie je składał, nie wiedziała nigdy; wnioskuje tylko, że w kantorku zapewne, bo tam wiele jest skrytek. Przeszukano kantorek, przetrząśnięto wszystkie skrytki, ale prócz kilku talarów saskich, nic nie znaleziono. W głowach pod łóżkiem stała duża gdańska, skórą psa morskiego obita, z żelaznem okuciem szkatuła; od szkatuły klucz zaginął. Gdy ją przyzwany ślusarz otworzył, podobnie jak w kantorku ujrano pustki w przegrodach i tylko trochę papierów na dnie leżących. Wogóle poszukiwania wykazały bardzo smutny stan rzeczy. Ani pieniędzy, ani męskich, ani kobiecych klejnotów wcale nie było, sreber stołowych mniej niż ich w wigilję przy obiedzie widziano; spiżarnia bez zapasów; w oborze kilka nędznych krówek, w stajni kilka dychawicznych koni, w sásieku trochę starganej słomy, w śpichrzu conajwięcej dwa korce rozsypanego ziarna: oto wszystko, co na dalsze prowadzenie gospodarstwa nowym dziedzicom zostawiono.

Znać, że już w czasie choroby pana starosty grabież się zaczęła w zabudowaniach folwarcznych; we dworze musiała być późniejszą. O dwóch zbiegach żadnej nie wzięto wiadomości; zdawało się niepodobnem, aby sami

we dwóch dali sobie radę z pokradzionymi rzeczami, które jednak nie lekkie być musiały do przeniesienia. Pominąwszy już srebra, bieliznę, futra, kosztowniejsze pasy i żupany, toć prócz tego pieniądze same ówczesne dość ciężkie bywały, a starosta, według zdania całej okolicy, miał dużo pieniędzy. Różne też były posądzania, ale ciotka Różia, nadmieniając o nich hurtownie, zawsze dawała:

— Boże broń od posądzania na niewinnego człowieka.

Tymczasem gdy w innych wioskach z tym samym jak w Mielinku spotkano się nieładem, trzeba było o środkach wyżycia i utrzymania się pomyśleć. Podkomorzy głosował, żeby Różański całe dobra zadzierżawił, zostawiając wszelako starość na mieszkaniu w mielnickim dworze. Ani jedno, ani drugie słyszeć o tem nie chciało.

— Wielce miłościwi panowie — odezwał się podobno ojciec ciotki Rózi — wolę ja, żeby Różański kogoś pilnował, niż żeby ktoś pilnował, a co gorsza, nie pilnował Różańskiego.

Starościna ze swojej strony płakała i prosiła, żeby jej samej w Mielinku nie osadzano.

— Ja chcę z Jasiem do Warszawy pojechać; tam więcej ludzi, tam bezpieczniej, a ja się tu boję — kończyła dalej po swojemu.

Stanęło na tem, że dla ściągnięcia niezbędnych na bieżącą chwilę funduszów, jedną wioskę w zastaw puszczone; dla innych miał się Różański poczciwego jakiego dzierżawcy wystarać, a starość z połową zastawowych pieniędzy do Warszawy, według jej życzenia, wyprawić. Jaś przecież powinien był kończyć nauki, a jej samej należało się trochę wytchnienia i rozerwania za tyle lat egipskiej niewoli.

Podkomorzyna, w całym sąsiedztwie wysoko szanowana matrona, podjęła się panią Dorotę odwieźć, zainstalować na miejscu i komuś ze swoich znajomych pod opiekę oddać. Wszystko zrazu poszło bardzo gładko. Pani Dorota wiernie słuchała rad Różańskiego i szła za wskazówkami zaczej podkomorzyny. Jasia w szkołach pijarskich umieszczono, z czego chłopiec nadzwyczaj się cieszył i nawet przez czas jakiś korzystał; dopiero później, gdy sumienny Różański zaczął wszystkie dochody dzierżawne w ręce pani starościny składać, różne zmiany w usposobieniach syna nastąpiły.

Jaś zaczął hulać, a matka we wszystkim nie Różańskiego już, ale Jasia radami powodować się zaczęła. Można sobie wyobrazić, jak dwie takie nieogłędne, świata, ludzi, rzeczby można złego i dobrego nieznające istoty, prędko zachwiały ubezpieczony dla nich przez Różańskiego dobrobyt. Tysiące szły na fraszki bez żadnej wartości, na rozrywki, na szaleństwa, na fantazje. Pani Dorota ciekawą tylko była, ciekawą jak dziecko, ale też zmienną i jak dziecko obojętnie zapominającą. Nigdy jej na myśl nie przyszło, że można nie kupić tego, co chwilowo jej oczy ciągnęło ku sobie; gdyby kto siedmioletnią dziewczynkę po sklepach oprowadzał, toby jej odrazu niemniej pewnie cacek i świecidełek się zachciało, jak pani Dorocie, gdy na ulicę wyszła; tylko siedmioletnia dziewczynka nie miałaby woreczka z pieniędzmi, a pani Dorota miała go na nieszczęście przy sobie. Leżały u niej na składzie drogie materje, muśliny, hafty, wstążki, różne sprzączki, pióra, kwiaty, figurki porcelanowe, różne koszyczki, igielniki, poduszcзки, wszystko to bez użytku. Nie dbała o żadne stroje, nie chwaliła się przed innymi ze swoich nabytków, bo się daleko od ludzi trzymała — ot tak poprostu, pilno jej było wyszastać te

wszystkie pieniądze, z których przez długie lata ani grosza w rękę nie miała.

Jaś ze swojej strony bardzo podobną objawiał skłonność; tylko trwalsze od matki wyrobił sobie upodobania; przepadał za tem wszystkim, czego mu kiedyś ojciec najsurowiej bronił. Lubił się bawić, stroić, lubił smacznie zjeść, smacznie wypić, a zwłaszcza tak lubił nie uczyć się, że po roku już go matka ze szkół do domu wzięć musiała. Niebawem też we wszystkie przywileje niezależnego młodzieńca wstąpił: grał w karty, latał po redutach, nadskakiwał ładnym kobietkom i, widząc go swobodnym, wesołym, samowolnym, niktby się nie domyślił, że z dziewiętnastu lat życia siedemnaście pod grozą kańczuga w prześladowaniu i pogwałceniu spędził. A jednak owe lata zostawiły po sobie ślad niestarty: zupełny brak woli, i to — o czem sam o sobie nie wiedział — zupełny brak męskiej odwagi. Ostatnie to nieszczęście, bo już w jego położeniu daleko więcej nieszczęściem, niżli wadą było, spowodowało zgubę jego w Warszawie, a do pewnego stopnia ocalenie na wsi w gnieździe rodzinnem. W owym czasie pojedynki tak zwyczajną bywały rzeczą, że się o nich codziennie prawie, jak o powszednich zdarzeniach, mówiło. Jaś wyobraził sobie, że to inny rodzaj hulanki musi być tylko; widział, jak ten i ów koło niego za byle słowo kolegę lub przyjaciela wyzywał, więc raz przy pijatyce nie wiedzieć o co się obraził i któregoś ze współbiedników on także na ostrze wyzwiał. Kiedy przyszło stanąć na placu, widok dobytego żelaza bardzo niemiłe jakoś zrobił na nim wrażenie; usprawiedliwiał się, że ani szpady, ani pałasza, ani żadnej broni nigdy jeszcze w rękę nie miał. Świadkowie, rozweseleni taką naiwnością, wnet się na migi z wyzwany poróżumieli i obstawali przy tem, żeby się bił koniecznie;

biedny Jaś wziął francuską szpadę do ręki, ale nim doszedł na wskazane miejsce wprost swego przeciwnika, zbladł jak trup, w uszach mu tętnić, w oczach ciemno robić się zaczęło, padł na ziemię jak długi, a nieszczęśliwe walki narzędzie z jego własnej ręki wzdłuż biodra aż po kolano się przesunęło i krwawym śladem drogę swą oznaczyło. Nie była to zbyt wielka rana, ale na matce ogromne zrobiła wrażenie; zdawało jej się z opowiadania Jasia, że młodzi ludzie w całej Warszawie na jego życie czyhają; dotychczas pozwalała mu na wszystko, cieszyła się, że czas wesoło przepędza, ale teraz prosiła i zaklinała, żeby na wieś z nią wracał; Jaś wcale nie był od tego; niespodzianie więc do Mielinka zjechali — szczęściem, że to zdarzenie całe zbiegło się razem z listem Różańskiego, w którym ich najusilniej do powrotu namawiał. Pomimo jego staranności i zabiegów, bezrząd w stolicy mieszkających ogromne sumy pochłonał, wioski były pozadłużane; ta nawet rodzinna pani Doroty, w której osiedlić się pragnęła, na kilka lat jeszcze musiała w rękę wierzyciela dzierżawcy pozostać. Mielinek tylko stał otworem dla swych dziedziców; pani Dorota poprzestawiała w nim wszystko, pozmieniała przeznaczenie pokoi, ale nie mogła otrząsnąć się z wrażenia grozy i postrachu, jakimi ją te miejsca przejmowały. Syn dwadzieścia parę lat już liczący, często ją samą zostawiał, odwiedzał sąsiadów, zawierał nowe znajomości, ale matki nie mógł namówić, by mu w tych wycieczkach towarzyszyła. Pojechała raz do podkomorzyny, raz do Różańskich i przekonała się, że jej trudno żyć z ludźmi; jak w Warszawie, tak i w Mielinku zamknęła się przed światem, z tą jedynie różnicą, że w Mielinku niepotrzebne rzeczy skupować przestała. Z początku kazała sobie znosić przywiezione z Warszawy kufry i pudła; widziano ją po go-

dzinach nieraz przyglądającą się sztukom materyj, świecącym fraszkom i różnym na nic nieprzydatnym drobiazgom; ustawiała małe filiżanki na stoliku przed sobą, migotała pierścionkami pod światło i tak jej dnie schodziły przez parę miesięcy — potem znudziła ją ta zabawka; próbowała gospodarstwem rozerwać się trochę, chodziła wszędzie, patrzyła na wszystko, ale nie wiedziała, ani o co się pytać, ani jakie dawać polecenia; znowu się jej to sprzykrzyło. Póki Jaś był w domu, póty znać było na niej jakieś ożywienie; gdy się oddalił, zapadała w gorszą jeszcze niż za życia męża martwość. Ta biedna w starzającym już ciele małego dziecka duszyczka, samotność swoją zaczęła nakoniec zabobonnemi dziwactwami wypełniać. Nieraz gdy szła przez pokój, stanęła nagle i blada, drżąca, niespokojnie wtył spojierała; to znów siedząc nad jakąś bezcelową robótką, wypuszczała ją z rąk niespodzianie i wyciągnąwszy szyję, zdawała się nasłuchiwać głosów jakichś w otaczającej dokoła ją ciszy. Jednego dnia nawet wieczorem wbiegła do kredensu z mętym wzrokiem, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, krzycząc przeraźliwie:

— Jegomość! jegomość!

Nic dziwnego, że po takim wypadku, służba cała najmocniej uwierzyła w to, że duch pradziadka pokutuje i z dawną zawziętością swej żonie dokuczyć się stara. Tłusta, nowo przyjeta gospodyni spotkała go przed sienią, dziewczka folwarczna na schodach piwnicy, stajenny go widział, jak sam sobie karego konia okulbaczył i przez drzwi zamknięte wyjechał na nim, a gdzie harcował, nikt nie zgadnie; nad ranem koń już stał przy żłobie i gdyby nie to, że był szmatami piany okryty, możnaby przysiąc, jakoby nigdy stamtąd się nie ruszył. Po kilku tygodniach każdy prawie chłop we wsi miał jakąś straszną historję do

opowiedzenia o ukazującym się duchu, a każdą straszną historję służące z przydatkami pani swej powtarzały; była to ciężka próba na taki słabiutki umysł. Inna, wrażliwsza, na jej miejscu możeby obłąkania dostała, ją uratowała apatja. Chwile przestachu nie zostawiały po sobie długich chwil obawy. Nie myślała o nich, gdy minęły. Lecz ta bezmyślność właśnie, ten brak wszelkiego zajęcia rozwinęły się w stan chorobliwy, w jakieś wycieńczenie sił żywotnych, którego sama nie spostrzegła, którego inni też nie spostrzegali. Jaś bawił się wesoło i nie przypuszczał nawet, że mu kiedyś przyjdzie rozstać się z matką na zawsze, a jednak przyszło do tego. Rok cały gasła powoli i zgasła jak świeczka. Gdyby nie pani Różańska, która, coś zasłyszawszy o jej wielkiem osłabieniu, w odwiedziny do niej przyjechała, toby nikogo przy niej w tych ostatnich chwilach nie było. Karnawał i nowy przedmiot miłości coraz częściej i coraz na dłużej Jasia z domu wyciągały. Pocziwa krewna w łóżku zastała Dosię — bo istotnie tak zdrobniała, tak zeszczuplała, że podobniejszą była w tej chwili do małej porwanej Dosi, niż do wyrosłej z lat dziewczęcych pani starościny Doroty. Włosy jej, wcale jeszcze nieprzeświecające siwizną, podawnemu w dwa warkocze splecione, wzdłuż twarzy dwoma złocistemi falami płynęły, a gorączkowy rumieniec świeżą cerę na wychudłych policzkach zastępował. Co się u niej bardzo rzadko zdarzało, z pewną radością powitała nowoprzybyłą.

— Jak się miewasz, moja kochana Różańsiu; siadajże tu bliżej. Musisz mi różne rzeczy powiedzieć.

— Czegóż to pani starościna najwięcej ciekawa? Przeczuję, że mnie chce na plotki o panu Janie wyciągnąć; ludzie głośno gadają, że się żeni.

— Daj Boże! daj Boże! widzę, że mu serce do panny

Siekierskiej przyłgnęło, ale nie o tem chciałam mówić — zatrzymała się na odpoczynek i na zebranie myśli; po dość długiej chwili dopiero przerwała milczenie: — Jak ci się zdaje kochaneczko, czy po śmierci jegomość będzie miał jeszcze jakie prawo do mnie?

— Ot, co tam o takich rzeczach myśleć! śmierć jeszcze daleko! — w pocieszającym tonie odparła matka ciotki Rózi.

— Ale bo to widzisz — znów po pewnym przestanku odezwała się chora — jegomość od kilku już miesięcy ciągle mi się pokazuje, chodzi za mną, wymyśla, jak to czasem za życia bywało, raz nawet chciał mnie za rękę szarpnąć, ale uciekłam. Dawniej byłby mnie dogonił, teraz nie mógł — więc go się też nie bałam tak bardzo. No! przyszedł to i odszedł, groził, to i ja wodą święconą groziłam, patrz pani, mam ją tu przy sobie na podorędziu; jestem teraz daleko śmielsza przeciw niemu, nie chcę jednak w wieczności się z nim spotkać.

— Najlepiej zdać wszystko na miłosierdzie Boże. Niech się pani starościna z księdzem o tem rozmówi.

— Tak! będzie trzeba księdza niedługo sprowadzić, ale jeszcze nie zaraz; okropnie się zmęczyłam.

Upadła na poduszki i twarz jej nagle mienić się zaczęła. Panią Różańską dziwna trwoga ogarnęła, pochyliła się nad leżącą i półgłosem zapytała:

— Czy chcesz pani, żeby dać znać synowi? W parę godzin może tu być z powrotem.

Wstrząsnęła lekko głową i bardzo już niewyraźnym głosem odrzekła:

— Niech się bawi, biedactwo! tak długo nie było mu wolno. A kiedy ksiądz przyjdzie? — dodała wkrótce, zapominając o żądanej zwłóce.

— Natychmiast — odpowiedziała coraz bardziej za-

niepokojona pani Różańska i wybiegłszy z pokoju, nie tylko po księdza, ale i po Jasia na dwie strony wyprawiła posłańców. Za powrotem zbliżyła się na palcach do łóżka; chora miała oczy przymknięte, oddech krótki lecz równy. Zdawało się, że usnęła i że ją sam sen pokrzepi. Cichość głęboka już od pół godziny trwała może, gdy się dał słyszeć odgłos dzwonka. Drzemiąca nagle oczy szeroko rozwarła.

— Czy to ksiądz idzie do jegomości? — przerywanym głosem pytała.

— Nie, to pani chciałaś się z nim widzieć — przypomniała jej Różańska. Ślad przelęknienia zniknął z jej twarzy.

— Mam go prosić... — zaczęła mówić, lecz w tej chwili ksiądz wszedł do pokoju i skinąwszy na panią Różańską, zaczął jej się o stan chorej wypytywać. — Mam go prosić — powtarzała ona tymczasem — mam go prosić... — lecz znać trudno jej było rozpierzchające się myśli pozbierać. Ksiądz stanął przy niej, przemówił coś o nadziei wyzdrowienia, o łasce Sakramentu, który nie tylko duszę, ale i ciało uleczyć może, wszystko to przecież żadnego nie robiło na niej wrażenia. Ciągłe się biedziła z ujęciem w słowa tej prośby, co jej oddawna chyba na sercu leżeć musiała, aż nareszcie z wielkim sił fizycznych i umysłowych natężeniem skupiła potrzebne jej wyrazy i bardzo przytomnie popatrzwszy na księdza prosiła:

— Proszę księdza — dość głośno rzekła — nie przy nim... tam, gdzie moje biedne córeczki, cztery córeczki — szepnęła ciszej; głębokie westchnienie pierś jej wzniosło, głowa ku przodowi opadła i ksiądz już nie potrzebował odpowiadać.

Koło północy Jaś wrócił do domu; z ustnego orędzia

nie mógł wymiarkować, czy to o jaki przypadek, czy o niespodziewaną a niebezpieczną chorobę chodziło, i gdy w sieni spotkał wychodzącą naprzeciw siebie panią Różańską, z ciekawością raczej, niż z niepokojem, zapytał jej:

— Co to się matce stało? — a nie zważając na milczenie, szedł dalej, nawet gdy go Różańska do drzwi puścić nie chciała. — A! więc matka zasnęła! — wytłumaczył to sobie. Dopiero jak przy świecy, którą trzymała w ręku, ujrzał ślady łez i wielkie pomieszenie na jej twarzy, domyślił się, że mu coś straszego zagraża.

— Przecież matka nie umarła! — z trudnością drżące usta wymówiły.

— Jesteś mężczyzną, panie Janie, jesteś chrześcijaninem, powinieneś odważnie i pokornie znieść ten cios... — zaczęła prawić pani Różańska, ale Jaś nie dosłuchał jej wcale. Szarpnął drzwiami, wbiegł do pokoju, rzucił się na szyję umarłej i zaczął krzyczeć, płakać, wyrzekać, istotnie szczerym, ale więcej kobiecym, więcej dziecięcym, niż męskim żalem przejęty.

— Pan Jan — mawiała ciotka Różia, gdy jej o dziadku naszym do wspomnienia przyszło — pan Jan bardzo dobrym był człowiekiem, tylko bardzo bawić się lubił.

I mnie dziś, gdy to piszę, zdaje się, że nie potrafiłabym w krótkich słowach lepiej streścić jego usposobienie, chyba jedną maleńką dodając sylabę: pan Jan *byłby* bardzo dobrym człowiekiem, tylko że strasznie bawić się lubił. Srogość ojcowska wszystkie ojcowskie wady mu zbrzydziła. Miał łagodne usposobienie, przykro mu było widzieć smutnych i cierpiących; jeśli mógł im co pomóc, to pomagał, jeśli nie mógł, to od nich uciekał. Chłopi na wsi doskonale wiedzieli o tem, że każdy co zechce, to od

niego wyprosi. Służący mieli tę pewność, że im wszelkie zaniedbanie obowiązków służbowych, wszelką niezręczność, a nawet i lepkość w palcach przebaczy. Wiele potrzebował, bo wiele wydawał, ale na zysk chciwym nie był, cudzej krzywdy nigdyby nie zamierzył; mógł się jej dopuścić bezwiednie, sumienie jednak świadczyło mu w tym razie, że umyślnie tego nie zrobił. Wogóle instynkta miał poczciwe, jakkolwiek nie wypracował z nich żadnej cnoty, żadnego nawet szlachetnego czynu; wszystko się kończyło na lekkich wzruszeniach, rozrzwieniach i pięknych słówkach. Ach! i dzisiaj na tem się kończy. Tylko dziadek mój pięknych słówek z dobrą wiarą nadużywał, głęboko był przekonany, że gdy je wypowie, to już ważnego obowiązku dopełni, bodaj czy mu się też nie zdawało, że wprost przeciwie ich literze i brzmieniu nie postępuje bynajmniej. Teraz ludzie mają więcej rozumu, deklamują nie dlatego, że treść deklamacji im się podoba, choćby po amatorsku, ale dlatego, żeby się *oni* podobali; a co do postępowania, to już żadnej nie mają wątpliwości, wiedzą z największą pewnością, że się wcale do sensu z ich wyrazami nie składa. Dziadunio na przykład bardzo wiele miał szacunku dla tych, którzy należeli do konfederacji barskiej, może na to wpłynęła niechęć ojca, w wielkiej przyjaźni z Krecztnikowem żyjącego, bądź co bądź jednak, czuł się stąd trochę wyższym od państwa Siekierskich, którzy, jak słyszał, przed konfederatami na bory, na lasy uciekali, srebra, pieniądze i cały z sobą zabierając dobytek. Kiedy sejm czteroletni obradował, dziadunio się unosił nad jego mądrością i cnotą, wstążeczki z napisami przypinał do ramion i kapelusza, a niedalej jak o miedzę, sąsiad Tuczynski kłął, na czem świat stoi tych, co złotą wolność zgnębili i szlachtę w chłopów pozamieniali. Trzeba też

pamiętać, że bezowocne lecz znaczne sympatje pana Jana, w stosunku do tła otaczającej go społeczności, miały przynajmniej zasługę wyboru; nie słyszał o nich w dzieciństwie, nie witały go one urokiem nowego objawienia na progu młodzieńczego wieku, nie miał też zdolności potemu, by nad prądami wręcz przeciwnych sobie wyobrażeń zastanawiać się, rozmyślać, wnioskować; miał przed sobą takie i owakie — że mu się takie, nie owakie podobaly, to już było skutkiem naturalnego pociągu. Dziś sprawa już przesądzona, co było pod wątpliwością, stało się prawdą uznaną i wszyscy wychowali się pod wpływem tych samych zasad i pojęć; zastosowanie ich do życia własnego mogłoby jedyną między ludźmi różnicę stanowić, a tu przecież tłumy całe, jak mój dziadunio, na słowach poprzestały!

W sześć miesięcy po śmierci matki, pan starościc Ka-liński młodą i piękną żonę do domu swego wprowadził. Historia tego ożenienia bardzo też według mego zdania, korzystnie o dziadku świadczy. Mieszkał w sąsiedztwie o parę mil pan chorąży Siekierski, bogaty ale stary już obywatel, z drugą, a więc, jak łatwo domyśleć się można, znacznie od siebie młodszą żoną; dom prowadzili otwarty; kto lubił wino, tańce i karty, mógł się w nim wybornie zabawić; jako wiemy, pan Jan ani do wina, ani do tańca, ani do kart wstrętu nie miał; złożył więc państwu chorążostwu swoją uwagę i był tam później kilka razy jeszcze, był i na festynie jakimś, a prócz samego pana, prócz pani, dwojga jej dzieci, czternastoletniej pannenki i dziesięcioletniego chłopczyka, nikogo więcej z tej rodziny nie widział. Jednego dnia zdarzyło mu się w porze obiadowej wstąpić tam niespodzianie; miał dalszą drogę przed sobą, ale nie godziło się przecież tuż pod dworem przejeżdżać i takich gościnnych, życzliwych

przyjaciół nie odwiedzić. Zastał wszystkich przy stole; według zwyczaju państwo z dziećmi pierwsze miejsca zajmowali, a w pewnej odległości, na szarym końcu, kilka osób z wyższej, jak się domyślał, służby domowej siedziało; przyjęto go z oznakami wielkiej radości, posadzono między matką i córką, ale gościowi niewygodnie jakoś było. W czasie powitania wprawne jego pod tym względem oko ustrzeliło już bardzo ładną, młodą osobę, po tejże, co on teraz stronie siedzącą. Kilka razy pod różnemi pozorami, to naprzód, to wtył się wychylał, twarzy jej nie mógł zobaczyć wszelako. Gdy wstawali od obiadu, pan Siekierski zaczął sąsiada przeproszać, że głodny zapewne być musi, że tak skromny był poczęstunek i t. d.

— Ale przynajmniej na dopełnienie żołądka wypijemy sobie dobrej kawy ze śmietanką — mówił uprzejmie, prawie błagając, bo sam nadzwyczaj kawę po obiedzie lubił, a niezawsze, jak widać, żona mu ją dawała. Pan Jan się wymawiał, dziękował, nic nie pomogło.

— Ej! Ewusiu — zawołał gospodarz — zajmij-no się tam prędko i dopilnuj, żeby wszystko jaknajlepsze było.

Piękna młoda osoba szła już ku drzwiom wolnym, jak się pan starościc później wyrażał, majestatycznym, niby królowa krokiem. Rozkaz u drzwi ją zatrzymał. Odwróciła dumnie na karku trzymaną głowę i spytała z wyraźnym zniecierpliwienia akcentem:

— Na wiele osób?

— Juścić że na trzy, opryskliwie zadysponowała pani domu.

I zachwycająca kawiarka, czy panna respektowa, oddaliła się w milczeniu. Przeprowadzono starościca do bawialnego pokoju, zaczęto go o zdrowie matki, o pobyt

w Warszawie wypytywać, aż nakoniec ukazał się służący z kawą na tacy, a za nim też sama, intrygująca starościca postać, z cukiernicą w ręku.

Pani chorążyna zerwała się jakoś żwawo i coś pocichu mówić do niej zaczęła.

— Już ja widzę, że w niczem jejmości dobrodziejce nie dogodzę, — odezwała się głośno przybrana w bardzo lichą sukienkę z fartuszkim, pana Jana królowna. Głosik był trochę ostry, lecz nierażący, zwłaszcza, że choć z mocno zaciętych i wąskich, ale ze świeżych i czysto purpurowych usteczek się wydobył. — Jejmość dobrodziejka zawsze mnie łaje, kiedy cukier w obce ręce powierzam, skądże mogłam wiedzieć, że na dziś inne prawo?

— No, no, niech acanna nie rezonuje, tylko wraca do swojej roboty; kilku łutów w cukiernicze pilnuje, a całe funty na łasce kucharza zostawia!

— Jest-ci przy nich Karolka, to im się nic złego nie stanie.

— Karolka właśnie w kuchni siedzieć nie powinna; proszę mi ją tu natychmiast odesłać.

— Odeślę ją z wielką przyjemnością, jeśli mnie posłucha. A może i Walusia także? Bo jak połowę konfitur wykosztują, to jejmość dobrodziejka znowu na mnie winę złoży.

— Ej ty!... — krzyknęła chorążyna z ledwo powstrzymanym gestem czynnego gniewu. I miała pewnie jakiś dosadny wyraz na końcu języka, lecz przypomniawszy sobie obecność gościa, niższym tonem dodała jedynie: — Ty gadzino! ruszaj mi stąd zaraz!

— Serdeńko moje! uspokój się, nic tak przecie złego nie zrobiła — wdał się najniefortunniej w to zajęcie pan chorąży.

— Nic złego — przedrzeźniając, powtórzyła małżonka — o! ja wiem, że asan ją zawsze podtrzymujesz. Jedno warto drugiego... Ale pocóż tu łaskawemu sąsiadowi domowymi sprawami próżno uszy trudzić. Czy słodko pan pija kawę? czy lubi dużo, czy mało śmietanki? — pytała bardzo grzecznie i usta się wdzięczyły, choć w głosie znać jeszcze było, że się dławiła wielu nie-domówionemi słowami.

Tymczasem łaskawy sąsiad ciekawie się przysłuchiwał krótkiemu djalogowi, ciekawiej jeszcze patrzył w zadasane, a tak nic przez to jednak na wyniosłości swojej nie-tracące oblicze młodej dziewczyny. Sekunda, błyskawicą, chwilka nieujęta — dwa spojrzenia skrzyżowały się w przelocie; pan Jan się uśmiechnął, panna żywym rumieńcem spłonęła, odwróciła się, uciekła i tak głośno drzwi się za nią przywarły, że aż wszystkie szyby w oknach za odchodzącą jęknęły. Może się czuła obrażoną, może wstyd jej było przy świadku złego doznać obejścia? Kto ona? Czem jest właściwie ta sponiewierana, a zuchwała? Zrobiła na nim wrażenie tak już silne, że nie śmiał o to zapytać. Jeśli kawiarka, panna służąca lub coś w tym rodzaju, to młodego na fundusz wezmą, wyżartują, wyśmieją, a co gorzej, zaczną i tej biedaczce dokuczać.

Państwo Siekierscy nie poczuli się do obowiązku udzielenia mu jakichkolwiek co do zaszłej sceny objaśnień; sama pani widocznych dokładała starań, by w umyśle starościca zatrzeć jej wrażenie; obiecywała mu, że go swatać będzie; przebiegła z nim całą listę panien na wydaniu o sześć mil dokoła. Chorąży anegdotkami uzupełniał wyliczane imiona, ale to wszystko zamierzonego celu nie osiągnęło. Pan Jan ze współczuciem myślał tylko o kłopotach wyłajanej nadzorczyńi konfitur, niepokoił

się trochę nawet, że Karolka i Waluś nie przychodzą. Lecz Karolka i Waluś przed usmażeniem konfitur wcale do pokoju nie przyszli — domawiała ciotka Różia z krótką nauką moralną o łakomstwie na mój osobisty użytek.

Tego samego dnia późnym wieczorem, pan Jan w gronie hulaszczej młodzieży wzmiankę jakąś o Siekierskich usłyszał.

— Powiedz mi — rzekł skwapliwie do swego amfitrjona — czy nie widziałeś nigdy u nich tej panny, co w dnie powszednie do stołu razem z nimi siada?

Amfitrjon jej nie widział; rzadko tam bywa, mieszka daleko, żyje wśród innych stosunków.

— Hej panowie! — zawołał jednak wesoło, czy który z was nie widział nigdy tej panny, co z Siekierskimi do stołu w dni powszednie siada?

— A bo co? — odpytało kilka głosów.

— A bo to istna osobliwość — tłumaczył pan Jan z wielkim animuszem. — Na służkę niby wygląda, a na panią patrzy, chodzi w wypłowiałej sukience i w powalonym fartuchu, a kiedy nagle ją przed sobą zobaczysz, to jakbyś w słońce o samym południu spojrział; aż ci się w oczach zaćmi, taka śliczna!

— Cóżby to za jedna być mogła? — ten i ów bąknął pod nosem.

— Aha! — zawołał jeden — domyślam się! To niezawodnie córka chorążego z pierwszego jego małżeństwa.

— Czyżby tak piękna znowu? — powątpiewająco odezwał się drugi.

— Juźcić że prędzej piękna, niż brzydka. Brzydkiej chorążyna nie chowałaby tak pilnie przed nami — uważał trzeci.

— Więc dlaczegoż piękną chowa? — z naiwnością pan Jan wybadywał.

— Zwyczajnie jak macocha, mój drogi — wtrącił któryś ze słuchających. — Każda macocha radaby pasierbicę w kropli wody utopić, lub na dziesięć spustów w klasztorze gdzie zamknąć. Chorążyna nie lepsza od drugich, ba! ludzie zaczynają już gadać, że gorsza nawet daleko; żeby sobie ostrzy na spadek, co się po nieboszce matce dla córki jedynaczki dostał. Usunęła ją od towarzystwa, chciałaby żeby o niej wszyscy zapomnieli; jeśli przypadkiem koniecznie już musi coś o niej powiedzieć, to kłamie jak najęta, rozwodzi się nad jej chorowitem usposobieniem, nad jej dzikością, nad brakiem wszelkiej ogłady. Tymczasem widać, że jej tylko do posług gospodarskich używa, po garderobach ze służącymi trzyma i bezkarnie dręczy od rana do wieczora.

Panu Janowi w żywej pamięci stanął szereg owych lat siedemnastu, które mu żółcią i piołunem surowość ojcowska zatrula; rozrzewnił się nad losem uciemżonego Kopciuszka.

— Chorąży wszelako zdawał się życzliwsze mieć dla swej córki uczucia; sam słyszałem, jak się za nią ujmował, może kiedyś i na obronę się zdobędzie — pytając rzucił te słowa w nadziei; że czegoś więcej się dowie. Przedmiot bardzo go zaciekawiał; istotnie więcej wnet się dowiedział.

— Tak ci się zdaje, mój Jasiu — rzekł zaraz jeden z bliższych Siekierskiego sąsiadów; — alboż nie słyszałeś, jak mocno jejmość dobrodziejka jegomości dobrodzieja pod pantoflem trzyma? Kiedy mu kawy i na tabakę żałuje, to stary nad córką się rozczula, w gruncie rzeczy jednak niebardzo pewno się martwi, że mu panna dłużej, a choćby i na zawsze w domu zostanie, bo nie

będzie musiał posagu jej wypłacać. Strasznie on do mi-
łego grosza przywiązany.

— Ależ to niepodobna — zawołał pan Jan z unie-
sieniem — żeby tak ludzie spokojnie na cudzą krzywdę
patrzyli? Musi być przecież jakiś sposób ratunku dla tej
nieszczęśliwej.

— No, jest sposób — ktoś inny mu odpowiedział —
trzeba tylko żeby się znalazł konkurent, coby wszystkie
trudności przełamał. Niekażdy ma na to ochotę; bez
awantur, bez wykradania, bez procesów, nikt starszej
chorążanki nie dostanie, a prócz tego nie wiadomo, ile
i czyby za chorążanką co dostał. Pomijając nawet te
względy, o samej pannie różne wieści chodzą: a to że
zła, a to, że bez wychowania i ordynaryjna, a to że
brzydka i wielką chorobę cierpi.

Pan Jan aż się z krzesła na równe nogi zerwał.

— To potwarz — krzyknął — najnikczemniejsza
potwarz! Wzrost, figura, jak u bogini; oczy modre jak
u Minerwy. Przy czarniejszych niż pióra krucze włos-
sach płeć tak delikatna, że możnaby porachować wszyst-
kie żyłki od skroni wzdłuż lica biegnące! Zdrowiem
i siłą kwitnie postać cała; a jakie ruchy wspaniałe, jakie
wdzięczne!... I pomyśleć sobie, że taka cudna dziewczyna
pod macoszną tyranją we łzach i smutku najpiękniejsze
dni swej młodości pędzi... Toć ja sam widziałem, jak le-
dwo w moich oczach pięścią jej nie uderzyła. Nazwała
ją gadziną, ta baba niegodziwa! Dziwi mnie to, że do-
tychczas nikt się nie znalazł, coby tę ofiarę z paszczy
smoka wydarł.

— I mnie dziwi — przerwał mu gospodarz — bo jeśli
ona z Kozłowskiej się rodzi, to musi mieć w sześciu cy-
frach posażek. Znam tę rodzinę, bardzo, bardzo zamożna.
Opowiadano mi nieraz, że przed laty zmarły stolnik Ko-

złowski każdego z trzech synów osobnemi dobrami, a każdą z trzech córek stoma tysiącami talarów dobrej, srebrnej monety wyposażył.

— Stoma tysiącami talarów! — powtórzył jeden, drugi i trzeci, rozdziawiając gęby.

— Przynajmniej tak dziś jeszcze mówią w naszej okolicy — przytwierdził pytany.

— Wiecie co, moi panowie, wartoby się przekonać o tem! — odezwał się jeden z najstarszych między młodymi.

— Warto! warto — echem odbili inni.

— Któż z was pierwszy wystąpi w obronie niewinności? — zwrócił się pan Jan do wszystkich.

— Ha! jam gotów — rzekł ten, co z wnioskiem próby wystąpił.

— Ah! to wybornie zrobisz, na moją pomoc we wszystkim liczyć możesz.

— Bardzo dziękuję, wołałbym się bez tej pomocy obejść zupełnie. Jakiś to mętny interes; chcesz mi pomagać, a sam od siebie nie występujesz, choć właśnie twoje pochwały na trop nas wprowadziły.

— Moje pochwały są zupełnie bezinteresowne — upewniał pan Jan z ręką na piersiach. — Primo: jestem zbyt młody, nie chcę sobie tak wczesnie świata zawiązywać; secundo chociaż mi się panna Siekierska podobała, oh! nadzwyczaj podobała, jako rezolutna kawiareczka, to jako starsza córka domu nie ma dla mnie tak wielkiego uroku. Wołałbym pierwszą, wszakże mnie rozumiecie? Tertio, mówiliście tu panowie, że się konkury do pięknej chorążanki nie obejdą bez awantur, wykradań i procesów. Otóż każdemu z was wiadoma zapewne nieszczęśliwa historia mego ojca, gdybym się puścił na

te drogi, toby mi kto mógł przyciąć potem, że mężczyźni z rodu Kalińskich kradzione tylko żony miewają.

Śmiać się zaczęto; wszystkim się zdawało, że pan Jan żartuje, a pan Jan szczerze myślał to, co mówił; nie chciało mu się żenić, nie chciało mu się w awantury, może w pojedynki zaplątywać; słuchał bardzo spokojnie, jak pan Florjan o wyprawie do chorążostwa rozprawił, kogo on tam na swaty z sobą weźmie, jak się ojcu przedstawi, jak macochę podejdzie, jeśli mu panny nie zechcą ukazać. Pan Jan życzył mu szczęśliwego powodzenia, a jednak smutno i kwaśno mu było. Tak serdecznie tej biednej, prześladowanej pasierbicy żałował.

Wypadki tymczasem dziwny obrót wzięły.

Po wyjeździe starościca piekło zawichrzyło całą rodziną Siekierskich. Pani najpierwej męża wyłajała, że śmiał przy obcym człowieku utrzymywać, jakoby nic złego nie zrobił ten gagatek jego, ta chytra, przebiegła dziewczyna, ta Ewa bezwstydnica...

Tu przypadła litanja różnych przymiotników i rzeczowników, do wypisania czarnym atramentem na białym papierze wcale się nie nadająca.

— Jeśli mi jej — groziła — natychmiast z domu nie wywieziesz, to popamiętasz moje słowa; choćbyś konał, ani kropli kawy ci nie podam, ani na jeden niuch tabaki grosza ode mnie nie dostaniesz.

— Serdenko! gdzież ja mam ją wywozić? — submitował się staruszek.

— Gdzie? alboż to niema u nas dosyć klasztorów w kraju?

— A kiedy ona nie chce.

— Od czegoż ty ojcem jesteś, niedołego? Hej! zawołać mi tu panny Ewy — krzyknęła przez drzwi do sieni.

Panna Ewa na wezwanie posłańca wkrótce się sta-
wiła. Ogłuszył ją w pierwszej chwili potok obelg i wy-
rzutów. Skąd jej się wzięło dzisiaj do bawialnego pokoju
wchodzić przy gościach? — wyglądała jak kocmołuch —
wstyd robi domowi, a jaka zuchwała przy tem, ząb za
ząb kłóci się, niby z równą swoją; zobaczyła modny fra-
czek i zaraz się jej w głowie przewróciło; co ten pan
o niej pomyśli? będzie pewny, że to pomywaczka jakaś
intrygą na dwór pański się wkręciła. Takich uchybień
i nieprzyzwoitości ona, Chruścicka z domu, dłużej cier-
pieć nie może. Jutro ojciec sam jejmościankę do panien
benedyktynek w Sierpcu dostawi.

Panna Ewa, jak posąg wyprostowana, z głową do
góry wzniesioną, z przygryzionemi wargami, z szybko
drżącą na policzkach skórą, w głębokiem milczeniu wy-
słuchiwała tej całej perory. Gdy się macocha zmęczyła i na
ostatniej pogroźce dla wypoczynku zawisła, wolno i do-
bitnie odpowiedziała jej dopiero:

— I owszem, niech mnie jejmość dobrodziejka do
klasztoru odeśle; wolę być u benedyktynek, niż tutaj,
a dlatego nie triumfuj pani; zakonnica nie zostanę.

Odwróciła się i chciała odejść.

Macocha, do ostateczności rozjątrzona tym spoko-
jem winowajczynie, rzuciła się ku niej, jak zapamiętała,
targnęła za włosy i silnie w twarz uderzyła, tę śliczną
twarz, po której „żyłki od skroni wzdłuż lica biegnące“
pan Jan tak chętnie byłby się podjął zrachować. Powstał
krzyk i lament. Ewa odepchnęła macochę i uciekła do
oficyn, gdzie się w lamusku na klucz zamknęła. Ojciec
przez cały wieczór między jedną a drugą się uwijał, tę
przepraszał, tę namawiał, a ma się rozumieć ani u jed-
nej, ani u drugiej nic nie wskórał. Na uzupełnienie całości,
Karolka i Waluś brzydko się od konfitur pochorowali.

W całej okolicy Ewa miała jedną tylko życzliwą osobę, na którą w razie potrzeby trochę pewniej liczyć mogła. Była to pani podkomorzyna, cioteczna siostra jej matki. Przestraszona więcej daleko, niż to okazywała wobec macochy, zapowiedzianą podróżą i klasztorem, wymknęła się z lamusika, u ekonomowej znalazła coś nakształt kałamarza i brudny kawałek papieru z rejestrów gospodarskich wydarty, skreśliła na nim kilka słów o ratunek wołających:

„Jaśnie Wielmożna Pani Ciotko a Dobrodziejko
moja osobliwa!

W ostatniem niebezpieczeństwie sierota ręce do ciebie wyciąga. Macocha się uwzięła, żeby mnie zakonnica zrobić; jabym wołała umrzeć i nie doczekać jutra, bo mnie jutro do benedyktynek wywieść mają. Niech Jaśnie Wielmożna Pani Podkomorzyna ocali mnie i do służby przyjmie, przyrzekam, że chleba nie będę darmo jadła, byle spokojnie; tu mnie macocha bije i za włosy targa codziennie. Ręce i kolana Jaśnie Wielmożnej Podkomorzyny Ciotki i osobliwej Dobrodziejki mojej całując pokornie, miłosierdnemu sercu się poleca

najniższa sługa i najnieszcześniejsza sierota

Ewa Siekierska“

Między domownikami panna Ewa nie miała wielkiej miłości; jedni przez pochlebstwo trzymali z panią chorążyną, donosili o niej plotki różne i w czem mogli, w tem jej dokuczali, pewni będąc w wyższych sferach poparcia; innych ona sama zniechęciła ku sobie szorstkiem postępowaniem, opryskliwością i pychą bez granic. Ewa wszystkich służących podejrywała o szpiegostwo i nieprzychylność; widziała w nich wrogów tylko i donosicieli, a im więcej macocha ją samą poniżyć się

starą, tem większą ona czuła potrzebę poniżenia tych ludzi, by na chwilę nie zapomnieli, że jest pańską córką i wyższem od nich stworzeniem Bożem. Na wsi zato, między chłopami, uciemężona pasierbica wielką miała wziętość.

Trzeba przyznać, że była dla nich nierównie względniejszą; zbyt daleko stali, więc się nie obawiała poufałości, lub zaczepnego uchybienia z ich strony. Największą wszelako zasługą panny Ewy w każdej chałupie była wyrządzona jej krzywda; zła macocha, poniewierana sierota, legendowe na prostych wyobraźniach czyniły wrażenie. Sami nieraz godni litości, litowali się nad zaniedbanem dzieckiem we dworze; ten i ów przyniósł pokryjomu jakiś dar ubogi z jarmarku, ta lub owa podsunęła króbkę poziomek, kilka świeżych jajek, czasem żółciutkiego masła osełkę. O matce nieboszczce, o jej bogatych strojach, o jej krociovym posagu z właściwą ich naturze hyperbolą różne historie córce opowiadali. Ewusia na słowo im wierzyła, czuła się w każdej chwili właścicielką skarbów nieprzebranych, widziała się w przyszłości złotem i klejnotami okrytą, i w te oczekiwania swoje przyodziana, dumnie stąpała po ziemi, choć miała na nogach grube, a często i podarte trzewiki. Tego wieczora, gdy z wielkim trudem, pośpiechem i natężeniem list ów (który po śmierci dziadka znalazł się na pamiątkę w szkatułce jego schowany, z mnóstwem błędów ortograficznych i dość fantazyjną kaligrafją), gdy list ów przygotowała, nie zgłosiła się z nim do nikogo we dworze, tylko chyłkiem na wieś wybiegła i tam zaraz posłańca konnego znalazłszy, do podkomorzyny wyprawiła. Nad ranem posłaniec umówionym znakiem się zameldował i przez okienko lamusowe odpowiedź doręczył; podkomorzyna miała nadzieję, że obawy jej siostrzenicy płon-

nemi się okaza, nadmienila coś o posłuszeństwie dla rodziców, o tem, że rodzice najlepiej wiedzą, co szczęście ich dziecka zapewnić może, a w końcu obiecywała, że wczesnie przed południem sama na miejsce zjedzie i prosić będzie chorążostwa, by jej pozwolili córkę ukochanej krewnej swojej na czas jakiś zabrać.

Była to kobieta z wielkim taktem i głós w powiecie mająca, ta pani podkomorzyna; nawet gwałtowna pani Siekierska liczyć się z nią musiała. Między obu domami koligacyjne stosunki dawno już zupełnie ochłódły; co dwa, trzy lata, chorążostwo nawiedzali podkomorzynę w towarzystwie Ewuni, umyślnie na ten dzień wystrojonej, przypstrzonej na pokazanie, że zdrowa i że jej się krzywda nie dzieje. Ponieważ zaś wiekowa matrona wogóle do spraw cudzych wtrącać się nie lubiła, ponieważ nadzwyczaj rzadko z domu wyjeżdżała, więc nie przypuszczali nawet, aby mogła kiedykolwiek ich zamiarom na przeszkodzie stanąć. Stanęła jednak i bardzo, w tym dniu pamiętnym, gdy już krytą bryczkę chorążego przed domem na drogę ładowano, a przemocą niemal wyciągnięta z lamusa panna Ewa marudziła, o ile jej konceptu starczyło, byle się przyrzeczonej pomocy doczekać. Nakoniec doczekała się. Ogromna landara miejsce bryczki przed gankiem zajęła i z landary poważna, uśmiechnięta, grzecznie się wszystkim kłaniająca podkomorzyna wysiadła. Zdumienie, zakłopotanie, szepty, migi, bieranina, wszystko to łatwo można sobie wyobrazić, choć wszystkiego tego właśnie podkomorzyna jakby nie widziała wcale.

Ewunia co chwila spodziewała się, że sprawa jej wywiezienia rozsądzać się zacznie, a tu cicho; o klasztorach, krzywdach, przymusach ani słówka. Podkomorzyna mówi o pogodzie, o reumatyzmach swego męża, o nowinach

warszawskich, i tak aż do obiadu. Po obiedzie dopiero przy kawie, którą na raz Ewusi nie tylko przyrządzać, ale i pić w bawialnym pokoju wolno było, zaczyna się utyskiwanie nad losem sędziwych małżeństw, samotne życie pędzących, gdy się dorosłe ich dzieci w świat rozejdą. Podkomorzyna zazdrości chorążostwu tych dwojga pocieszek, które długo jeszcze dom ich rozweselać mogą; ona tak lubi koło siebie młodość i wesołość, a w ciszy i samotności żyć musi, pewna jest nawet, że mąż jej z nudów gorzej niż kiedykolwiek choruje, więc też przyjechała z wielką prośbą do pana szwagra (chorąży aż się na krześle poprawił, tak mu przyjemnie było ów tytuł z ust tak szanownych po kilkunastu latach usłyszeć); szwagier pozwoli, żeby najstarsza jego córka choć kilka tygodni przy krewnej swej matki zabawiła, będzie to prawdziwie dobry uczynek i t. d. i t. d.

W chorążyne jakby grom uderzył; zaczęła coś jąkać o tem, że Ewusia bardzo jest w domu potrzebna, że do wyjazdu nie przygotowana, że się najpilniejsze roboty jakieś zaczęły, a podkomorzyna przy każdej wymówce głową kiwając:

— O ja wiem, ja wiem — mówiła tylko — jaka pani dobra; tem wdzięczniejszą jestem za łaskę, umiem cenić szlachetne serce państwa, że sami wyrzekając się użytecznej zawsze pomocnicy, pozwalacie jej uprzyjemnić dwojgu starszkom smutne godziny dogasającego ich życia. — I tak chwając, dziękując, wmawiając, podkomorzyna Ewusie z sobą zabrała. Trochę bielizny i jedną suknię macochy rzucono w wężelek.

— A nie rób plotek asanna — dodała na przykładek macocha — jedno mi słowo piśnij, a zobaczysz, jak ci przytnę języka. Żadne krewieństwo matki nic ci nie pomoże.

Ewusia wyjazdem swoim uszczęśliwiona, wbrew zwyczajowi, nic na to nie odpowiedziała. Nie lękała się dalszej przyszłości, drżała tylko o chwilę obecną. Coby to było, gdyby ją ze stopnia landary cofnięto jeszcze! Wolała spokojnie się zachować. Ze stopnia jej nie cofnięto, przebyła szczęśliwie bramę, wieś całą i na otwartem polu swobodnie odetchnawszy, zaczęła dopiero kolana i ręce podkomorzyny całować. Ta już wiedziała, czego się trzymać w domowych stosunkach rodziny Siekierskich. Głęboko jednak przejęta uszanowaniem dla władzy rodzicielskiej, nie chciała córki przeciw żonie ojcowskiej podtrzymywać.

— Jacy dobrzy państwo chorążostwo, że mi ciebie na czas nieograniczony pożyczili — rzekła tylko i pogłaskała schyloną ku sobie głowę młodej dziewczyny.

Takim-to sposobem się stało, że gdy w kilka dni potem pan Florjan czterema końmi, modnym karyklem, ze starym jakimś przyjacielem chorążego, w konkury przed dwór zjechał, już w nim panny Ewy nie zastał.

Pan Jan, przeciwnie, odwiedzając bez żadnego celu, wprost z grzeczności tylko, dawną swojej matki opiekunkę i znajomą, na wstępie, zaraz w pierwszym pokojku, oko w oko z przedmiotem swego współczucia się spotkał.

Nie miał on czasu głośnego wykrzykniku zadziwienia powitalnym komplementem wytłumaczyć, bo panna wybiegła coperędzej i nie pierwiej się ukazała z powrotem, aż ją wyraźny rozkaz podkomorzyny zawezwał. Przyszła zadąsana i usiadła na brzegu krzeselka, z odwróconą od gościa twarzą.

— Wszak już znasz starościca Kalińskiego? — rzekła do niej podkomorzyna, której pan Jan wspominał przed

chwila, jak i kiedy pierwszy raz pannę Siekierską zobaczył.

— Nie, nie znam — krótko i szorstko odcięła się zapytana.

Pan Jan po drugiej stronie stołu stał przed nią wyprostowany jak trzcina i jak trzcina zginający się w wielokrotnie powtarzanych ukłonach.

— Nic dziwnego, że W. M. panna na lichą osobę moją żadnej nie zwróciła uwagi, niemniej przeto dzień, w którym po raz pierwszy miałem zaszczyt i szczęście ujrzeć jej oblicze, będzie dla mnie zawsze pamiętnym i białą kredą na czarnych sadzach mego życia oznaczonym.

Ewusia zaczerwieniła się, ale milczała uparcie. Dużo myśli cisnęło jej do głowy, tak jej zaimponowała grzeczna oracja młodego człowieka, niedawno, jako słyszała, z Warszawy przybyłego. Rozmowa jak ołów się wlokła, póki na koniec z pola w towarzystwie jakiegoś sąsiada pan podkomorzy nie wrócił. Był to sobie wesoły, krotchwilny staruszek, lubił młode i ładne koło siebie twarzyczki, gadał co mu ślina na język, jak to mówią, przyniosła, czem nieraz gorszył swoją żonę, ale niczyjej krzywdy nie patrzył; spory obywatelskie przykładowie godził i rozsądzał, ogólne posiadał zaufanie i tyłu przyjaciół, ilu znajomych niemal.

— Bo też — jak mówiła ciocia Różia — o nic się u ludzi nie upominał, ani o pieniądze, ani o rozum, ani o cnotę wysoką: byle nie łotr wierutny i na uczynku schwytany, każdy mu był dobry. Nie odrzucał nawet porucznika Łuczyńskiego, który z nim właśnie przybył, a którego ludzie kosterą i pasożytem nazywali.

Z wejściem starych panów, ożywiło się nierozmowne dotychczas towarzystwo. Panna Ewa, jak Zuzanna bi-

blina między nimi siedząca, to się czerwieniła, to się chichotała, aż wreszcie coraz śmiej odzywać się zaczęła. Pan Jan upatrzył chwilkę stosowną, usiadł na miejscu odwołanego przez podkomorzynę porucznika i słodkim a trochę przyciszonym głosem zapytał, czy może mieć nadzieję, aby go panna chorążanka od dnia dzisiejszego przynajmniej w grono swoich znajomych policzyć raczyła?

— Nie zdaje się, aby waszmość panu zależało co na tem — odpowiedziała, krygując się i przybierając najdumniejszą postawę swoją; — moimi znajomymi są ci tylko, którzy mnie znają zawsze i wszędzie, czy jestem pięknie, czy ubogo ubrana, czy siedzę na pierwszym, czy na ostatnim miejscu.

— Przebóg! co W. M. panna przez to rozumie? — ze szczerą niespokojnością pan Jan zawołał.

— Oto rozumiem, że pan starościc zupełnie inaczej względem mnie się zachowywał przy macosze, a inaczej tutaj.

— Czyż to moja wina, łaskawa panno chorążanko? Prawda, że nie wiedziałem kim jesteś, bom nawet nie słyszał od nikogo, że chorąży ma taką piękną i dostojną córę, jednak skoro cię zobaczyłem, tejże chwili ślubowałem w duszy mojej, że muszę wysledzić, jaka to przebrana królewna u państwa Siekierskich się kryje. Jeśli na miejscu rodziców i służących nie pytałem, to przez dyskrecję tylko. A nużby W. M. panna była jaką pretendentką do której z koron europejskich i gdyby drogic jej życie od najgłębszej tajemnicy zawisło?

Panna Ewa rozśmiała się wesoło.

— A kiedyś się waszmość dowiedział z pewnością, że nie jestem żadną pretendentką do korony, to chyba

sobie powiedziałeś, że pomywaczką być muszę, boć mi o tem nawet macocha nadmienila.

— Czy podobna! takie kłamstwo, taka nikczemność! Przebac mi W. M. panna, że się tak o kimś z jej rodziny wyrażam, ale jestem tem oburzony!

— Więc tak nie było? — i stalowo błękitne oczy panny Ewy bystro w oczach pana Jana utkwily.

Pan Jan zmienił dotychczasowy przesadny trochę ton głosu i z pewną uroczywą prostotą mówić zaczął.

— Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, panno chorążanko, to ci powiem, że przestałaś być dla mnie królewną z bajek i z przygód rycerskich w tej chwili dopiero, gdy się dowiedziałem, że jesteś najstarszą córką pana Siekierskiego, od macochy srodze prześladowaną, i w tej chwili też zaczęłaś być królową całej mojej przyszłości, którą chętnie poświęcę, jeśli się zdarzy sposobność w czemkolwiek przez to do twego szczęścia się przyłożyć. Weź mnie, panno chorążanko, na próbę, daj rozkaz jaki, a przekonasz się, czy na wierne służby moje liczyć można.

— Ot, gadasz W. M. niestworzone rzeczy i myślisz, że zaraz wszystkiemu uwierzę dlatego, bom się między gęsiami i kurami wychowała. Niech się pan starość przekonona, że nie trzeba zbyt wielkiego rozumu, by prawdę od żartu rozeznąć.

— Bo też prawda od żartu nie rozumem się rozeznaje, ale sercem i uczuciem sprawiedliwości. Gdybyś panna chorążanka przypomniała sobie to, co nieraz pewnie o latach mego dzieciństwa słyszałaś, to nie wątpiłabyś, że jej położenie tak mocno mnie obchodzi. Nie posądzałabyś mnie, że ja, co sam do lat młodzieńczych prawie biedny, obdarty, sponiewierany, ludziom na oczy pokazać się nie śmiałem, teraz dlatego, że mnie trochę lepiej, na prześladowanych zgórybym patrzył i teź sa-

mej osobie, według uboższej lub wytworniejszej sukni, lekceważenie lub szacunek okazywał. O! panno chorążanko! jakże to boli niesłuszny zarzut! — I pan Jan rękę na piersi położył, jakoby je na świadectwo bólu i szczerości swojej wskazywał. Ten ruch mimowolny przez porucznika dostrzeżony mnóstwo żartów wywołał.

— Zaprędko, zaprędko mości panie! Pani podkomorzyno, pilnuj siostrzenicy, bo starościc już po własne serce sięga i wyraźnie ma ochotę pannie podkomorzance je ofiarować.

— Ej, co tam waść gada! — zaprzeczył mu podkomorzy — nie ofiarować serce, ale gwałtem chce je przy sobie zatrzymać nasz starościc, bo czuje, że mu do Ewusi ucieka, a tymczasem Ewusia strasznie surowo na niego spogląda.

— Któż z nas ma rację tylko prawdę pod słowem honoru powiedz nam, Jasiu — wołał porucznik.

Pan Jan głośno oświadczył, że podkomorzy daleko trafniej stan rzeczy ocenił.

— To pewna, że serce uciecby chciało, ale obojętność i niesprawiedliwość, jak noc i burza, strachem je przejmują, na ofiarę zaś serca dać nie wolno, póki się nie wie, czy przyjętem zostanie — i raz jeszcze pokornie skłoniwszy się pannie Ewie, na drugą stronę pokoju przeszedł.

Najzalatniejsza kobieta nie byłaby mogła lepszego sposobu wymyśleć na owładnięcie całej duszy biednego starościca, jak panna Ewa ze swojemi wymówkami. Z początku trochę się obraził, potem zaczął rozważać różne okoliczności; przypomniał sobie, że nawet z krzesła się nie ruszył, gdy weszła wtedy z ową nieszczęśliwą cukiernicą. Widział przecież, że kobieta i że piękna. Sie-działa z państwem przy stole — co mu pytać o więcej?

Uchybił nieszczęściu, dał niejako poparcie zawziętości i okrucieństwu. Cóż to za ciężkie życie być musiało tej cichej, bezbronnej, cierplivej ofiary, na pastwę takiego potworu rzuconej!

Pan Jan wyraźnie zapomniał, że ofiara niekoniecznie cicho, bezbronne i cierpliwie wobec potworu występowała. Wszystkie jej smutki na skalę swoich własnych wspomnień mierzył, o jej wrażeniach ze swoich wrażeń wnioskował.

Wróciwszy do domu, rzecz całą zaraz matce opowiedział i obydwójce trapił się, rozrzewniali, niepokoiłi póty, póki Jaś znowu do państwa podkomorzych się nie wybrał.

Tym razem panna Ewa łaskawie go przyjęła. Szczegóły, których jej wuj podkomorzy udzielił o panu Kalińskim, rozwiały wszelką względem tego ostatniego podejrzliwość. Sądziła ona, że ów panicz warszawski przez grzeczność dla macochy umyślnie dla niej był niegrzecznym; teraz przekonała się, że nawet o jej istnieniu na świecie nie zasłyszał nigdy. Nastąpiło wkrótce lepsze pomiędzy nimi porozumienie; zaczęli sobie doznane krzywdy opowiadać, litować się nad sobą, no, i pokochali się wreszcie. Pan Jan przestał się lękać wczesnego ożenienia, otrząsnął się z pierwotnych skrupułów swoich, gotów był pannę Ewę nie tylko wykraść, ale przemocą nawet, zajazd zrobiwszy, gwałtem z domu rodzicielskiego porwać; szczęściem, że do tego nie przyszło.

Trudności było wiele, blisko dwa lata na nie zmarniało, biedna pani Dorota umarła tymczasem, nie doczekawszy się upragnionej synowej, może nawet pan Jan byłby się zniechęcił i rozbawił na przepadle, lecz panna Ewa dotrwała, panna Ewa na wszystko sposób znalazła, panna Ewa i z ojcem i z macochą poradziła sobie. Od-

mówiono jej ręki, gdy podkomorzy uroczyście przyjechał afekt starościca oświadczyć i o pozwolenie bywania w domu chorążostwa prosić. Pani Siekierska oburzona, że pasierbica zabiera najmątniejszego w okolicy chłopca, na którego dla swojej własnej córki liczyła, wybuchnęła jawnym gniewem, złała sędziwego swata, że wraz z żoną na intrygi i romanse dziecko z domu wywieźli, że oni, rodzice, mają zupełnie inne co do swej córki postanowień widoki, że jego przebiegłość na nic się nie zda, że będą musieli przed trybunałem za swoje oszukaństwo odpowiadać, aż i w podkomorzym stara krew zawrzała; powiedział i owszem, prawa się nie lęka, bo nie on-to przez długie lata z funduszu sieroty zyski ciągnął, nie on ją dręczył, obdzierał i prześladował, nie on do klasztoru chciał pakować, żeby sobie macierzysty jej spadek przywłaszczyć.

Zajście to w całym powiecie ogromnego narobiło hałasu; panna Ewa musiała do ojca wrócić, tyle skorzystała jednak, że już do dawnego opuszczenia i zaniedbania nie wróciła, wypłynęła na wierzch, jak oliwa; trudno ją było po dawnemu ukrywać.

Chorąży ostrożniejszy był od swojej połowicy, przekonał ją, że nie trzeba drażnić ludzkich języków; jak się wygadają, to i ucichną, jak ucichną, to i zapomną. Byłe Ewusia czas jakiś za mąż nie poszła, jest wszelka nadzieja, że już wcale potem nie pójdzie. Chorąży najmocniej sobie postanawiał wszystkich starających z kwitkiem odprawiać, lecz chorążyna coś skuteczniejszego wynalazła; ciągłe odmawianie mogłoby również, jak zamknięcie w klasztorze, wątku plotkom ludzkim dostarczyć, co odmówiony, prócz tego, to nieprzyjaciel gotowy; trzeba raczej przyjąć jednego konkurenta i stanowczo go popierać; Ewusia głowę straci za tym fircykiem Kalińskim,

innego męża nie zechce, powie się wtedy, że jej wolno zwlekać i grymasić, wolno kiedyś odrzucić nawet, ale na żaden inny wybór rodzice się nie zgodzą.

Pan Florjan brzydki, nieokrzesany, warchołowaty, ale posesjonat i dobrego rodu, wybornie się nadawał do takiej roli stracha na pannę Ewę i na konkurentów. Zbyto go wprawdzie lada jakąś wymówką, lecz można było coś napomknąć, coś drugim do ucha powiedzieć. I napomknięto i powiedziano. Pan Florjan (zapomniałam jego nazwiska) zaczął bywać w urzędowym charakterze zaszczyconego pozwoleniem ojcowskim kawalera.

Ewusia płakała, największe niegrzeczności robiła panu Florjanowi, nic to nie pomogło. Macocha rozkoszowała się jej płaczem, pan Florjan na zły humor nie zważał, bo miał przed sobą w perspektywie owe sto tysięcy bitych talarów, które stary Kozłowski córce swojej, a matce panny Ewy posagiem wyliczył.

Ciągnęło się to rok, ciągnąć zaczęło i drugi, gdy się nagle panna Ewa opatrzyła, że jednak dziwną jest rzeczą, dlaczego jej z większą natarczywością nie przymuszają do spełnienia woli rodzicielskiej; macocha przecież dość była biegłą w wyszukiwaniu przymusowych środków. Od podejrzenia do podejrzenia, od domysłu do domysłu na ślad prawdy wpadła. Trzeba się było przekonać, ale pierwej jeszcze trzeba było ze strony pana Jana się zabezpieczyć; widywali go czasem w towarzystwach, a kiedyniekiedy ukradkiem w chałupie wiejskiej, lub przy parkanie ogrodowym; gdy się raz tak zeszli na umówionem miejscu, wspomniała mu o swoim odkryciu i surowo zaleciła, aby zupełnie był spokojnym, choćby od najwiarogodniejszych świadków usłyszał, że ona, Ewa Siewierska po zaręczynach z panem Florjanem.

Istotnie z wielką odwagą rozpoczęła grę dosyć nie-

pewną. Wszystkim znajomym, a w końcu i panu Florjanowi powiedziała, że gotowa jest pójść nietylko za starego dziada z pod kościoła, ale nawet za samego pana Florjana, byle się od macochy uwolnić. Pan Florjan, poprzestając na tem uczuciu, dopominał się, żeby zaręczyny natychmiast odbyć, a dzień ślubu oznaczyć. Siekierscy się przelękli takiego pośpiechu, przelękli jeszcze bardziej, gdy przez Ewę podmawiany pan Florjan zażądał pewnych układów co do majątku i co do kosztowności przez zmarłą matkę pozostawionych. Wynajdywali coraz to nowe powody do zwłok, mitręgi; tymczasem pan Jan z boku przez wspólnych znajomych nasać kazał chorążemu, że z nim daleko łatwiej przyśłyby rachunki; gdyby na jego wolę ten interes zdano, wyrzekłby się wszelkiej do posagu pretensji. Panna Ewa tylko oparła się jego zbyt krewkiej szlachetności.

— Nie wyrzekaj się; dosyć na teraz, że wymagać nie będziesz.

Co do głównego celu, rada okazała się skuteczną.

Chorąży z dwojga złego wybierając, wołał już córkę za Kalińskiego wydać, bez oznaczonego terminu jakiegokolwiek wypłaty, niż za pana Florjana z nieuniknionym procesem. Proces dopiero znacznie później po śmierci chorążego się rozpoczął. Sancita konfederatów targowickich na stronę chorążyny go rozstrzygnęły. W dziewięćdziesiątym czwartym roku wznowiony i niepopierany pod sądami pruskimi, przy stosunkach ówczesnych męża Karolci i Walusia Siekierskich zagmatwał się i dostarczył materiału na tak długie szykany, że jeszcze na pensji u pani Wilczyńskiej mogłam sobie roić o tych sumach bajońskich, które z wygraną na mnie i na Józia spłynąć miały.

Tymczasem państwo Kalińscy bardzo szczęśliwie

z sobą żyli, na zasadzie dopełniających się różnic i przeciwieństw. Dziwna rzecz, jak w zupełnie tych samych napozór warunkach, dwa zupełnie odrębne wyrobiły się typy. Nasz poczciwy dziadunio pod katowską ręką swego ojca stracił hart ducha, męską siłę charakteru; na wolności rozweselił się, z dzieciństwa jednak nie wyrósł, dzieckiem moralnie był aż do śmierci swojej; ucisk doznany rozbudził w nim nieograniczoną chęć używania, lecz obok tego wstręt do wzajemnego słabszych i podwładnych ucisku. Im okrutniejszym był dla niego ojciec, tem on litościwszym był dla wszystkich. Każdem wrażeniem, upodobaniem i postępkiem stanowił żywy kontrast ze swoim poprzednikiem.

Babunia, także od szóstego roku swego życia przez macochę dręczona, powinna była zbrzydzić sobie te wady, które wszystkich krzywd jej młodości stały się przyczyną; a jednak pomimo prawej i silniejszej daleko niż u dziadka natury, bardzo wiele z nich przejęła. Nie byłaby, zaiste, na cudze dobro czyhała, nie wydarłaby nikomu jego dobrej sławy, nie zagrabiłaby jego majątku, ale wśród niekochających rozwinęła w sobie pewien obronny zrazu, zaczepny w dalszym ciągu życia egoizm; nikt o niej nie myślał, więc przywykła ciągle sama o sobie myśleć — wygody swej, przyjemności, korzyści nie byłaby się wyrzekła dla nikogo w świecie; były to rzeczy, które jej nigdy do głowy nie przychodziły. Za wszelkie dobro, którego innym nie zrobiła, trudno ją było do odpowiedzialności pociągnąć — ot poprostu nie wiedziała, nie miała na to pojęcia; gorszem to było, że jej nieświadome samolubstwo bardzo często objawiało się w formie od macochy żywcem zapożyczonej. Spokojniejszy niby miała układ, większą powagę zewnętrzną, lecz niech się tylko zniecierpliwiła, rozdała, wnet jej do ust cisnęły się te

same wyrażenia, któremi niegdyś chorążyna względem niej tak szczodłą była. W gniewie też same ruchy, takąż samą popędliwość znaczyły. Miała nawet do pewnego stopnia skąpstwo i chciwość chorążyny; tylko skąpstwo babuni ograniczało się na żałowaniu wszystkiego, czy to chleba, czy szpilki dla tych, których nie lubiła, chciwość zaś była tylko nadzwyczaj czujną skrzętnością. Czynna, pracowita, ster rządu z leniwych rąk swego męża pochwywszy, przez lat czterdzieści przeszło nie wypuściła go ani na chwilę; objeżdżała folwarki, rozporządzała pańszczyzną, kupowała, sprzedawała, zawierała kontrakty; cały nawał interesów, cały byt rodzinny na jej głowie się opierał. Nie była to może bardzo uzdolniona, bardzo genjalna głowa, ale był charakter aż do uporu wytrzymały i była wola aż do szkodliwej czasem niezmienności silna. Przy swoim stalowem usposobieniu, miewała jednak babunia różne nieprzewidziane i nieubłagane, jak fatum dziwactwa; uprzedzała się do ludzi, uprzedzała do własnych dzieci; od pierwszej chwili urodzenia, nim się jej biedne niemowlę czemkolwiek naprzykrzyć mogło, już jedno więcej niż drugie kochała. Jedno w kolebce przy jej łóżku ciągle sypiało, drugie odrazu kazała wynosić do garderoby: jedno stroiła w piękne haftowane sukienki, drugie w grube perkaliki i płócienka domowego wyrobu; jednemu podsuwała przysmaczki i łakocie, drugie karmiła grubą z izby czeladnej strawą; ani przed sobą, ani przed innymi ludźmi, ani pewnie przed Panem Bogiem na spowiedzi nie czuła się w obowiązku usprawiedliwienia tego postępowania: tak było, bo tak było. Aż do odwagi cywilnej posuwała nieustępliwość we wszelkich swoich zwyczajach, pomysłach, rozporządzeniach.

Raz się zdarzyło, że w Mielinku przypadł nocleg księciu prymasowi Poniatowskiemu, gdy właśnie szkoły kra-

jowe objeżdżał. Całą tak zwaną drugą stronę urządzono na jego przyjęcie; sypialnię tam, gdzie my później z matką sypialiśmy, a że to był pokój najcichszy, najspokojniejszy w całym domu, więc babunia kazała tam ustawić w jednym kącie, na dwóch drewnianych koziołkach, dość sporą baryłkę wiśniaku. Już to babunia słynęła z zaprawy różnych swoich nalewek, ale wiśniak za koronę tych arcydzieł uchodził. Wiele na tem zależało podobno, by się wystał i broń Boże nie zmaćcił.

Dziadunio koniecznie chciał go usunąć z apartamentów księcia prymasa, babunia ani wspomnieć sobie nie dała:

— Cóż to znowu, to on z partesu zstąpił i nie wie o tem, że wiśniaku przed wyrobieniem się z miejsca ruszyć nie można? Przykryję go nowym kilimkiem, to będzie nawet bardzo ładnie wyglądało.

Pomimo kilimka, niestety, wyglądało to wcale a wcale nieładnie; mąż namawiał, prosił, perswadował, nic nie pomogło; dopiero gdy już po drodze przedewsią rozstawione widety znać dały, że księżę prymas już jedzie, a pani domu strojeniem się na jego powitanie zajęta była, dziadunio wezwał starszych chłopaków na pomoc i cichaczem przez przykomórek wyniósł do ogrodu baryłkę, koziołki i kilimek razem. Żona mu tego przebaczyć nie mogła i nigdy już w życiu drugiego wiśniaku nie nastawiła.

— Kiedy sobie mojego zachodu nie cenicie, to się bez niego obejdzie.

Innym znów razem miała wystąpić w charakterze gospodyni na jakimś balu, który okoliczne obywatelstwo wydawało dla Eugenjusza Beauharnais, w Płocku podówczas konsystującego. Babunia nasza ani jednego słowa po

francusku nie umiała. Radzono jej, żeby się nauczyła kilku wyrazów witających i dworskiego ukłonu.

— Jeszcze też co? — wykrzyknęła z oburzeniem. — Jak pojedę do jego kraju, to będę z nim po francusku gadała, a że on tu do mego kraju przyjechał, to niech mnie po polsku wysłucha. Kłaniać się też po dworsku, czy nie po dworsku, w moim wieku nie będę się uczyła. On młokos, a ja stara, jemu więc wypada o ukłonach myśleć.

Rzeczywiście też w rządzie innych pań stojąc przeddrzwiami, któremi wszedł ukochany pasierb wielkiego Napoleona, trzymała się prosto, sztywno i wystąpiła z polską do niego przemową:

— Miło nam jest przyjmować tak zacnego gościa i t. d., i t. d.

Książę Eugenjusz uśmiechnął się i z grzecznem skinnieniem głowy:

— *Merci* — odpowiedział.

Od Płocka do Kutna, od Kutna do Warszawy powtarzano sobie różne o tem spotkaniu dwóch potęg historje.

O, bo co prawda, to prawda, babunia była w swoim rodzaju znakomitą potęgą, naprzód dlatego, że robiła zawsze to, co chciała, a potem że w najbliższem kółku wszyscy inni także to, co chciała, robili. Dziadek w Ewusię wierzył daleko więcej, niż w dziesięcioro przykazań Bożych i pięć kościelnych, Ewusi słuchał potulniej, niż swego ojca niegdyś z marszem na czole i ręką do plag wzniesioną, Ewusię zdradzał często, ale szanował zawsze, Ewusi nawet bał się, jak student księdza prefekta, a jednak rzecz osobliwsza, ta Ewusia kochała swego zawojowanego Jasieńka, jak nigdy żony zawojowanych przez siebie mężów nie kochają. Może to było skutkiem wrodzonego jej naturze uporu, może skutkiem mniejszych

moralnych serca kobiecego wymagań: nie była zazdrosną. Jasieńko uchodził za sławnego w swoim otoczeniu bałamuta; w jej mniemaniu było to rzeczą tak nieodłączną od jego stanu męskiego, jak ubiór, jak buty ze sztylpami, albo frak i kamizelka. Dla dzieci była nierównie ostrzejszą, niż dla męża, a miała ich siedmioro. Najstarszy syn, Janem po ojcu zwany, najstarsza córka Benisia, a potem najmłodsza nasza matka, więcej od innych uprzywilejowane były; ciotki Joanny i Tomasza wcale nie lubiła, a Antoniego i Kazimierza jak się zdarzyło. Cała ta gromadka mimo niesprawiedliwych wyróżnień, bardzo się między sobą kochała. Ulubieńcy często na siebie winy brali nieulubieńców; wzajemna pomoc, wzajemna obrona w dojrzałe lata się przeciągnęła. Tymczasem jedni za siebie, drudzy za innych, wszyscy oni bali się matki, jak ognia. Ojciec był ich tarczą i osłoną; wzywali pomocy ojca, żeby przed matką ukryć drobne szkody, drobne przestępstwa i wcale niedrobne, bo czasem na swawolę zakrawające figle. Łatwo to się udawało; dozór, choć surowy, ani pilnym, ani ciągłym nie był; babunia obchodziła stodoły, pola i łąki, wyjeżdżała do miasta za interesami sądowymi i podatkowymi; dzieci wtedy, zwłaszcza jeśli ojciec z nimi pozostał, dokazywały jak myszy, kiedy kota nie czują w domu. O naukę rodzice niewiele dbali, że to był jednak czas ogólnego w narodzie rozbudzenia, że wymagania były na porządku dziennym, że zamiłowanie oświaty jak planeta nad całą Europą ciągnęło, więc i państwo Kalińscy chłopców do szkół pijarskich oddali, a dla dziewcząt jakąś Francuzkę guwernantkę przyjęli. Chłopcy najlepiej wyuczyli się w szkołach tego, o czym, jak się już wspomniało, dziadunio bardzo pięknie rozprawać umiał; lecz dziadunio, przy dość burzliwych zasadach i opinjach, nadzwyczaj pogodny do

śmierci wiódł życie, ach! tak pogodne, że dla zrównoważenia pewnie zawierucha po świecie trzech jego synów rozwiała. Jan, najstarszy, w 1791 roku do wojska się zaciągnął; we dwa lata za jego przykładem Tomasz podążył. Gdy ich dwóch losy po Wołoszczyźnie i Włoszech nosiły, Antoni z wielką tęsknotą rady sobie dać nie mógł i niespodzianie ze szkół zniknął bez wieści; dopiero w kilka lat później wynurzyło się jego nazwisko w jakimś biuletynie z pod Jeny. Kazimierz na własne usilne żądanie został do szkoły politechnicznej oddanym. Po trzech latach i po złożeniu egzaminów w stopniu oficera, i on w świat szeroki ruszył. Szczęściem, wujowie moi nie odziedziczyli trwożliwego po ojcu usposobienia. W owej bohaterskiej epoce trudno, zaiste, było męstwem się odznaczyć, a jednak wszyscy czterej odznaczyli się i miłość kolegów, a szacunek dowódców swoich zyskali.

Jakoś mi serce żywiej bije, gdy piszę te słowa. Śmiešnością może jest wielką pysznić się z czynów ludzi, których nie znałam, którzy przed mojem urodzeniem pomarli, a jednak nie mogę się rozstać z pewnem uczuciem dumy rodzinnej. Wujowie byli zawsze moją arystokracją; dziś jeszcze za coś gorszego, no, nie gorszego, lecz za coś uboższego poczytuję wszystkie współczesne moje, które takich ojców i takich wujów jak ja nie miały.

I Mielinek opustoszał bardzo, gdy go młodzi panicze opuścili. Dziadunio tak lubił w ich gronie zajeżdzać na kuligi, bale, imieniny! Na pociechę dwie córki, już dorosłe, ściągały trochę okolicznej młodzieży. Ciotka Benisia daleko była od ciotki Joanny piękniejszą, dziwili się też wszyscy, dlaczego w towarzystwie mniejsze miała powodzenie, a to dlatego, że Benisia była smutną.

Od chwili wydalenia się dwóch starszych braci, nigdy już pierwotnej swobody umysłu nie odzyskała. Ciotka

Rózia sądziła zrazu, że to z tęsknoty za braćmi pochodziło.

— Ale nie — dodawała potem — tego wszystkiego jej podróż do Warszawy w 94 roku narobiła. Nieszczęście mieć chciało, że kędyś na Bednarskiej ulicy tuż ku Wiśle państwo Kalińscy mieszkanie najeli. Powiadają, że przez rzekę można było widzieć wszystko, co się na drugim brzegu dzieje, a działa się okropności, to już rzecz wiadoma. Między zgromadzonym tłumem patrzących nietylko słabym kobietom, ale i mężczyznom jak dęby rozrosłym serca z bólu pękały — nie według pospolicie używanego wyrażenia, ale pękały rzeczywiście na śmierć, jak gdyby je kula nieprzyjacielska ugodziła. Naszej Benisi serce wprawdzie odrazu nie pękło, dostała tylko okropnych spazmów, jak to nazywano wówczas, gdy się kto od śmiechu, płaczu i krzyku powstrzymać nie mógł.

Odtąd już ciągle chodziła jak nieswoja, blada, trochę niby kwiat złamany pochyłona, z podsiniałemi oczami; nie mogła ani dawnej cery, ani dawnego humoru odzyskać; daremnie się wymawiała, rodzice chcąc ją rozewać, spraszali gości, wozili ją po zabawach, a ją to wszystko męczyło. O Joasię zaczynał się wtedy starać pan Dobrzycki, młody, bardzo przystojny prawnik z Warszawy, stąd częstsze niż kiedykolwiek tańce, przejażdżki, aż tu raz u jednego, gdy późno w nocy do domu wracano sankami, sanki się nagle o kamień rozbiły i trzeba było do pierwszej wioski spory kawałek iść po śniegu piechotą. Obie siostry równie ciepło były ubrane, Joasi nic to nie zaszkodziło, ale Benisia zaraz nazajutrz gorączki dostała; nikt się tem nie przeraził i ona sama ręczyła, że byle przespać się mogła, to jej nazajutrz zupełnie dobrze już będzie. O doktorów wówczas nie było tak łatwo na prowincji; zaziębienia, katary, febry leczono zwykle domo-

wemi środkami, i Benisi też przyniosła matka do łóżka duży kubek winnej polewki tęgiej i korzennej; chora wstręt do niej miała ogromny, jak dziecko ze łzami w oczach prosiła, żeby ją od tego lekarstwa uwolnić, ja sama wstawiałam się za nią, lecz ktoby tam był wyper-swadował co pani Kalińskiej, kiedy raz sobie powiedziała, że tak zrobić trzeba; biedna Benisia musiała duszkiem cały kubek wychylić, nie zdążyła już oddać go matce, bo z rąk jej upadł i na podłogę się stoczył, chora zaś nagle serdecznego śmiechu dostała tak, jak w Warszawie; przeraźliwym głosem krzyknęła kilka razy:

— Widzę! widzę!

Oczy jej w słup stanęły, ciało się wyprężyło, usta rozwarły i zamilkła na wieki.

My, stojące przy niej, aniśmy przypuszczały nawet, by się tak prędko z życia do śmierci przeniosła; zaczęłyśmy wołać ratunku, zbiegł się dwór cały, ojciec i siostry strwożone zaczęły ciało rozcierać, wodą i olejkami najtęższemi skrapiać — juścić że nie pomogło, ja pierwsza zdobyłam się na odwagę i półgłosem szepnęłam:

— Umarła.

Matka gniewnie spojrziała na mnie odepchnęła mnie od łóżka i wyrwawszy z rąk mych flaszkę z wódką kolońską, chciała skronie leżącej zmaczać, ale jakoś, gdy się tej głowy bezwładnej dotknęła, zimny dreszcz nawskróś ją przejął, opuściła ręce i ten sam gniewny, a nawpół już błędny wzrok na mnie zwróciwszy:

— Tak jest, umarła! — zawołała tonem rozpaczliwego wyrzutu, jak gdyby czy mnie, czy córkę, czy Pana Boga o to nieszczęście winiła; jednocześnie odwróciła się śpiesznie, zaczęła biedz tak szybko, jakby coś za nią goniło; pan Jan, splakany, przerażony, podążył w jej ślady, lecz ją dopiero kędyś w końcu ogrodu dopędził.

Widok Jasieńka łkającego i załamującego ręce oprzytomnił ją zupełnie, podała mu ramię, on wsparł się na niem, ani myśląc o tem, że jemu raczej należało być żony podporą. Wrócili tak razem do dworu.

— Zajmij się pogrzebem — rzekła pani Kalińska, gdy już przed sienią stanęli, i puściła go wolno, a sama, zamknawszy się w przykomórku, już ani razu od tej chwili do pokoju córek nie wróciła.

Przez dwa dni, póki zmarła z twarzą odkrytą, jak do ślubu przybrana, między kwiatami na katafalku stała, pani Kalińska nie wychyliła się ze swojej kryjówki, dopiero gdy już wieko trumny przybito, ukazała się zmieniona bardzo, ale spokojna i w tej samej sukni, którą miała na sobie, gdy ową zabójczą polewkę Benisi przyniosła. Widać że wcale od tego czasu się nie rozbierała; chciałam ją przestrzedz, bo gości pełne były pokoje, a jej suknia zmięta, jasna i zapyłona.

— Możebyśmy przeszły kredensem do garderoby, ażeby jejmość czarny tołubek włożyła? — zapytałam pochichu.

— Co waćpannie do tego — obruszyła się na mnie i tak jak stała, tak poszła za karawanem do kościoła. Nie pozwałała nawet mężowi cieplejszem futerkiem się przyodziać. Zdawać się mogło, że umyślnie choroby szuka, bo daj czy i nie śmierci, ale kiedy też to choroba na zawołanie, a śmierć w porę komu przyszła!...

Pani Kalińska ze dwa tygodnie prawie nie jadła, prawie nie sypiała; z drugiego pokoju słyszeliśmy z Joasią, jak po całych nocach chodziła od okna do drzwi naszych do okna, i ledwo o świtanie na parę godzin się kładła, wreszcie zaczęła kłaść się coraz wcześniej i uspokoiła się trochę.

Nie wiem, za co do mnie ciągle jakby żal czuła głę-

boki; jeżeli przysłałam po jakie rozporządzenie, odpowiadała mi krótko, niecierpliwie, albo też nic wcale nie mówiła. Trwało to przeszło pół roku. Już na serjo myślałam, by się do siostry mojej przenieść, tylko że pan Jan ledwie nie płakał, gdy mu o tem wspomniałam. Zwolna też niełaska pani Janowej zlagodniała.

Jednego dnia, kiedyśmy same zostały w jej sypialnym pokoju, najniespodzianie pierwsza się do mnie odezwała:

— Jestem pewna, że gdyby Benisia tak się nie otrząsała na polewkę i ze smakiem ją wypła, toby jej pomogła niezawodnie; ale jak raz się poddała swemu obrzydzeniu, tak już nie zebrała dość silnej woli, żeby się z niego otrząsnąć, a ty jeszcze, Różańsiu, utwierdziłaś ją w tem dziwactwie.

Ja utwierdzałam ją w dziwactwie! miły Boże! Ale co tu się było tłumaczyć! Jeśli takie wyobrażenia mogły nieszczęśliwą matkę pocieszyć — tem lepiej.

Nie pisnęłam ani słówka, choć się rzewnymi łzami rozplakałam, uścisnęłam tylko jej kolana, a ona, niby na przebaczenie, głowę mi ręką pogłaskała. Ze mną, dzięki Bogu, dobrze się jednak skończyło, ale Joasia miała prawdziwy krzyż do zniesienia. Ile razy jej narzeczony przyjechał, tyle razy nie minęły jej wyrzuty za to, że jej same romanse w głowie, choć powinnyby mieć w tym czasie przynajmniej poważniejsze myśli — byle jej dobrze było na świecie, na nic i na nikogo nie zważa. Tak jej pilno z domu wylecieć, że ślubby wzięła, choćby w kaplicy na cmentarzu.

— Matka nie może mi darować, że ja zamiast Benisi nie umarłam — mawiała do mnie ze łzami w oczach Joasia; lecz to nie było płaczliwe i łatwe do ugięcia się pod niesprawiedliwość stworzenia, z tego względu więcej niż inne rodzeństwo do matki podobną była. Przeko-

nawszy się tedy, że rozdrażnienie tej ostatniej wzmacniać się przeciw niej, a nie słabnąć zdaje, wręcz oświadczyła, że istotnie dla własnego i dla matki dobra coprędzej Mielinek opuścić pragnie. Że zaś pan Dobrzycki przybył tam właśnie na zwykłe odwiedziny, Joasia wraz z nim ułożyła, aby ślub odbył się natychmiast, cicho, bez weselnych godów, bez czekania na dokończenie wyprawy, na urządzenie ostateczne domu pana młodego — i tak się stało.

Nazajutrz po tej rozmowie, narzeczony poczynił stosowne kroki i z indultem w kieszeni, a Joasią przy boku, stanął przed jej rodzicami o błogosławieństwo prosić. Pan Jan był ogromnie tą niespodzianką zmartwiony. — Jakto? więc on, pierwsze dziecko swoje w małżeński związek oddając, nie wystąpi z głośnem na całe sąsiedztwo przyjęciem, nie spełni za pomyślność nowożeńców toastu, nie wytańczy się na weselu?... Trudno mu było pogodzić się z tą myślą — musiał jednak, bo Joasia była stanowczą, a pani Kalińska nieprzeciwną. Zamówiono księdza proboszcza na wczesną popołudniową godzinę. Panna młoda włożyła białą muślinową, niedzielną swoją sukienkę i drobny, ledwo że znaczny, przy jej ciemnych włosach, wianeczek mirtowy na głowę.

Przynajmniej — rzekła do mnie — mama nie będzie zazdrościła, żem się piękniej od Benisi ubrała.

Do kościoła poszliśmy wszyscy razem piechotą.

— No, wyobraź sobie, moje dziecko — dodawała w tem miejscu ciotka Różia — toć to ja druhną być musiałam obok Tekluni! Pięćdziesięcioletnia panna i dwunastoletnia dziewczynka — aster przy pierwiosnku... Bądźcobądź, było komu pana Dobrzyckiego przez kościół przeprowadzić, ale Joasia szła sama, niktby z jej twarzy nie odgadł, czy to jest dla niej wielką przykrością,

czy najzwyczajniejszym zdarzeniem. Ślub się odbył bez świadków prawie; czas był roboczy, godzina zwykle najzwyczajniejszą pracą zajęta, więc i przez otwarte drzwi kościoła ledwo parę dziadów, kilka bab i trochę dzieci się zebrało.

Wszystko to na mnie przykre wrażenie robiło, wszystko jak zła wróżba wyglądało, a przecież, Bogu dziękować, państwu mecenasostwu dobrze się powodzi i szczęśliwie z sobą żyją; prawda, że dzieci nie mają, lecz kto tam zgadnie, czy mu dzieci na pociechę, czy na zmartwienie się rodzą; najmądrzej w żadne wróżby nie wierzyć. Gdyśmy do dworu ze ślubu wrócili, zastaliśmy już kocyk pana Dobrzyckiego zaprzężony, upakowany i do ruszenia w drogę gotowy. Nowożeńcy weszli do pokoju, żeby ostatnie rodzicom złożyć pożegnanie. Najpierw oboje do nóg matce się rzucili, dziękując i przepraszając.

— Mamo — rzekła Joasia poraz pierwszy w tych zajęciach drżącym i wzruszonym głosem — niech mi mama przebaczy, że jej zastąpić nie potrafiłam... — imię Benisi, stłumione łkaniem głębokim, ust jej nie mogło przestąpić, ale matka je odgadła. Na chwilę rozrzewnienie jakieś odbiło się w rysach jej twarzy, łza w oku błysnęła, przytuliła klęczącą Joasię do serca, pocałowała ją w czoło i nagle zerwała się, pobiegła do kantorka, wyciągnęła zeń jakieś spore aksamitne pudełeczko.

— Na! weź, — rzekła, zmuszając się niejako do zwykłej swojej szorstkości — weź, to ci się z prawa należy.

W pudełeczku były kolczyki, naszyjnik i branzoletki, które sama w dzień ślubu od pana Jana dostała.

Chcieli potem państwo młodzi równie uroczyście z ojcem się pożegnać, ale pan Jan czuł chyba, że jakoś dziwnie będzie wyglądał przed dwojgiem do nóg jego schylających się, wyższych wzrostem i poważniejszych

całym układem osób. Nie dopuścił więc tego przeciwnictwa, rzucił się na szyję córce, wyściskał zięcia i przyrzekł rzeczy wyprawne tudzież sumę posagową Joasi do Warszawy niezadługo przywieźć. Przyrzekł i dotrzymał słowa. Niemcy wtedy tak ułatwili zaciąganie pożyczek, że tylko wspomnieć o zamiarze i swój podpis na papierze położyć, wnet pieniądze jak woda płynęły. Pan Jan byłby mógł ze swoich wiosek przeszło trzydzieści tysięcy gotówki bez kłopotu zebrać.

Urodzaje były piękne, zboże wysoko płaciło, lecz na dobrą cenę licząc, właśnie pani Janowa zdecydowała, że lepiej wyjdą, jeżeli odrazu całe pięćdziesiąt tysięcy na niski procent wezmą, a po sprzedaniu zbiorów tego i przyszłorocznych dług spłacą. Wyrachowanie zawiodło. Zboże i pszenicę sprzedawało się częściami, pieniądze w rękę państwa topniały, dług długiem pozostał, nagle wypowiedziano sumę, straciło się więcej, niż była warta, ale Joasia przynajmniej część swoją odebrała w całości. Przechody wojsk, liwerunki, nieurodzaje podkopały do reszty znaczny niegdyś majątek Kalińskich. Niepokój o los wszystkich synów, głuche wieści, że ten zginął, tamten ranny, a inny znów do niewoli wzięty, zachwiały nawet energją naszej babuni. Szło coraz gorzej, coraz gorzej, aż gdy nakoniec wuj Kazimierz powrócił, zastał już tylko Mielinek trochę obdłużony w rękę rodziców, ojca bardzo podupadłego na siłach, matkę długie odmawiającą pacierze w tych godzinach, które niegdyś nadzorowi gospodarskiemu poświęcała. Trzeba wiedzieć, że babunia nasza pod sterem macochy nie rozwinęła w sobie bardzo religijnego usposobienia. Lubiła chodzić do kościoła, bo to było dla niej jedyną rekreacją, jedynym w ciągu tygodnia wypoczynkiem. Spowiadała się dla dopełnienia zwyczaju i naturalnie przed pójściem do spowiedzi musiała

trochę katechizmu się nauczyć; wszystko to jednak było jej zupełnie obojętnem, wszystko tak do życia najcieńszą niteczką nieprzywiązującem, jak turecki alkoran, lub talmud żydowski. Poszedłszy zamąż, nasłuchiwała się od swego Jasieńka i od jego znajomych różnych żartów, różnych dowodzeń, jak to ich wówczas mirjadami po powietrzu wirowało. Im grubiej ociosane, im dosadniejsze właśnie, tem łatwiej do jej przekonania trafiały. Pani Kalińska uchodziła w towarzystwie za tęgiego ducha, *esprit fort* co się zowie, za kobietę bez przesądów i bez zabobonów; że zaś jej prowadzeniu nic do zarzucenia nie było, wielu mężów na piątkowe i sobotnie posty skazanych bardzo jej panu Janowi zazdrościło.

Gdy przyszło jednak urzędowe o śmierci trzech synów zawiadomienie, naraz zmieniła się zupełnie, to jest nie zmieniła się w moralnem tego słowa znaczeniu, nie stała się ani lepszą, ani pokorniejszą, ani wyrozumialszą dla drugich, lecz zaczęła pościć i modlić się bezprześcannie.

— Biedna kobiecina — mówił nieraz wuj Dobrzycki, najwierniejszy Voltaira i Helwecjusza zwolennik — zdaje się jej, że Pan Bóg czworga dzieci ją pozbawił dlatego, bo Mu nie dziękowała za nie; teraz Go ciągle prosi i bo-daj że ma nadzieję ich zwrotu się doprosić.

Dziadek nasz i tej pociechy nie umiał sobie przyswoić. Rozrywał się jak mógł po dawnemu, ale rozrywki męczyły go i wkońcu dwa mu tylko upodobania na osłodę trosk wszelkich zostały: dobra kuchnia i dobre wino. Jedno z drugim śmierć przyśpieszyło, ale przynajmniej śmierć łatwą i niebolesną, śmierć najodpowiedniejszą temu lekkiemu, bez pożytku, ale i bez szkody dla drugich życiu. Po kapuście napił się wina, zaziębił trochę, dostał zapalenia kiszek, wnet sparaliżowanie nastą-

pilo i po dniach kilku, sam nic o tem nie wiedząc, ze światem, coraz więcej koło niego poważniejącym, rozstał się na wieki wieków.

— A co się działo przez cały ten czas z Teklunią, z matką naszą?

Jej wspomnienia miały być kiedyś ukojeniem wielu smutków, wielu ciężkich choć dziecinnych zmartwień biednej sierotki, która tak się czuła opuszczoną i zaniebana, że gdyby jej poczciwa ciotka Różia nie przeniosła czasem w minione lata i wśród wskrzeszonych jej słowem zmarłych nie stawiała, to ona, sierotka, w nienawiści, kłamstwie i zazdrości bardzo koszlawoby się rozwinęła. Co więc później o matce słyszałam, to i później napiszę dopiero.

Większa część zebranych tutaj podań rodzinnych pierwszej daleko, bo już w Mielinku mi się dostała. Z początkiem ich łączy się pamięć ważnego dla mnie, osobliwego, nieznanego do tej chwili zdarzenia, najpierwszej w życiu pokuty. Śliczny kantorek babuni stał się tego nieszczęścia powodem.

Gdy się nasłuchiwałam różnych bajek o cudownych skrzyniach, o lampach Aladyna, przyszło mi na myśl, że i ten mebel starożytny, skrytkami napelniony, musi w sobie coś nadzwyczajnego zawierać. Może nawet bez wiedzy babuni znajduje się tam jakie miejsce tajemnicze, w którym czarnoksiężnik jaki pod słowem zaklęcia nagromadził pełno skarbów, djamentów, zabawek. Tak mi się tem głowa nabiła, że gdy mi się czegokolwiek zachciało, to zaraz myślałam: „w kantorku i to być musi“! Miałam już tyle sprytu, że się przed nikim, nawet przed Marcyną nie zdradziłam z moich przypuszczeń. Raz jednak zachciało mi się bardzo niebieskiej ze srebrem sukienki dla mojej lalki. Niebieska ze srebrem na portrecie

albowiem stała się ideałem wszystkich moich toaletowych pożądań. Wsunęłam się do pokoju babuni, kiedy tam nikogo nie było, i stanąwszy przed kantorkiem, zaczęłam paluszkami brzozy po brzożach naciskać, a jednocześnie różne cudaczne łączyć z sobą sylaby, w nadziei, że gdy szczęśliwie trafię na właściwy ich układ i gdy właściwej niewidzialnej sprężyny się dotknę, to nagle kantorek stanie otworem, szeroko, szeroko, od jednej do drugiej ściany, a w jego wnętrzu ukażą się stosy jedwabów, aksamitek, tiulów, wstążek i nadewszystko ukaże się półka cała, zapchana sztukami niebieskiej ze srebrem materji...

Ale cóż, trudny warunek! Trzeba znaleźć koniecznie sprężynę i słowo zaklęcia! a może właśnie u wierzchu nie u dołu szukać trzeba? Tak wysoko nie mogłam dostać; przysunęłam sobie krzesło, jeszcze mi było za nisko, postawiłam na krześle podnózek babuni, i z wielką radością dosięgnęłam szczytu nakoniec. Opukując świecące arabeski, raz po raz próbowałam, czy się już drzwiczki nie otwierają. W takiej chwili właśnie zaszła mnie babunia.

— A to co? — zawołała tak głośno i surowo, że ledwo z mego rusztowania nie spadła. — Czego tu panna szukasz? To brzydko, bardzo brzydko do cudzych kantorków otwierać.

Babunia moje fantazje ze wschodnich powieści przesadzała na grunt aż nadto poziomej rzeczywistości; bodaj czy mnie o coś gorszego, niż o prostą ciekawość nie posądzała nawet.

— Przyznaj mi się zaraz, czegoś stąd chciała? — powtórzyła kilkakrotnie.

Ja nic nie odpowiedziałam, tylko zaczerwieniona, bliska płaczu, bez ruchu, stałam na podnóżku, który wraz

z krzesłem i posadzką chwiać się zdawał pod memi nogami. Cóż ja bo mogłam odpowiedzieć na zapytanie babuni? Do ust mi się cisnęło, że chciałam niebieskiej ze srebrem materji, ale pierwej musiałabym przecież objaśnić, wytłumaczyć, a ja właśnie przed babunią z niczego wytłumaczyć się nie umiałam. Dziś mogę dodać, że byłoby to rzeczą zupełnie bezużyteczną. Babunia nie byłaby mi uwierzyła, a najpierw nie byłaby i rozumiała. Zniecierpliwiona milczeniem, wzięła mnie tedy pod pachy, zsadziła na ziemię i raz jeszcze tupnąwszy nogą, krzyknęła:

— Przyznaj się!

Ten groźny wyraz, którego raz tylko w mojej obecności mama do Józia użyła, gdy tenże cisnął kamieniem, a trudno było rozsądzić, czy za psem goniącym syna pachciarzowego, czy za samym właśnie synem pachciarzowym od psa uciekającym, ten wyraz mówię doreszty wszelką przytomność mi odebrał. Przypomniałam sobie, że Józio powiedział wreszcie:

— Tak jest, mamó — a mama pytać go przestała, choć długą chwilę jeszcze potem wiodła z nim rozmowę.

Zdawało mi się, że równie tanim kosztem wybrnę z kłopotu, rzekłam więc prędko i śmiało:

— Tak jest, babuniu...

Lecz babunia wcale się moją odpowiedzią nie zadowolniła; nazwała mnie upartą, niegodziwą dziewczuchą i silnie schwywszy mą rękę, pociągnęła za sobą do stołowego pokoju.

— Stój mi tutaj — mówiła, pakując mię do kąta, przez wielki czarny kredens i ścianę utworzonego. — Stój, póki się nie namyślisz bez wykrętów żadnych powiedzieć mi, czego to chciałaś z mojego kantorka.

Naprzeciwno zaraz wisiał portret pradziadka i tak

strasznie patrzył na mnie, jak gdyby w tejże chwili miał z ram swoich wyskoczyć i tą karabelą swoją głowę mi uciąć.

— Babuniu! — zawołałam drżącym i od wzbierającego płaczu niewyraźnym głosem — moja babuniu kochana, ja chciałam z kantorka niebieskiej ze srebrem materji, ja myślałam, że ją tam czarnoksiężnik gdzie schował — ale babuni już przy mnie nie było.

Odeszła do swego pokoju, a silnem drzwii zatrzaśnięciem spowiedź moją przygłuszyła.

Przez czas jakiś stałam, niby w posążek trwogi i rozpaczcy zamieniona; zmrużyłam powieki, tem większy niepokój mnie ogarnął; pradziadek mógł rzucić na mnie pierwszej nim spojrzę, ucieczka byłaby wtedy niepodobieństwem; prócz tego dziwna jakaś siła przykuwała wzrok mój do jego twarzy: widziałam, że gruba warga pod ogromnemi węsami poruszać, że mięsiste nozdrza rozdymać się zaczynają, słyszałam nawet ich sapanie przyspieszone, mrukliwe, do prychania rozdrażnionego kota podobne — alboż ja wiem? może tam rzeczywiście był kot gdzie w pobliżu, to pewna, że dłużej w towarzystwie pana starosty niepodobna mi było wytrzymać. Przykaz babki, obawa jej gniewu, posłuszeństwo dla starszych, wszystko na bok poszło. Bez krzyku, bez płaczu, z prawdziwą szaloną odwagą tchórzostwa opuściłam miejsce pokuty i cicho, powoli, z oczyma w obraz utkwionemi, zaczęłam ku drzwiom się przysuwać. Jak raz klamki dopadłam, tak jednym pędem nie oparłam się, aż w głębi ciemnej kuchenki, przy stosie złożonego tam drzewa. Czemu nie pobiegłam do matki? tego dziś nie wiem tak, jak i wówczas nie wiedziałam. Instynktem może przeczuwałam, że matka nie zechce lub nie potrafi przeciwko babce mnie bronić; przed babką zaś koniecznie skryć się było

potrzeba. Babka drugi raz wsadziłaby mnie do kąta i samnasam z pradiadkiem zamknęła. Kuchenka na długo była miejscem najbezpieczniejszem. Wkrótce źrenice oswoiły się z ciemnością i rozwidniło mi dokoła; dostrzegłam schodków na górę wiodących; schodki mię zaintrygowały. Czy drzwi od nich zamknięte? Nie. Co za szczęście, dają się otworzyć! Kolumbowa żyłka lekko drgać zaczyna i puszczam się na odkrycie światów nieznanych; wstępuję, wstępuję coraz wyżej, aż się odsłania przedemną obszerna równina strychu, zastawionego mnóstwem pak, kufrów i starych rupieci. Gdy ja to jedno po drugim oglądam, na dole tymczasem spostrzeżono moją nieobecność. Matka najpierw głośno przez okno wołać mię zaczęła, pewną będąc, że gdzie z Marcyną lub ciotką Rózią wybiegłam na dziedziniec, pomimo dość już mocnego zimna. Pokazało się, że ani Marcyna, ani ciotka Różia nie wiedziały, co się z mną dzieje; wnet więc obie z różnych stron nawoływać mnie zaczęły; ja pod strychem nic tego nie słyszałam, ale babka na dole usłyszała zaraz i wyszła, czy z dobrą intencją uwolnienia mnie z pokuty, czy z zamiarem oskarżenia przed matką, dość że wyszła i trochę się zdziwiła, nie zastając mnie na wyznaczonem miejscu kary i poprawy. Dopiero wtedy harmider się zrobił podobno. Babunia całe moje przestępstwo, tak jak się zarysowało w jej umyśle, opowiedziała mamie, mama zdobyła się na tę odwagę, że bardzo żałowała, czemu jej nie wezwano do zbadania tej sprawy; ona przecież zna mię najlepiej, a ja do niej śmielszą jestem, niż do innych; ciotka Różia napomknęła Marcynie, że mnie od siebie puściła, nie spytawszy się nawet, gdzie i poco idę. Marcyna powstała na ciotkę Rózię, że mnie pilnować nie może, bo panna Różańska ciągle za sobą Napolcię wodzi, panna Różańska zbałamuciła Napolcię tak, że jej teraz w po-

koju zatrzymać niepodobna, panna Różańska jedna dziś tylko u Napolci coś znaczy i t. d., i t. d. Sprowadzono wuja Kazimierza do narady. Wuj Kazimierz wzduż i wszecz przebiegł ogród cały, wysłał Piotrusia za bramę drogą ku wsi wiodącą, sam wszystkich w dziedzińcowym obwodzie pracujących wypytał, czy mnie gdzie nie widziano; ale, ma się rozumieć, nikt mię nie widział i nikt też nie mógł zobaczyć. Babunia z laską w ręku, coraz głośniej stukając, dokoła stół okrążała w jadalnym pokoju, matka przed sienią z załamanemi rękoma, blada, bez ciepłego okrycia, raz po raz przywoływała mię jeszcze całą siłą nużącego się już głosu; ciotka Różia z Marcyną zaglądały pod wszystkie łóżka i kanapy, czy gdzie nie zasnęłam przypadkiem; wuj Kazimierz kłął pocichu. Józio płakał głośnie i wraz z innymi kręcił się tu i owdzie.

Nagle sień przebiegając spostrzegł, że drzwi od kuchenki są nieco uchylone, stanął na progu, nic nie widzi zrazu, ale on już nie wątpi, że ja tam być muszę; woła raz i drugi, ciotka Różia mu perswaduje, że przecieżbym do takiej ciemnej jamy z własnej chęci nie weszła; Józio ręczy, że się nigdy ciemności nie bałam i coraz donośniej woła:

— Napolciu! Napolciu! Napolciu!

Właśnie zachwycalam się drewnianą małą karjatydą, od jakiegoś zepsutego mebla oderwaną przed laty, kiedy mnie nagle głos ów tak dobrze znany dosięgnął i z błogiego wyrwał spokoju. Leciuchno, niby myszka, zbiegłam po kilkunastu schodach, ostrożnie jednak na ostatnich się zatrzymałam, i podając się tylko naprzód ku drzwiom niedomkniętym, półgłosem w szparę rzuciłam:

— Józiu, a czy nie ma tam babuni?

Józio zamiast odpowiedzieć, pobiegł do matki, radośnie wykrzykując:

— Jest, jest, mamó! znalazłem ją!

W jednej chwili usłyszałam wielki hałas przyśpieszonych kroków, pomieszanych głosów i nim zdążyłam się zastanowić, co to wszystko znaczyć miało, już mnie matka na rękę do swoich pokojów niosła, wuj Kazimierz Józia po ramieniu klepał, za uszy targał i przepysznego wyżyła w podarunku mu obiecywał. Ciotka Różia z Marcyną ścisnęły się i całowały; stukanie laski w pokoju ucichło, babunia do siebie wróciła. Kiedy różne objawy radości uspokoiły się trochę, gradem na mnie spadło mnóstwo zapytań. Przestraszyłam się znowu i zaczerwieniłam, jak sztettyńskie jabłuszko; wujowi pewno podejrzanem się to zdawało, bo mi palcem na nosie pogroził, chociaż się wcale nie groźnie uśmiechał; dopiero matka przywołała wszystkich do porządku.

— Najpierw chciałabym wiedzieć, moja Napolciu, skąd ci się wzięło dzisiaj bez zawołania i bez pozwolenia iść tak samej do pokoju babuni?

Taka szczerza ciekawość tkwiła w akcencie pytającej, że mnie to odrazu do swobody i otwartości nastroiło; opowiedziałam wszystko od początku do końca: świetne nadzieje, okropne zawody, strachy, ucieczki, przystań ratunku i wytchnienia na strychu odkrytą.

Wuj śmiał się na całe gardło. Gdy skończyłam:

— Tekluniu — rzekł, zwracając się do mamy — czy byłabyś przypuściła nawet, gdy cię po raz pierwszy do kuchenki za samowolne obcięcie włosów prowadzono, czy byłabyś przypuściła, że twoja córka nie stamtąd, lecz tam właśnie uciekać będzie? Trzeba przyznać, że osobliwe wybrała sobie miejsce, prawdziwie miejsce smutnej pamięci dla nas wszystkich siedmiorga z kolei.

— A jednak dzieci mają bardzo sprawiedliwe prze-
czucia — zauważyła ciotka Rózia; — jużćie Bogiem
a prawdą, ja sama wolałabym była nietylko w ciemnej
kuchence, ale i w najciemniejszym lochu być zamkniętą,
niż z tym szkaradnym portretem pana starosty sam na
sam się zostać, zwłaszcza, gdy człowiekowi czasem na-
gadano o nim takich historyj, że aż włosy na głowie po-
wstawały.

— Jakto, ciocu, włosy ci powstawały na głowie? —
zapytałam ciekawie.

— Oto tak — z uśmiechem odpowiedział wuj Kazi-
mierz, rozczochrując do góry gęstą swoją czuprynę.

W żaden sposób nie chciałam poprzestać na tem obja-
śnieniu i tak zaczęłam się ciotce Rózi przymilać, prosić,
naprzykrzać, że nakoniec jedną z tych historyj opowie-
działa, a za tą poszła druga, trzecia i tak dalej, coraz da-
lej, aż się zebrał materiał na wszystko, co tu poprzednio
opisałam.

Nie przypominam sobie, czy w tymże samym czasie,
czy trochę później, zupełnie nowe zdarzenie zapisało się
w dziejach mego życia. Po pierwszej pokucie, pierwsza
choroba na mnie spadła — pierwsza przynajmniej, która
mi wyraźniejsze po sobie zostawiła wspomnienie. Zdaje
się, że to była jakaś gorączka; zaczęła się od mocnego
bólú głowy i wiem, że ten z początku bardzo mi doku-
czył, ale później — wszystko nagle się zaciera. Widzę
ostatnią chwilę, w której mama na ręce mnie bierze i do
łóžeczka przenosi — lecz odnajduję się dopiero w chwili,
w której z Józiem stoi nademną i blada, zmieniona,
a jednak promieniejąca radością, mówi do niego:

— Józiu, Bóg taki dobry, Napolcia będzie żyła!

I najpierwej ona sama pocałowała mnie w czoło,
a braciszek pocałował mnie w wyciągniętą na kołderce

rękę i oboje uśmiechali się do mnie i wiem, że im chciałam coś ważnego powiedzieć, ale mama palec na ustach lekko mi położyła, dodając stanowczy rozkaz:

— Cicho, Napolciu, jutro będziesz mówiła, dzisiaj spać jeszcze trzeba.

Zasnąłam więc bardzo posłusznie, lecz od następnego przebudzenia zaczął się szereg dni, szczęściem mojem przenoszących mnie niby w dawne, stosunkowo do mej skali dawne, bardzo dawne warszawskie czasy. Wysłałam znowu na pierwszą w zakresie trzech pokoików osobę. Mama z Marcyną od rana do wieczora, to obie razem, to kolejną siadywały przy mnie. Józio rzadko mnie odstępował; wuj Kazimierz, wracając od gospodarstwa lub z jakiej wycieczki w sąsiedztwo, do mnie najpierw wstępował, a i Piotruś też dość często się ukazywał i różne wiadomości o moich krówkach, o moich prosiątkach przynosił, nie mówiąc już, że raz przyniósł we własnych objęciach moje dwie śliczne czubate kokoszki; nawet babunia, kiedy niekiedy, przychodziła o moje zdrowie się zapytać, a raz była dla mnie tak łaskawą, że mi podarowała z zielonych wstążeczek i woniących lawendą uplecioną poduszkę do szpilek. Na wyzdrowienie, to jest na pierwsze przejście do drugiego pokoju, czekała mnie większa jeszcze niespodzianka. Rozpieszczona ciąglem dogadaniem, stałam się bardzo wymagającą. Przez trzy dni pierwszej spostrzegłam, że mnie Józio coraz częściej i na coraz dłużej odbiega; zaczęłam się tem obrażać, i zaczęłam się skarżyć na takie zaniedbanie, lecz on to wszystko żartami zbywał, a jeśli mama wymówkom była obecną, to i mama z uśmiechem radziła mi, żebym cierpliwą była i przywiązaniu braciszka ufała.

— To czemuż on tu ze mną nie siedzi? — dąsałam się, płaczu bliska.

— Gdybyś wiedziała czemu — wesoło tłumaczyła mi wówczas mama — gdybyś wiedziała czemu, tobyś nie potrzebowała ufać; ufność się daje ludziom na niewidzialne i niewiadome. Nie miałabyś żadnej zasługi, gdyby Józio przyszedł i usprawiedliwił ci się ze swego oddalenia; zasługę będziesz miała dopiero wtenczas, gdy, nie pytając o nic, powiesz mu sama, i co ważniejsze, uczujesz to sama, że braciszek bardzo cię kocha; a jeśli nie bawi się z tobą tak ciągle, jakbyś ty pragnęła, to musi mieć słuszne do tego powody.

Niekoniecznie w dalszych latach umiałam się do tej nauki macierzyńskiej zastosować, niekoniecznie pewną dziś jeszcze jestem, czy zastosowawszy się, byłabym ze wszystkimi ukochanymi dobrze wyszła na tem, ale w ówczesnych okolicznościach zdobyłam się na tę hojność serca, co się ufnością zowie. Wieczorem Józio przyszedł, a ja mu żadnych nie czyniłam wymówek; nazajutrz otrzymałam za to nagrodę. Jeszcze Marcyna ubierać mnie nie skończyła, gdy Józio pod zamknięte drzwi przyszedł zapukać i zapytał:

— A czy już, czy prędko skończycie?

— No, już idziemy — zawołała wreszcie Marcyna i teje chwili drzwi się rozwarły; zdumiona stanęłam na progu. Ściany salonu osłonięte były zielonością sosnowych i modrzewiowych gałęzi, na środku stół nasz okrągły, a na nim drugi stolik, dwa foteliki drewniane, zieloną farbą pociągnięte, na jednym z nich moja lalka wyświeżona w niebieskiej nie ze srebrem, lecz srebrem przynajmniej obszytej sukni, i to wszystko razem objęte w półkole małych doniczek z wysokimi, na wysokość lalki, powojami. Pierwszy raz w życiu poczułam, że mi siły fizycznej do radowania się brakuje, wyciągnęłam tylko ręce do stojącej obok stołu mamy, a gdy mama mnie

w górę podniosła, twarz o jej ramię wsparłam i pocichu-
teńku płakać zaczęłam.

Józio tymczasem w ręce klaskał, śpiewał, wyskakiwał,
aż zdziwiony mojem milczeniem, podbiegł ku nam i z nie-
pokojem:

— Cóż to się stało Napolci? czy znowu się rozchoro-
wała? — dobadywać począł.

Mama wiedziała już, że osłabienie jest mego rozrzew-
nienia przyczyną; by więc prąd wrażeń w inną skie-
rować stronę, żartobliwie mówiła Józiovi, że ja się wsty-
dę tylko chwilowo popełnionej względem niego niespra-
wiedliwości.

— Bo to widzisz, mój drogi, kiedy po całych godzi-
nach przesiadywałeś z Piotrusiem nad wyrobieniem tego
stoliczka i tych krzesłek, Napolci się zdawało, że o nią
nie dbasz wcale, że wolisz biegać i dokazywać, niż przy
niej biedaczce chorej siedzieć i z nią się bawić, a ja ci do-
trzymałam tajemnicy i ani słówkiem nie zdradziłam, jaką
to siupryzę z Piotrusiem i ciotką Rózią na dzień pierw-
szego jej wyjścia przygotowujecie. Patrz tylko, Napolciu
moja — ciągnęła dalej, ku mnie się zwracając — Józio
wszystkie te deseczki sam wygładził, przykroił i poma-
lował; Piotruś mu składać i kleić dopomógł; oni także
wystarali się małych doniczek, zasadzili w nich powoje,
żeby taką ładną altankę dla twojej lalki ustawić, a błę-
kitną sukienkę to ciocia Rózia własnymi rękoma uszyła.

Zaczęłam wszystkich dokoła ścisnąć, wszystkim dzie-
kować, lecz najserdeczniej Józia uściśnęłam, Józiovi za
podarunek najwdzięczniejszą byłam. Tak więc z choroby
żadne przykre nie zostało mi wrażenie; ból, gorsze cza-
sem od bólu lekarstwa, złe wszelkie w jakąś niebyłość
zapadło; pamięć przechowała mi jedynie pieszczoty matki

i braciszka mojego, troskliwość otaczających i te chwile radości niespodziewanej, którą mi Józio zgotował.

Ah! jak to wówczas przy matce dobrze było i chorować. Już to matka nasza prawdziwy talent miała do wywołania z serc obojętnych nawet jakiegoś wyższego uczucia dla tych, których mama kochała; czyniła to bez rozmysłu, bez oznaczonego z góry celu i planu, ot — poprostu siłą prawdy wewnętrznej, magnetyzmem własnej miłości. Nigdy zapewne nie powiedziała sobie, że trzeba w sercach dzieci braterskie przywiązanie gruntować, a jednak wiem z pewnością, że jej wpływom, zbyt krótko, niestety, działającym, oboje z bratem zawdzięczaliśmy tak długą trwałość wzajemnego między nami stosunku.

Powiadają, że jeżeli szczerą miłość rodziców złączyła w małżeństwo, to zawsze zobopólne przywiązanie dzieci ich potem łączy. Nie idzie tu nawet o miłość doskonałą, o niezachwianą wierność, o zgodę wzorową szlachetnych zasad, przekonań i dążności — takie ideały zostawiają się wyższym, już ucywilizowanym naturom do urzeczywistnienia — idzie tylko o miłość nader przystępną, o miłość obustronnego pociągu i przez całe życie obustronnego upodobania; mogą się wtedy zdarzać chwilowe nieporozumienia, może nie być wspólności pojęć, równości w zdolnościach i w wykształceniu towarzyskiem — byle w organizmie została ta skłonność, silniejsza od wszelkich rozkapryszonej woli obłądów, nad wszelką zmiennością górująca, stalsza od wszelkich niestałości, już ona starczyć może do zapewnienia młodszej generacji bogatszego w serdeczne skarby dziedzictwa. Istotnie widziałam sama różne tego przykłady; najbliższym zaraz był przykład naszych wujów i ciotek. Ojciec lekkomyślny, matka niesprawiedliwą między niemi czyniąca różnicę,

ale ojciec i matka kochający się od pierwszego niemal spotkania aż do śmierci, więc i cała ta gromadka także trzymająca się razem, pomocna sobie w ciężkich przejściach swoich, rozradowana zawsze powitaniem, roz tęskniona oddaleniem, a tak długo, długo smutna po stratach!...

Była to gromadka wszelako. Inne żywe ilustracje, którym się przypatrzeć mogłam, gromadkami były także. W gromadce częściej jedno drugiego potrzebuje, częściej jedno drugiemu służyć musi i to wybory dla niej cementem się staje. Z dwojgiem dzieci trudniejsza sprawa. Każde jest pół-jedynakiem w rodzinie, każde z kolei celem wszystkich starań i wszystkich zabiegów; każde przywyka odbierać, nie dawać. W obojgu też bezświadomie kielkują egoistyczne popędy, nałogi, oczekiwania, bo starsi mają dość czasu, by i temu i temu z osobna wyłączone troskliwość poświęcić, by i to i tamto nieustanną opieką, wygodami i bezpieczeństwem otoczyć. Miłość braterska nie rozwija się w tych warunkach, dzieci nie uczą się wspierać, wyręczać, bronić jedno drugiego przed groźbą, karą lub zaczepką; owszem, często sobie zawadzają, często żądają od siebie tego, czego im rodzice i domownicy nie skąpią; żądają ustępstw, przyjemności, zadośćuczynienia wszelkiej prośbie, a z dalszym ciągiem czasu wszelkiemu wymaganiu.

My z Józiem pewnie też nie byliśmy lepszymi od innych; Józio był sprzeciwny, ja popędliwa i samowolna. Jeśli nas te wady nie zubożyły wzajemnie w dalszych latach, zasługę tę jedynie matce przypisać należy. Ona tak jakoś we własnym sercu serca nasze zespoliła, żeśmy nigdy wśród najdrażliwszych okoliczności nawet rozłączyć ich nie mogli. Józio sam nieraz mawiał, że w czasie mojej choroby spostrzegł się i dowiedział o tem, że bar-

dzo mnie kocha. Ale bo też to matka wciągnęła go we wszystkie niespokojności, troski, obawy i nadzieje swoje. Ledwo oczy otworzył, już mu rozpowiadała, czy źle czy dobrze noc przebyłam, co gadałam w malignie, jak się miewam. Raz, gdy wielkie niebezpieczeństwo groziło, ze snu go zbudziła i do mego łóżeczka za rękę przywiodła.

— Wszak prawda — rzekła — że smutnoby ci było, gdybyś ten raz ostatni przed śmiercią swojej siostrzyczki nie widział? Przypatrz jej się uważnie, Józiu, dłużej ją pamiętać będziesz.

Gdy siostrzyczce lepiej być zaczęło, braciszek znowu stał obok matki i pierwszą dobrą nadzieją wspólnie się cieszyli; gdy wyzdrowiała, oni także pierwszą niespodziankę dla niej razem obmyślili. Takie chwile na zawsze w serce przesiąkają.

W zabawach naszych, jeśli przyszło do sprzeczki, matka bardzo rzadko w charakterze sędziego występowała. Najczęściej jakiś sposób znalazła, by nas czem innym zająć, lub do zrobienia sobie małej grzeczności, do wyświadczenia przysługi okazję nam stręczyła. Nigdy jej pomysłów i dobrych natchnień nie brakło, choć, jak to powyżej wspomniałam, nie o to jej chodziło wyraźnie intencjami, abyśmy się kochali, pod tym względem żadnej nie przypuszczała wątpliwości, tylko tak równo nas kochała, że w każdej chwili oboje wesołemi, zadowolonemi widzieć pragnęła. Pamiętam n. p., jak obrazkami wyklejany parawan ledwo się stał wielkiej między mną a Józiem rozterki. Każde z nas po jednym skrzydle obrawszy sobie, zaczęło się przechwalać, że ma daleko piękniejsze figurki i malowidła na swojej stronie.

— A ja mam taką ładną krówkę! — wołałam.

— E! co tam krówkę, ja mam karetę w cztery konie zaprzągniętą — wołał Józio.

— U mnie jest domek z ogrodem, to więcej znaczy, niż kareta.

— Wielka mi rzecz dom pusty! Jeśli odemnie nie pożyczysz kanapy, łóżka z figurkami, krzesel i stołu, to co będziesz w twoim domu robiła?

— Daj mi kanapę tylko, mój Józiu, już tu sobie znalazłam krzesła i dwa stoliki.

— A co mi dasz za kanapę?

— Dam ci pięknego Turka z fajką w ustach.

— A mnie na co się zda twój Turek? ja Turków nie lubię, bo oni biednych Greków męczą.

I tak od targu do targu, od obrazka do obrazka, Józio przekonał mię, że wybrała to, co było najbrzydszego na parawanie. Potem zdradliwie ofiarował mi zamianę i kiedym pewną była, że już wszelkie piękności parawanu posiadałam, on mi znowu wyższości tych właśnie ganionych przez niego obrazków dowodzić zaczął, kosztem czterokonnej karety moją wzgardzoną krówkę wynosić; kiedy mi zaczął przymawiać, że ja świetne ekwipaże, nieużyteczne rzeczy więcej cenię, niż to poczciwe stworzenie, które nas mlekiem swoim żywi, które po śmierci nawet mięso na pokarm, a skórę na buty i trzewiczki nam daje, oburzyłam się takim nadużyciem wymowy, broniłam, póki mogłam, lecz gdy mi w końcu słów i poglądów zabrakło, uciekłam się do zwykłego środka bezsilności i rozbeczałam się na głos. Matka wtedy, nie godząc nas, ani żadnych nie prawiąc moralów, oświadczyła tylko do zabawy naszej przystąpiła i trochę inny dała jej kierunek; wzięwszy niby jedno skrzydło w posiadłość, zawnioskowała, żeby sobie wzajemnie różne przedmioty podarowywać.

— Oto ja mam dla Józia duży bęben z pałeczkami i trąbkę złoconą — mówiła z uśmiechem. — Józio rano

wstanie, na wszystkich śpiochów zabębni, a później w pole się wybierze i będzie głośno trąbił, żeby się koło niego psy gończe zebrały. Napolci ofiarują rozłożystą jabłonkę, której gałęzie aż uginają się pod ciężarem owocu. Napolcia poprosi ogrodnika, żeby jej te rumiane jabłuszka postrzącał, i będzie miała czem nas wszystkich obdzielić; a jak przyjdzie do dworu Magdusia ze wsi, to nietylko ją poczęstuje, ale jeszcze z pełnym fartuszkem dla innych dzieci do domu wyprawi. Ciekawa teraz jestem, co ja od Józia dostanę?

Józio był w wielkim kłopotcie; szukał, namyślał się i wreszcie wybrał pawia z roztoczonym ogonem.

— Wszakże mama ptaszki lubi — usprawiedliwiał się, niezupełnie względem swego daru na sumieniu spokojny.

— No, lubię trochę mniejsze — odpowiedziała na to żartobliwie — lubię kanarka, słowika, wilgę, ale i paw mi się przyda. Czy zgadniesz na co, mój chłopcze?

Chłopiec zastanowił się trochę i w ręce klasnął z radością.

— Już wiem na co! — zawołał — jak będzie pióra gubił, mama nam je zbierać każe i wszystkim parobczakom ze wsi do kapeluszy porozdaje.

— Brawo! zgadłeś; lecz teraz trzeba jeszcze powiedzieć, co dla Napolci przeznaczasz.

— Nopolciu, czy chcesz tę krówkę, o którą się na mnie rozgniewałaś?

— Nie, nie chcę — odrzekłam z resztką żalu i rozdasania w sercu.

Józio wcale się o to nie obraził; chęć sprzeciwienia się odstąpiła go już zupełnie; zaproponował mi biurko jakieś, czy komodę, pełną, jak ręczył, muślinowych i je-

dwabnych sukienek, co też nakoniec dość łaskawie przyjął.

— Teraz na ciebie kolej — mówiła do mnie mama — spodziewam się czegoś bardzo pięknego.

— Bo ja też coś bardzo pięknego dla mamy wynalazłam — z pewną dumą odezwałam się na wyrażone życzenie. — Oto jest anioł biało ubrany, z koroną w jednej, a z jakąś zieloną w drugiej ręce gałązką. Wszak prawda, mamó, że śliczny ten anioł?

Mama popatrzyła przez chwilę na niego, smutna myśl widać przez głowę jej przebiegła — ach! ta sama zapewne, która i mnie tak często później ze wspomnieniem tej chwili wracała — nie wyraziła jej przecież, tylko mnie w czoło pocałowała i po krótkim milczeniu:

— A Józiowi? — rzekła tylko.

— Józio może sobie weźmie tego psa ogromnego, co z pod śniegu czyjaś głowę odgrzebuje. A może woli rycerza w żelaznej zbroi, a może pałac z wieżyczkami? Tylko że pałac od psa i rycerza daleko jej mniejszy.

W przystępie szlachetnej hojności byłabym wszystko, co mnie samej się podobało, Józiowi przekazała; on też nie sam odrazu, ale z pomocą mamy dopiero za psem się oświadczył.

— Bo ci rycerze — jak mu przedstawiała — w swoich żelaznych zbrojach o tem myśleli jedynie, żeby ludzi zabijać, ranić, brać do niewoli; a pies z góry Ś-go Bernarda ocala życie podróżnikowi. — I zaraz opowiedziała nam różne ciekawe szczegóły o tem zmyślnem zwierzęciu, o zakonnikach, którzy się niem posługują, o górach, o Szwajcarji; w przypuszczeniu wystawiła, coby to ze mną się działo, gdyby śnieżna zawieja naszego Józia tak gdzie pochłonęła; aż pod urokiem jej słowa wszystkie czarne i błękitne djabełki pierzchnęły daleko, a w ser-

duszkach słuchaczy rozrzewnienie i chęć — więcej niż chęć — potrzeba zrobienia jakiejś przyjemności, dodania czegoś do szczęścia ukochanych w duszy zostały — no, i w pamięci nowa jakaś wiadomość została się także.

Trzeba przyznać, żeśmy się ciągle wielu ciekawych, zajmujących, a nadewszystko wielu pożytecznych rzeczy uczyli. Jak mama na parawanie o Szwajcarji, tak wuj Kazimierz na pokrowcach od krzeseł i kanapy różnych zabawnych szczegółów o Chinach nam udzielił. W starej książce in quarto rozkoszowaliśmy się wizerunkami książąt i królów polskich, od Lecha z długą brodą i Popiela z myszami, do Sobieskiego z długim wąsem i Augusta z peruką. Nie bez tego, żeby się też raz po raz nie usłyszało wzmianki o Włoszech, gdzie najstarszy wujaszek w legjonach służył; o tej nieszczęśliwej Hiszpanji, w której pod Saragossą zginął; o Jenie, gdzie wuj Antoni krzyż dostał; o Lipsku i Elsterze smutnej pamięci, o Gdańsku, Moskwie, Możajsku — to wszystko świat nam rozszerzyło i w dalekie obce strony wyobraźnię ciągnęło. Z Napoleonem i z Bonapartem do ładu wprawdzie trafić długo nie mogłam; osobna jednak z wujem Kazimierzem rozmowa, objaśniła mnie, że byli jedną i tą samą osobą; że młody student ze szkoły wojskowej, takiej n. p. jak szkoła aplikacyjna, o której przecież wiedzieć musiałam, postąpił na porucznika, został potem kapitanem, pułkownikiem, generałem, głównym wodzem i konsulem. Przechodząc te koleje, nazywał się ciągle Bonaparte, lecz kiedy cesarzem się ogłosił, zaczął używać chrzestnego imienia swojego i wstąpił na tron jako Napoleon I. Zdawało mi się, że to jest bardzo zwyczajną rzeczą z porucznika tak na cesarza zaawansować. Nic a nic się nie dziwiłam najdziwniejszemu właśnie historii powszechnej zjawisku.

A i sprawy tureckie nie były nam obce, można to już było zmiarkować wyraźnie z okazywanej przez Józia dla Greków sympatji.

Daleko więcej jeszcze, niż pod dachem, uczyliśmy się pod gołym niebem, na dworze. Uczyliśmy się ziemi, ludzi, pieśni, zwyczaju rodzinnego, nie mówiąc już o pracach wiejskich, z którymi wzrok się oswajał i myśl się oswajała. Znalismy osobiście wszystkich niemal gospodarzy po chałupach, wielu żwawszych parobków, każdą dziewczę, co przychodziła do krów dojenia, do pielenia w ogrodzie, lub na przedziwo wieczorne. Wśród dzieci miałam też jedną wielką przyjaciółkę Magdeczkę, a Józio miał wybornego do psot wszystkich towarzysza, Wojtusia. Magdeczkę, z upokorzeniem wyznać mi to przychodzi, kupiłam sobie za jabłka i wstążeczki. Kiedy późną jesienią okrężne sprawiano, myśmy pierwszy raz się poznały; a było to okrężne sute i tłumne, zdaje mi się, że nigdy już potem świetniejszego nie widziałam. Zastawiono stoły kołaczami i mięsiwem, nie żalowano wódki i piwa, dla starszyny i miodek się znalazł, dzieciom rozdawano owoce i pierniki, a skoro tylko ów cały poczęstunek się skończył, zabrzmiały skrzypce z basetlą i w ogromnej sali mielinieckiej wuj Kazimierz z przodownicą ochocze tany rozpoczął. Kilku młodych panów z sąsiedztwa, kilka panienek z rodzicami umyślnie na ten dzień przybyłych, niebawem też wciągnąć się dało za jego przykładem; Józio wybrał sobie do oberka najsłynniejszą w Mielinku śpiewaczkę, a i mnie nawet stary Szymon wzięwszy za obie ręce, dokoła parę razy okręcił. Bardzo mi się to podobało, lecz już po starym Szymonie napróżno drugiego wyglądałam tancerza. Matka też wkrótce cofnęła się ze starszemi paniami i mnie z sobą zabrała;

wypraszałam się od tego poważnego towarzystwa jak mogłam, na nic się prośby nie zdały.

— Toć widzisz jaki tam tłok — rzekła matka; — gdybyś upadła, niktby cię nie dowiedział nawet, zdeptaliby mi moją Napolcię, jak robaczka, a co jabym potem robiła?

Rzecz była dosyć prawdopodobną, nawet dla mojego pojęcia, że mogliby mię zdeptać, a jednak strasznie mi żal było z sieni wychodzić. Smutnie stanęłam przy krzeselku mamy i ze łzami w oczach nasłuchiwałam wyraźnie przez drzwi zamknięte dolatującej muzyki, bijących o posadzkę podkówek, aż na widok mojej rzadkiej miny i mamę litość zdjęła. Babunia zasiadła właśnie była do kiksa z księdzem proboszczem i dwoma wiekowemi paniami w swoim pokoju, bo utrzymywała, że ten hałas ją męczył; mama tedy zaprosiła resztę gości na drugą stronę, gdzie można, jeśli zechcą, drzwi otworzyć i popatrzeć jeszcze trochę na bawiącą się z wieśniakami obywatelską młodzież. Wszyscy chętnie się na jej projekt zgodzili i gdyśmy już, przeszedłszy dziedzińcem i ogrodem, w otwartej sali zasiedli, mama szepnęła mi na ucho:

— I cóż, czy tu weselej, moje dziecko?

— O! daleko weselej, tylko jabym tak chciała potańczyć jeszcze trochę.

— To idź i uproś sobie jakiej dziewczynki, żeby tutaj do pokoju przyszła tańczyć z tobą.

Zdawało mi się, że już sprawa skończona. Tuż pod oknem stała gromadka dziewcząt od dwunastego mniej więcej do szóstego roku, wszystkie wspinały się na palce i zakukiwały ciekawie do sali. Upoważniona zezwoleniem matki, wybiegłam coperędzej i zaraz jednej z najwyższych prośbę moją przedstawiłam. Najwyższa zachichotała i uciekła. Druga, trzecia i dziesiąta tak samo ze mną postąpiły, a ja nawet wytłumaczyć sobie nie mo-

głam, co było tych ucieczek powodem. Zwróciłam się na koniec do małej, prawie mego wzrostu dziewczynki, która przy murze skulona i trochę drżąca od zimna stała. Spódniczka jej była zakrótką na bosc nóżki, chustka obwiązująca głowę trochę wytarta i spłowiała, ale kołnierzyk od koszuli czyściuteczki, ładnie wyprasowany, tylko bez żadnej zadzierzki.

— Czy ty pójdziesz ze mną do pokoju? — spytałam.

O radości! dziewczynka nie uciekła, tylko odwracając się ode mnie, mruknęła:

— Kiej się wstydzę.

Zacząłam jej dodawać odwagi, upewniałam, że moja własna mama pozwoliła mi ją do pokoju zaprosić, wszystko to nie trafiało do jej przekonania; ciągle mi jedno i to samo powtarzała:

— Kiej się wstydzę.

Od próśb i namawiań do obietnic przesłam.

— Pójdź ze mną, a dostaniesz duże czerwone jabłko.

Ruszyła wreszcie z miejsca i doszła do drzwi szklanych przy murku; tu znów na progu stanęła jak wryta, ze swoim:

— Kiej się wstydzę.

Przyniosłam jabłko, skłoniła mi się, ale wejść nie chciała, przyniosłam drugie, ośmieliła się drzwi przestąpić. Za trzeciem wciągnęłam ją do sypialnego pokoju, gdzie nikogo nie było, ale o przetańczeniu oberka ani z nią mówić, nawet jabłka nie skutkowały. W tej ostateczności przypomniałam sobie, że między gałgankami mam czerwonej wstążki kawałek, czerwona wstążka stanowczo lody przełamala, i puściłyśmy się w kręgi najpierwej po sypialnym pokoju, potem i po sali, bliżej muzyki, i było nam tak dobrze razem, żeśmy się już do póź-

nego wieczora nie rozłączyły. Ona mi powiedziała, że się nazywa Magdeczka Kuźniczanka, ja jej powiedziałam, że jestem Napolcia Hołosko, i przyrzekłyśmy sobie często się odtąd widywać. Istotnie, Magdeczka przyszła zaraz nazajutrz i ofiarowała mi kwartę co najmniej doborowych laskowych orzechów. Wywzajemniając się, pokazałam jej moją lalkę, wszystkie moje zabawki, i darowałam kilka najpiękniejszych ze zbioru mego gałganików. Magdeczka na drugie odwiedziny wystąpiła z darem dwóch świeżutko zniesionych jajek; mama jednak zakazała nam tych wzajemnych prezentów, bo dzieci właściwie nic swego do rozdania nie mają.

— Wszak prawda, Magdusiu, że to cię matula i z orzechami, i z tą parą jajek wysłała?

— A dyć matula — powiedziała Magdeczka.

— No, to jej powiedz, żeby się nie kosztowała. Panienska to tylko przyjmie od ciebie, co sama zrobisz; pomożesz jej zepłec ogródek, w lecie jagód przyniesiesz, a zobaczysz, jaka ci będzie wdzięczna. I paniencie przyjemniej będzie daleko, jeśli ci własną ręką fartuszek kiedy uszyje.

Na takiej stopie mama postawiła nasze stosunki, które daleko pomyślniej się rozwinęły, niż z ich początku wnioskować było można; niemniej przeto Józio pod jednym względem mógł być dumniejszym ze swego Achatesa. Przy pierwszym zabraniu znajomości, nie Józio o łaskę Wojtusia, ale Wojtuś o łaskę Józia się postarał. Kiedy ja Magdeczkę przekupywać musiałam wstążką czerwoną, Józia Wojtuś przekupił małym, lecz dobrze już odchowanim żywym zajączkiem. W rozwinięciu dalszej przyjaźni wszelako, po mojej stronie lepsza część się znalazła; Magdeczka było to ciche, łagodne i poczciwie przez matkę wychowane stworzenie; Wojtuś sprytny, przebiegły, do-

wcipny, ale hultaj na szeroką skalę, byłby panicza nie-tylko do wybierania gniazd ptasich, ale i do gorszych rzeczy skusił, gdyby nad nim Piotruś nie czuwał i za czuprynę go czasem porządnie nie wytargał.

Dziwna rzecz! daleko niesprawiedliwsze były wówczas warunki położenia, a przecież daleko łatwiejszem zbliżenie się dworu z chałupą, na czysto ludzkiej drodze. Przypuszczam, że i wówczas chłop miał niechęć do pana, pan miał lekceważenie i w wielu razach pogardę dla chłopą, ale poza temi hierarchicznemi stanowiskami zdarzało się, że Kuba w sukmanie, a Jakób w surducie zasiadali do wspólnej gawędki, radzili o wspólnych interesach, wyświadczali sobie przysługi wzajemne i Kuba szczerze był do Jakóba przywiązany, a Jakób wielce Kubę szanował. Między kobietami jeszcze łatwiej było o życzliwy stosunek. Ciotka Różia nieraz z wdzięcznością wspominała, jak w czasie wojny, przed Prusakami, u Grądziny Kacprowej dla siebie, swoich manatków i srebernek bezpieczne znalazła schronienie. Marcyna także po wczesnem owdowieniu, przez pamięć dawniejszych względów, zgodziła się do służby u swojej kochanej pannenki, co dla niej zawsze taką dobrą była. Dzisiaj słyszę nierzadko o właścicielach ziemskich, którzy wiele czynią dla podniesienia oświaty i dobrobytu sąsiadujących z nimi włościan; słyszę rzadziej już, ale słyszę, że i gromada w pewnych okolicznościach jawny dowód szacunku i zaufania swemu sąsiadowi, właścicielowi ziemskiemu, daje, ale o takich osobistych, trwałych i życiem zaświadczonych przyjaźniach, dawno, ach! bardzo dawno nie słyszałam pono. Zapewne jest to skutkiem wstecznego fata morgana wszelkiej pamięci, przy schyłku życia ku dzieciennym zwracającej się latom, ale jabym przysięgła prawie, że dawniej lud nasz, lud mieliniecki przy-

najmniej, był i piękniejszym i lepszym od tego, który dzisiaj widuję, a choć się to nieprawdopodobnem zdawać może, powiem nawet, że zamożniejszy na zewnątrz wyglądał. Ile razy wzięto mnie do kościoła, nie mogłam się napatrzeć pięknym strojom zebranej gromadki; kobiety zamężne miały takie sute jedwabne chustki na głowach, takie wzorzyste fartuchy, takie jubki sukienne z barankowym albo lisim kołnierzem ogromnym, dziewczęta jak łanie wyglądały w jaskrawych gorsetach, w kwiecistych spódnicach, z mnóstwem koralu, paciorek na szyi, z mnóstwem wstążek na głowie.

Niektóre nosiły w kształcie wysokiego djademu czółka aksamitne, szychem obszyte, kwiatami przybrane; ja bo się zachwycalam temi czółkami! Koniecznien raz prosiłam mamy, żeby mi wiejski ubiór sprawiła; mama tem jedynie mi wyperswadowała gorące życzenie moje, że to byłoby zapiekne dla mnie i gdybym weszła między inne panienki, wszyscyby na mnie jak na dziwowisko jakie patrzyli. A młode chłopaki jak dziarsko wyglądały w swoich świtach popielatych, różnobarwnemi pasami ściągniętych, z czerwoną zadzierzką przy białym kołnierzu od koszuli, z szafirowemi wiązaniami przy okrągłych barankowych czapach! Zachowanie się ich było także, o ile pamiętam, gładsze daleko i przyzwoitsze; ani klątw tyłu, ani grubych wyrazów i żartów przez cały ciąg pobytu mego w Mielinku nie słyszałam, ile o trzydzieści lat później, gdy mi się zdarzyło ucho puścić na dziedzińcowe lub czeladnej izby gwary. Między sobą zgodniej żyli, chętniej sobie pomagali; kradli pana i księdza, ale rzadko jeden drugiemu co ukradł. Występki, z którymi się dzisiaj raz po raz spotykamy, wówczas jeszcze do osobliwości się liczyły, lepiej się obchodzono ze starymi rodzicami.

Jednego dnia pamiętam, gdyśmy wyszli z mamą na przechadzkę, ujrzeliśmy przy krzyżu pode wsią wielkie zbiegowisko, szczególnie kobiet i dzieci. W pośrodku staruszka jakaś, dość krzepka jeszcze, dość nawet porządnie przyodziana, na ziemi siedząc, rzewnymi łzami gorzkie skargi zawodziła; przy niej leżał mały węzełek i gruby kij podróżny. Opowiadała, że ją własna córka z domu wypędziła o tym żebraczym kiju na świat szeroki, obcy.

— Boże! mój Boże! czegoż ja dożyłam — wyrzekało biedactwo; — miałam taką porządną gospodarkę, miałam skrzynkę pełną chust nowiuteńkich, słoninę, i krupy i co gęba zachciała w komorze, wszystko jej i zięciowi oddałam, a teraz mi kawałka chleba na starość żałuje!

Brzmią jeszcze w uszach moich te wykrzykniki zgrozy i oburzenia, które towarzyszyły prostym żalom pokrzywdzonej matki.

— Jezu Chryste! toć to chyba Boga w sercu nie mają. A toć się skarania Pańskiego nie boją. Czy to przy pacierzu nie mówią: „czcij ojca twego i matkę twoją?“ Jakto? i nikt się za wami nie ujął? Dyc to pomsta Boska dosięgnie ludzi, którzy na takie pogaństwa obojętnie patrzą!

To pewna, że słuchający obojętnie nie patrzyli; stary Szymon coś w rękę podróżnej wcisnął, jedna gospodyni do siebie na nocleg ją zaprosiła, inna dzbanuszek mleka przyniosła, krajanki sera i chleba sypały się jak z rogu obfitości; nawet moja przyjaciółka Magdeczka obwarzaniek na ofiarę złożyła. Nie przypominam sobie, jak się to wszystko skończyło, czy staruszka w Mielinku została, czy do córki wróciła, ale wiem, że ten wypadek na mieszkańcach wioski zrobił jakiejś nadzwyczajności wrażenie, *wiem*, że „opinia publiczna“ silnie była nim za-

jęta, bo przez kilka dni ciągle jakieś nowe szczegóły o złej córce i wypędzonej matce do dworu przynoszono.

Nie byłą to dla nas dobra nauka, ta nauka ogólnego wstępu do czynów nieludzkich i zbrodniczych? Może niejedna, równie użyteczna, w serca tą samą drogą się przedostała, tylko zapomniana, niewyróżniona, rozplynęła się w żyłach, a śladu jej w wielu pocziwych chęciach i szlachetnych dążnościach nie można było później rozpoznać. Co do mnie, żałuję bardzo, że ze dwa lata dłużej nie pociągnęła się ta bezświadoma moja edukacja; co do Józia jednak, atmosferyczne prądy choćby najzdrowszych wpływów były już trochę niedostateczne. Książkowe postępy jego nie dosięgały lat, sił i wzrostu. Matka codziennie czytać mu i pisać przy sobie kazała, uczył się z nią rachunków i słówek francuskich; wuj Kazimierz nawet odszukał jakiejś starej łacińskiej książki i powtarzał z nim od czasu do czasu: *terra est rotunda*, albo skandował deklinacje i konjugacje, wszystko to jednak szło dorywczo, bez ładu, bez metody żadnej, z małą korzyścią, a wielkim trudem dla ucznia, który się codziennie więcej do wszelkiej drukowanej i pisanej litery zniechęcał. Matka, powagą słów kapitana Paszkowskiego się osłaniając, ponieważ przyjąć nie mogła tak doskonałego nauczyciela, jak go sobie w swej wyobraźni przedstawiała, wołała żadnego nie przyjmować: tymczasem Józiovi na dziesiąty rok się przesunęło, potrzeba szkolnej karności coraz silniej otaczającym go czuć się dawała; zapewne w końcu źle przygotowany, rozpieszczony, biedny chłopiec do najbliższych w sąsiedztwie szkół powiatowychby poszedł, gdyby... gdyby nie panna Malwina Stopkowska. Panna Malwina Stopkowska w kilka miesięcy po naszym przyjeździe do Mielinka, zjawiała się jako gwiazda pierwszej wielkości na horyzoncie tamtejszej okolicy. Ojciec

jej był za czasów wojennych jednym z najczynniejszych dostawców. Ożenił się z córką urzędnika, Niemca, którego łaski potrzebował wtedy; dorobił się milionowego, jak powiadano, majątku, stracił go bardzo prędko na karty, hulanki, a zwłaszcza na kobiety, żonę postępowaniem swoim rychło do grobu wpędził i sam nie wiedząc co ma robić z trzechletnią swoją Malwinką, rzucił ją na kark dziadkowi, który był wdowcem po żonie Polce i z trzech córek, miał jeszcze jedną niezamężną w domu przy sobie. Dziadek na szczęście lubił dzieci, ale ciotka przede wszystkim zabawy lubiła. Bawiło ją to z początku, że może dziecko stroić jak lalkę i przed gośćmi w charakterze troskliwej opiekunki występować. Niedługo to trwało jednak, dziewczynka była rezolutna, gadatliwa, często uparta, czasami gwałtowna, umiała się przypochlebić, umiała też i dokuczyć z zadziwiającą na wiek swój przebiegłością. Ciotka wkrótce sprzykrzyła ją sobie, zaczęła łajać, karać, niecierpliwic się, a kiedy do głośnych scen przychodziło, dziadek w obronie wnuczki stawał zawsze. Malwinka wnet to rozdwojenie władzy rodzinnej zmiarkowała, w piątym już roku starczyło jej dowcipu na to, by w nieobecności dziadka ulegle klapsy i pokuty od ciotki przyjmować, za powrotem jego dopiero skarżyła mu się w sekrecie, opowiadała więcej niż było, a nawet i to, czego nie było wcale. Zamążpójście ciotki mogło się stać prawdziwym dla siostrzenicy dobrodziejstwem, pod wyłącznym sterem dziadka możeby się rozwinęła na kapryśną, światową i samolubną kobietę, ale przynajmniej ten nalóg podszeptów kłamliwych nie miałby czasu dojrzeć w zdolność kłamstwa i w talent intrygi. Tymczasem ciotka zamąż nie szła, dziecko wyrosło na dziewczynkę, dziewczynka na panienkę. Przedmioty starć i wzajemnej niechęci stopniowo się też zwiąk-

szaly. Jeśli w początkach o szklanę kawy, o ciastko lub o przechadzkę chodziło, to potem współzawodnictwo miało na celu kapelusz, suknię, klejnocik jaki przez dziadka jednej lub drugiej darowany, w końcu do klejnocików, podarków przyłączała się jeszcze myśl o testamencie dziadkowym. Zdaje się, że nim pierwszą długą suknię panna Malwina włożyła, już doskonale umiała stratę od zysku w każdym interesie, korzyść od szkody w każdym położeniu rozróżnić. Bystrem pojęciem i wyborną obdarzona pamięcią, uczyła się dobrze, a wcześniej bardzo do salonowych towarzystw wprowadzona, spostrzegła natychmiast, że nietylko strój, piękność, tytuł, ale i wykształcenie umysłowe do błyszczzenia w nich pomaga, zapragnęła też uczyć się wszystkiego, o czem słyszała, że jest w modzie lub, że cechą niezwykłości umięjącemu nadaje. Dziadek na metrów, jak ich wówczas zwano, nie żałował pieniędzy, Malwina brała lekcje od Francuza, Niemca, Włocha i Anglika. Czech Jawurek codziennie godzinę muzyki, a Szczurowski co drugi dzień godzinę śpiewu jej dawał, Bruder dwa razy, a Marszałkiewicz raz w tydzień przychodzili, pierwszy sławny w swoim czasie malarz kwiatów, drugi miniatur; pan Zieliński wykładał jej historję, literaturę i język polski, ksiądz pijar Dąbrowski, zachwycony jej zdolnością, sam się podjął z naukami matematycznymi oznajamiać ją potrochu. Z tego wszystkiego panna Malwina małą cząsteczkę le-dwie na nierozdzielną aż do śmierci własność przyswoiła sobie. Po rozstaniu się z Bruderem i Marszałkiewiczem, ani jednego listeczka, ani jednego nosa własną nie od-malowała ręką; prócz kilku pieśni Tassa i komedyj Goldoni'ego, czytanych ze starym Rinaldim, wątpię bardzo czy choć raz późnij włoską książkę otworzyła, a jestem zupełnie pewną, że angielskiej żadnej ani razu. Poważna

matematyka jeszcze, niestety, mniej po sobie śladów w jej głowie zostawiła, zato jednak biegle mówiła i prawie bez błędu pisała po francusku, z rodzinnego obyczaju nabrała wprawy w niemczyźnie, z usilnej pracy zapanowała nad trudnościami gry fortepianowej, w rozmowach literackich zręcznie umiała zastosować zasób swoich historycznych wiadomości, śpiewała trochę zbyt cienkim, niezupełnie czystym głosem, ale z najmodniejszych oper wyjątki. No! ledwom nie zapomniała powiedzieć, że tańczyła szalę, gawota i girlandę, a to przecież niemałe wtedy miało znaczenie. Ciotka na tę całą edukację ramionami tylko wzruszała, dowodziła ojcu, że większą część łożonych kosztów jakby za okno wyrzucał. Malwinie zwykle nie żałowała złośliwych przycinków o jej pretensjach do rozumu, o śmieszności, którą przez to ściąga na siebie, lecz to wszystko na nic się nie zdało. Ojciec płacił, Malwina się uczyła, i rzeczywiście, gdyby ta ostatnia czuła w sobie prawdziwe naukowe usposobienie, gdyby rozmiłowała się w tym lub owym przedmiocie, gdyby ze szczerą chciwością po skarby wiedzy ludzkiej sięgnęła, byłaby nieochybnie w śmieszność i dziwactwo popadła. Nie było wtenczas miejsca dla takich kobiet na świecie, między światem a niemi żadnej nie było łączności, każda dla innych, i co gorzej dla samej siebie, stanowiła osobliwość niesłychaną, przywłaszczała sobie lub jej narzucano wyjątkowe przywileje, z potrzeby i z konieczności musiała nie być taką, jak wszyscy. Malwina uniknęła tego niebezpieczeństwa, uczyła się jak Hetera grecka dla podwyższenia swej ceny, a nie wartości.

Wiele jej zależało na tem, żeby o spamiętanych faktach zajmującą prowadzić umiała rozmowę, nic a nic się nie troszczyła o to, by je w całość ująć, prawa ich do-

śledzić, przekonanie swoje oprzeć na nich lub zbudować. Nie potrzebowała ona zresztą niczego sobie dowodzić i zaprzeczać niczego — właściwie mówiąc, nie miała żadnych przekonań; miała tylko zamiary, instynkta, nawyknięcia i skłonności, złe czy dobre, nie sądziła, było jej to zupełnie obojętne, rozum służył jej tylko do zadoścuczynienia chęciom i upodobaniom; w myśli jej nawet nie pozostało, że powinnyby go na coś szlachetniejszego użyć, na wykrycie czy na rozjaśnienie jakiejś prawdy, dla niej samej lub dla drugich użytecznej; od tych kłopotów zupełnie wolną była, dlatego też nie stała się pedantką, tylko według mody ówczesnej, bardzo miłą w towarzystwach osobą, z którą mężczyźni nawet o poważniejszych przedmiotach mówić mogli. Nie przeszkadzało to wcale, że i o niepoważnych mówić mogli także; panna Malwina doskonale rozumiała ich wtedy i na odpowiedziach nie zbywało jej, chyba w tym razie, gdy milczenie wymowniejsze być mogło od słowa.

Trzeba sobie przypomnieć ten czas wojen, zmian ciągłych i ciągle niepewnego jutra, ten czas gwałtownych namiętności, lekkomyślnie z niebezpieczeństwem igrającej odwagi i pożądlivszego wobec śmierci do uciech, do szarów, do chwilowej rozkoszy nastroju. Niedarmo to starożytni cypryjską boginię w objęcia Marsowi rzucili — jest coś odurzającego w atmosferze bojowej. Usta, co szepcą prośbę serdeczną, mogą tak prędko oniemieć w trupiej bledości! ręka, co rękę pieści w uścisku, może tak łatwo zbezwładnieć na wieki!... Jest zawsze jakieś uwielbienie przy pierwszym spotkaniu, jest żal, trwoga, złe przeczucie przy pożegnaniu; każdemu silniej krew w żyłach krąży pod zmiennych wrażeń natłokiem, huk dział sumienie przygłusza, szulerski obłęd duszę ogarnia, stawia się wszystko na kartę, spokój lat długich, szczę-

ście rodzinne, obowiązek matki i cześć dziewicy — stawia się wszystko, by wygrać jedną chwilę upojenia!...

Raz zachwiane w posadach swoich, społeczeństwo nie prędko wraca do zwykłego porządku; w tym zwykłym porządku bywają nadużycia i występki, ale nadużycia popełniają nikkzemni, występki źli ludzie.

W przewrotach burzliwych, zawierucha po drodze swojej nawet dobre, ciche, z innych względów szlachetne natury porywa. W najgorszej epoce czasów Stanisława Augusta nie słyssało się o tylu skandalach, wykradzeniach, ucieczkach, jak w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia; a nie księżne i hrabiny, nie wielkie panie i wielkie awanturnice bywały bohaterkami tych smutnych dramatów: w szlacheckie dworki, do mieszczańskich kamieniczek sięgnęła zaraza. Ileż ja sama znalazłam później dobrych matek, które pierwaj niewiernemi były żonami, żon przykładnych, które pierwaj wstydem okryły czoła rodziców; ileż kobiet pracowitych, użytecznych, z poświęceniem pielęgnujących starców, z miłosierdziem przygarniających sieroty, które przecież nie śmiały wspomnieć swojej młodości dotykać! Był to czas dziwnego jakiegoś zamieszania pojęć, rozluźnienia stosunków towarzyskich i w tym to czasie na nieszczęście przypadło pierwsze rozwijanie się władz ciała i umysłu Malwiny. Biedna dziewczynka bez matki, z ojcem niesumiennym, dziadkiem słabym, ciotką zazdrosną i zdolnościami niebezpiecznymi, na ster własnych popędów zostawiona. oczadziała wśród tych miazmatów, co się dokoła niej w powietrzu unosiły; chwałą i romansami wszystko tchnęło, lecz ona pierwaj romans na swej drodze spotkała, nim się chwałą olśnić zdążyła. Zakreśliło to najzgubniejszy kierunek jej wadom; te, które mogły ją wynieść

do potęgi złego, wczesnie skrzywione, wtrąciły ją tylko w niekonsekwentność zepsucia.

W jedenastym roku już jej metr Francuz miłosne słówka szeptał do ucha i zamiast stylowych ćwiczeń, biciki pisywali do siebie. W dwunastu latach prowadzono ją na wieczory, gdzie przed licznem zgromadzeniem w tańcach solo występowała, a istotnie tańczyła bardzo wdzięcznie, według zasad sztuki choreograficznej. Panie bawiły się nią, jak dzieckiem cudownem, lecz Malwinka wcale być dzieckiem, choćby nawet cudownem, nie chciała; młodzi panowie prawili jej grzeczności, ten i ów za rączkę ścisnął, ten i ów w rączkę pocałował, lub do powozu wsadzając, na pożegnanie ustami twarzy dotknął, a dziadek śmiał się z wszystkiego, pysznił talentami swej wnuczki, a wnuczce tymczasem niezdrowe wrażenia spokojność właściwą jej wiekowi mąciły i przedwcześnie po ojcu odziedziczone skłonności rozwijały. Było to wielkiem dla niej nieszczęściem, pomijając wszelkie względy moralne, było nieszczęściem według miary jej życzeń i projektów. Tak zręczna i wykształcona, niezawodnie wśród tłumu zdobyłaby sobie los świetny, to jest męża bogatego, z dziedzicznym, a choćby zresztą z wysłużonym tytułem. Zdawało się, iż wszystkie dane ku temu posiada; nie była romansową, w żadnej chwili żywsze uczucie nie ściągnęłoby jej z raz obranej drogi, nie zachwiało w raz powziętym zamiarze. Była pochlebnią i ugrzecznoną równie dla kobiet, jak dla mężczyzn, mogła oszukać zazdrosne, przekupić najoporniejszego. Ułożeniem swoim, wysoką edukacją, mogła najwykwintniejsze gusta i najpróżniejszą miłość własną starającego się o swą rękę zadowolić. A jednak lata młode przyszły i lata młode przechodzić zaczęły, a nikt się o rękę panny Malwiny nie zgłaszał. Bałamuciła wielu, nie rozkochała żad-

niego. Tu w poprzek drogi nieszczęśliwy temperament jej stanął. Gdyby chociaż namiętny — namiętność jest siłą wielką; namiętność oddziaływa na drugich sama przez się, unosi, porywa, chłonie, czasem druzgocze, często zni-
ceństwa, ale zawsze zdobywa i w posiadanie swoje zagarnia. Lecz Malwina nie była namiętna, była tylko zmysłową i łatwą kobietą. Otóż zmysłowość i łatwość jest to zbieg dwóch najzgrabniejszych ułomności w charakterze zepsutej i ambitnej dziewczyny, czyni ją zależną od własnych wrażeń chwilowych, zdaje na łaskę i niełaskę zdobywców, psuje najlepiej osnute plany, zawodzi w najprzebieglej zestawianych obliczeniach; prędzej zimna kokietka głowę zawróci i niepokojem serce do siebie przykuje; dziwna rzecz, że panna Malwina tego nie zrozumiała. Widać jednak, że nie zrozumiała, bo dość wczesnie zaczęły o niej krążyć różne podejrzone wieści, może plotki, lecz w każdym razie nie zupełne potwarze. Kiedy miała lat dwadzieścia, jakaś hrabina galicyjska zachwycała się jej muzyką, jej tańcem, jej francuzczyzną bez skazy, i koniecznie naparła się dziadkowi, żeby tę kochaną, jedyną Malwinkę na parę lat przynajmniej wziąć jej z sobą do Lwowa pozwolił. Dziadek wzdragał się jakoś, ale Malwinka wielką miała ochotę na nowej scenie szczęścia próbować, a przytem stosunki z hrabiną, przyjaźń z hrabiną, jakież to urok miało dla panny Stopkowskiej! Dziadek zezwolił wreszcie, rozplakał się trochę przy pożegnaniu; dwa lata w jego wieku, to czas bardzo długi! Malwinka obiecała często pisywać, oczy kilka razy chustką obtarła i do karety hrabiowskiej siadła.

Pięć miesięcy nie upłynęło, aż tu przed kamienicę taż sama kareta zajeżdża i z niej wysiada bez hrabiny, tą razą sama jedna, Malwinka. Rzuca się dziadkowi na szyję, ona biedna, prześladowana niewinność! Hrabina oka-

zała się najniegodziwszą opiekunką; zazdrościła jej towarzyskich powodzeń, oplątała ją w najczarniejsze intrygi, rozgłosiła po świecie lwowskim, że z jej mężem romansuje, to też dłużej wytrzymać nie mogła i zażądała, by ją natychmiast do Warszawy odesłano. Osobliwa to rzecz jednak, że choć między Lwowem a Warszawą tak mało wówczas było stosunków, niebawem jednak przybłąkały się trochę odmienne wersje tejże samej powieści; złe losy mieć chciały, że hrabina była dość brzydka i niebardzo rozumna. Mąż jej ładny, przystojny i jeden z najdowcipniejszych ludzi w swojej prowincji. Wszystkie też panie odrazu uwierzyły tym wersjom odmiennym więcej, niż skargom Malwiny. Zaczęły coraz chłodniej ją przyjmować, coraz dalej od niej się usuwać i gdyby Malwina nie była obdarzona zadziwiającą giętkością, do pokory niemal podobną, gdyby też na chwilę wytrwałości jej zabrakło, własna godność pod naciskiem drobnych uchybień i wyraźnych niegrzeczności oburzeniem wzbierała, niezawodnie kółka śmietankowego towarzystwa na zawszeby się przed nią zamknęły; ale potrafiła ona być tak niziutką, że się aż wyższą nad to wszystko stała.

Więc po dawnemu dozwolono jej tańczyć na kilku jeszcze świetnych salonach warszawskich. Wogóle przecież osunęła się w trochę inną sferę, bliższą dziadkowi narodowości i sympatjami. W tej sferze spotykała młodego generała Strafmana. Nie był to ładny, ani bystrością umysłu odznaczający się człowiek, uchodził tylko za bardzo dla płci pięknej niebezpieczną znajomość. Jego karykiel codziennie zatrzymujący się przed kamienicą, w której mieszkała Malwina, więcej jej zaszkodził, niż wszyscy hrabiowie galicyjscy i eleganci warszawscy. Gdy się do tej sprawy niechęć zawistnej ciotki wmieszała, skończyło się na jakiejś gorszącej awanturze; dziadek na-

wet zmartwił się i oburzył, a pannę Malwinę do drugiej ciotki zamężnej na wieś wyprawił, pod zagrożeniem, że jeśli za mąż nie pójdzie, to jej ani w domu swoim, ani nawet w Warszawie widzieć nie chce.

I oto zjechała w okolice Mielinka do poczciwej pani Staszewskiej panna Malwina rozumna, panna Malwina utalentowana, panna Malwina wielkiego świata wychowanka, panna Malwina tą jedynie myślą zajęta, że koniecznie męża znaleźć musi, jeśli chce łaski dziadka i zachwianą towarzyską pozycję odzyskać.

Jednego dnia wuj Kazimierz nam oznajmił, że jedzie na imieninowe zebranie w sąsiedztwo, gdzie zapewne i pani Staszewska z córkami i z panną Malwiną będzie. Imię panny Malwiny już w Mielinku nieraz wspomniano około tego czasu.

— Ciekawą jestem — rzekła matka — co ty mi o niej powiesz.

Tego dnia wieczorem nic nie powiedział, bo zabawa się przedłużyła i wrócił dopiero nad ranem, ale przy obiedzie zapytany:

— A cóż panna Malwina?

Skrzywił się lekko i głową potrząsnął.

— Czyż panna Malwina niebardzo się w naszych stronach podoba? — zapytała babunia.

— Mnie się nie podobała, ale innym to i owszem; o ile zauważyć mogłem, ułożenie jej bardzo wykwiłtne, a jak prawić co zaczniesz, to jej tak gładko idzie, jakby z otwartej książki czytała.

— Czy też z nią rozmawiałeś osobiście?

— Broń Boże! — odparł wujaszek, udając wielce przestraszonego tem prostem przypuszczeniem swej siostry. — Piękniebym wyszedł! panna Malwina mówi biegle wszystkimi językami europejskimi, a ja, choć w woj-

sku francuskim służyłem, nie mogłem się nawet po francusku nauczyć; umiem tylko doskonale kłąć i wymyślać, ale jak się chcę grzecznie odezwać, to sama przecież wyśmiewasz mnie zaraz. Cóż zrobić? Duch święty odmówił mi tego daru, zapewne dlatego, abym ja, jako kapitan artylerji, nigdy z panną Malwiną nie rozmawiał.

Bo też rzeczywiście wcale nie lubił z damami rozmawiać. Dla matki naszej tak zawsze serdeczny, uprzejmy i pełen słodyczy, dla jej dzieci taki łagodny i wesoły, w towarzystwie tak zwanem dobrze wychowanych kobiet nudził się okropnie, milczał zwykle jak ryba, albo szorstko pomrukiwał, jak uciekły z kniei niedźwiadek. Tak niestety! niema doskonałości na świecie i dowiedziałam się później, że mój kochany wujaszek Kazimierz nie był także doskonałym. Co gorsza, prosty niby topola nadwiślańska, wzrostem wybujały fizycznie, był moralnie nader ułomnym człowiekiem. W gronie dobrych koleżków, przy piwie, fajkach i kartach czas mu najlepiej schodził. Nie zaniedbywał on dlatego gospodarstwa, nie trwonił majątku, okazji do hulanek nie szukał, a choć grał namiętnie, nigdy więcej nad to, co ściśle do niego należało, nie przegrał. Musiała to już być poprawna nieco natura dziadkowa. Dziadek nie mógł się obejść bez gwaru, szumu i wszelkich podniecających próżniacze życie środków; wuj Kazimierz tylko, gdy je spotkał na swej drodze, to ich pełną piersią używał. Były to chwile studenckiej rekreacji dla niego; zapewne milej byłoby mi teraz napisać, że chwil takich w jego życiu poważnem, miłością rodzinną wypełnionem, śladu żadnego niktby nie dopatrzył, ale cóż! prawda przedewszystkiem. Na pociechę to mogę zaświadczyć przynajmniej, że jakkolwiek w rekreacji się lubował, jeszcze mu zdolności i człowieczeństwa

starczyło, by dnie świąteczne lub uroczyste inną radością obchodzić.

Może wpływ kobiecy byłby dał lepszy postępowaniu jego kierunku, ale jak dziś miarkuję, w całym otoczeniu jego, w ogólnym nawet sądzie towarzyskim, nie było pod tym względem dość surowych wymagań. Skutkiem tradycji rodzinnej, oswajano się z wielu nadużyciami tych panów. Nawet matka nasza, tak szanująca wierność i żadną pokątną miłością nieskalane serce swego męża, dla błędów brata miała obojętną prawie pobłażliwość. Raz pamiętam, gdyśmy z Józkiem po dziedzińcu biegali, z przeciwległej oficyny wyszła kobieta jakaś po wiejsku, ale bardzo ładnie ubrana, stanęła na przyźbie, obejrzała się dokoła i zaczęła wołać:

— Antoś! Antoś!

Z za węgła domu wytoczył się wtedy tłusty trzechletni chłopaczek w białej koszulce, czerwoną krajką przepasany, z jasnym jak len włosem, z wielkimi błękitnymi oczami.

— Patrz — szepnął mi braciszek do ucha — Wojtuś powiada, że ten chłopiec to nasz krewniak — a gdy ujrzał zdziwienie na mej twarzy, dodał pośpiesznie: — tylko o tem głośno mówić nie trzeba, wujaszek mógłby się rozgniewać, a i Piotruś gotówby znów Wojtusia za uszy wytargać.

Stosując się do życzeń Józka, głośno o tem nie mówiłam przed nikim, ale pocichu zapytałam pierwej ciotki Rózi, która się uśmiechnęła i powiedziała tylko:

— Ej, co tam Wojtuś plecie; ty się w to nie mieszaj, co do ciebie nie należy.

Nie poprzestając na dobrej radzie, jeszcze ciszej prosiłam Marcyny, żeby mi wytłumaczyła, co to wszystko

znaczy; Marcyna także się uśmiechnęła, dodając z nastrojoną powagą:

— Fe, jaka to Napolcia ciekawa; grzeczne panienki nie powinny słuchać plotek i dopytywać się o rzeczy, których im starsi nie chcą powiedzieć.

Że Napolcia jednak była ciekawą, pomimo przygany Marcyny, więc dwa razy zbyta moralnemi przestrogi, po ostatecznym objaśnieniu do swojej mamy się udała; otóż mama, jak ciotka Różia, jak Marcyna uśmiechnęła się, lecz przypominam to sobie dobrze, i zarumieniła lekko.

— Nikt mi nie mówił dotychczas o tem pokrewieństwie, moja Napolciu; może rodzice Antosia mają swoje powody, żeby się z tem ukrywać. Jakbyśmy się zaczęły wywiadywać, co oni za jedni, zapewno przykrośćby im to zrobiło, najlepiej więc tak milczeć, jak oni milczą, a czy krewni, czy niekrewni, czy z państwa, czy z chłopów rodem, to dla nas wszystko jedno, zawsze to bracia nasi, bo już cię uczyłam, Napolciu, że Bóg nam każe wszystkich ludzi za braci naszych uważać.

Słowa matki na ową chwilę zupełnie mnie zaspokoiliły, później dopiero ów jej uśmiech i rumieniec, gdy całą sprawę lepiej zrozumiałam, dał mi bardzo wiele do myślenia.

Matka nasza raz tylko, i to w początkach naszego przybycia, zapytała w mojej obecności wuja Kazimierza:

— Czy ty nigdy o ożenieniu nie pomyślisz, mój Kaziu?

— Spodziewam się, że mnie o to nie posądzasz — prędko wuj odpowiedział.

— Dlaczegożby nie? — rzekła znów matka poważnie — czy dlatego, że nas troje zjechało tutaj, sądzisz być obowiązkiem twoim...

— Co też ty wygadujesz, Tekluniu — przerwał wuj,

jedyną rękę swoją na szyję siostrze zarzucając; — daruj mi, lecz nic a nic o was trojgu nie myślałem, tylko że jestem kaleką, że mam czterdzieści lat zapasem, że mi brak towarzyskiego poloru i że młoda panienka, któraby mnie zawiele i zamało przyjęła, nie rokowałaby wcale dobrej i rozsądnej żony, a starej panny lub wdowy, choćby nawet rozsądną i dobrą była, jabym znów sobie nie życzył, ani ty nawet wmówiłyś we mnie nie potrafiła... — Głośny śmiech zawtórował ostatnim słowom, a potem przez kilka dni jeszcze wujaszek z mamy żartował, że, jak wszystkie kumoszki, każdego swataćby rada, że dla każdej znajomej i dla każdego znajomego ma parę dobraną i koniecznie chciał wiedzieć, czy jemu pani Glinickiej nie przeznaczyla w swojej wyobraźni.

Oh! gdyby panią Glinicką był dostał biedny nasz wujaszek!...

Babunia nasza jednak nadzwyczaj pragnęła, żeby wuj Kazimierz się ożenił. Przy każdej sposobności, czy w złym, czy w dobrym była humorze, żartem lub serjo, chwając i łając, zawsze powtarzała toż samo:

— Powinieneś się ożenić; najlepiej zrobisz, jeśli się ożenisz; koniecznie trzeba, żebyś się ożenił.

My z Józiem takeśmy się tych słów osłuchali, że nam się zapowiedzią czegoś nieuniknionego zdawały. Nieraz tworzyliśmy różne domysły o przyszłej wujence naszej, jak to ona będzie piękna, dobra, jak nas będzie kochała, jak bawiła się z nami, o! pewno nie tak, jak ciocia Joasia. Wujenki nic a nic nie będziemy się bali, śmiało wszystko jej powiemy; żona wuja Kazimierza, to naturalnie będzie drugi wuj Kazimierz, częściej w domu siedzący, więcej mający czasu, by się nami zając, by z mamą o dawnych wspomnieniach i o naszej przyszłości gawędzić, słowem wuj Kazimierz-kobieta.

Tymczasem przypadło nowe jakieś w okolicy zebranie, bodaj czy nie imieniny samej pani Staszewskiej; wszyscy ją bardzo lubili i szanowali, bo rzeczywiście skromna, cicha, mężem, dwoma córkami i domem wyłącznie zajęta kobieta zasługiwała na to. Zapowiadano też bliskie zaręczyny jednej z panien Staszewskich, mówiono o konkurencie już dla drugiej gotowym, lecz panny *Malwiny* z żadnym jeszcze poważnego wielbiciela nie łączono nazwiskiem. Wszyscy chwalili, podziwiali, nikt się starać o nią nie zaczynał. A tu kilka miesięcy od jej przybycia z Warszawy upłynęło; strach, co to będzie dalej! Kuzynki młodsze zamąż wychodzą, ciotka mniej gości przyjmować będzie, powrót do Warszawy w nieokreśloną przyszłość się usunie. W tak rozpaczliwym położeniu drobna okoliczność uwagę jej na wuja Kazimierza zwróciła. Jestem pewna, że przy jego anty-salonowym usposobieniu nigdyby może do bliższej znajomości między nimi nie przyszło; onaby rej wiodła w anglezie lub mazurze, onby rej wiódł między zgromadzonymi w jakimś dalszym pokoju mężczyznami; onaby grała na fortepianie, onby grał na zielonym stoliku w sztosia lub faraona. Na nieszczęście ktoś plotkę zrobił i doszło to uszu panny Malwiny, że kapitan Kaliński wielką ją panią nazwał i bez ogródki powiedział, że mu się nie podobala. A toć sto innych kobiet w podobnym zdarzeniu czułoby się zdrażnięciami w swojej miłości własnej! tylko z owych sto dziewięćdziesiąt dziewięć starałoby się dowieść panu Kalińskiemu, że wcale o jego zdanie i sądy nie dbają, co nawzajem pan Kaliński uważałby za rzecz arcy-słuszną i sprawiedliwą. Panna Malwina przeciwnie. W głębi duszy nic a nic ją to nie obeszło, że jakiś wiarus obozowy mówił czy nie mówił o niej; że jej to przecież dość zabawnem się wydało, postanowiła sobie, przy pierwszym

lepszem spotkaniu, dalszej rozrywki wysnuć stąd wątek. Jak się wzięła do tego, nie wiem, ale to wiem, że kiedy według zwyczaju przyszło do pytań i opowiadań po powrocie z zabawy, wuj Kazimierz daleko już przychylniej wyrażał się o pannie Malwinie.

— To wcale przyjemna osoba — mówił — przekonałem się, że nietylko o książkach i hrabiach, lecz nawet o kampanjach Napoleona ma coś do powiedzenia. Jak mnie o Możajsk zaczęła, to ile razy chciałem jej szczegół jaki objaśnić lub wytłumaczyć, zawsze się pokazało, że tak wie wszystko dokładnie, jak gdyby tam na miejscu była.

— Skądże wam przyszło tak blisko się zaznajomić, by aż o Możajsku rozprawiać? — zapytała nasza matka.

— Stąd, że panna Malwina obligowała Franusia, aby mnie do niej przyprowadził; nie miałem wielkiej ochoty, no cóż, odmawiać nie wypadało — szedłem jak na ściecie, aż tu panna Malwina zaczyna od przeproszeń, że miłsze pewnie przerwała mi zajęcie, ale dowiedziawszy się, w jakiej bitwie rękę straciłem, chciała nietylko mnie poznać, jako świadka tylu wielkich i bohaterskich wypadków, upstrzyła to w różne słówka miodowe, że się mimowolnie mocniej od polnego maku zarumieniłem — lecz pragnęła jeszcze dowiedzieć się, czy też przypadkiem nie znałem Juljana Zaręby, który właśnie pod Możajkiem zginął. Ona jest z matką jego w dość bliskich stosunkach, a i samego Juljana przypominała sobie, jak ją małą dziewczynką na ręku nosił i szlifami swojemi bawił. Toć musiałem przyznać się, żeśmy z Juljanem w bardzo serdecznej żyli komitywie, nic więcej jednak nie mogłem powiedzieć. Nawet o jego śmierci sam niewiele co słyszałem; mnie już w Pasarzewie kartacz rękę zdruzgotał, Juljana przy zdobywaniu dominujących

pod lasem bateryj szczęśliwiej, bo odrazu i prosto w piersi kula ugodziła. Panna Malwina natychmiast się domyśliła, że to pewnie w tem samym starciu, w którym rosyjski generał Tuczek poległ. — A tak, przyświadczyłem, w tem samym, z obu stron dzielni ludzie padali. — Więc mię zaczęła pytać znowu, kiedy po raz ostatni z Juljanem się widziałem, jakiego on był usposobienia i humoru, czy koledzy bardzo go lubili; a te wszystkie szczegóły zbierała dla jego matki, dla której w nieszczęściu jedyną pociechą być mogły. Od słówka do słówka, rozgadałem się jakoś o tym poczciwym chłopaku, bo rzeczywiście wyborny z niego był towarzysz; nikt lepiej nie umiał zmyszkować, gdzie są najpiękniejsze dziewczęta i najlepsze siano dla koni. Jużćić tej jego zasługi pannie Malwinie nie wspominałem; mówiłem jedynie, że miał ogromne szczęście do ludzi, że był wesoły jak ptaszek na wiosnę, że nikt dowcipniej nie potrafił żartobliwym słówkiem zażegnać szemrania głodnych wiarusów naszych i rozpogodzić czoła wielu sztabowemi niesprawiedliwościami zniechęconej starszyny.

Wujaszek przytoczył tu kilka anegdotek, z tem zastrzeżeniem, że ich pannie Malwinie nie opowiadał, więc ja też opowiedzieć ich nie mogę, chyba tę jedną o krzyżu, kiedy pominętemu w rozdawnictwie nagród kapitanowi tłumaczył, z jaką dumą będzie mógł kiedyś oddać sobie tę sprawiedliwość, że nigdy żaden z wrogów krzyża tego nie widział. Wujaszek raz tylko zapamiętał tego trzpiota Juljana w poważniejszym nastroju; zdarzyło się to właśnie na dwa dni przed bitwą możajską. Siedzieli koło siebie i baraszkowali przy biwakowem ognisku, wtem Juljan zamilkł, głowę na ręce opuścił i długo tak ją trzymał, ani słówka nie mówiąc. Wujaszkowski się zdawało,

że usnął. Nagle wznosił czoło, kilka razy ręką je przetarł i rzekł wreszcie:

— Dziwna rzecz, skąd mi się to wzięło; zupełnie o czem innem myślałem, aż tu niespodziewanie w oczach mi stanął nasz dworek podlaski, wapnem bielone pokoiki, płócienką poobijane sprzęty, i samego siebie ujrzałem, jak małem chłopięciem za matką po wszystkich kątach się włóczę. Wszystkie chwile lat owych tak dalekich do pamięci mi wróciły; patrzyłem na próg, przez który zwykle upadałem, na kubek kryształowy, który kiedyś rozbiłem, na krzesło, co mi w zabawach konia zastępowało, rozpoznawałem kolor ciemno-wisniowy sukni matczynej, jej uśmiech, gdy mnie łajała; ot, wiesz kolego, co to znaczy? — to znaczy, że ja już nigdy matki nie zobaczę.

Wujowi także miękko trochę na sercu się zrobiło.

— Nie my pierwsi i nie my ostatni zapewne, co pożegnanych witać już nie będziemy. Zwyczajny to los na wojnie — powiedział tylko dla uspokojenia Juljana, a rzeczywiście jego samego w tej chwili nieznaną pierwej niespokojność ogarnęła. Nazajutrz było wiele do roboty, zapomnieli smutnego wrażenia, które jednak trzeci dzień usprawiedliwił w różnym stopniu dla obojgu.

Tę historję złego a trafego przeczucia, to już wuj Kazimierz w całości panie Malwinie opowiedział.

— Dziewczyna widać dobre serce mieć musi; ze łzami w oczach mię słuchała — dodał wkońcu obszerniejszego niż kiedykolwiek ze swych odwiedzin sprawozdania.

Potem przez czas jakiś sam nic o panie Malwinie nam nie mówił, ale raz po raz któryś z sąsiadów przybywających do Mielinka ze znaczącym uśmiechem uwiadamiał nas o coraz świetniejszych powodzeniach salonowych pana Kalińskiego, o względach, jakie mu ciągle panna

Malwina okazuje. Ato nie chciała tańczyć, żeby dłużej z panem Kalińskim rozmawiać; a to o zaśpiewanie proszona do niego się zwróciła, by wiedzieć, jakie piosenki najlepiej lubi; a to znów na jego intencję zagrała arcydzieło imitacyjnej sztuki, utwór bardzo podówczas ceniony, pod tytułem: „La bataille“. Słyszałam ja go później, zachwycałam się nim wraz z innymi, bo proszę sobie wyobrazić tylko kaskady akordów, oktaw, gam chromatycznych, ręce na krzyż przekładane, wszystkie pedały w ruchu, nie wyłączając tak zwanej janczarskiej muzyki; byle trochę dobrej woli, słyszało się huk armat, bum, bum, bum — tętent koni galop, galop, galop — minorowy jęk rannych; — śliczne to było. Zenitem moich życzeń artystycznych, na lat kilka przynajmniej, stała się owa batalja panny Malwiny. Gdybym, o gdybym ja kiedy ją zagrać mogła! Lecz cóż to są ludzkie życzenia, przyszły chwile, w których byłabym mogła, a nie zagrałam jednak!

Wuj Kazimierz pierwsze moje gusta podzielał; według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie byłby żadnej symfonji Beethovena z otwartemi oczyma dosłuchał; batalji słuchiwał zawsze z wielką przyjemnością, od początku do końca, słuchiwał póty, póki się samej grającej nie sprzykrzyła.

Ale co tu dłużej omawiać! Panna Stopkowska rozważyla to sobie, że Kalińscy, choć już nie tak bogaci, zawsze jednak do najznacniejszych rodzin w okolicy zaliczanymi byli, że pan Kazimierz, choć niemłody, niemówiący po francusku, nosił tytuł dziedzica Mielinka, że prócz tego miał bardzo uzasadnioną nadzieję wygrać sławny proces, w którym o miljony chodziło, jedno więc z drugim biorąc, przy zupełnym braku świetniejszych widoków, i tym nieświetnym zadowolić się postanowiła.

Takiej światowej, przebiegłej, wykształconej osobie nie-trudno było prostodusznego wojaka zbałamucić. Więc go też zbałamuciła; nie bez przyczyny używam tego wyrażenia; jak inni, tak i wujaszek nie pokochał się w pannie Malwinie, lecz dał jej się zbałamucić. Pochlebiało to jego miłości własnej, że go wśród innych wyróżnia, za dobrą monetę przyjmował jej piękne słówka o bohaterach świeżo rozegranej epopei, jej rozczulenia nad losem poległych i zawiedzionych, ale to jeszcze miłością nie było. Dopiero gdy na nieszczęście jeden z sąsiadów dał się słyszeć, że taka panna Stopkowska nigdyby za takiego pana Kalińskiego nie poszła, on się poczuł w honorze swoim obywatelskim i kapitańskim dotknięty. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie; a cóż to, on, oficer wielkiej armji, gospodarz na dziedzicznym kawałku ziemi, ma być niższym od jakiejś warszawianki, córki bankruta, dlatego, że u wielkich pań na balach bywała i po francusku szczeniobocze? Otóż ludzie się przekonają, czy jej nie dostanie, jak tylko szczerze o tem pomyśli.

Tylko szczerze pomyśleć niełatwo mu było przez czas jakiś. Miał obowiązki względem matki, którą za rzeczywistą właścicielkę pozostałego majątku uważał, miał obowiązki względem siostry, którą sam sprowadził i przez całe życie u siebie zatrzymać byłby pragnął. Bił się z myślami, zastanawiał, kombinował, tworzył różne projekta o wzięciu na swoje imię osobnej dzierżawy. A tymczasem panna Malwina ciągle się roztkliwiała nad jego szczęściem rodzinnem, nad poważną i czerstwą starością jego matki, nad wdziękiem i szlachetnem ułożeniem tej zachwycającej, kochanej pani Hołosko, nad grzecnością i dowcipem tych dwojga jej dzieciak milutkich, aż na-koniec w złej godzinie wymusiła na wuju naszym to stanowcze zapytanie:

— Czy istotnie pani się zdaje, że mogłaby wśród nas być szczęśliwą?

— A pan czy istotnie powątpiewać o tem możesz? — odrzekła panna Malwina, rumieniając się i oczy spuszcza-
jąc, według wszelkich na podobną okoliczność przepisów.

Wuj Kazimierz mógł na tych słowach poprzestać, ale że to był człowiek bardzo prawy, a niebardzo pewny siebie, chciał więc tę kwestję jeszcze jaśniej przed sobą i przed panną Malwiną postawić.

— Mam prawo wątpić — zaczął trochę drżącym, a ciągnął dalej coraz pewniejszym i spokojniejszym głosem; — jestem znacznie starszym od pani, chowałem się na dobrego żołnierza i byłem dobrym żołnierzem, ale nie chowałem się na przyjemnego w towarzystwie, na biegłego w literaturze, w naukach lub sztukach pięknych, i takim nigdy nie będę. Pani byłaś na wielkim świecie, przyzwyczaiłaś się do wygod, zbytków i świetności, których w naszym, cichem kółeczku zawsze brakować ci będzie. Znajdziesz serca poczciwe, kochające, ale nie znajdziesz tego, co może więcej upodobaniom twoim odpowiada i więcej szczęścia zapewnić ci jest zdolne.

Panna Malwina wzniosła na te słowa oczy swoje łzami niespłakanemi opłynięte i zatrzymując je na szczerych jak prawda oczach pana Kazimierza, zaczęła mu prawić o sieroctwie swoim, o tem, że prócz dziadka trochę zniechęconego, nikt jej nie kocha, rodzony ojciec nie dbał o nią, ciotka, przy której się wychowała, była tylko współzawodniczką łaski dziadka, była prześladowczynią jej dzieciństwa, zazdrosnym szpiegiem jej młodego wieku, a państwo Staszewscy dobrzy są dla niej, gościnni, lecz obojętni — co ona ich obchodzi! a te dwie siostry cioteczne, miłe dziewczątka, to jednak czuje w nich pewną niechęć ku sobie, pewne uprzedzenie za

to, że wyższą od nich edukację przyjęła. Ach ta edukacja nieszczęśliwa, iluż to jej narobiła nieprzyjaciól! czemże jednak miała sobie życie zapełnić, czem brak wszelkich uczuć rodzinnych wynagrodzić?...

Wuj Kazimierz uwierzył każdemu słowu; nazajutrz prosił swej matki, żeby pojechała uroczyście go państwu Staszewskim oświadczyć, sam list z prośbą o rękę wnuczki do dziadka napisał i nic o żadnych zmianach w urządzeniu domowem nie myślał, tak był pewny, że panna Malwina za tem jedynie tęskni, by się z gromadką jego ukończonych połączyć. Kiedy mu nasza mama uwagi swoje w tym względzie czyniła i niemożliwość takiego wspólnego osadnictwa przedstawiała, nawet mówić sobie o tem nie dał; dowodził, że gdyby nie miał matki i siostry z dwojgiem dzieci obok siebie, toby panna Malwina nigdy za niego nie poszła.

Istotnie, sam był o tem mocno przekonany. Babuni jednak i naszej mamy przekonać nie mógł. Obydwie się cieszyły jego ożenieniem, ale do narzeczonej nie czuły jaćkość dość serdecznego pociągu. Pierwsza z nich, zaraz po powrocie od państwa Staszewskich z pomyślną odpowiedzią, wezwała córkę i syna do narady i gotowy dalszego układu plan im przedstawiła.

— Ty z żoną zostaniesz w Mielinku; ja z Teklunią zamieszkać w Warszawie; sam wiesz najlepiej o tem, że Teklunia nie odebrała równego z Joasią posagu; teraz, gdy głów do podziału ubyło, jednej i drugiej więcejby się może należało, ale to już między sobą po mojej śmierci rozpatrzyć; teraz chcę tylko dla Tekluni sumę trzydziestu tysięcy na Mielinku zabezpieczyć. Póki nie będziesz mógł jej zebrać, póty siostrze tysiąc pięćset złotych płacić będziesz. Ja z mojego dożywocia ustąpię i zawaruję sobie tylko trzy tysiące rocznego dochodu.

— Ależ, matko — chciał przerwać wuj Kazimierz. Babunia na to nie pozwoliła i dalej rzecz ciągnęła.

— Trzeba dom cały odświeżyć niewykwintnie, ale dostatnio. Panna Stopkowska nie ma prawa książęcych ani hrabiowskich od ciebie domagać się komnat, lecz ty nawzajem nie masz prawa na stare śmieci ją wprowadzać. Ileż jest w kasie gotówki?

Wuja Kazimierza bardzo zafrasowało to pytanie. W kasie było coś około sześciu tysięcy, lecz te, według jego sumiennych rachunków, do ogólnego gospodarstwa, do matki i siostry należały. Własną część swoją na zwykłe kawalerskie wydatki obrócił. Nagle cały ogrom nowych potrzeb przed oczyma mu stanął. W tej chwili chętnie byłby się zrzekł wszelkich do ręki panny Malwiny pretensyj; kto wie, gdyby się sprawa zahaczyła na wczorajszych czułościach, możeby się i cofnął; nie uważano tego wówczas za przeciwne honorowi mężczyzny, owszem, jeden z najlepszych jego przyjaciół nieraz się z tem przechwalał, że sześć razy był zaręczony, a za siódmym dopiero w stanie małżeńskim odpoczął.

Wujowi i wszystkim wuja kolegom zdawało się to chlubnem świadectwem wesołej fantazji, dowcipu i szczęścia do kobiet, ale tutaj rzeczy inaczej stanęły; matka powagą swoją oświadczyły jego uświęciła, wuj bardzo matkę szanował, niepodobna mu było lekkomyślnem zerwaniem na zarzut współuczestnictwa ją narazić. Chciał czy nie chciał, żenić się musiał; ale czyż te zmiany są nieodzowne? Panna Malwina przecież ręczyła mu, że się bez nich obejdzie. W kłopotcie swoim raz jeszcze próbował jej własnymi słowami się zastłonić:

— Nie, matko — rzekł więc po chwili dłuższego namysłu — nie zgadzam się wcale na twoje projekta; powiedziałem Malwinie, że jeśli mnie chce przyjąć, to koniecz-

nie matkę i siostrę musi przyjąć wraz ze mną. Malwina wcale tego odemnie nie wymaga. — „Będzie nam dobrze wszystkim razem“ — powiedziała mu przecież; jeśli zmieniła zdanie, to ja także postanowienie swoje zmienię, tylko że wiem z pewnością, iż do tego nie przyjdzie, nigdy nie przyjdzie — ona was tak ceni, tak kocha, tak pragnie ciągle żyć z wami! Słyszałem z ust jej własnych...

— Ot, głupstwa acan pleciesz — surowo odezwała się babunia; — kiedy pannie chce się iść zamąż, to na wszystkie warunki kawalera przystać gotowa, ale jak zamąż pójdzie, inną piosnkę wnet śpiewać zaczyna; toż i mnie wczoraj nagadała; „że nam wszystkim razem dobrze z sobą będzie, a *chociaż ciasno*, postara się o to, żebyśmy jedna drugiej nie przeszkadzały“; tymczasem wie ona doskonale, że gdzie ciasno, a trzy kobiety na jednym miejscu siedzą, tam zawsze jedna drugiej przeszkadzać musi i acanbyś się tego po ślubie dowiedział, z wielką dla siebie i dla nas konfuzją, gdybym ja za acana rozumu nie miała.

Zmiarkował wuj Kazimierz, że kiedy acan do dyskursu się wmieszał, to już powziętego zamiaru choćby w dziesięć par wołów matce z głowy nie wyciągnie; cicho zatem zachmurzony siedział i od czasu do czasu tylko za wąsy się targał. Nic na to nie zważając, babunia nasza zaczęte rozporządzenia kończyła:

— W kasie powiadasz, jest blisko sześć tysięcy, toć powinno wystarczyć na meble i kuchenne sprzęty, których dokupić trzeba, bo przecież i my z sobą część dziś będących w użytku zabierzemy do Warszawy; powóz mój nieźle jeszcze wygląda, trzeba go jednak odnowić, przemalować, trzeba i koniom nową uprząż sprawić, trzeba i twoją własną garderobę podopełniać i do mody zastosować, trzeba o podarkach ślubnych pomyśleć. Na

to wszystko dostaniesz odemnie dwieście dukatów, radź z tem sobie jak możesz, a nie kłopotcz się o koszta naszego przesiedlenia do Warszawy, bo te ja biorę na siebie.

Wuj Kazimierz widział, że istotnie matka czyni, co może, a nawet trochę więcej, niż może, dla niego. Było to rzeczą tak niezwykłą przy jej bezświadomym egoizmie, że dziś ja sama tego wytłumaczyć sobie nie umiem; gdyby wuj Kazimierz do ulubieńców należał, to jeszcze mniejby mi się dziwnem zdawało, ale go zawsze do obojętnych liczono. Czy więcej go ukochała, kiedy sam jeden z czterech synów jej został, czy tak gorąco pragnęła związku, który miał imię rodowe Kalińskich utrwalić, czy panna Stopkowska swoją rezygnacją na ciasnotę, swoją gotowością na obywanie się bez wygod, do których ją przyzwyczajono, swoimi półsłówkami o chęci poświęcenia się dla tak zacnej rodziny jej miłość własną zadrażniła, trudno to sprawiedliwie rozsądzić; dość, że w całym układzie babunia przedewszystkiem o ułatwieniu życia nowo kojarzącej się pary myślała, nawet Teklunię trochę na bok z uwagi spuściła. Cóż dziwnego, że innych zapomniała zupełnie; ale Teklunia nie zapomniała o nikim z ukochanych swoich.

— A cóż z ciotką Rózią się stanie? — zapytała babuni.

Babunia lekko się zarumieniła, gdyż istotnie, wśród daleko sięgających planów o tej jednej krewnej, od lat młodości prawie najczynniejszej pomocnicy swojej, w ciężkich przejściach najwierniejszej swojej towarzysze, o tej nie pomyślała wcale.

— Ciotka Różia — rzekła, jękając się trochę — ciotka Różia... zapewne przy szwagrze lub przy której z zamężnych siostrzenic osiedzie; my tu wszyscy, jak je-

steśmy, postaramy się o to, żeby jej na przyzwoite utrzymanie nigdy nie zabrakło.

— Co tego, to już zanadto! Matka wyjeżdża, siostra wyjeżdża, jeszcze mi chcecie i ciotkę Rózię odebrać! co ja bym tu robił sam jeden pomiędzy obcemi twarzami... Panna Malwina nie będzie mi obcą — poprawił się dość prędko — ależ i dla niej trzeba kogoś starszego, coby jej pomagał w zarządzie domowym, coby ją w razie choroby lub mego oddalenia kobiecą jakąś opieką otaczał

— Trzeba wiedzieć jednak — półgłosem wtrąciła nasza matka — czy to się z życzeniami ciotki Rózi zgadzać będzie.

— Choćbym jej miał plackiem do nóg upaść, to upadnę, a nie puszcze.

I tak się też stało. Wujaszek prosił, po rękach całował, plackiem do nóg nie padł, ale w długiej gawędzie o swoim położeniu, on, co bez krzyku dał sobie rękę amputować, jak bóbr się rozplakał i ciotka Różia przyrzekła, że go nie opuści.

Teraz jednak warto wspomnieć, jakie wrażenie na Józiu i na mnie przyszła nasza wujenka zrobiła. Z początku wcaleśmy na nią żadnej nie zwracali uwagi; była parę razy z wizytą w towarzystwie państwa Staszewskich, była pono i na tem sławnem okrężnem, które między mną a Magdeczką taki przyjazny zawiązało stosunek, aleśmy wtedy zupełnie czem innem byli zajęci, goście starszych państwa nic nas nie obchodzili, nie wiedzieliśmy nawet, jak wyglądają. Dopiero gdy raz mama zaczęła się na wizytę z nami wybierać, ogromnie nas to zdziwiło, bo mama pierwej nigdzie z domu się nie ruszyła.

— Co to znaczy? — pytaliśmy ciekawie.

Mama powiedziała, że jedziemy w odwiedziny do przyszłej wujenki naszej.

— Jakiej wujenki?

— Panny Malwiny Stopkowskiej.

Jakże innemi oczami przy powitaniu na tę pannę Malwinę się spojrzę!

Była dla nas zadziwiająco uprzejmą i łaskawą, bawiła się z nami, wszystko niby według naszego programu, a wszystko przecież inaczej. Chciała koniecznie, żebyśmy kozaka tańczyli; pokazała Józiovi, jak ma nogę od nogi odbijać, pokazała i mnie, jak z kolei przytupywać, naprzód iść i cofać się, jak chusteczkę, zamiast fartuszka, przewiazaną w rękach trzymać powinnam, ale to wszystko nie na wiele się zdało. Jeszcze Józio dość zręcznie się z zadania swego uścił, lecz ze mną panna Malwina rady sobie dać nie mogła. Niezgrabny był ze mnie pienuśzek i tylko z moją Magdeczką w kółko na jednym miejscu kręcić się umiałam. Co mnie panna Malwina ustawi i po danej instrukcji sama do fortepianu wróci, to ja zaraz w prawo, w lewo, naprzód biegnę i tylko Józiovi przeskadzam; panna Malwina jednak wiele miłości własnej przywiązywała do swojego nauczycielskiego talentu, a w owym dniu tembardziej, bo przed matką i przed wujaszkiem popisać się z nim chciała. Nieudolność moja większa atoli była od jej najlepszych chęci: ani karmelki, ani żadne objaśnienia i kierowania požądanego nie osiągnęły celu. W końcu dała za wygraną i stawiając mnie naprzeciw mego braciszka, z uśmiechem zapytała:

— No, maleńka, czy potrafisz przynajmniej stać na miejscu tu, na tym kwadraciku z posadzki i nie ruszać się nigdzie, tylko raz jedną, drugi raz drugą nogę podnosić i mocno za każdym razem o siebie uderzać?

— O potrafię, potrafię — z głębokim przekonaniem odrzekłam, co tembardziej, jak się zdaje, pannę

Malwinę rozśmieszyło, bo jak srebrny dzwoneczek, zabrzmiał głos jej wesoły z temi słowami w przydatku:

— Jaka to wyborna, nieoszacowana dziewczynka!

Istotnie, zaczęło mi się wieść wcale nieźle, tupałam z zapałem — ale cóż? trzewiczki moje były nowe, a posadzka tak gładko woskiem pociągnięta, że nagle w ważnej chwili Józiowego triumfu pośliznęłam się i na nos upadłam. Mama nasza była już z takimi zdarzeniami doskonale oswojona, spokojnie zostawiała nas własnemu przemysłowi, póki się jakieś ważniejsze uszkodzenie nie zdarzyło. Może ta jej spokojność zahartowała nas trochę, bo rzadko kiedy płakaliśmy po dość mocnych rozbiciach nawet. Józio, dziewięcioletni chłopiec, trzymał się ostro przez ambicję — ja, podobno przez brak wrażliwości, łatwiej ból wszelki wytrzymać mogłam, bo rzeczywiście mniej mnie wszystko niż Józia bolało. Zapewne i tego dnia byłabym się z cichem męstwem podniosła, gdyby nie to, że mi panna Malwina na pomoc przybyła. Usłyszawszy łoskot ogromny, zerwała się od fortepianu i tak szybko w objęcia swoje mnie pochwyciła, że nie miałam czasu o własnej sile na nogach stanąć; nie wiem czemu jednak, ratunek więcej mnie przestraszył, niż uspokoił. W pierwszym dotknięciu i w pierwszym spojrzeniu panny Malwiny było coś takiego, co mnie silniej od stłuczonego nosa raziło; dosłyszałam też, jak przez zaciśnięte zęby szepnęła jakieś słowo, które mię narazie do głębi serca ubodło i ogromnie zaciekawiło. Tak często je później z ust jej słyszałam, że z pewnością mogę ręczyć, iż to było poprostu:

— Insupportable

Ale wtedy zdawało mi się czemś okropnem; czułam, że musi być z francuskiego wzięte, że nieprzychylnie było wyrzeczone,

Głośno jednak płynęły słowa pieśczośliwie, utalające.

— Moje biedactwo! moje kochanie! czy bardzo się rozbiłaś? O! jaki nosek czerwony, trzeba zimnej wody przyłożyć. Panie Kazimierzu, zadzwoń pan, niech Jacenty wody przyniesie.

Wszystko to przejęło mnie grozą jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa i rozkrzyczałam się na dobre. Panna Malwina raz jeszcze szepnęła to samo „insupportable“ i dopiero w ręce mamy mnie złożyła. Mama zaraz powiedziała, że mi nic nie będzie, ja też prędko temu zapewnieniu uwierzyłam, płakać przestałam — i tak się kozak zakończył. Wieczorem, gdyśmy do domu wracali, wujaszek wziął mnie na kolana i koniecznie chciał się odemnie dowiedzieć, jak mi się panna Malwina podobała? nie od razu przecież zaspokoił swoją ciekawość. Przycisnęłam się do niego i udawałam, że zasypiam, ale tak mi się zaczął sprzeciwiać, tak warkoczami po twarzy łechtać, aż do ostateczności przywiedziona, szczerze ale bardzo niegrzecznie zawołałam:

— Kiedy ona mi się nie podobała, wujaszku!

— A to dlaczego? — z pewnem zdziwieniem pytał mnie znowu.

— Taka była dobra dla ciebie, tak cię pieściła — dodała jeszcze mama głosem wyrzutu i upomnienia.

— Prawda — rzekłam — ale po francusku coś złego na mnie powiedziała.

— Skąd możesz wiedzieć, że coś złego, jeśli po francusku mówiła? — odezwał się wujaszek. — Wszakże ty jeszcze ani słówka w tym języku nie rozumiesz.

— Nie rozumiem — odparłam — ale wiem, że to musi być coś bardzo złego; jak się kiedyś nauczę, to wujaszka przekonam.

— Alboż ty pamiętasz nawet, co to było takiego?

— O! pamiętam...

Ale gdy powtórzyć chciałam, okazało się, że pamięć, na którą z taką pewnością liczyłam, zawiodła mnie trochę; kręciły mi się w ustach różne składowe sylaby, lecz do całości żadnym sposobem trafić nie mogłam.

Wujaszek i mama śmieli się tylko ze mnie, a ja byłam w rozpacz i przysięgam sobie w duchu, że się co prędzej po francusku nauczyć muszę. Kto wie, czy to nie było powodem, że przy pierwszej zdarzonej sposobności istotnie bardzo gorliwie, a więc i łatwo, przyswajałam sobie tę cudzoziemską mowę.

Józio zręcznie odemnie przeszedł wujowski egzamin, lub raczej uniknąć go potrafił. Nim się do niego z zapytaniem zwrócono, on pierwszy się wyrwał:

— Wujaszku, jak ta panna Malwina ślicznie tańczy, to jeszcze nic podobnego widzieć mi się nie zdarzyło!... a jakie ma śliczne nóżki! Jestem pewny, że na mnie jużby zamałe były jej czarne atlasowe trzewiki. Czy wujaszek uważał?

— Broń Boże! nie uważałem — z udaną odrzekł powagą.

— O! ja to uważałem — dobrodusznie pochwalił się Józio — szczególnie kiedy naprzeciw mnie stanęła i zaczęła Napolci pokazywać, jak to trzeba tańczyć, do prawdy myślałem, że mogłaby jej na chwilę tych drobnych swoich nóżek pożyczyć, a nie byłoby tak wielkiej między jednymi i drugimi różnicy.

Wujaszek poklepał Józia po głowie, żartował z trafności jego oka, a jednak utrzymywał, że dla jej sprawdzenia powinien koniecznie o pantofelek panny Stopkowskiej poprosić i przekonać się, czyby go mógł, czy nie mógł na własną nogę obuć.

Tego wieczora nie odrazu jakoś w mojem łóżecku na sen mi się zebrało; przewracałam się ciągle z boku na bok, gadałam sama do siebie, aż mama przyszła zapytać o przyczynę tej niespokojności. Przyznałam się, że mi wielki sekret na sercu ciąży.

— Cóż takiego?

— Ale mama nie powie nikomu?

— Przecież to mama nauczyła cię, Napolciu, że sekretów, które nam powierzają, nigdy się innym osobom nie wyjawia. Pamiętasz, jak to Józio w sekrecie mi się przyznał, że dla ciebie stoliczek i krzeselka robi? To też nic o tem nie wiedziałas aż do ostatniej chwili.

— Ja bo tylko chciałam się o coś mamy zapytać.

— Skądże ta nieśmiałość? Mówiłam ci tyle razy, że mnie właśnie o wszystko najpierwej pytać powinnaś.

— Ale bo to nie jest nic takiego.. takiego.. — szukałam wyrazu, coby jakąś pewną, naukową użyteczność oznaczał, lecz mama wnet zgadła co chciałam powiedzieć i raz jeszcze z przyciskiem powtórzyła:

— O wszystko, o wszystko pytać mnie trzeba, Napolciu, nietylko o takie, albo takie rzeczy...

Po długich korowodach, objąwszy matkę za szyję, szepnęłam jej do ucha:

— Oto moja mamo, niech mi mama powie: czy panna Malwina piękna, czy brzydka?

Wyobrażam dziś sobie, jak te słowa matkę zdziwić, rozśmieszyć i zakłopotać musiały, nic tego jednak na zewnątrz nie okazała; zwykłej gawędki głosem odrzekła mi, że to od gustu patrzących na nią osób zależy: jednym się wydaje piękną, drugim niepiękną może, ale wszyscy przyznają, że jest bardzo miłą, ładnie ułożoną i nadzwyczaj w towarzystwie przyjemną panienką, co też właśnie daleko więcej od piękności znaczy.

Moje pytanie jednak nie było tak dziwnem, jakby się z pozoru zdawać mogło: i wtedy i teraz nie podjęłabym się rozstrzygnąć pierwotnej mojej wątpliwości. Panna Malwina miała wszystkie dane na doskonałą piękność, ładu jedynie brakowało jej kształtom: doskonale piękne zosobna, niekorzystnie wydawały się w połączeniu. Gdyby ktoś z rumowisk starożytnych posągów układał na chybił trafił nową jakąś statwę, możeby mu wówczas coś podobnego do panny Malwiny się złożyło: na torsie Menady osadzona, z krótką szyją jakiejś rzymskiej imperatorowej głowa, do szeroko, choć płasko rozwiniętego biustu przyczepione ręce Galatei, i to wszystko razem wsparte na wpółdziecinnych nóżkach Hebe olimpijskiej. Koloryt gorsu śnieżnej białości, koloryt twarzy znacznie ciemniejszy. Włosy przytem niezupełnie blond, oczy niezupełnie czarne, rysy wydatne, surowo i poważnie zakreślone, a cały ich wyraz uśmiechnięty jak Naiwność, złagodzony jak Rozrzewnienie. Jeszcze w tej chwili, gdy to piszę, gotowabym powtórzyć moje zapytanie: czy panna Malwina piękną, czy brzydką była?

W kilkanaście lat później Józio mi tę kwestję rozsa-
dził:

— Panna Malwina była bardzo powabną, ale nasza wujenka była strasznie brzydką kobietą.

Od tych odwiedzin u państwa Staszewskich, następuje cały szereg zdarzeń i wypadków, które chociaż w pamięci luźne pozostawiły wspomnienia, żadnem wrażeniem jednak na treść mojego życia nie wpłynęły. Rozpoczęło się wysyłanie jednych, a sprowadzanie drugich sprzętów i mebli, malowanie pokoi, przenoszenie się do oficyny, gdzie już ładnie ubranej wieśniaczki, ani krewniaka Antosia nie było, słowem wszelkie przygotowania,

towarzyszące urządzeniu nowego domu dla nowo skojarzonej pary.

Ciotka Joasia na dwa dni przed ślubem z Warszawy przyjechała, mąż jej wymówił się listownie nawalem bardzo pilnych interesów. Dostałam od ciotki najpierw burę za to, że m się szkaradnie opaliła, a potem śliczną muślinową sukienkę z zakładkami, różową szarfę i różowe atlasowe trzewiczki. Józio nie uniknął też wymówki za swoje opóźnienie w naukach, choć Bogiem a prawdą, nie jego to było winą, lecz dość prędko się pocieszył aksamitną szafirową kurtką ze srebrnymi guzikami i parą białych, z kozacka przykrojonych majteczek.

Wogóle ciotka Joasia zdawała mi się, pomimo darów swoich, jeszcze surowszą i sztywniejszą, niż kiedykolwiek. Dowiedziałam się później, że ją o pannie Stopkowskiej niekorzystnie w Warszawie uprzedzono i martwiła się wyborem swego brata, choć nikomu się do tego przyznawała, bo zrywać już było zapóźno. Do państwa Staszewskich zjechała drugostronnie rodzina panny młodej. Dziadek, chudy, wysoki, lekko pochylony, z długim, jak mleko białym, na ramiona spadającym włosom. Ciotka, czterdziestoletnia panna, wysoka także, ale tłusta i z mocno czerwonymi na okrągłej twarzyczce rumieńcami. Oci cie wreszcie, to ciągle wszystkich bliższych swoich utrapienie, niski, pękaty, łysy, kosoooki, z krogulczym nosem, z siatką krwawych żyłek na policzkach i mocno ku przodowi wystającymi szczękami.

Wesele odbyło się dość cicho u państwa Staszewskich. Nazajutrz przeprowadziny daleko suciej i szumniej w Mielinku obchodzono. Babunia przez dwa dni tylko odpoczywała po tak niezwykłym w jej wieku utrudzeniu; trzeciego dnia jużemy się wszyscy wraz z cicią Joasią do Warszawy wybrali.

— Najcięższe było z ciotką Rózią rozstanie. Popłakaliśmy się wszyscy, ona sama najwięcej, szczególnie gdy się Tekluni swojej na szyję rzuciła, to się zdawało, że jej serce z żalu pęknie.

— Co ja tu bez was pocznę, nieszczęśliwa? — wśród łkania przerywanym głosem mówiła. — Wszystko ja-cyś obcy ludzie, a tacy dziwni, nieprzystępni. Pani Kazimierzowa już wczoraj wspominała, że chce sama całego gospodarstwa objąć kierunek; bardzo to grzecznie i przychylnie brzmiało w jej ustach; powiada, że ma prawo wytchnąć sobie po tylu latach pracy, zwłaszcza po ostatnim z kilku miesięcy zamęcie. Już ciż to w dobrej zapewne myśli ułożyła sobie, ale ja tu nie na spoczynek zostałam. Starsza pani także zajmowała się gospodarstwem, a pewno lepiej się znała na niem od wszystkich Warszawianek, przecie jednak i dla mnie znalazło się dosyć roboty. Jeszcze, dzięki Bogu, sił starczy, nie śpieszno mi do odpoczynku na łaskawym chlebie.

Matka i babunia zaręczały jej, że pani Kazimierzowa chciała jej tylko coś przyjemnego powiedzieć, bo już ma tę słabostkę, że wszystkim dokoła pragnęłaby wdzięczne i miłe zostawić po sobie wrażenie; lecz żeby ciotkę Rózię usunąć, żeby ją na łaskawym, czy niełaskawym chlebie trzymać — nie, tego nawet przypuszczać w jej najskrytszych intencjach nie można. Ciotka Joasia ramionami tylko ruszyła, słuchając tych upewnień.

— Jak ci tu będzie źle, moja Róziu, to wiesz przecie, że nie od dzisiaj bardzo szczerze cię prosiłam, abyś do mnie przyjechała na pomoc w moich kłopotach. Za pierwszym kaprysem młodej pani pisz coprędzej; ja natychmiast konie po ciebie wyprawię.

I uściskała bardzo serdecznie splakaną dawną družkę swoją.

Wszystko to mówiło się w oficynie, przy zbieraniu reszty woreczków, kobiałek i pudełeczek po pokojach, któreśmy tymczasowo zamieszkiwali.

Drugie uroczyste pożegnanie odbyło się w ganku, przede dworem. Tu już wuj Kazimierz z żoną ściskali nas i całowali, żalując, że odjeżdżamy, i dopytywali, kiedy przyjedziemy znowu, a byle prędko, a byle na długo. Wujaszek miał łzy w oczach, wujenka jak do modlitwy białe swoje rączki składała; któżby im tej nadziei odmówił! Obiecywała się babunia, obiecywała się mama; jedna jedynie ciotka Joasia ani słówkiem do ich obietnic się nie przyłączyła.

Godzi się też wspomnieć, że do Józia Wojtuś przyszedł z pożegnaniem, a do mnie przysła Magdeczka. Wojtuś mężnie się trzymał, lecz moja Magdeczka rzewnemi zalewała się łzami, a niezbyt czystą obcierając je ręką, za każdym razem widoczny ślad czarnego smutku zostawiała na swojej pulchnej, okrągłej jak bursztówka twarzyczce. Chciałam ją pocieszyć smacznym z migdałami obwarzankiem, który mi ciocia Rózia do kieszonki wsunęła, lecz nawet obwarzaneczek bezskutecznym się okazał. Zarzuciłam jej więc obie ręce na szyję, a całując i pieszcząc, szeptałam ciągle, że wrócę niezadługo, że jej z Warszawy piękną wstążeczkę przywiozę. Zgorszyła się temi czułościami pani Kazimierzowa.

— Ale dosyć już, dosyć! — wołała na mnie — sama się pobrudzisz o tego moruska.

Nadzwyczaj mię to przezwisko, do przyjaciółki mojej zastosowane, obraziło.

— Magdeczka nie jest moruskiem — odparłam z wielką powagą — morusek to moja krówka, trzecia z rzędu w oborze; ciocia Rózia mi ją darowała i przyrzekła, że o niej pamiętać będzie. Wujaszek przecież

słyszał o tem, a Magdeczka jest moją przyjaciółką, mama zawsze ją tak nazywa.

— No, nie gniewaj się, Napolciu — odezwał się wujaszek, z wesołym uśmiechem, do powozu mnie wsadzając. — Jeszcze wujencia Malcia nie obeznała się tu ze wszystkim i wzięła twoją Magdeczkę za moruska, bo jest w tej chwili z pozorów swego buziaka trochę do twojej krówki podobna; jak pozna tę ostatnią, już się mylić nie będzie. Ale, ale, zapomniałem najważniejszej rzeczy: toć muszę się dowiedzieć, czy mi zechcesz w pacht puścić Moruska, twego prawdziwego Moruska?

— I owszem, lecz tylko póty, póki tu sama nie wrócę.

— Ile żądasz kwartalnie?

O kwartalach nie miałam jeszcze jasnego pojęcia; nie troszcząc się jednak o to, stanowczo wyrzekłam, że chcę całego złotego.

— Patrzcie, jaka mądra dziewczyna — zażartował znowu wujaszek — cały złoty pieniądz, ma się rozumieć; targowałbym się z tobą, ale przy pożegnaniu jakoś nie wypada; więc dobrze, co kwartał złoty pieniądz odbierzesz — cały złoty...

Przechyliłam się jeszcze z całusem do wujaszka, ten drzwiczki od powozu zatrzasnął, furman biczem energicznie powietrze przeżegnał i ruszyliśmy za wrota.

We wsi jeszcze różne gromadki zatrzymywały nas po drodze z pokłonem i błogosławieństwem dla starszej pani, z życzliwym słowem dla ich kochanych panienek, bo po starym zwyczaju, córki babuni panienkami zwykle nazywali, a i dla nas, dla paniątek, serdecznych wyrażań nie brakło. Gospodarze łyzy mieli w oczach, kobiety głośnym płaczem zawodziły, babunia sama, choć sztywno i surowo się trzymająca, kilka razy nieznacznie

oczy obcierać musiała. Ciotka Joasia ścisnęła ręce dawnych znajomych swoich; mama nasza była bardzo bladą i wzruszoną, a każdemu, co do niej się zbliżył, drżącym głosem powtarzała:

— Daj nam Boże zobaczyć się prędko i szczęśliwie... ach! ja tak pragnę, żebym mogła witać się z wami jeszcze!

Wśród takich oznak żalu i przychylności, większa połowa mielinieckich włościan aż do krzyża za wsią nas zaprowadziła; tu jeszcze krótki przystanek, powtórne szczerych uczuć wynurzenie, kilka łkań głosniejszych i nakoniec czwórka ślubnych wuja Kazimierza rumaków z kopyta naprzód ruszyła po lekko piaszczystym gościńcu. Ogromny tuman kurzu wzniósł się dokoła i przed oczyma naszymi znikł krzyż, znikła gromadka żegnających, znikł cichy, piękny Mielinek.

.

Na drugi dzień ku wieczorowi ukazała nam się Warszawa. Czas był łagodny, powietrze czyste, niebo roz pogodzone, a słońce poza nami coraz niżej na horyzoncie się osuwając, ostatnie jaskrawo żółte blaski swoje rzucało na długą, nierówną linię murów i dachów i w górę wybiegających wieżyc kościelnych. Gdziegdzie szklane okna odstrzelały niby płomieniem pożaru, gdziegdzie krzyż wysoko ponad ziemię wzniesiony metalicznym światłem zamigotał; lecz i nad wszystkimi blaskami ciążyła chmura jakaś gęsta, ciemna jak ogromna wstęga żałoby, z końca w koniec nad wielkiem miastem rozciągnięta. Zbijały się w nią, jak zwykle nad każdym zbiorowiskiem ludzi, wszystkie dymy, sadze, kurzawy, pary i wyziewy codziennego życia. Nie tłumaczyłam sobie wtedy owego zjawiska, nie pytałam nawet o jego przy-

czynę, tylko nagle głęboki smutek mnie ogarnął. Przez całą drogę tak cieszyliśmy się z Józkiem, że do Warszawy wracamy! Z Warszawą łączyliśmy wspomnienia szczęścia, radości, jakiegoś bytu błędnego, bez troski, bez cierpień, wśród samych życzliwych i kochających nas osób. Zdawało nam się, że cała przeszłość nasza, z ojcem niedyś spędzona, wróci nam taką samą, bez ojca. Jużci wiedzieliśmy, że trochę smutniejszą być musi, że trochę pustszą i ciągle za oddalonym z pomiędzy nas tęskniąca, ale zresztą taką samą; skądżeby nawet inną być mogła. W miarę jak zbliżaliśmy się ku stolicy, Józio niecierpliwie kamienie stajowe przy szosie rachował.

— A to już milę tylko mamy do Warszawy; to już pół mili, a to już ćwierć tylko przed nami. Ot widzę, widzę, rogatki niedaleko!

Uczestniczyłam przez czas jakiś w jego okrzykach, lecz gdy na mnie owo niespodziane przygnębienie padło, ucichłam zupełnie, wysunęłam się z pomiędzy babki i ciotki Joasi, przyklęknęłam na dnie powozu i głowę o kolana matki jakby do snu oparłam. Sama przed sobą sprawy zdać nie mogłam, czy mi żal było Mielinka, czy strach tej Warszawy, którą tak ciemne tumany osłaniały; pamiętam jedynie, że gdybym była mogła, tobym była jaknajdalej uciekła; pocieszałam się mnóstwem niedorzecznych przypuszczeń: może nam za rogatki wjechać nie pozwolą; może ktoś z Mielinka konno przycwalauje i tak ważne listy odda babuni, że wszyscy będziemy musieli powracać; a może to nie Warszawa... Wujaszek Kazimierz opowiadał przecież, jak to w dalekich krajach ukazują się miasta, ogrody, jeziora; podróżnik dąży ku nim, wtem z przed oczu mu nikną; kto wie, czy ona tak nie zniknie? Może też koła się połamią; może ja zachoruję i umrę nagle; o! byle nie dojechać — nie doje-

chać tam, gdzie tak czarno, dymno, tak nieprzystępno dla słońca! Wyraźnie była to jakaś chwila przeczucia, lub, jakby ktoś mistyczniejszy odemnie się wyraził, chwila jasnowidztwa najbliższej i najdalszej przyszłości. Gdyby to można było nie dojechać! Gdyby zatrzymać się lub skończyć w tej chwili, ostatniej z rajskich chwilek dzieciństwa mojego! Wszystko dotychczas było mi łatwe i miłe, wszystko zabawą i uciechą; ja sama dla drugich byłam rozweseleniem, pieśczętą, nadzieją!... Z niedalekim końcem szóstego roku rzeczy zmienić się musiały; sześćoletnie dziecko przestaje być przedmiotem ciągłych podziwów i celem wyłącznego zajęcia; zwolna wkładają na nie pierwsze, dość lekkie wprawdzie, niemniej jednak stanowcze obowiązki; zadowolenie starszych w wymagalność przechodzi; im więcej niegdyś widziano w dziecku dowcipu i pojętności, tem więcej później żądają od niego rozumu i pracy. Co się podobało z jego strony, to już niecierpliw; co śmieszyło, to razi; co zdumiewało, to powszednieje. Drobną istotką, pełną tajemnic i osobliwości, przedzierzga się w małe, ludzkie, pełne wad i zwyczajnych ludzkich usposobień stworzenie; a dzieje się to bez przygotowania, z dnia na dzień prawie, jak gdyby kto tęczowe wczoraj od pochmurnego jutra nożyczkami odkroił. Nie miałam, zaiste, żadnego sformułowanego o tych kolejach dalszych losów pojęcia, instynktem chyba odgadłam je zapewne i dlatego smutno mi się zrobiło, dlatego czułam, że bezpowrotnie jakiś kawałek błękitnego nieba za sobą w przepaść spada, że mnie jakiś promienny cherub odlatuje, że coś tracę na zawsze, a przede mną gęsta mgła się ściele i po twardych murach kłębam się zwiesza. O! gdyby tam można było nigdy nigdy nie dojechać!

Dojechaliśmy nakoniec; dziwna rzecz nawet: za zbli-

żeniem się naszym mgły pierzchły, chmura się rozwiała, nad brukiem warszawskim niebo równą pogodą, jak nad polami wiejskimi świeciło. Stanęliśmy u kresu podróży naszej.

W czasie jednej ze swoich przedślubnych wycieczek, wuj Kazimierz wszelkich dołożył starań, by nam znaleźć choćby i w dalszej części miasta, lokal tani a wygodny. Powiodło mu się bardzo szczęśliwie i w miejscu, które, dziś pod forteczne mury zajęte, ulicą być przestało, lecz które wówczas „za zdrojami“ zwano, udało mu się wynająć cztery duże pokoje z kuchnią i spiżarnią maleńką za tysiąc dwieście złotych rocznie. Babunia z mamą podzieliły się pokojami, choć właściwie pierwszy pokój babuni za wspólny niejako salon i wspólną służył jadalnię. Wuj mecenas wszystko na przybycie nasze ustawił, uporządkował i czekał nas z życzliwym słowem powitania. Kiedyśmy weszli na schody pierwszego piętra i obejrzelik dokoła, zdawało nam się, że nigdzie piękniej być nie może, że do cichego życia niczego brakować nie będzie dwom kobietom smutnym i spokojnym, dwojgu dzieciom wesółym a nie rozhukanym. Były kwiaty na oknach, były przy oknach białe zielonemi sznurami podtrzymywane firanki, były dawne meble według dawnego mniej więcej trybu rozstawione, były gdzie niegdzie nowe stoliki, nowe kanapki, zapełniające puste miejsca szerszego apartamentu, były nawet stare obrazy na ścianach, portrety dziadka i babki w jej sypialni, stary tajemniczy kantorek jako dawniej wprost jej łóżka ustawiony, portret smutnej prababuni, jedyny przez babunię wybrany, w jej drugim pokoju, uwolniony od sąsiedztwa groźnego męża, weselej niby w przeciwległym lustrze się przeglądał. U mamy także staloryty księcia Poniatowskiego i Napoleona, powieszzone mniej więcej w tem samym, co na Zakroczym-

skiej ulicy położeniu; krzyżyk czarny hebanowy podobnie przy łóżku stanął i tylko na jego czarnych ramionach zawisły teraz dwie naszych rodziców sylwetki. Matka umyślnie je wydobywała, żebyśmy codzień przypatrywać im się mogli i w pamięci zachowali rysy ojca z jej rysami nierozzerwalnie połączone. Na tualecie między oknami rozłożono tak dobrze znajome nam świecidełka i drobiazgi. Nie od zielonego obicia wprawdzie, tylko od białych murów się to odbijało, ale było wszystko nasze, było więcej nowych rzeczy, było więcej przestrzeni, nie było tylko jednej kosztowności, do której przywykliśmy na Zakroczymskiej ulicy i w Mielinku: nie było słońca. Okna wychodziły na północ, lecz tego nikt nie spostrzegł, nikt o tem nie pomyślał nawet. Każdy znalazł coś takiego, czem się ucieszył niespodzianie, każdy cioci Joasi i jej mężowi dziękował. Mama bardzo serdecznie siostrę i szwagra uścisnęła, babunia nawet zięcia w głowę pocałowała; istotnie znać było, że nietylko z obowiązkową starannością, lecz i z prawdziwie rodzinnem uczuciem zajęli się uporządkowaniem całego mieszkania.

Mnie jednak po kilku chwilach radosnych oględzin, znowu smutno jak przed wieczorem się zrobiło. Weszłam z nogami na sofkę, w mamy pokoju stojącą, i tak się w kąciku cichutko przytuliłam, że mnie znać prawie nie było. Już to muszę przyznać, że między babunią, ciotką Joasią i panem mecenasem nigdy się zupełnie swobodną nie czułam; prawdopodobnie i tym razem ich obecność potrzebę samotności rozbudziła we mnie. Gdy Józio, z właściwą sobie żywością, biegał po nowej siedzibie naszej z góry na dół i z dołu na górę, gdy pomagał Piotrusiowi ścigać i rozpakowywać tłomoki, ja ciągle w głębi sofki zasunięta, rozmyślałam sobie, co to będzie, jeśli mnie zawsze, przez bardzo długie „zawsze“ z babunią tylko

i państwem mecenasostwem żyć przyjdzie. Nigdy pierwszej się nie zastanowiłam, że choć przy mamie, to jednak sami z mamą nie zostaniemy; zrobiło mi się bardzo tęskno za wujem Kazimierzem, lecz cóż, kiedy obok wuja ciągle już odtąd, jak przy pożegnaniu na ganku, wujenka Malcia stać miała. Gdyby żył ojciec, wszystko byłoby inaczej; onby nikomu dokuczyć mi nie pozwolił, ująłby się za mną, choćby mię sama babunia na pokutę wsadzila; i znowu przejął mnie taki jakiś głód serca za ojcem, zem sobie usta rączkami zasłonić musiała, tak mi się gwałtem chciało na cały głos krzyknąć:

— Papo, mój papo! wróć do nas!

Dopiero gdy wieczerzę na stół podano, spostrzegli się wszyscy, że mnie niema w dwóch oświetlonych babuni pokojach. Zaczęto wołać, słyszałam, ale żadnem słówkiem nie zdradziłam mojej kryjówki. Matka weszła ze świecą w rękę i powtórzyła kilka razy moje imię, a ja, ciągle w kłębuszek zwinięta, całą siłą twarz do poręczy przyciskałam, żeby się mimowolne łkanie z piersi nie wyrwało. Lecz wkrótce matka dowidziała zaciśniętej w ramiona sofy nieruchomej figurki.

— Co ci jest, Napolciu? — powtórzyła raz jeszcze — co, moje dziecko? czy chora jesteś? czy cię co boli?

W tej chwili właśnie ciocia Joasia ukazała się na progu.

— Ej, cóż znowu? chora! rozespłała się dziewczyna i teraz grymasi, ale Tekluniu, czy się to godzi, żebyś taką dużą tłustą pannę na rękę nosiła? Ty sama z tego rozchorować się możesz.

Ach! prawda, prawda, byłam już dużą panną, której matka na rękę dłużej dźwigać nie mogła! Duża panna spać poszła bez kolacji, a w nocy jej się śniło, że jest dwa razy grubsza i wyższa od pana mecenasa i że nie ją mama,

lecz ona mamę niesie kędyś daleko, przez całe szeregi długich białych pokoi.

Nazajutrz było jeszcze trochę zamętu z odpakowaniem i układaniem przywiezionych rzeczy; drugi dzień zszedł jakoś na oswojeniu się z nowem pomieszkaniem — matka też była dosyć zmęczoną i siedzieliśmy sami z babunią, gdyż ciotka Joasia zaraz pierwszego wieczora z mężem na wieś wyjechała. Trzeciego dnia dopiero mama ubrała się i z Józiem wyszła na miasto. Miałam wielką ochotę towarzyszyć jej w tej wycieczce, lecz mi wyperśwadowała, że idzie za interesem Józia tylko, a wkrótce pójdzie za moim i wtedy mnie weźmie z sobą, a braciszka w domu zostawi.

— Zobaczysz wtedy, Napolciu, że ja się naprzykrzać nie będę — dorzucił ze swojej strony braciszek tonem poważnego napomnienia, co mnie bardzo zawstydziło i przestałam się naprzykrzać, choć niemniej ciekawość mnie trapiła, jaki to może być ten interes, wyłącznie Józia, a nie mnie obchodzący.

Po kilku godzinach dowiedziałam się nareszcie — mama wróciła z Józiem, znać było jeszcze ślady łez na jej długich rzęsach, ale twarz miała bardzo spokojną i gdyby jednym uśmiechem ją rozpromienić, to możnaby powiedzieć, że uradowaną nawet. Józio zato był chmurny i milczący — daremnie kilka razy pytałam go, co robił na mieście, czy to o sprawunek chodziło, czy o zabawę? zbywał mnie ciągle trochę niegrzeczne „daj mi pokój“, aż dopiero, gdy zniechęcona i rozgniewana poszłam w drugi kąt pokoju ze smutną minką gałganki moje układać, żal mu się zrobiło, sam przyszedł do mnie, zaczął pomagać mi w zwijaniu moich sztuczek materyj, a nakoniec niepytany i nieproszony sam pierwszy się odezwał:

— Byliście dzisiaj z mamą u państwa Paszkowskich.

Czy wiesz, Napolciu, że on sam to bardzo dziwny człowiek.

— O, ja znam państwa Paszkowskich, tylko ich sobie nic a nic nie przypominam — odrzekłam z bardzo spokojnem sumieniem, bo istotnie znałam ich według tradycji Marcyny, ale nie byłam pewna, czy ich kiedykolwiek w życiu na żywe oczy widziałam.

— Jakto, nie przypominasz sobie? tego kapitana od artylerji z okrągłą czerwoną twarzą, co u nas za życia papy dość często bywał? Brzydki, ale taki dobry; nieraz przecież śpiewałaś mu: „za górami, za lasami wilczyśko tańcuje“.

Nie, te szczegóły nic mi jeszcze osobistości pana kapitana nie objaśniły, — lecz mniejsza o to — pilniej mi było o terażniejszości coś usłyszeć, niż dawne odgrzebywać wspomnienia.

— Dlaczego powiadasz, że dziwny? — spytałam.

— Bo nie mogę zmiarkować, czy go bardzo lubię. Rozmawiał ze mną tak serdecznie i wesoło, pytał o wuja Kazimierza, o jego żonę, o gospodarstwo wiejskie, a potem tak mi dokuczył, jak nikt jeszcze w życiu.

— Dokuczył ci, mój Józiu? Jak on śmiał ci dokuczyć? wszakże mama tam była!

— To właśnie najgorzej, że w obecności mamy nazwał mnie nieukiem.

— Co on miał za prawo nieukiem cię nazwać? — z oburzeniem zawołałam.

— No, zdaje mi się, że miał jakieś prawo, kiedy mama na to pozwoliła.

— I tak mu nagle to przyszło? bez żadnego powodu?

— Niezupełnie nagle, bo to było po egzaminie.

— Co to znaczy po egzaminie?

— A juścić po egzaminie — bo mnie wypytywał z rachunków, z łaciny, z gramatyki polskiej.

— Ty przecie wszystko to umiałeś, mój Józiu — rzekłam z niezachwianą pewnością, gdyż istotnie miałam to przeświadczenie, że Józio umie zawsze trochę więcej nad to, czego się uczył. Wielkiem zdumieniem przejęły mnie z ust jego własnych usłyszane słowa:

— Tobie się zdaje, że to łatwe rzeczy, a ja nigdy wybrnąć nie mogę z tych accusativów i dativów, z tych naszych przypadków i form niewiem ilu, a jeszcze gorzej, kiedy przyjdzie w jednym i tem samym zadaniu arytmetycznem to dzielić, to mnożyć, to dodawać, to odejmować, aż się w głowie kręci, co trzeba pierwej, a co potem robić.

— Mój biedny Józiu! więc ty zapomniałeś tych lekcyj z wujem Kazimierzem?

— Ciekawym, ktoby nie zapomniał! Między ostatnią a dzisiejszym egzaminem, ile to już czasu minęło; a to wizyty, a to wesele, a to podróż, nic dziwnego, że mi się wszystko w głowie pomieszało.

— I cóż ty mówiłeś panu Paszkowskiemu?

— Kiedy mnie pierwszy raz zapytał, odpowiedziałem, co mi na myśl przyszło — źle — pyta drugi raz — ja znowu odpowiadam: jeszcze gorzej — to też później pytał i pytał, a ja ani słówka już nie pisałem. Dopieroż potem zaczęły się morały: „Jeśli cię mało uczono, to możesz mało umieć i masz prawo powiedzieć: tego się nie uczyłem, ale nie masz prawa nie umieć tego, co już raz umiałeś. Smutno mi to powiedzieć przy twojej matce, ale widzę, że z ciebie okropny nieuk, choć jesteś dobry i rozgarnięty chłopiec“.

— No proszę, jaki ten pan Paszkowski nieznośny, kto go pytał o zdanie?

— Domyślam się, że chyba mama pytać musiała, bo podobno obiecał jej, że mnie w przeciągu tego roku do szkół przygotuje.

— Toż to będzie utrapienie prawdziwe; jak tu przyjdzie, to mu się nie ukłonię nawet.

Wieczorem jednak już ten złowrogi zamiar zmieniłam; mama długo z nami rozmawiała i wytłumaczyła nam, jaki to pan kapitan szlachetny i zacny jest człowiek, jak przy ciężkich obowiązkach profesora szkoły aplikacyjnej, nowej pracy się podejmuje, aby synowi kolegi swego i przyjaciela dopomóc. Rozmowa z Józkiem przekonała go, że to umysł otwarty, bystry, pojętny; egzamin też, choć tak nieszczęśliwie wypadł, nie zniechęcił go wcale; utrzymuje on, że byle Józio raz tylko zmiarkował, że do książki, równie jak do kosi i sierpa, tych samych władz, to jest uwagi, pamięci a nadewszystko dobrej woli używać trzeba, gdy raz tylko otrząsnął się z upornego lenistwa, którem nie natura, lecz jakieś dziwne rozkapryszenie do nauki przystęp mu utrudnia, to jest pewny, że czas stracony wkrótce się odzyska, a nasz Józio wyrośnie kiedyś na pożytecznego krajowi obywatela.

Mama nie wątpiła, że jej syn ukochany ziści tę piękną przepowiednię i że będzie pilnym, chętnym, we wszystkim swemu nauczycielowi posłusznym.

* * *

Tu się właściwie kończy epoka mego dzieciństwa i na tem też kończę pierwszą część opowieści mojej. Chwila rozpoczęcia nauk już stanowi inną życia epokę.

KONTUR OGÓLNY.¹

Pisząca urodziła się w r. 1816. Ojciec jej był wojskowym, matka najmłodszą wśród dość licznych dzieci zamożnego wiejskiego dziedzica — pisząca miała tylko jednego brata, który się w roku 1812 urodził, w czasie nieobecności ojca. (Imiona zostawiam Twemu wyborowi. Zwracam tylko uwagę, że i co do imion są pewne historyczne kategorie, przynajmniej zauważyłam to względem wiadomych dla mnie czasów. Przed sejmem czteroletnim kalendarzowe góra: Ignacy, Jan, Józef — Hugo osobliwością — po sejmie czteroletnim rozpowszechnia się masa imion pamiątkowych i dziejowych — dużo jest Tadeuszów, Juljanów, Władysławów, nawet Lach był i Leszek. Za wpływem rewolucji francuskiej posiały się imiona do mojego nieszczęśliwego podobne — w czasie kongresowego królestwa zaczęto w imionach romansowych smakować, szczęściem, że to krótko trwało; po 30-m roku przerwała się ogólność mody, jak się wszelkie ogólności u nas czy w opinjach, czy w przedsięwzięciach, czy nawet w edukacji przerwały. Mogłam tylko zauważać w 20 lat temu lub więcej pewien zwrot ku imionom słowiańskim; później uległy więcej rodzinnym wpływom — dawano imię ojca, matki, stryja, wuja i t. p. coraz mniej imion z upodobania, lekceważąc sobie aż do zbytku nazwanie człowieka na całe jego życie!... Przepraszam za niepotrzebny w tem miejscu nawias — już sobie drugiego nie pozwolę, póki konturu nie dorysuję). —

¹ „Kontur“ ten, będący planem zamierzonej całości, zamieszczono w zbiorowym wydaniu Pism Żmichowskiej z r. 1886 (Tom V), z przypiskiem: „Z rękopisu Żmichowskiej udzielonego przez J. B.“. Otóż w papierach matki znalazłem rękopis tego „Konturu“, przeznaczony dla mojej matki i jej przesłany przez Narcyzę (patrz *Przedmowa*). Ponieważ rękopis ten różni się w wielu miejscach od tekstu wydania z r. 1886, uważałem za właściwe niedokładności skorygować a miejsca opuszczone przywrócić.

Boy-Zeleński.

W piątym roku swego życia pisząca traci ojca, który się wystrzałem z pistoletu w Saskim ogrodzie zabija. Zdrowie jej matki zaczyna od tego czasu widocznie podupadać, lekarze co rok wody Reinerz nakazują — że dzieci zabierać nie można, więc się je u ciotki zostawia. Ciotka poszła za mąż bogato, wuj przybrany jest wysokim urzędnikiem, bezdzietny, wychowuje jedynaczkę po swoim bracie, przywiązuje się do niej aż na rozpieszczenie i słabość, a żona, niebardzo się też mocnym charakterem odznaczająca, daje się mężowi w stronę jego świata i jego uczuć przeciągnąć. Siostrę kocha bardzo, ale dzieci siostry dosyć są jej obojętne; w najskrytszej komórce serca, przy najcichszej rozmowie z sumieniem, nigdy żadnego wyrzutu nie słyszy, chociaż wielką różnicę czyni między synowicą mężowską, a parą swoich własnych siostrzeńiąt. Wkrótce biedne dzieci i matkę tracą — umiera zdala od nich; całego majątku zostawia tylko 15.000, połowę wyniesionej z domu rodzicielskiego sumy posażnej. Wuj opiekun umieszcza na pewnej hipotece drobny ów kapitał i płaczącej za siostrą żonie obiecuje, że się zajmie wychowaniem sierot. Chłopca też zaraz oddają do szkół — dziewczyna siedmioletnia uczy się robić pończochę i szyć najczęściej w garderobie. Nie dokuczają jej, ale nikt jej nie pieści — kuzynka współwychowawca przewodzi nad nią, trochę rządzi nią, ale nie ma z kim się bawić, więc musi czasem dla przywabienia zrobić niejaki ustępstwa. Starsza o dwa lata, ma guwernantkę Francuzkę i dużo książek z obrazkami. Autorka na szczęście swoje u Francuzki w łaski wpada, rozmową uczy się dość prędko po francusku, na obrazkach uczy się historii świętej, polskiej i rzymskiej, a że jeden z oficjalistów przychodzi co drugi dzień i daje jej lekcje czytania i kaligrafji, więc na imieniny ciotki pisze w dwóch linjach powinszowanie z własnej głowy. Że to była epoka arkadyjskiego szczęścia literatury, kiedy nawet tłumaczeniem „Świątyni Wenery w Knidos“ można się było wkupić do nieśmiertelności, powinszowanie sprawia efekt, sława dochodzi pani Wilczyńskiej — (o pani Wilczyńskiej prześlę ci wiele szczegółów) typ ochmistrzyni z powołania. Pani Wilczyńska daje się przekupić nadzieją wykształcenia talentu, obiecuje że za rok, jak się pisząca jeszcze trochę douczy i trochę podrośnie, to ją darmo na pensję przyjmie. Zaczyna się tedy nauka, trochę przerwana... nie do ciągu lekcji, lecz do ciągu pilności wakacjami brata. Na nieszczęście brat już dwunasty rok zaczął, a jeszcze do trzeciej klasy promocji nie dostał. Brat,

może dlatego że był starszym, że z nim już dało się czasem porozmawiać, wydawał się trochę ulubieńcem matki — z pod jej sentymentalnego na nieszczęście zarządu przechodząc pod surowszą obojętnych ludzi rękę, rozdrażnił się, zniechęcił, zleniwił. Stosunek rodzeństwa po pierwszym rozłączeniu chropowaciej; matka miłością swoją utrzymywała miłość siostrzyczki i braciszka, łączyła ich we wspólnych przyjemnościach, uczyła wzajemnych surpryz — po jej śmierci i po roku szkolnej nauki chłopiec zdziczał bardzo; miłość bezświadomie na dnie serca została, postęпки się zmieniły; kuzynka też bałamuci rówieśnego sobie studencika, zawsze mają coś sobie do powiedzenia w sekrecie, zawsze stronią od młodszej dziewczynki — raz nawet samą w lesie przy zbieraniu orzechów odchodzą. — Dziewczynka zbląkana nie przypuszcza, żeby jej kto szukał, wieczorem dopiero spotyka jakiegoś chłopca, który ją do domu odprowadza, i dziwno jest bardzo znalezionej, że zastaje ciotkę już zaczynającą się niepokoić, a brata sflakanego.

W czasie kilkuletniego na pensji pobytu, nauka idzie dobrze piszącej, ale się żaden wyłączny znakomity talent nie rozwija. Charakterystyka rozumnej a bez talentu kobiety, prócz tego pierwwej jeszcze wspomnienia pensjonarskie, wakacje razem z bratem spędzane... Przychodzą lata, w których kuzynka na starszych i świetniejszych młodych ludzi zwraca uwagę; student, choć nawet później i promocje dostaje, zawsze jest tylko studentem; jej zaniebdanie znów zbliża rodzonych do siebie. Opowiadają sobie swoje trudności, zmartwienia, czytają razem książki, n. p. pierwsze czytanie Dziadów Mickiewicza. W 32-m roku brat bierze dzierżawę za swoją sumę do 10.000 wzrosłą. Ma się rozumieć, że ją traci w przeciągu lat kilku, ale tymczasem pisząca bawi w domu swojej ciotki, wybiera się ciągle na nauczycielkę, że ma jednak 500 zł. na rok i dość skłonne do otaczającej ją apatji usposobienie, więc rzecz z roku na rok się odkłada. Nie jest już kopcicuszkiem domowym, jej pensjonarskie świadectwa wyrobiły stanowisko trochę poważniejsze zajmującej się literaturą, co nie znaczy — broń Boże — autorki, lecz pomimo tę godność smutne jednak podrzędne zajmuje miejsce obok pięknej i bogatej kuzynki, ona, brzydsza i uboższa. Na pociechę zawiązuje się trochę przyjaźniejszy stosunek z wujem, który jest wykształconym człowiekiem i prawdziwym XVIII-go wieku wychowawcem. Do skromnych zapasów pensjonarskiej nauki i przypadkowo pochwytych książek z historją lub

poczają, przybywa nowy pierwiastek śmiałych negacyj — negacyj tak pewnych siebie, jak twierdzenia, tak wierzących w siebie, jak wiara. W co się ten wpływ zamienia? przy młodości, przy zdrowiu, przy odważnem usposobieniu, pisząca nie przechodzi żadnych walk byronowskich, tylko mając po jednej stronie wspomnienia matki, wpływ wychowania pani Wilczyńskiej, dzieła francuskie najślawniejszych z czasów Restauracji pisarzy: Chateaubrianda, „L'indifférence en matière de religion“ Lamenege, czuje potrzebę sprawdzania, chce sama sądzić i poznawać, chce sama wszystko rozumieć. Są to lata jej życia, w których wspomnienie i postać brata przeważa. Brat szóstej klasy nie skończył, boleśnie czuje przerwę tę szkolną, a brak zupełny uniwersyteckiej nauki. Jest on daleko artystyczniejszego od siostry usposobienia, jest więcej *nerwowowy*, w większym smutku się rodził, w dzieciństwie nawet mniej miał odwagi, nieraz go przykładem młodszej siostrzyczki zawstydzano, ale gdy się raz otrząsnął z płonnych strachów (ciemności, cmentarza, światła księżycowego w lesie, wszystkich takich na fantazję działających wpływów), gdy się raz z bojaźni nerwowej otrząsnął, wstąpiła w niego prawdziwie nerwowa odwaga, rozmiłował się w niebezpieczeństwie; narażanie się było jego rozkoszą najmiłą, czy na polowaniu, czy na wyścigach konnych, czy w pożarze, czy w powodzi, czy między pięknymi kobietami, czy między niechętnymi ludźmi. Lecz mało miał niechętnych, chyba dalszych — w blizkim promieniu ta szczerza, bujna, artystyczna natura despotycznie pociągająco działała: musieli go ludzie lubić; był też piękniejszy daleko od siostry; jedno drugiemu wiele mogło do wzajemnej wymiany przynieść. Rozróżniały ich zdolności, upodobania, zwyczaje, światki ich znajomych i przyjaciół — łączyło tylko jedno wspólne uczucie — silne, w naturę ich wsiąknięte: „potrzeba czegoś lepszego“. Z tą potrzebą jednak można jeszcze na wiele bardzo manowców zabłądzić, więc też brat stracił na dzierzawie. Siostra, choć się to może zdawać paradoksem, dlatego właśnie, że była brzydką, stała się na czas jakiś kokietką, w niebezpieczniejszym od kuzynki rodzaju; kuzynka lubiła się podobać i sama łatwo sobie głowę każdym nowo spotkanym wielbicielem trochę zawracała — do wytrwalszego nawet mogła się szczerze przywiązać, i w istocie przywiązała raz, mając lat osiemnaście — lecz jej narzeczony zginął, dlatego nawet panną jeszcze i towarzyszką piszącej w domu ciotki była; zrazu niby jakiś czas za-

łoba zajęła, później trudność wyboru zajmowała następujące po sobie lata — trzeba przyznać, że się trochę zmniejszyły zastępy dziarskich a swatalnych salonowców. Nie tak łatwo było się przedstawić z uzasadnionymi pretensjami pięknej, a wiele wymagającej krociowej dziedzicze. Miała ona czasem jeszcze zwroty wielkiej słabości do młodego kuzyna-dzierżawcy, kuzyn-dzierżawca jak wosk topniał pod jej spojrzeniem niekiedy, ale myśli małżeństwa ni jedno ni drugie nigdy nie przypuścili do głowy — taka tedy najpospolitsza w świecie była zalotność bogatej i ładnej. Daleko, jako rzekłam, niebezpieczniejszą była zalotność ubogiej i nieładnej kuzynki, ta chciała być kochaną, żeby wiedzieć co to jest być kochaną, jakie to władze nowe w duszy rozwija? czy będzie to mogło ją, taką trzeźwą, upoić? Zalotność z ciekawości jest najokrutniejsza, chyba zalotność z chciwości lub nieświadoma siebie wyrównać jej może. W tych wewnętrznych dramacikach siostra zawsze przychodzi do ujęcia jakiejś stałej sumy, jakiegoś wyraźnego nazwania tego co jest, po każdej prawie rozmowie z bratem; brat przy siostrze nabiera pewnych wymagań względem kobiety — więcej niż wymagań — natura jego z bogactwami się najszlachetniejszymi potrzebami w stosunku do kobiety, chociaż w nawyknięciach przeszłości i w temperamentie inne objawiają się skłonności. Wdzięk powierzchowny zawsze go pociągnie, tylko zatrzymać go nie może bez uczuciowej, a może więcej nawet bez umysłowej wartości. Tylko brat nie zastanawia się nad tem rozdwojeniem swoim, a siostra bardzo dokładnie umie zanalizować wszystkie składowe cząsteczki swojej zalotności; wie co jest chęcią poznania, co jest niepokojem rozwijającego się organizmu, co wrażeniem zewnętrznym, co wewnętrznym dodatkiem wyobraźni. Przechodzi epokę sarkazmu — samą siebie i drugich przez ostrożność bierze pod dozór dowcipu. (Jeśli nie potrafisz sobie zdać sprawy z takiego usposobienia, to ci przyślę bardzo szczegółową notatkę — widziałam je w różnych odcieniach i bardzo blisko siebie szczególniej za pierwszej mojej młodości; było to przeważające między memi koleżankami z pensji usposobienie). Między wielu innymi, co się chcieli pięknej kuzynce podobać, był jeden trochę dumniejszy od drugich — obraził się, że go po dwóch miesiącach uprzejmości z łaski wypuściła. Na upokorzenie ładnej zwrócił się do rozumnej; rozumna bardzo jasno widziała, co się święci, nawet swobodnie o tem listy pisywała do brata, a jednak coraz więcej oplatywać się

zaczęła w te sieci, które z początku pomagała własną ręką, niby dla żartu, zastawiać na siebie — i zwolna, zwolna obustronnie, mniemana zemsta, prosta próba, w coś głębszego przechodzi. Zemsta zaciekawieniem się staje — zaciekawienie unoszącą wrażliwością. Są chwile, są drobne życia okoliczności, w których ciągle wiedząca o sobie wie tylko że nie kocha, że nie jest prawdziwie kochaną, a jednak czuje, że grunt z pod niej się usuwa, że pociąg jest silniejszy od władzy odepchnięcia. (Mogę ci kilka fackików dostarczyć — np. mam w tym gatunku opisaną jedną scenę na balu —).

Piękna kuzynka, rozdrażniona trochę zbyt jawnem i zbyt długiem odstępstwem swego niegdyś niewolnika, uważa to za honorowe wyzwanie — pojedynek dwóch próżności. Zaczyna jej się powodzić — dla piszącej niebezpieczeństwo stanęło już na punkcie cierpienia. Gniewa się na siebie, ale cierpi. Brat z jej listu domyśla się ciężkiego jakiegoś doświadczenia, które siostra przeżywa. Zjeżdża na miejsce, ale nie może położenia rzeczy zrozumieć, widzi tylko młodego człowieka, który w jego przekonaniu, nie wart siostry w rękę pocałować. Typ najzwyczajniejszego z obywatelskich synów, uświetniony tylko kilkoma podróżami zagranicę i biegłą francuszczyzną — a jednak fortunny młodzieniec zdaje się, że obie głowy kobiece zawrócił: i pustą i pełniejszą. Dowcipne żarty chłodną wodą oblewają przyzwyczajone do myślenia czoło; przy sercu, które jej godność czuje, sama w sobie szlachetną dumę rozbudza — upokarza ją ta rola współwalczącej; nawet gdy w chwili większego oburzenia na zalotność korzystnej partji, młody człowiek niekorzystnej się oświadcza, z sarkazmem odrzuca ofiarę, a im więcej wbrew swej woli wzruszona się czuje, tem gwałtowniej szydzi i poniewiera oświadczeniem.

(Miałam wielką pokusę dać bratu rolę prawdziwego opiekuna i obrońcy, dlatego, że mój brat był zawsze wsparciem mojem, ale z doświadczenia przekonałam się, iż to u nas do wyjątków należy. Większość, jeśli nie wszystkość braci, których znałam — mówię nawet o kochających swoją rodzinę — zawsze częściej bywała praktycznie ratowaną przez siostry, niż coby sióstr ratunkiem być była powinna. Składały się na to okoliczności polityczne i dziedziczny charakter narodu, w którym żeński pierwiastek jest więcej udoskonalony w rodzaju swoim od pierwiastka męskiego w swoim znów rodzaju). Lepiej zatem ogólniejszych i powszechniejszych trzymać się pierwowzorów. Brat kocha, brat pomaga,

ale więcej pośrednio, niż bezpośrednio. Siostra się krzepi uczuciem, które ma dla brata, rozsądniej patrzy w siebie dlatego, że brat jest obok niej, lecz nie dostaje od niego nowego jakiegoś zasilku, ani zbawczego słowa; ich usposobienia są różne, lecz są zupełnie pod równą miarę dociągnięte — nie jest wyższy, ani lepszy. Bratuby się zdawało bardzo zajmującą na upokorzenie syna obywatelskiego kombinacją, gdyby sam się w tym właśnie czasie o kuzynkę oświadczył, tylko majątkowe względy na przeszkodzie stają; ona za bogata, on tak wszystko stracił, że musi na nowo, jakby świeżo ze szkół wyszły, karierę swoją rozpoczynać. Nie ma innej przed sobą, tylko gospodarkę. Rozbijają się między rozeństwem tysiączne plany wspólnego życia i wspólnej pracy. Siostrze kamieniem ciąży obecność syna obywatelskiego; duszno jej w atmosferze ciotki apatycznej i kuzynki czczej, jak wspomnienie karnawałowe w dzień popielca; żal jej trochę wuja sceptyka, coraz więcej się ku niej przechylającego, ale potrzebuje zmiany. Zmiany, czego innego! czego innego! woła, jak Ryszard III-ci w Szekspirze: konia! konia! wołający. Nakoniec zatrzymuje się przy jednym planie. Prosi wuja, aby kilkotosięczny kapitał jej bratu oddał; wezmą nową dzierżawę, będzie przy bracie mieszkała, dopilnuje go lepiej i ustrzeże od pokus towarzyskich, on sam zaś pewnie gorliwiej dla niej, niż dla siebie pracować będzie. Wuj nie chce na to zezwolić; długie domowe niesnaski i kwasy, aż w tem ciotka umiera, z nią razem pryska obrączka w skupieniu te wszystkie figury trzymająca. Wuj nie jest wujem rodzonym, synowica jego stanowczo zamaż się wybiera, więc trzeba dom obcy opuścić; żaden inny nie jest dla piszącej otworem, tylko ten jeden być może, który brat dla niej zmuruje.

W nowych warunkach nowe życie: praca i trochę niedostatku — a jednak wielka doza szczęścia: epoka razem czytanych książek, tworzonych i zbijanych teoryj. Kobieta entuzjazmuje się do stoicyzmu; wspomnienie przebytego szaleństwa i doznanych wrażeń wstydz ją ciągle — chce mu dalszym ciągiem całego życia zaprzeczyć. Miłość jest przejściem fizjologicznem: oszukuje nieprzygotowane na jej symptomata umysły — wobec rozumu jest tylko romanssem, wobec uczucia pomyłką. Artystyczne instynkta brata zawsze w rozmowie z opozycją przeciw temu i przeciw wszelkim innym stoicyzmom występują, ale w praktyce życia jego miększa wola zawsze wpływowi siostry ulega. Przez pierwsze dwa lata

oboju jest dobrze. Młody jeden kolega brata, profesor z sąsiedniego miasta obwodowego, często bywając w domu, zajmuje się rozumną siostrą, ale jej serce tak pełne, jej czas tak rozporządzony, jej swoboda tak wygodna, że nie chce zrozumieć nieśmiałych półsłów. Kiedy nawet brat się wstawia trochę, jest na niego bardzo obrażona. „Więc jej nie potrzebuje?” — Później wuj stęskniony przyjeżdża, ma lat 50 przeszło, ale przecież w 50-u latach ludzie się żenią nawet z młodszymi, niż dwudziestokilkolletniemi pannami. Gdyby chciała przyjąć jego nazwisko, dom, zapis stutysięczny — mogłaby zająć w świecie odpowiednie zdolnościom swoim miejsce. Brat nie śmie się już odzywać, żal mu siostry a nie wie czy jej będzie mógł całą przyszłość zabezpieczyć. Siostra potrzebuje się z sobą porachować — rachunek odbywa sumienny. Wiele, bardzo wiele względów przemawia za wujem, tylko przeciw wujowi jest usposobienie zadowolone obecnością i tajemna niepewność. Może niema miłości, ale jest niezawodnie namiętność. Gdyby we mnie ten piorun uderzył, jak będę żoną starszego i trochę dziwaczajęcego już męża! I stało się — odmówiła bogatemu wujowi, a ubogi profesor znowu nadzieją rozplonął. W trzecim roku gospodarstwo idzie coraz lepiej — brat na całą okolicę zyskuje coraz więcej powodzenia. Piękny, dowcipny, odcytany — przeczytał więcej książek sam na siebie, niż wszyscy sąsiedzi w pięciomilowym promieniu; jest przedmiotem mnóstwa grzeczności, celem wielu spojrzeń, przyczyną niejednego westchnienia. Z początku opancerzony poczuciem braterskiej miłości i uznanych przez siebie braterskich obowiązków, zdrowo unikał pocisków, ale młoda, śliczna dziewczyna triumfuje nad artystycznym sercem. Dla siostry niespodziewane słowo pierwszego zwierzenia jest odurzającym, jak spadek z wysokiej góry. Czuje boleść nową, nieznaną, boleść zawodu i ruiny — nazywa ją sobie egoizmem, przełamuje ją w uciechę, w nadzieję, w świetne o szczęściu brata projekta. Zapoznaje się bliżej z wybraną, lub raczej ze spotkaną czarodziejką; piękna bardzo — tylko piękna bardzo. Brat niegdyś mógł siostrę z niewłaściwej skłonności wyleczyć — ona nie może brata przed niedobranym związkiem zasłonić. Najpierwej jest w sobie rozdwojona — ciągle się o złą wolę i uprzedzenie posądza, wzrok przed oczywistością zamyka. Kiedy scena rozkapryszona jakiegoś dowiodła jej nakoniec całej ujemności szlachetnych pierwiastków w naturze pięknego dziewczęcia, zdobywa się na energję i odradza bratu, aby się nie oświadczał,

aby lepiej poznał charakter tej, którą żoną chce nazwać. Brat z róż-
czuleniem zapewnia siostrę, że choćby się ze sto razy piękniejszą
i bardziej kochaną ożenił kobietą, to jego przywiązanie do siostry
nigdy się nie zmieni. On wie, że jej wszystko winien, że ona jest
panią wszystkiego — że gotów czekać, póki sama wyboru nie zrobi
i przyszłości swej nie ustali i t. p. Takie słowa nazawsze jej
usta zamykają — stara się nawet przyspieszyć ślub brata; niech nie
czeka, aż mnie się pozbędzie — i brat się żeni. Ona z nim jesz-
cze — ale już sama. Możeby się oddaliła, lecz spostrzeża, że jest
potrzebniejszą jeszcze niż pierwiej swemu bratu. Rozdrażniony wy-
maganiem młodej pani, przed siostrą się skarży — smutny jej obo-
jętnością, przy siostrze pociechę znajduje, a co najwięcej znaczy, za-
pracowany, zakłopotany, zgnębiony krzątanią za powszednim chle-
bem, od siostry dostaje zawsze kawałek świątecznego chleba. Są dalsi
sobie ufnością, są rozdzieleni interesami niejako, trzecia osoba sta-
nęła między nimi — ale ich stosunek zaciska się jeszcze silniej na
wszystkich punktach, poza wpływem bratowej leżących. Tymcza-
sem jednak serce kobiece czuje, że straciło najcenniejszy swój klej-
not: wyłączne drugiego serca ukochanie. Brak miłości prawa mi-
łości tłumaczy. Gdyby kochać i być kochaną! Kochać! ma już go-
tową teorię — kochać tak, jak kocha brata, więcej o namiętność —
być kochaną tak jak brat kocha żonę, więcej o własną zasługę.
Profesor jest zycznym młodzieńcem, ale przyjaźnią nawet nie kocha
go tyle jak brata, a namiętnością wcale nie. Analiza całej siatki
pokrzyżowanych włókienek. Z profesorem zbliżają wspólne
obawy, straty wspólnych dobrych znajomych, jego własne chwi-
lowe niebezpieczeństwo. Ale nie godzi się jedności, choćby naj-
świętszych opinii, brać za miłość; miłości zasadowe, polityczne, so-
cjalne — to równoległa serja innym światowym karykaturom mi-
łości eleganckich, tytułowych, krociowo-tysięcznych i t. p. Okolicz-
ności nieprzewidziane stawiają obok niej człowieka, który odpo-
wiada przynajmniej, o ile ona sądzić może, wszystkim wymaga-
niom jej umysłu i sumienia. „Nie Kocham go, bo w nim żadnej
wady nie widzę — to jest entuzjizm. Biada, kto się na entuzjizmie
oszuka i za miłość go weźmie“. Dostrzeża wad niektórych w arcy-
dziele; przekonywa się, że nie kochała, bo się odwraca ze wstrę-
tem i t. d., i t. d. — aż brat umiera na tyfus i poleca opiece siostry
bratową, z którą się nigdy nie zgodzą, i syna, którym jej się zająć
nie dadzą. Moralne zobowiązanie bez kodeksowego prawa.

ROZKŁAD SZCZEGÓŁÓW.

Część 1-a. Lata dziecinne i pensjonarskie.

Część 2-ga. Lata wstępnej młodości. Pobyt w domu ciotki.

Część 3-a. Lata młodości prawdziwej. Gospodarstwo do wspólni z bratem.

Część 4-a. Lata młodości ulatującej, od ożenienia się brata, do jego śmierci.

W latach dojrzałych zebrane o całej przeszłości sądy, obliczenie strat i nabytków.

W CZĘŚCI PIERWSZEJ

Wspomnienia rodzinne — *radę moje.*

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Niektóre powieściopisarki angielskie zaczynają historję swoich bohaterów od historii kilku nieraz wstępnych generacyj; w utworach sztuki jest to rzeczą trochę zbytęczną, ale w rzeczywistych, lub przynajmniej o ile być może zbliżonych do rzeczywistości autobiografjach, takie sprawozdania genealogiczne jest nawet obowiązkiem. Coraz więcej zaczyna się gruntować i upowszechniać to przekonanie, że człowiek w oderwanej osobistości swojej nigdy nie może być sprawiedliwie osądzonym, ani dokładnie pojętym. Kto go rozłączy z obejmującymi go zewsząd i zachodzącymi w wewnętrzność jego okolicznościami, to jest kto w nim pod uwagę nie weźmie warunków czasu i przestrzeni, zdarzeń, które poprzedzały, przygotowywały i otoczyły jego urodzenie, miejsca, klimatu, praw, religii, obyczajów, wśród których życie swoje pędził — kto tego wszystkiego nie uwzględni i w registr jego rachunków nie wciągnie, ten zawsze w oznaczeniu sumy ogólnej pobiędzie. Wyroki moralności i artykuły kodeksowe dlatego dzisiaj przebywają tak rewolucyjną erę, że się głównie obracają na uznaniu wolnej woli człowieka. Tymczasem wolna wola jest najczystszy, zaiste, i najwznoślejszym pierwiastkiem każdej osobistości, lecz nie jest pierwiastkiem jedynym, bo i osobistość nie jest nigdy jednostką prostą — podobno mówią w filozofji: monadą — tylko jest całością złożoną, jest kombinacją, do której przeszłość rodziców, wpływ świata zewnętrznego wchodzą i przedstawiają konieczność,

a zdolność tworzenia, zmieniania i wyboru przedstawia wolną wolę. Nauka po obecną chwilę ogólnie ledwie zasady tej kombinacji rozpoznała — bliższych jej trybów działania śledzić dopiero zaczyna. Że klimat krajowy jest w związku z charakterem narodowym, że zdrowie i skłonności rodziców są w związku ze zdrowiem i usposobieniem ich dzieci — to są już fizjologiczne pewniki; ale jaka być może rozciągłość tych wpływów? w jakich kierunkach, w jakich okolicznościach słabiej lub mocniej, wyraźniej lub tajemniej działają? jakie przechodzą metamorfozy na różnych stopniach swego rozwoju? a cóż dopiero mówić, jakim się prawem w pojedynczych jednostkach rządzą? — to stanowi ogromną masę niewiadomych X X X. Na te ikсы niema innego sposobu, tylko cierpliwość i uwaga. Nie od dzisiaj próbowano różnych w tym względzie teoryj. Były religie, mistyczne filozofje, poetyczne hipotezy, które się o rozjaśnienie tych ciemnic kusiły. Wymyślono metampsychozę, odradzanie się jednostek w ludzkości, astrologję czarnych i białych duchów; śty Paweł poprostu pytać się zakazał, czemu są naczynia łaski i naczynia gniewu Bożego; Turcy uznali fatalizm — ale dowiedzionego naukowego pewnika, o ile wiem, nie było i niema jeszcze. Zdaje się, że ta część antropologii równolegle z meteorologją postępuje. W tej ostatniej ludzie już wiedzą, według jakich praw natury deszcz pada i wiatr wieje — gdzie zaś padać musi i wiać będzie, w jakiej ilości, z jaką siłą? tego nawet pan Mathieu de la Drôme nie umiał powiedzieć, chociaż sumiennie nad odkryciem, a raczej nad szczegółowem zastosowaniem ogólnej ustawy powietrznej pracował. Pomimo jego omyłek, uczeni jednak meteorom za wygraną nie dali; na różnych punktach globu urządzono obserwatorja, zapewniono sobie korespondentów - sprawozdawców, aby dzień po dniu, godzina po godzinie notowali proste spostrzeżenia i fakta. Wszyscy mają to przekonanie, że gdy się dużo, bardzo dużo spostrzeżeń i faktów nazbiera, gdy i punktów obserwacyjnych przybędzie, prędzej lub później, ale znajdzie się niezawodnie genjusz bystry i przenikliwy, który z owego piasku drobnostek wyciągnie na jaw tajemnicę natury, zasadę, porządek, konstytucję jej dziwactw pozornych. Jak i co do rozmaitości ludzkich usposobień; wielu rozumnych przyszło do tego wniosku, że trzeba pierwej korcami piasku fakcików nawozić, nim sąd o złych i dobrych na słuszności, a orzeczenie zła i dobra na prawdzie oprzeć zdołamy. Nie idzie za tem, byśmy fałszami samemi żyli — znamy prawd

bardzo wiele, tyle przynajmniej, ile nam na dzisiaj potrzeba — ale nie znamy nitek i żyłek, które je między sobą łączą, więc najczęściej, gdy nam się zdaje, że jedna z drugą nie pasuje, wolność z koniecznością n. p., lub odpowiedzialność moralna z wrodzonymi skłonnościami — to zaraz obcinamy te, która naszej teoryjce nie odpowiada, i stąd kalectwa mnogie. Pełno takich grzechów ja sama mam na sumieniu, pomimo wielkiej dobrej wiary i do zuchwalstwa posuniętej odwagi przypuszczeń, rozpoznań i t. p. Jeszcze więcej podobno ty, moja Wando — czasem się aż wypraszasz, żeby cię słońce w oczy nie raziło — — no, mniejsza o to; wracając do autobiografji, każda z nich ma wartość jednogodzinnego conajmniej sprawozdania w meteorologii, a rozszerzona w dopełniającą ją rodzinnej przeszłości szczegóły, ma wartość dwóch godzin. Sięgnij więc śmiało aż do dziadów i babek — dla kobiety żyjącej dzisiaj, w moim, dajmy na to, lub sióstr moich wieku, dziadkowie i babki przypadną na koniec XVIII-go wieku, rodzice i stryjowie dorosli na początek obecnie bieżącego, młodość osobista już się zacznie (Dla Zosi Ros... wszakże ją prędzej nawet zaczęto) przed 30-m rokiem historycznym, ale już po 30-m rozwinie; nie potrzebujesz spisywać chronologii; lecz in petto koniecznie o niej pamiętać trzeba. — Teraz gotowaś się przestraszyć — wyperswadujesz sobie, że nie masz dość jasnej tych czasów tradycji — a to właśnie, tego potrzeba. — Na nieszczęście!... i powinnaś czytelnikom coś o tem napomknąć. — Na nieszczęście między dojrzałymi i dorastającymi w tej chwili generacjami, wszystkim brakuje tradycji, osobistej, rodzinnej tradycji — nitki się porwały śmiercią lub apatją, całe tłumy sierot musiały się bez ojców i matek chować — od stu lat (za dwa lata) jedna warstwa po drugiej załamywała się i tylko pamięć ogólnej katastrofy można było przechować. Szczegóły ginęły, na inne znów warstwy lodowy występował smutek — nie lubili mówić o tem co przeboleła, czemu się bezskutecznie poświęcili, lub przeciw czemu ciężkie były ich grzechy — wreszcie ze smutku wyrodziła się apatja. Czy znasz ojców, którzyby w gronie swych dziątek cały ciąg życia swego opowiedzieli kiedy — jeśli przypadkiem jakie zdarzenie, to już wielka łaska. Matki częściej mają powód zatajać, niż przekazywać dzieje swoje domowe, przez szlachetną pychę serca lub upowszechnione o godności rodzicielskiej wyobrażenie. To też dzieci bardzo mało o rodzinie wiedzą i najczęściej nie wiedzą tego, co jest najważniejsze do wiedzenia.

Wywiń się z trudności, moja Wando, zapomocą kilku portretów — dawniej się z wielką, jak widać, łatwością portretowano. Miernej fortuny dziedzice miewali w jadalnych salach porozwieszane obrazy wielu swoich antenatów (musieli być wędrowni malarze na skuszenie domatorów). Przy rozwalaniu starych dworów, przy częstszej zmianie miejsca — wśród wojen i ruiną padających majątków — gdzie indziej tylko przypadkiem zostało się kilka ram drewnianych, płótnem portretu ociążniętych; z takich ram odmalować należy, tylko wiernie, babkę i dziadka, zwróć Lawaterowską uwagę na rysy, a z kompleksji, z tuszy, z kolorytu fizjologiczne wyprowadź wnioski. Niech to będą rodzice liczego gniazdka dorodnych synów i dwóch pięknych córek.

Synowie się rozsieli w Napolcońskich wojnach od Madrytu do Możajska... z córkami już wskazałam, co zrobisz. Czy odmalujesz matkę — niech to już będzie z miniatury — w czasach ostatnich Cesarstwa i pierwszej Restauracji dominowały minjatury i sylwetki — odmaluj tylko z najdelikatniejszym odcieniowaniem, młodego oficera, którego ogień Lipska i Waterloo oszczędził, a który ginie samobójcą w Saskim ogrodzie — nie potrzebujesz wspominać dlaczego. Ci co znają Słowackiego, zrozumieją — a cenzura może nie czytała i nie ma dokładnego o rządach konstantynowskich wyobrażenia — ja ci tylko obrałam typ niby wyjątkowy, lecz właśnie bliżej zachodzący w rzeczywistość naszą. „Nie zabijali się Polacy starzy“ — woła Dantyszek, lecz późniejsi musieli się zabijać — i my i po nas idące dzieci, to wszystko sieroty samobójców... ale nie samobójców z rozpacz, tylko z oburzenia, i dlatego w nas takie usposobienie „melancholiczne“, jak się wyraża Słowacki, a takie niespokojne zarazem — badawcze bez ostatecznego wniosku w kobietach, przedsiębiorcze bez wytrwania w mężczyznach, i dlatego pełno w nas dobrych i niedobrych rzeczy.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pierwsze wspomnienia moje własne.

Zbierz pełno szczegółów, które mogły utkwąć w pamięci dziecka, tylko żeby nie przecholować nadzwyczajnością — pożycz u siebie i od drugich sobie przywłaszczyc masz prawo. Czy to będzie jakaś chwila, w której dziewczynka matkę w jakiejś sukni przez pokój idącą widziała, czy wrażenie świetnych w salonie,

w ogrodzie, lub ubiorze czym kolorów, a szczególnie drobne zdarzenia, w których już braciszek się uprzytomniał. Może być pierwsze sprzeczką nawet, drażnieniem z jego strony — ale matki tak cudownie godzić umieją.

Dość tego, spodziewam się — leć dalej własnymi skrzydłami — tylko dla zaokrąglenia spiszę ci projektowany przeze mnie rozkład rozdziałów.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Pobyty u ciotki.

Historja wychowywanej na łasce — niekochanej ale też i nieprześladowanej sieroty; tu przypada zawiązek późniejszych z kuzynką bogatą stosunków.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

P e n s j a.

Jeśli się do mnie zgłosisz, to ci prześlę własne wspomnienia o pani Wilczyńskiej i o jej zakładzie — ale może sama co bliższego i lepiej znanego masz pod ręką — zwracam jedynie twoją uwagę, że pensjonarskie życie zupełnie myśl na zewnątrz wyciąga, ledwo upartsze natury się w medytacji ostają; głównie się rozwija ostra, choć bez złej woli, okrutna, można powiedzieć szyderczość. Młode dziewczęta w gromadce zawsze będą złośliwe i zawsze do wyśmiania, choćby aniola z nieba pochopne. Tu się kończy dzieciństwo; trzeba dać zręcznie domyślić się, że brat w rewolucję poszedł do wojska, a siostra już była dość rozwiniętą, by się tem cieszyć i niepokoić.

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Ś w i a t.

Znów obrazek domu ciotki przyjmującej już gości, żeby kuzynkę po stracie narzeczonego pocieszyć, a kuzynka łatwa do pocieszenia; — jej zalotnostki z bratem, błękitna suknia, książki sportykane, bo to była epoka prawdziwej posuchy literackiej, aż do

40-go roku istna pustynia Sahara. Możesz wspomnieć o pierwszym wrażeniu, kiedy rodzeństwo spotkało Kraszewskiego trochę dowcipniej napisaną „Książeczkę do zapalania fajek“ (robię ci prezent z mojego własnego wspominku). Bratu się podoba rozdział o ludziach-osłach, ludziach-cieletach, ludziach-wołach, małpach i t. p.; siostra, widząc upodobanie, pisze ornitologję kobiecą o kobietach-czczotkach, gołębiach, kuropatwach, orlicach i t. p. (Nawet może ci to posłużyć dalej, bo stąd wysnujesz formę żartów, gdy się przyjdzie bratu z magnetycznym pociągiem syna obywatelskiego ścierać).

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pierwsza pochwała.

Dramacik właśnie syna obywatelskiego — jaki robi na kobiecie nieładnej, która już siebie odsądziła od wszelkich praw podobania, bo ma własne estetyczne o tem pojęcia i wyobrażenia — jakie wrażenie czyni pierwsza grzeczność, pierwszy dowód zajęcia się, pierwsze uczynione wrażenie. To wszystko trzeba scenami, gestami, rozmowami, zdarzeniami uwydatnić, a medytacjami poprzeplatać tylko, że zaś gdy przyjdzie na kobietę chwila, w której zaczyna być ładniejszą, choćby brzydką była, wszystko wkoło niej jaśnieje — więc i stosunek rodzinny odwraca się ku jaśniejszym stronom. Szczegóły różne o wuju wolterzyście, rozmowy, sprzeczki, wpływy.

ROZDZIAŁ TRZECI.

W co się żart obraca.

Obejmuje historję od chwili, w której się brat listem o panu młodym obywatelu zaniepokoił, aż do chwili, w której siostra konkurenta pięknej kuzynki odrzuca.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dalej, dalej, gdzieindziej!

Potrzeba zmiany miejsca; szczegóły o niepomysłnem gospodarstwie brata; wycieniowany aż do właściwej subtelności stosunek brata z siostrą; opozycja przeciw ich wspólnemu zamieszkaniu powagą wszelkich względów światowych wsparta. Śmierć ciotki wszystko rozwiązuje.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Razem z bratem.

Idealy w praktykę sprawne; czasem brak książek nowych do czytania; brak sukienki na wieczorek w sąsiedztwie; — stosunek ze służącymi; kłopoty spiżarniowe — a jednak wszystko lekkie, miłe; brat wszystko umie cenić, jako dowód przywiązania — mężowie zwykle jako dopełnienia obowiązków wymagają. Ach! Wando gospodarowałam z bratem jednym, i drugim i trzecim — każdy inny, a każdy jednak taki w powszednich drobnostkach ugrzeczniomy, jak starający się kawaler. Robienie kawy i herbaty, przyrządzenie obiadu zamieniało się w jakąś uroczystość i fetę sercową — podanie krzesła przyjmowano jak łaskę z mojej strony. Och! nikt tak nie rozpieści, nikt taką królewską pańskością głowy nie nabije, jak kochający bracia, to też pozwalałam ci nawet rozfantazjować się i aż do nadzwyczajności sięgnąć; w sumieniu mojem uznaję wszystko z góry możliwem i zwyczajnem, tyłkoż pamiętaj, że takie idealne życie nie opiera się bynajmniej na idealnych osobistościach — dwie bardzo popolite mogą się na nie złożyć, nawet podnieść to spostrzeżenie.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pan profesor i panna uczennica.

Względem pana profesora najmniej wskazówek udzielić ci mogę — nie miałam sposobności rozpatrzyć się w autentycznych zakochiwających się milcząco profesorach, ale muszą być tacy i pewnie sobie żywe studjum, gdzie pod pióro znajdziesz. Panną uczennicą niech będzie owa młoda dziewczynka, która ma bratu głowę zawrócić. A może bratby jej uczył czego? konno jeździć — tylko musisz epizodami odświeżyć tę trochę zużytą w powieściach sytuację. Mogłaby też uczyć i siostra jakiegoś szlaczka na drutach — ad libitum.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Czy iść zamaż bez miłości?

Oświadczyń ex-wuja; analiza własnych usposobień; kilka wątpliwości względem profesora.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Niedosyć to jeszcze z miłości się ożenić.

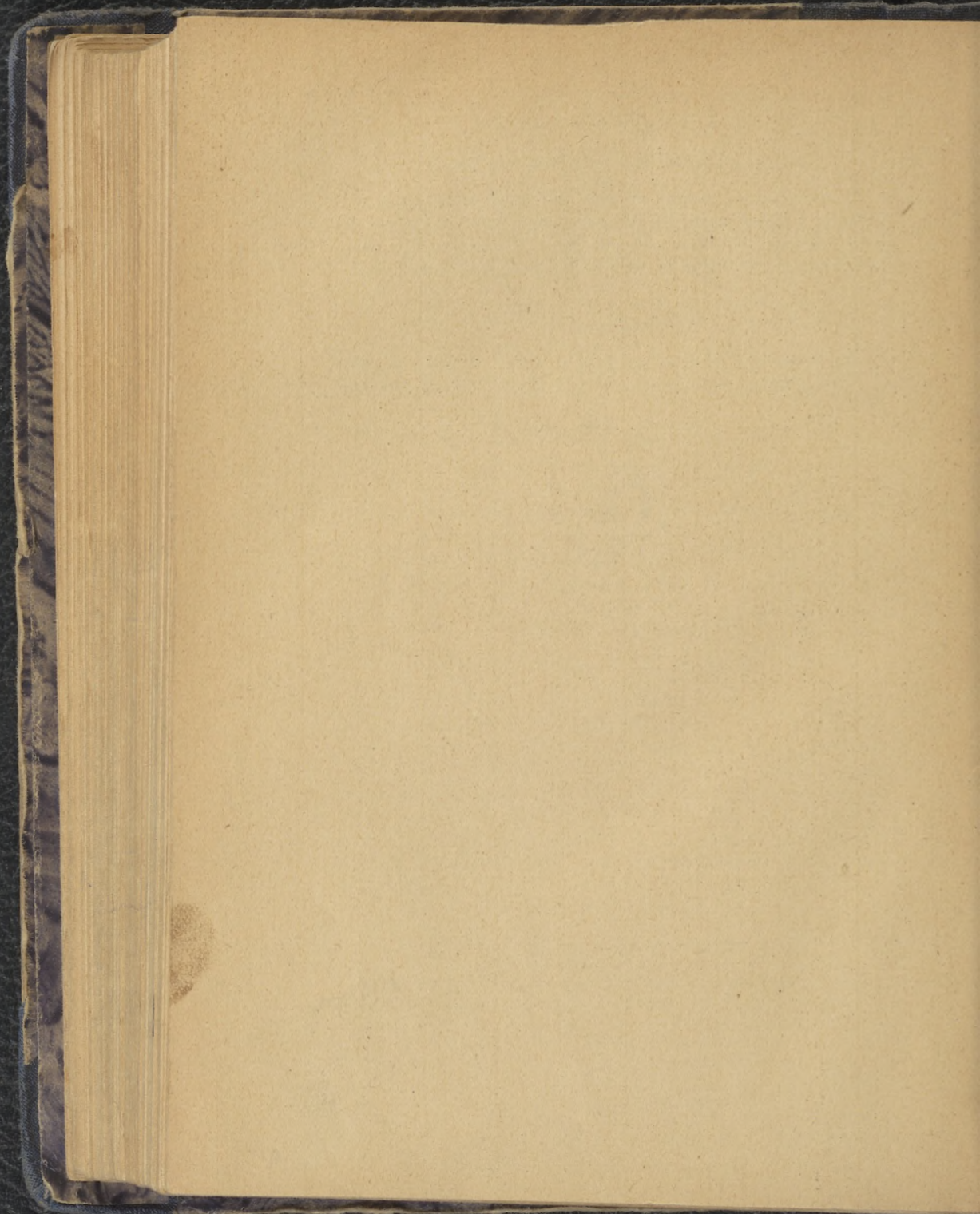
Brat się żeni — kochany, a jednak niebardzo szczęśliwszy, rozkochany, a jednak niebardzo przez to lepszy. Parę obrazków z gestami i słowami — faits et gestes de Madame. Rozmyślenia i teorie zastosowywane do własnego życia de Mademoiselle i jako wyżej.

W ZAKOŃCZENIU.

Zwiąż snopek wszystkich niepewności, żądań, a może podszeptną ci ostatnie słowo — dużo słomy trzeba spalić, nim się piec rozgrzeje.

Słoma! Słoma! Słoma! (ten wykrzyknik nie obowiązuje cię wcale).





DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

SP. AKC. W WARSZAWIE, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

POLECA POWIEŚCI:

- Augustynowicz Jan.* KSIĄDZ PROT. Historia ludzka.
Wydanie trzecie, na nowo przez autora opracow. 4.80
- Augustynowicz Jan.* PIEKŁO. Pieśń życia i śmierci. 8.—
- Conrad Joseph.* MURZYN Z ZAŁOGI „NARCYZA“ 6.—
- NOSTROMO. Pow. z wybrzeża morskiego 2 tomy 18.—
- OPOWIEŚCI ZASŁYSZANE 4.—
- SZALEŃSTWO ALMAYERA 8.—
- TAJFUN. Przekład B. Rychlińskiego 3.80
- WŚRÓD PRĄDÓW 6.—
- MIĘDZY ŁĄDEM A MORZEM 7.—
- Gąsiorowski Wacław (Wiestaw Sclavus).* BEM. Po-
wieść historyczna z czasów powstania listop. 8.—
- CZARNY GENERAŁ. Powieść historyczna 9.—
- HURAGAN. Powieść historyczna w 3 tomach 18.—
- KRÓLOBÓJCY. Historia carów rosyjskich 10.—
- KSIĘŻNA ŁOWICKA. Powieść hist. w 2 tomach 10.—
- ROK 1809. Powieść historyczna w 2 tomach 10.—
- SZWOLEŻEROWIE GWARDJI. Powieść hist. 7.—
- Gliński A. J.* BAJARZ POLSKI. Baśnie, powieści
i gawędy ludowe z barwnymi rycinami Hoppena 12.50
- Jeleńska E.* DWÓR W HALINISZKACH. Powieść
współczesna. 2 tomy 10.—
- Żubieński H.* RYCERZE ŚMIERCI. Powieść z 1863 r. 8.—
- Marion.* ROZBITE GNIAZDA. Opowieść o sza-
rych ludziach 4.80
- Nikorowicz I.* NIEŚMIERTELNY KOCHANEK 3.—
- Pollak J. dr.* ZBŁĄKANY PIELGRZYM. Powieść
współczesna 7.50
- Relidzyński J.* POWRÓT Z TAMTEGO ŚWIATA 9.—
- Rzewuski A. hr.* ZE STRZELBĄ NA RAMIENIU 8.—
- Zahorska A. (Savitri).* TRUCIZNY. Powieść współcz. 6.60
- WYDAWNICTWA ILUSTROWANE:
- Album Ostrobramskie.* Podług zdjęć Prof. J. Bułhaka.
Tekst pióra Prof. M. Limanowskiego. 20 plansz 2.—
- Warszawa. Varsovie. Warsaw.* Piękne album War-
szawy z tekstem w 3 językach. Tekst ułożyli
Al. Janowski i St. Lewicki. 68 plansz 8.—

NAJWIĘKSZA HURTOWNIA KSIĘGARSKA
W POLSCE

DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ

SPÓŁKA AKCYJNA

WARSZAWA, PLAC TRZECH KRZYŻY 8

Przyjmuje na skład główny
wszelkie wydawnictwa pol-
skie: księgarskie, rządowe
i prywatne i rozsyła je w
komis do księgarzy w całej
Polsce. Wydaje pismo re-
klamowe

„Kurjer Księgarski“

POSIADA OLBRZYMIE SKŁADY WYDAWNICTW
WŁASNYCH i OBCYCH

DLA KSIĘGARZY, BIBLIOTEKARZY
i BIBLIJOFILÓW

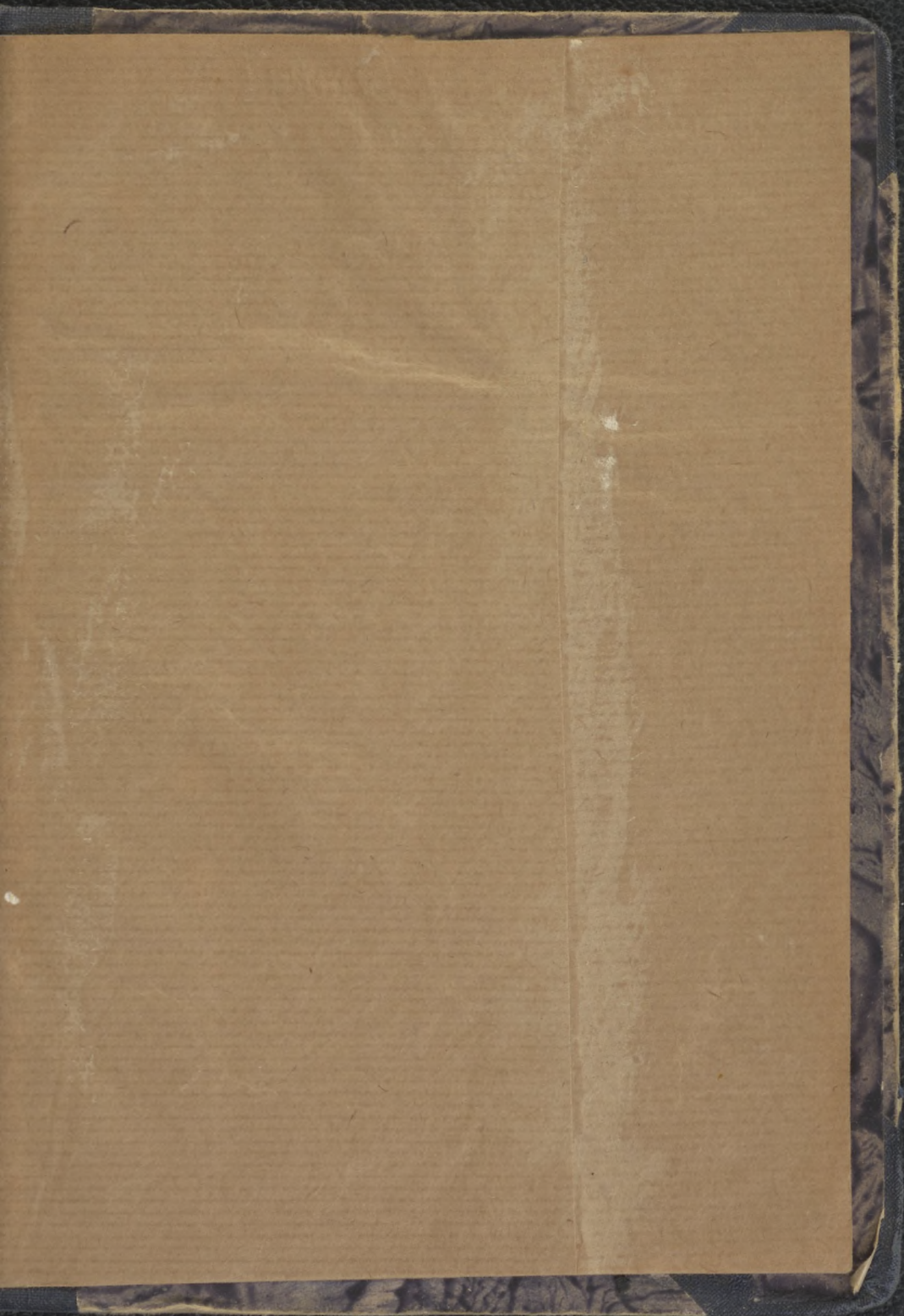
nieodzowny jest podręczny katalog
zbiorowy wydawców polskich

„Przewodnik księgarski“

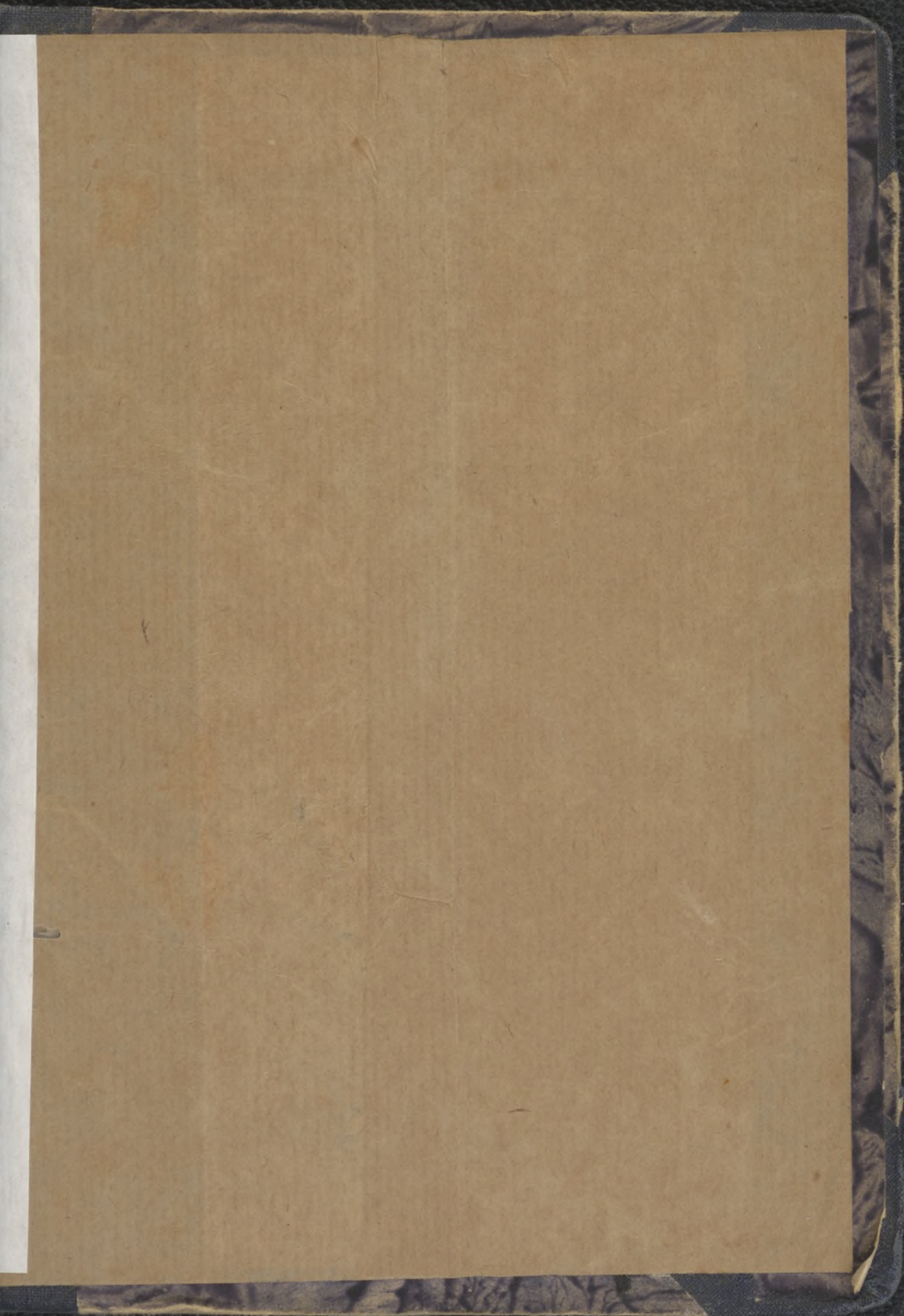
w 2 tomach

Zawierający kilkanaście tysięcy dzieł

Rocznik I za r. 1925 zł. 15.—, w oprawie
Rocznik II za r. 1926 zł. 7·50, w oprawie



Handwritten text in a cursive script, likely a title or header, located at the top of the page. The text is partially obscured by the binding on the left and appears to read: "Kodun...".





164414

zdj.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001011552480